

Lavinia G
Niedziela

LINDA GREEN

Wtedy ta się stała

*Poruszająca,
a jednocześnie pełna
humoru i dowcipu
powieść*

Świat Książki



Green Linda

I wtedy to się stało

Dla Jean Dennis
Pamięci Johna Dennisa
Prolog

Kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, miałam jedenaście lat, ale i tak już wiedziałam. Ta ciemność w oczach i sposób, w jaki marszczyła mu się twarz, gdy się uśmiechał. Oczywiście nic mu nie powiedziałam.

Nawet wtedy zdawałam sobie sprawę, że tak to nie działa. Musiałam poczekać, aż sam się zorientuje. Dwa lata to zajęło. Dla mnie całą wieczność. Mimo wszystko warto było czekać. Wiedziałam wówczas, wiem i teraz. Dziewiętnaście lat, dziesięć miesięcy i dwadzieścia jeden dni później.

CZĘŚĆ PIERWSZA
ROZDZIAŁ 1

Mel

Sobota, 27 marca 2010

Wikipedia podaje, że to Ezop sformułował myśl o przyzwyczajeniu, które rodzi lekceważenie. Co utwierdza mnie w przekonaniu, że ogólnie rzecz biorąc, greccy filozofowie są raczej przereklamowani.

Adama znam dwie trzecie życia. Wprawdzie to ledwie punkcik, jeśli zaczniemy się cofać po długiej osi wydarzeń historycznych do czasów Ezopa, jakieś 600 lat p.n.e., lecz fakt pozostaje faktem - z trudem przychodzi mi przypomnieć sobie życie p.e.A. (jak postrzegam lata, zanim poznałam Adama). Zacierające się w pamięci dzieciństwo z udziałem jednookiego misia, podkolanówkami i zdartymi kolanami, zbieraniem jeżyn nad kanałkiem, włosami uczesanymi w odbiegający od ideału kucyk oraz pokazywaniem języka starszemu bratu Martinowi, który był oczkiem w głowie Mamy. A potem ten dzień, kiedy poszłam do gimnazjum i spotkałam Adama. Wtedy to, co nazywam swoim życiem, zaczęło się naprawdę.

Od tamtej chwili zebrało się w sumie ledwie parę tygodni, podczas

których się nie widzieliśmy. Jednak daleko mi do tego, żeby zacząć Adama lekceważyć, owo przyzwyczajenie rodzi coś głębszego, silniejszego i cudowniejszego,

niż kiedykolwiek wydawało mi się możliwe. Nie chcę być źle zrozumiana. Adam nie jest ideałem. Jest, na Boga, mężczyzną. A to małżeństwo, nie bajka. Kilka jego cech, co nieuniknione, sprawia, że od czasu do czasu marudzę. Adam chrapie (choć tylko kiedy leży na lewym boku), odczuwa patologiczny lęk przed kąpielą (w jego obronie powinnam zaznaczyć, że jednakże bierze prysznic), szerokim łukiem omija restauracje typu tapas (bo nie dają tam jednej dużej porcji tego, co chciałoby się zjeść, i potem trzeba iść do domu, i robić tosty z serem, bo wciąż czuje się głód) i ma skłonność do wygłaszania tyrad, jeśli ktoś wyrazi choćby cień podziwu dla Margaret Thatcher albo Tony'ego Blaira (być może najbliższa z jego słabostek).

Ale to by było na tyle. Garstka wkurzających głupstewek. Nie jesteśmy nawet u podnóża lekceważenia. W zamian dostaję wszystkie te cudowności, które przynosi przyzwyczajenie: świadomość, że Adam wie, kiedy odpuścić i zapewnić mi nieco przestrzeni, a kiedy powinien wziąć mnie w ramiona i przytulić; to, że bez skrupowania możemy razem milczeć, bo czasem po prostu wiemy i nie musimy nic mówić; pewność, że jeśli dopadnie mnie ból głowy, będzie wiedział dokładnie, w którym miejscu moich barków jest wywołujący to skurcz mięśni i będzie umiał go rozmasować. I to, że gdy tak siedzi naprzeciw mnie w dość wytwornej restauracji w Sowerby Bridge, z rozpiętym górnym guzikiem koszuli, zaczesując kosmyk ciemnych włosów, który, od kiedy się znamy, wchodzi mu do oka, dokładnie wiem, jak zareaguje na to, co za chwilę powiem.

- Na wszelki wypadek, gdybyś miał coś planować. Naprawdę nie chcę zamieszania. Wiesz, w sprawie rocznicy Myślę, że powinniśmy zrobić coś kameralnie.

Szóstego maja przypadnie dziesiąta rocznica naszego ślubu oraz minie dwadzieścia lat, od kiedy jesteśmy razem, ponie-

waż pobraliśmy się dokładnie dziesięć lat po tym, jak Adam zaprosił mnie na randkę. To sprawia, że przepełnia mnie radość i wiem, że mam niewiarygodne szczęście. Ale nie czuję potrzeby organizowania imprezy. Cień uśmiechu wpełza na twarz Adama, potwierdzając, że dokładny

scenariusz rozmowy, którą mamy właśnie odbyć, został już napisany.

Oboje znamy swoje kwestie, a także kwestie drugiej osoby. Ale i tak je wypowiemy, żeby sprawdzić, jak dobrze się ich nauczyliśmy.

- O, a dlaczego tak? - mówi.

Miałam rację. Zgadłam co do słowa. Oczywiście on dobrze wie dlaczego, ale nie odpuści, dopóki jakoś się nie wytłumaczę.

Piję łyk wina Rioja (wolę białe, ale dziś są jego urodziny, więc moja kolej, żeby pójść na kompromis. Mamy wystarczające doświadczenie jako rodzice, by wiedzieć, że żadne z nas nie może wypić swojej butelki wina, bo nazajutrz o szóstej rano nasza czteroletnia córka będzie skakała nam po łóżku).

- Cóż, dziesięć lat to znowu nie taka wielka rocznica, prawda? - mówię.

- Czyli wystarczy aluminiowa puszka, którą ci kupiłem?

Szczerzę zęby w uśmiechu. Wiem, że nie kupił mi aluminiowej puszki. W prezentach jest dobry. Zawsze był. Po części dlatego, że zna mnie na wylot, a po części - bo lubi niespodzianki, musi więc naprawdę ciężko się napracować, by wymyślić coś, co nie przyszłoby mi do głowy.

- Może na nasze srebrne gody zrobimy coś dużego, ale w tym roku nie ma chyba takiej potrzeby. Wiem, że z nami jest trochę inaczej z powodu tych dwudziestu lat, ale ludzie raczej nie obchodzą rocznicy swojej pierwszej randki. Przynajmniej nie publicznie. A tak w ogóle, dwadzieścia lat razem robi z nas starców i w mojej rodzinie zapomną, że tak naprawdę to jesteśmy młodzi, i kupią nam jakieś pamiątkowe

paterę czy coś w tym stylu, a tego nie da się oddać biednym, jeśli będzie wygrawerowane, a na pewno coś wygrawerują. Mama będzie oczekiwać, że powiesimy gdzieś jej paterę, i obrazi się, jeśli zawieszisz ją w ubikacji, wiesz, że ona nie łapie twojego poczucia humoru. Poza tym mam złe wspomnienia, bo byłam siłą zaciągnięta na srebrne gody cioci i wujka, i zmuszono mnie, żebym tańczyła kacuchy, gdy moi przyjaciele świetnie się bawili w kinie na *Pogromcach duchów*, więc naprawdę próbuję ci powiedzieć, że jeśli planowałeś zrobić coś dużego, to ja po prostu nie chcę. Adam uśmiecha się jeszcze szerzej.

- Oj, wiesz co, odwal się - kwituję.

- Co? Przecież nic nie mówię.

- Nie, ale siedzisz tam i szczerzysz się, gdy ja gadam to, co i tak już wiesz.

- Nie wiedziałem, że na imprezkę będę musiał czekać do srebrnych godów. Rany, ty to wiesz, jak sprawić, żeby facet nie przestał się jarać.

- Więc nie nastawiaj się na imprezkę. - Sięgam po kukurydziane chipsy, które jakimś cudem pojawiły się na stole podczas mojej miniprzemowy. - Nie obiecuję, że ją urządzimy, tylko że o tym pomyślę. Chociaż oczywiście nie w jakiejś przygnębiającej salce parafialnej, żeby Matka Boska patrzyła na nas z góry, ani w jakimś obskurnym domu kultury, gdzie śmierdzi sikami, a na podłodze został

piasek po zajęciach dla maluchów. I gdziekolwiek by to było, proszę, proszę, nie zatrudniaj żadnego obciachowego didżeja, który powie „a teraz, sianowne panie, numerek specjalnie dla was”, puścimy składanki, te z wesela.

- Jasne. - Adam wciąż się uśmiecha. - Z pewnością wszystko zapamiętałem. Choć powinienem zaznaczyć, że od naszego ślubu wynaleziono iPoda, więc składanki poszły w odstawkę.

- Widzisz? Już robisz tak, żebym poczuła się staro. Wyobraź sobie, jak się będziemy czuli na srebrnych godach, kiedy Maya odkryje, że nasze ślubne zdjęcia są z negatywów, a nie z twardego dysku.

- A to ty już się martwisz, co ona sobie pomyśli, jak będzie miała dziewiętnaście lat?

- Nie martwię się, tylko mówię.

- Będiesz to w ogóle jadła? - pyta Adam, wskazując chipsa wciąż tkwiącego w gotowości między moim kciukiem i palcem wskazującym.

- Być może, ale dopiero jak się upewnię, że to, co powiedziałam, jest dla ciebie jasne.

- Nie bój się, rozwiałaś wszelkie moje wątpliwości, choć i tak dobrze wiem, że to nie dlatego nie chcesz imprezy.

Patrzę, jak Adam mistrzowskim ruchem bierze dwa chipsy, żeby nabrać nimi porcję guacamole na trzeciego, a potem pożera cały tercet i wybiera następne dwa chipsy, które służą jako szczypecie. Nawet udaje mu się przy tym wyglądać seksownie; ja na jego miejscu pewnie zdołałabym upuścić całość na bluzkę. Nie wiem, w jakim wieku wyrasta się z rozlewania wszystkiego, ale ja jeszcze go nie osiągnęłam.

- No, w takim razie dawaj, oświeć mnie, proszę - mówię, uznawszy, że równie dobrze mogę zapytać o jego teorię, skoro jasne jest, że i tak mi ją zaserwuje.

- A to nie oczywiste? Boisz się, że jeśli odpalimy choć jeden fajerwerk, to On, albo Ona, wiem, że nie jesteś pewna co do płci tego kogoś, kto decyduje o tych sprawach, więc (en Ktoś uzna, że zdecydowanie za długo już gramy bez utraty gola i ześle na nasz dom plagę i siedem lat nieszczęścia dla wszystkich jego mieszkańców.

W końcu zjadam chipsa, którego trzymam w palcach, żeby dać sobie trochę czasu na wymyślenie odpowiednio solidnego zaprzeczenia. Jem kolejne trzy i nadal myślę.

- Robisz ze mnie jakąś wariatkę - oświadczam, gdy nie udaje mi się wymyślić niczego, czego Adam by nie przejrzał.

- Bo jesteś wariatką. Ale kochaną - odpowiada, sięgając po moją dłoń, żeby ją ścisnąć.

- Po prostu uważam, że nie powinniśmy kusić losu, głośno śpiewając i tańcząc z radości, to wszystko. Sam wiesz, co się dzieje z aktorkami, które dostają Oscara i w mowie dziękczynnej wyznają dozgonną miłość swoim mężom. Tydzień później muszą wydać oświadczenie, że to już koniec, ponieważ on uciekł z kelnerką.

- Chyba masz trochę racji, ta, która nas dziś obsługuje, jest całkiem ładniutka.

Uśmiecham się i kręcę głową. Ujdzie mu to na sucho, bo jestem spokojna o nasz związek. Nie dlatego, że uważam się za tak świetną partię, że nigdy by mnie nie zostawił, ale po prostu dlatego, że jesteśmy Adamem i Mel. Gdyby można nas było kupić w supermarkecie, to tylko w dwupaku. U naszych znajomych jesteśmy pewnie na szczycie listy „Najmniej prawdopodobne, że się rozstaną” (wydaje mi się, że wszyscy mają taką listę, nawet jeśli fizycznie jej nie zapisują). Więc nie boję się, że Adam mi z kimś ucieknie. Chodzi raczej o poczucie, że gdzieś tam zapisana mi jest wielka łyżka dziegciu. Adam powtarza, że moje życie to bajka; pierwszy chłopak, w którym się zakochałam, odwzajemnił uczucie i wciąż się kochamy, nigdy nie miałam złamanego serca. Ile osób może powiedzieć tak o sobie? Mamy wspaniałą, szczęśliwą, zdrową córeczkę, która nie licząc obsesji na punkcie dinozaurów, wydaje się całkiem zrównoważona, mieszkamy w domu naszych marzeń, zaadaptowanym budynku szkolnym w Cragg Vale, kilka kilometrów stąd, z widokiem na być może najpiękniejszą dolinę w West Yorkshire, mam świetną pracę wykładowcy rozwoju dziecka na Uniwersytecie Bradford, moi rodzice nadal są razem i choć nie zaryzyko-

wałabym stwierdzenia, że ich małżeństwo to idylla, wydają się wystarczająco szczęśliwi, żeby wytrzymać ze sobą do końca. Wszyscy czworo moi dziadkowie wciąż żyją, mieszkają w domach dla seniorów, cieszą się dość dobrym zdrowiem, mają wszystkie klepki, nikt z moich bliskich ani przyjaciół nie umarł, nie miał raka, ani nie zachorował na nieuleczalną chorobę. Doprawdy, Adam żartuje, że najgorsze, co mi się przydarzyło, to śmierć chomika. Oczywiście to nieprawda, no, ale on nie wie o najgorszej rzeczy. Wie o niej tylko jeszcze jedna osoba. A ponieważ Adam nie wie, jest zrozumiałe, że tak myśli. Ze większość ludzi tak myśli. Ponieważ bezspornie moje życie wydaje się graniczyć z ideałem. Ale z powodu tego, co zrobiłam, w oczywisty sposób na to nie zasługuję. Jest tylko kwestią czasu, że ktoś krzyknie przez megafon: „No, dobra, Mel Taylor, koniec!” -i będzie tak, jakby narobiła na mnie największa mewa na świecie.

- Po prostu uważam, że lepsze jest wrogiem dobrego i powinniśmy świętować bez pompy, tylko we dwoje, zamiast publicznie kłuć ludzi w oczy naszym szczęściem.

- Jak na kogoś, kto studiował psychologię - mówi Adam -naprawdę masz nierówno pod sufitem.

Podają moje enchilady. I jambalayę Adama. Nie mamy w zwyczaju, jak to robi wiele par, podjadać w restauracji nawzajem swoich potraw.

Przed wszystkim jest to dość obrzydliwe, ale również prawie nigdy nie mamy ochoty na (o, co je druga osoba.

- No, dobrze, jeśli tego chcesz - ciągnie Adam, wzruszając ramionami i sięgając po widelec. - O ile nie będziesz narzekać, że spędzamy rocznicę w domu, oglądając jakiś gówniany program o drugoligowym celebrycie, który chce puszczać latawiec najbardziej niedostępnym miejscu na ziemi i żeby płatnicy abonamentu się na to zrzucili.

- Mówisz jak moja matka. Tak czy siak, nie będę narzekać. Wyłączę telewizor i puszczę jakąś muzykę, żebyśmy mogli potaćzyć.

- Tylko znowu nie to twoje flamenco.

Raz w tygodniu chodzę z moją przyjaciółką Louise na zajęcia. To okazja, żeby wdziać długą falbaniastą spódnicę i potupać sobie w podkutych butach jak mała dziewczynka, która przebrała się w mamine ubranie. To bardzo dobrze robi na duszę.

- Nie, myślałam o czymś nieco wolniejszym.

- Hej - mówi Adam. - Sianowne panie, numerek specjalnie dla was.

- Dobra, wystarczy. - Śmieję się, kręcąc głową. - Taki stary, a taki głupi.
Do domu wracamy po jedenastej. Drzwi samochodu zatraskujemy najciszej, jak się da. Odruchowo wkładam płaszcz, choć jest nietypowo ciepło jak na marzec, zwłaszcza na marzec w Yorkshire, i spieszę po schodach do dużych drewnianych drzwi frontowych, niczym nastolatka próbująca rzutem na taśmę zdażyć na wyznaczoną przez rodziców godzinę.
- Mniej więcej kiedy przestaniesz się martwić, co powie twoja matka?
- szepce Adam.
- Pewnie jakoś wtedy, kiedy ty przestaniesz się ze mnie nabijać.
- Raczej nie jesteśmy już w wieku szkolnym i nie wtaczamy się do domu o drugiej nad ranem.
- Nie, ale powiedziałam, że wrócimy przed jedenastą, a doskonale wiesz, że jak dasz jej pretekst do wybuchu, na pewno z niego skorzysta.
Poza tym od razu jak przyszli, wyglądała mi na nakreconą i jeśli miało to jakiś związek z nami, nie chcę pogarszać sprawy.

Siłuję się z kluczem w zamku i otwieram drzwi. Uwielbiam wejście do naszego domu: ogromne antywłamaniowe wrota, za którymi rozciąga się wyłożony boazerią korytarz ze stromymi kamiennymi schodami w rogu (co ze względu na maluszka jest kompletnie niepraktyczne i za często się zdarza, że „kurczę, zostawiłam otwarte drzwi na klatkę schodową”). Wiedziałam, że ten dom jest dla nas idealny, już kiedy pierwszy raz przekroczyłam jego próg. Pod koniec oglądania powinienam powiedzieć agentowi nieruchomości: W zasadzie przekonał mnie pan przy „oto korytarz”.

Wewnątrz cisza jak makiem zasiał. W salonie w fotelu siedzi mój ojciec, jedno oko otwarte, drugie zamknięte, jest w tym naprawdę dobry, a moja matka, w sweterku i kardiganie zarzuconym na ramiona, w szaliku okręconym wokół szyi, niezbyt subtelna aluzja, że w naszym domu jest za zimno, kartkuje magazyn „People’s Friend” (przynosi go z sobą, kiedy ma się opiekować dzieckiem, nie jest to czasopismo z naszej listy lektur). Spogląda na mnie z miną „to według ciebie, która jest?”. Już chcę się tłumaczyć, że nie miałam pojęcia, jak późno się zrobiło, gdy przypominam sobie o tym, że mam trzydzieści trzy lata.

- Cześć, przepraszamy za spóźnienie - mówię. - W nieskończoność ociągali się z deserem. Jak Maya?
- Wieki trwało, nim usnęła, jak zwykle, ale potem już cisza, spokój - informuje Tata, otwierając zamknięte oko i uśmiechając się. Powinno się

go zapraszać do udziału w reklamach kanap, jego twarz wręcz krzyczy „wygodnie!”. Ma też taką cechę jak polityk Alistar Darling, że choć włosy i większość brody mu posiwiały, brwi pozostały zdecydowanie ciemne. Kiedy w końcu się poddadzą, będzie z niego rewelacyjny Święty Mikołaj. Już powiedziałam w lokalnym sklepie z zabawkami, żeby się na niego szykowali.

- To jaką historyjkę kazała wam odegrać? - pytam.

- Coś o tym, że tyranozaurowi łapa utknęła w szynach kolejowych i musiał go ratować wielki fioletowy motyl.

Kiwam głową. Dla osoby postronnej brzmi to jak przypadek nieudanego tripu po LSD, ale dla mnie ma sens; Maya lubi dinozaury, motyle i kolor fioletowy, a mój ojciec, choć jest na emeryturze, prowadzi w Halifaksie muzeum modeli kolejowych i zawsze udaje mu się wpleść w swoje wymyślone historyjki jakieś nawiązanie do pociągów.

- To co było na deser? - pyta Mama, nie zauważając, że temat rozmowy już się zmienił.

- Ja zjadłem tort z gorzkiej czekolady - oznajmia Adam. - A Mel wzięła sernik z jagodami.

Mama unosi brwi i powoli kiwa głową, dając do zrozumienia, że rozczarowały ją nasze wybory albo, bardziej ogólnie, zawartość karty deserów.

- Cóż, dobrze, że wzięłam ze sobą czasopisma - oznajmia. - W telewizji jak zwykle nic ciekawego. Z pewnością nic, co oderwałoby mnie od myślenia o tym całym nieszczęściu.

Tata wzdryga się na fotelu i rzuca Mamie spojrzenie.

- Przecież kiedyś muszę im powiedzieć - mówi Mama.

- Powiedzieć co? - pytam, czując ścisk w żołądku.

- Nie chciałam wspominać wcześniej, żeby nie psuć wam wieczoru.

- Po prostu powiedz, proszę.

- Bill zostawił Sylwię dla jakiejś kobiety z pracy. Sprzątaczkę, nawet nie sekretarkę.

Skurcz brzucha mija. Sylvia to przyjaciółka mamy z przychodni. Obie przynoszą tyle chwały recepcjonistkom, ile Sweeny Todd golibrodom*. Widuję ją w domu Mamy i od czasu do czasu wpadam na nią na bazarce. Jest straszną

*** Postać fikcyjna, występująca w literaturze angielskiej. Sweeney**

Todd był

golibrodą, który podrzynał gardła swoim klientom (przyp. tłum.).

plotkarą i jak raz zacznie, nie sposób się od niej uwolnić. Oczywiście współczuję jej, jak każdej kobiecie porzuconej przez męża. Ale sam pomyśl, że wcześniejsze wyjawienie tej informacji zepsułoby urodziny Adama, pokazuje, jak bardzo Mama się pogubiła. Zerkam na Adama, który ewidentnie próbuje powstrzymać się od komentarza, że gdyby Bill uciekł z kobietą o wyższej pozycji społecznej, jego postępek byłby mniej niegodny.

- O rany. Przykre - mówię. - To musiał być dla niej straszny wstrząs.

Chyba niedawno obchodzili srebrne gody? - Sylvia i Bill pobrali się późno, mieszkali przy tej samej ulicy, aż ich wiekowi rodzice pomarli, a oni zdali sobie sprawę, jak są samotni.

- Trzy miesiące temu - prychnęła Mama. - A potem on, ot tak, niweczy dwadzieścia pięć lat małżeństwa. Nie jestem w stanie zrozumieć, jak ktoś mógł zrobić coś takiego Sylvii. A wy?

- Też, kochanie. - Tata oczywiście uznał, że wypada się z nią zgodzić, choć podejrzewam, że dobrze wie, czemu Bill to zrobił. I że gdzieś tam trzyma kartkę papieru, na której odhacza kolejne lata małżeństwa z Mamą. Liczba kresek zbliża się do pięćdziesiątki. Mama zaczyna zbierać swoje czasopisma.

- A wiecie, co jest najgorsze? - Wzdycha. - Sylvia tyle wysiłku włożyła w ten cudowny biszkopt, który upiekła na srebrne gody. I wszystko na marne.

- Coś mi się zdaje - Adam obejmuje mnie ramieniem, kiedy już leżymy w łóżku, a ja wtulam się w wygodne miejsce, które przez lata moje ciało wyłobilo w jego ciele - że teraz do twojej listy rzeczy zakazanych na srebrnych godach muszę dodać „biszkopt”.

Wreszcie pozwalam, żeby uszedł ze mnie śmiech, który wcześniej powstrzymywałam. Adam śmieje się tak mocno, że trzęsie mu się klatka piersiowa.

- Problem w tym - mówię - że nie usłyszeliśmy wersji Billa. Może on nie lubi biszkopta. Może powiedział o tym Syhrii w dniu, w którym się poznali, ale ona była na to głucha i piekła dalej, zafiksowała się na tym, żeby siłą przekonać go do swego daru pieczenia biszkoptów. I potem na złość upiekła biszkopt na ich srebrne gody, więc można zrozumieć, że to była kropla, która przepelniła czarę.

Adam uśmiecha się i głaszcze moje ramię.

- Założę się, że ta nowa kobieta nie piecze biszkoptów -wyjaśnia. -

Założę się, że ubija mu krem Angel Delight, czekoladowy, krówkowy, każdy smak, jaki tylko Bill sobie zażyczy. Jak teraz o tym myślę, ostatni raz jadłem Angel Delight, kiedy byłem dzieckiem. Czemu nigdy mi go nie robisz?

Odpowiadam uśmiechem.

- Wiesz co? Zrobię go specjalnie na naszą rocznicę.

- Och, Mel - całuje mnie po ramionach - ty to wiesz, jak rozpalić faceta. No dawaj, wymieniaj smaki Angel Delight...

- Albo zamkniesz się w tej chwili - daję mu kuksańca w żebra - albo wyłączę światło.

- Dobra. Po prostu poleżę tu cichutko i pofantazjuję sobie na temat ciebie wysmarowanej tym kremem.

- Jasne. - Przetaczam się na niego. - Jak się nie zamkniesz, nie będę miała wyjścia i cię zmuszę.

Adam unosi brwi. Kilka minut później jest mile rozproszony i wreszcie milknie. To druga z cudownych zalet przyzwyczajenia. Panel sterowania jest ten sam, co zawsze. Więc nie trzeba tracić czasu na zrozumienie instrukcji obsługi.

Dużo później leżę w ciemności, moje ciało wciąż wtulone w pogrążonego we śnie Adama. Czuję, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada, słucham jego oddechu, boję się odsunąć, żeby przypadkiem ten czar nie prysł.

- Sto lat - szepczę, po raz ostatni całując go przed snem. I próbując się nie martwić, co jeszcze, oprócz biszkopta, może tak łatwo zniszczyć małżeństwo.

ROZDZIAŁ 2

Adam

Zjeżdżam z wąskiej, wijącej się drogi i jak zwykle staję na przydrożnym parkingu. Daleko za mną jest Manchester, gdzie pracuję.

Cragg Vale leży zaraz za wzgórzami. Ale nie wracam jeszcze do domu.

Robię sobie postój na szczycie świata. Co tydzień oglądam ten sam widok. Paleta zieleni, brązów, szarości, bieli i błękitu, obramowana przednią szybą samochodu. Ale wciąż jednak ma moc, żeby strząsnąć ze mnie mijający dzień, kiedy światło subtelnie się zmienia, pada na jakiś występ skalny, którego nigdy wcześniej nie dostrzegłem. Są miejsca tak piękne, że zawsze na nas działają, nieważne, jak wiele razy już je odwiedziliśmy. To jedno z takich miejsc.

Ze sportowej torby wyciągam kopertę, a z niej wydrukowane zaproszenie, które czytam, czekając. Tak jak większość rocznicowych przyjęć niespodzianek, myślę, że i to będzie udane. Oczywiście kluczową sprawą jest lokal. W Scaitcliffe Hall Hotel było nasze wesele. To hotel urządzony w dworku na obrzeżach Todmorden, zaprzeczenie śmierdzącego sikami obskurnego domu kultury.

Wszystko przygotowano kilka miesięcy temu. Nawet wtedy weekend po naszej rocznicy

był już zarezerwowany na wesele, więc musiała to być sobota przed.

Zapadły ustalenia co do menu w formie bufetu, wynajęta została kapela nawiązująca do filmu *The Commitments* (jeśli powiedziałbym Mel, pewnie by się martwiła, że rozstaniemy się jeszcze przed ich występem - życie naśladuje sztukę i takie tam). Kiedy Mel wyskoczyła z kwestią „tylko nie hucznie”, nie dało się już tego odwołać. Gdyby powiedziała mi, zanim wszystko zarezerwowałem, i tak niczego by to nie zmieniło.

Zawsze wiedziałem, że ten pomysł się jej nie spodoba. Dobrze znam starą śpiewkę, że kusząc los, doigramy się. Mel taka jest, od kiedy pamiętam. To ona miała wątpliwości przed ślubem. Nie co do tego, czy ja jestem „tym jedynym” (to nie w stylu Mel zmieniać zdanie albo powątpiewać w siłę swoich uczuć), ale czy ślub jakoś wszystkiego nie zepsuje, a my nie skończymy, przeklinając dzień, w którym wystawiliśmy naszą miłość na widok publiczny. Fakt, że nic podobnego się nie stało, a my jesteśmy

szczęśliwsi niż kiedykolwiek, nie zdołał podważyć jej przekonania do tej teorii. Nigdy bym tego nie powiedział Mel, ale trochę to przypomina życie w barometrze w kształcie domku. Świeci na nas słońce, wychodzę odpowiednio ubrany - w czapkę z daszkiem, T-shirt i krótkie spodenki - a Mel kuli się w drugich drzwiach, uparcie trzymając otwarty parasol, tak na wszelki wypadek.

To jedyne, co chciałbym w niej zmienić - niezłe osiągnięcie, zważywszy na to, jak długo jesteśmy razem. Marzę o tym, żeby umiała się wyluzować i cieszyć naszym wspólnym życiem bez nieustannego wypatrywania na horyzoncie czarnych chmur. Naprawdę dziwne, bo to ja powinienem mieć powody do paranoi. Pracując dziesięć lat jako dziennikarz, mając do czynienia z pasmem morderstw, tragicznych wypadków i zagrażających życiu chorób, ma się tendencję do wy-paczonego postrzegania rzeczywistości. Robiłem wywiady

z tak wieloma ludźmi, którzy mówili: „Nigdy nie sądziłem/sądziłam, że coś takiego może mi się zdarzyć” i wiem, że to „coś” może przytrafić się każdemu i w każdej chwili. Ale oprócz tego, że nie jeżdżę pociągami w skrajnych wagonach (pisałem o dwóch katastrofach kolejowych i w obu przypadkach jedyne ofiary śmiertelne siedziały z przodu i z tyłu składu), nie marnuję życia na zamartwianie się, że to „coś” nastąpi. Jeśli już, to widząc, co przytrafiło się innym, skłonny jestem jeszcze bardziej żyć pełnią życia, doceniać, co mam, i cholernie się tym cieszyć.

Właśnie dlatego chcę mieć rocznicową imprezę. Dziesięć lat małżeństwa warto uczcić. Tak samo jak dwadzieścia lat bycia razem.

Iluz ludzi nigdy tego nie osiągnie. I nie jest tak, że dowlekleliśmy się tam, odhaczając po drodze każdy mijający rok, wytrzymując razem dla dobra dzieci, a tak naprawdę nawet już ze sobą nie rozmawiając.

Kocham ją. Bezapelacyjnie. Przeżyłem dwadzieścia najlepszych lat, jakie można sobie wyobrazić, i nie mogę się doczekać kolejnych dwudziestu. I jeszcze następnych dwudziestu. I właściwie to chce mi się wyjść na dach i krzyknąć: „Hej, popatrz na mnie i na moją wspaniałą żonę i córkę; popatrz, jakie ten skurczybyk ma szczęście”

(choć oczywiście nie, gdyby mogła usłyszeć to Maya). I tyle; tak właśnie zakończyłoby się moje przesłuchanie do komedii romantycznej Richarda Curtisa. A teraz, wracając do stereotypu, będę upartym jak osioł gnojkiem z Yorkshire, który nie potrafi okazywać uczuć. Czyli może przesłuchanie do roli w trzeciej części *Iron Mana*.

Steve wjeżdża na parking swoją terenówką i zatrzymuje się obok mnie. Doskonale wiemy, że wygląda to ciut podejrzanie, i od dawna spodziewamy się, że ktoś da cynk policji o dziwnym zachowaniu dwóch facetów, którzy spotykają się w najwyższym punkcie drogi przez wrzosowisko o osiemnastej w każdy czwartek od kwietnia do końca września

(w miesiące, gdy dzień jest krótszy, przenosimy to na niedzielne poranki). Rozczarowująco nudna prawda jest taka, że żadna brązowa koperta nie wędruje z rąk do rąk, nie ma tu nic niedozwolonego; to po prostu najlepsze dla nas miejsce, żeby spotkać się i pobiegać.

Wkładam zaproszenie z powrotem do koperty i otwieram drzwi.

- Jak leci? - pyta Steve, wysiadając z samochodu. W białej koszulce polo i krótkich spodenkach wygląda olśniewająco. Nie znam nikogo innego, kto odważyłby się uprawiać biegi przełajowe wystrojony jak na tenisa. Wygląda w dodatku jak ostatni pajac, bo nie dość, że ten strój sportowy jest nieskazitelnie czysty, to jeszcze chciało mu się go prasować. Cała jego powierzchowność aż krzyczy: „Ha, nie mam dzieci”.

- W porządku, dzięki - mówię, wręczając mu kopertę.

- Co to?

- Standardowa procedura wymaga, żebyś otworzył i zobaczył.

Steve przewraca oczami i robi, co mu powiedziałem. Obserwuję go, jak czyta, marszcząc czoło.

- Mel wie?

- Nie, stąd adnotacja, że to przyjęcie niespodzianka i prośba, żeby nikt jej tego nie wypaplał.

- Stary, to fajny pomysł. A raczej to byłby fajny pomysł, gdyby Mel lubił niespodzianki.

Podejrzewałem, że właśnie tak się zachowa. Gdyby Steve kiedykolwiek wystartował w *Wielkiej Grze*, wybrałby temat „ja wiem lepiej”.

- Ona nie znosi idei niespodzianek. Ale nie samej niespodzianki.

- Jasne, więc co jest na tak, jeśli chodzi o pomysł zrobienia wielkiej biby?

- Nic, ale ludzie nie zawsze wiedzą, co dla nich dobre.

- Dla twojego dobra mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Udaje mi się powstrzymać pokusę, żeby wyjechać mu

z kolana w krocze. Jak na najlepszego przyjaciela, czasem straszny z niego dupek. Oczywiście uchodzi mu to na sucho, bo przyjaźnimy się od

jedenastego roku życia. Mamy dużo za dużo haków jeden na drugiego, żeby nawet myśleć o wy-miksowaniu się z tej przyjaźni. Ale naprawdę mnie wkurza, gdy Steve udaje, że zna Mel lepiej niż ja. Jest jedyną osobą, oprócz członków jej rodziny, która zna ją dłużej niż ja.

Chodzili razem do tej samej podstawówki. I, rany, jak on lubi mi o tym przypominać.

- To moja żona, Steve. Myślę, że zdążyłem już ją rozgryźć. Steve wzrusza ramionami, otwiera drzwi samochodu i rzuca kopertę na przednie siedzenie.

- To co, idziesz? - pytam.

- Ta - odpowiada, zamykając samochód i chowając kluczyki do saszetki przytroczonej do paska. - Chodźmy, bo skończymy po ciemku.

- Nie. Chodziło mi o imprezę - mówię, zaczynając biec obok niego. -

Czy Louise i ty przyjdziecie?

Przez chwilę się waha. Może myśli, jak tu się wymigać.

- No tak, jasne. Chyba że potrzebujecie Louise do pilnowania dziecka?

Jak na kogoś, kto nie lubi dzieci, ta nutka nadziei w głosie jest zdecydowanie zaskakująca.

- No co ty, zwariowałeś? Mel nie chciałaby, żeby Louise ominęła impreza. Poza tym, jak się Maya dowie, nic jej nie zatrzyma.

- Powiesz jej?

- Nie mam wyboru. Kupuję jej nową sukienkę i muszę się upewnić, że będzie pasować. A ponieważ Maya umie przesłuchiwać nie gorzej niż jej matka, podejrzewam, że

wtedy wszystko jej wyśpiewam. Ale nie powiem jej wcześniej niż na dzień przed. Jest bardzo mała szansa, ale jednak, że potrafi dochować tajemnicy przez dwadzieścia cztery godziny.

- To co powiesz Mel?

- Nie wiem, coś wymyślę.

- Moglibyśmy zaprosić was na kolację, jeśli chcesz. Trochę zmylić jej trop.

- To by było super. Dzięki, stary.

Wiem, że wciąż myśli, że jestem wkurzony. Ale wiem też, że zawsze mogę na niego liczyć.

Biegniemy w ciszy. Uwielbiam tu być. Surowy teren, smagany wiatrem, posępny. Z dala od wszystkiego. Przez chwilę można się pobawić w Boga, patrząc w dół na pozostałą część świata. Poczucie satysfakcji, że jest się w

lepszym miejscu niż wszyscy inni. Lubię ustalać sobie trasę pośród wydeptanych w ziemi ścieżek, przez skały, błoto. Mel twierdzi, że w poprzednim życiu byłem kozicą. Ale to pewnie dlatego, że sama chwytła mnie za rękę, kiedy przechodzimy po kamieniach przez rzekę niedaleko naszego domu. Moim zdaniem, jeśli biegać, to tylko tak. Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć ludzi, którzy uprawiają jogging wzdłuż szosy Równie dobrze można na siłowni biegać po bieżni i żeby ktoś dmuchał na nas spaliny i świecił w oczy samochodowymi reflektorami.

- A wy co robicie w waszą rocznicę? - pytam Steve'a. Z Louise wzięli ślub prawie dwa lata po nas. Poznali się dzięki nam. Louise była najlepszą przyjaciółką Mel na uniwerku i jest urocza. Tak naprawdę to o wiele za dobra jak illa Steve'a.

- Pewnie po drodze do domu wezmę chińczyka. Może nawet wypożyczę jakiś film na DVD, coś babskiego, co się jej spodoba.

- Ależ z ciebie zatwardziały romantyk. Ty to wiesz, jak zaszaleć.

- No co, osiem lat to przecież nic wielkiego. Dam jej też jakieś kwiaty.

- Gotowy bukiet ze stacji benzynowej?

- Są tanie.

- I to właśnie chcesz wyrazić? Kocham cię do sumy trzy dziewięćdziesiąt dziewięć funta?

Steve wyrywa do przodu, wchodzi na mój tor i za plecami wykonuje pod moim adresem niezbyt przyjacielski gest.

- Louise to chyba polecała na twój urok! - wołam za nim.

- Tak, plus fakt, że jestem zabójczo przystojny i piekielnie inteligentny! Steve jest informatykiem. Czasem to widać.

Odległość między nami nieco się powiększa. Nie przeszkadza mi to.

Steve ma długi krok, a moim atutem jest nie szybkość, ale wytrzymałość. I tak na parkingu będę przed nim. Zawsze tak jest.

Nigdy nic nie mówi na ten temat, ale wiem, że go to gryzie. Od czasu do czasu widzę ten błysk niechęci w jego oczach.

Patrzę, jak na niebie rozlewają się barwy zmierzchu. Słyszę, jak wiatr nawiewa mi odgłos mojego własnego oddechu. Czuję, jak błoto pryska mi na nogi. To właśnie znaczy biec. To właśnie znaczy żyć.

Jedną z najlepszych rzeczy w pracy w muzeum jest to, w jaki sposób rankiem wszystko powoli wraca do życia - trochę tak jak ja. Kiedy pracowałem w dziale newsów „Yorkshire Post” w Leeds, często już na

wejściu dostawałem w twarz jakąś dużą sprawą. To było jak w samochodzie, który przyspiesza do setki w sekundę. Świetnie, jak jesteśmy młodzi i nas to kręci, ale nadchodzi taki moment, kiedy marzy nam

się jazda płynniejsza i wygodniejsza. Chyba wtedy zdajemy sobie sprawę, że pora się wypisać. I nie chce się nam już poprawiać nie do końca idealnego artykułu stażysty, bo po prostu wolimy pójść do domu zobaczyć córeczkę, zanim zaśnie.

Dlatego rok temu właśnie tak postąpiłem. Wypisałem się. Znalazłem pracę jako kierownik do spraw komunikacji w Muzeum Historii Naturalnej w Manchesterze. Koledzy uznali, że się sprzedałem.

Przeszedłem „na drugą stronę barykady”. Oczywiście brakuje mi żarcików i tego dreszczyku emocji, gdy coś się zaczynało dziać. Ale nigdy nie pożałowałem tej decyzji. Gdy idę rano przez dziwnie ciche sale wystawowe, zawsze zauważam coś nowego, jakiś mały szczegół, który wcześniej mi umknął. Dałbym głowę, że nocą coś tu się przemieszcza. Może to trochę jak w tym filmie *Noc w muzeum*. Jak tylko się ulatniamy, eksponaty budzą się do życia i mają swoje przygody. Potem rankiem, gdy usłyszą kroki, pospiesznie wracają na swoje miejsce. Czasem tylko niezbyt dokładnie. Może którejs nocy będziemy stać na czatach? Maya byłaby zachwycona. Czekać, aż dinozaury ożyją.

Uwielbiam przechadzać się po muzeum przed otwarciem. Świat pogrążony we śnie czeka, by odkryły go uważne oczy, ciekawskie uszy i dociekliwe dłonie (jesteśmy bardzo interaktywni, nie ma mowy o szklanych gablotach czy sztywnych regałach). W ciągu godziny w tej sali będzie jak w ulu. W ferie wielkanocne zawsze jesteśmy oblegani, zwłaszcza gdy, tak jak dziś, leje jak z cebra. Jak tak o tym lepiej pomyśleć, Manchester powinien być zagłębieniem muzealnym, ponieważ gwarantuje muzealniczą pogodę przez okrągły rok. Legoland niedawno otworzył swoje nowe Centrum Odkryć kilka kilometrów od nas. Oczywiście wszystko pod dachem. Ale nie martwimy się konkurencją aż tak bardzo. Mokrych, /nudzonych dzieciaków ci u nas dostatek.

- Cześć wszystkim - mówię, siadając przy swoim biurku w dziale komunikacji.

Choć może „dział” jest określeniem trochę na wyrost. Niewielkie, ale przewiewne pomieszczenie, schowane na tyłach budynku.

„Wszystkim” to też lekka przesada. Zwracam się do Chrisa, rzecznika prasowego, i Hannah, stażystki, którzy są moimi jedynymi podwładnymi.

- Cześć - odpowiada wesoło Hannah. Podnosi wzrok i uśmiecha się.

Jest świeżo po studiach i emanuje pewnością siebie w stopniu dla mnie, kiedy byłem w jej wieku, nieosiągalnym.

- Dzień dobry - odburkuje Chris, otwierając szufladę i wyciągając parę krakersów z trzymanej tam paczki Jacobs cream crackers.

Na całe szczęście ser Wensleydale, który zwykle im towarzyszył, został odprawiony do domu, gdy zamieniłem z Chrisem słówko na stronie na temat zapachu. Bo jeśli chce mieć jakąś szansę na usidlenie Hannah (choć, szczerze mówiąc, wątpię, żeby miał), musi zerwać z wizerunkiem w stylu „Wallace’a i Gromita”. Mężczyźni, którzy noszą koszulki bez rękawów i jak chomik chrupią krakersy, zazwyczaj nie przemawiają do przedstawicielek płci przeciwnej. Cóż, może z wyjątkiem ukochanej Wallace’a Wendolene’a. Ale Hannah z całą pewnością nie jest Wendolene.

- Pobawiłam się trochę stronką dla dzieciaków na portalu, jak sugerowałaś. - Hanna odchyła się na krześle. - Pokazać ci?

- Jasne. - Przechodzę na jej stronę biurka, zachowując wystarczający odstęp, by móc przeczytać słowa na ekranie.

Nie chcę uchodzić za gbura, ale też nie chcę, żeby sobie za dużo myślała. Oczywiście że zwracam uwagę na Hannah. Każdy mężczyzna w budynku to robi. Smukła młoda kobieta o postrzępionych platynowych blond włosach i ze skłon-

nością do czerwonych szpilek to w tym miejscu prawdziwa rzadkość.

Paru facetów w prywatnej rozmowie ze mną sugerowało, że właśnie dlatego ją zatrudniłem. Próbowalem tłumaczyć, że była o niebo lepsza od pozostałych kandydatów, ale tylko mrugali porozumiewawczo.

Jakby chcieli powiedzieć: „Hej, mi nie musisz ściemniać”. Cóż, gdy oni albo ślinią się do niej w sekrecie, albo próbują niezdarnie zagadać, ja jestem jej szefem. Żonatym szefem. W zasadzie bardzo szczęśliwie żonatym szefem. To nawet nie tak, że chciałbym, by coś między nami zaszło. Po prostu w naszym małym dziale obok mnie siedzi atrakcyjna młoda kobieta i jeszcze nie do końca rozgryzłem, jak sobie z tym radzić. Nawet gdybym uważał, że po flirtowaniu z nią byłoby w porządku (a tak nie uważam), nie mógłbym tego zrobić, bo w toku ewolucji w jakiś dziwny sposób mój aparat „flirtu z kobietą inną niż własna żona” skurczył się, zanikł i odpadł z powodu nieużywania.

Pozostała mi jedynie zaczepka, której mógłbym użyć, żeby ją poderwać. Wymyśliłem za to, na szczególnie nudnym posiedzeniu kierowników, jak mógłbym zagadać, żeby ją poderwać. To wszystko.

„Słuchaj, Hannah, masz jakieś siostry?” - w porządku, nie wypowiedziałem tego na głos, jedynie w myślach. Może i w luźniejszych chwilach w ciągu dnia to mnie bawi, ale wiem doskonale, że jest za młoda, by załapać nawiązanie do Woody'ego Allena. A jeśli tak, to wyjdę na starego oblecha, którego należałoby spoliczkować. W

zeszłym roku podczas pracowniczego opłatka (zanim dołączyła do nas Hannah) Chris podobno powiedział do jednej z recepcjonistek: „Słuchaj, Julie, jak to jest pracować na przodzie?”. Najprawdopodobniej moja kwestia wypadłaby nie lepiej. Więc trzymam ją dla siebie i w zamian odgrywam platonicznie przyjaznego starszego szefa, który zachowuje pełen godności dystans.

- Świetnie, Hannah - mówię, spoglądając na to, co wysmażyła na ekranie. Zaaranżowała komentarze dzieci w formie komiksowych dymków wychodzących z dinozaurów. Dużo lepiej niż ja byłbym w stanie to zrobić. - Doskonale, dzięki.

Uśmiecha się i, skinąwszy głową, szybko spuszcza oczy. Czuję się trochę jak nauczyciel, który pochwałą zawstydził swoją uczennicę, atrakcyjną pupilkę. Słyszę, jak w kącie Chris się gotuje. Nawet tego nie potrafi zrobić cicho. Widzę dymki z myślami wychodzące mu z głowy.

Potrafię przeczytać każde słowo. Żadne z nich nie nadaje się na stronę dla małoletnich.

- To dziś twoja żona przyprowadza dzieciaka? - docieka Chris, gdy wracam na swoje miejsce. Wizyta Mayi i Mel guzik go obchodzi. To nieco bardziej subtelne niż powiedzieć: „Chciałbym przypomnieć tobie i Hannah, że jesteś żonaty i masz dziecko”. No, naprawdę żalosne. Przecież nie próbuję ukrywać swojego stanu cywilnego, na miłość boską, ustawiłem zdjęcie Mel i Mayi jako wygaszacz ekranu. I w przeciwieństwie do niektórych pracujących tu mężczyzn od czasu przybycia Hannah obnoszę się ze swą ślubną obrączką.

- Tak, przyjdą w porze lunchu. - Rewanżuję się Chrisowi spojrzeniem adekwatnym do jego fałszywego zainteresowania.

- Twoja córeczka to szczęściara - mówi Hannah. - Jak byłam w jej wieku, co ja bym dała, żeby mój tata pracował w takim miejscu.

Chris wygląda na zadowolonego z siebie, że mój status jako dzieciatego

męża został kilkakrotnie podkreślony.

- Hannah, a co porabia twój ojciec? - pyta.

Kręcę głową. Podryw na trzeźwo ewidentnie wychodzi mu kiepsko.

- Właściwie to nie żyje - odpowiada Hannah.

Patrzę, jak Chris umiera długą i bolesną śmiercią. Myślę, że lepiej by wyszedł, używając mojej kwestii o siostrach. Nawet jeśli Hannah nigdy nie słyszała o Woodym Allenie.

- Tatusiu, możemy najpierw popatrzeć na dinozaury? - krzyczy Maya, odrywając się od Mel i szarżując na mnie przez korytarz. Gdybym kiedykolwiek żywił nadzieję, że moja córka będzie nieśmiałą cichą myszką, byłbym srogo zawiedziony. Na szczęście dostałem to, co chciałem. Głośny, ruchliwy pocisk, którym nie da się sterować, który tryska radością i zachwytem nad tym, że ma cztery latka i cały świat do odkrycia. Maya wybucha mi w ramionach, zalewając mnie w okamgnieniu falą miłości, dumy i pragnieniem przemiany w ziejącego ogniem smoka, który broniłby jej przed całym złem świata.

- Cześć, skarbie. - Podnoszę ją, by uściskać. Natychmiast przykrywa mnie burza jasnobrązowych włosów ze złotawymi pasemkami. Kiedy je szczotkuje, Maya czasami prosi, żebym był ostrożny i nie wycesał

złota. Nie mam odwagi powiedzieć jej, że pewnego dnia całe to złoto zniknie i będzie miała ciemne włosy jak ja i Mel. Bez wątplenia nadal będzie wyglądać wspaniale. Ale ja zawsze będę ją widział z włosami, jakie ma teraz.

Podchodzi do nas Mel. Ma upięte włosy, z wyjątkiem dwóch długich pasemek po bokach, które obramowują twarz. I ojrza, że Maya jest z nami. Bez niej czasami zgubiłbym rozeznanie, w którym momencie naszego życia jesteśmy i myślałbym, że znów patrzę na piętnastoletnią Mel. A moje ego rozdymałaby świadomość, że chodzę z najładniejszą dziewczyną z całego rocznika.

Nachylam się i całuję Mel.

- Chyba jest ciut podekscytowana - i mówię, wskazując głową Mayę. Mel uśmiecha się.

- Następnym razem, myślę, że przyjedziemy z tobą rano. Wtedy nie będę musiała słuchać pięć tysięcy razy, zanim wybije dziesiąta trzydzieści: „Już czas na dinozaury?”.

- Dinozaury? Oj, nie mamy tu żadnych dinozaurów.

- Właśnie, że macie - piszczy Maya, marszcząc nosek i szczerząc się do mnie w uśmiechu. - Możemy najpierw iść i zobaczyć Monty'ego?

Monty to nasz *Tyrannosaurus rex*. Na imię dla niego zorga-nizowaliśmy konkurs dla dzieci. Tak naprawdę sfalszowaliśmy wynik, ponieważ pierwsze imię, które wylosowaliśmy z kapelusza, brzmiało Barney. I choć na ogół jestem zwolennikiem grania według zasad, na wymioty mi się zbiera za każdym razem, kiedy słyszę, jak fioletowy dinozaur Barney śpiewa z tym okropnym amerykańskim akcentem piosenkę *I Love You, You Love Me*. Więc od razu tę kartkę pocztową odłożyłem z powrotem i wybrałem inną. No i trudno, wydało się. Całe szczęście nie był to konkurs emitowany w programie *Blue Peter*, bo straciłbym pracę, a „Daily Mail” opublikowałby artykuł o antyamerykańskich tendencjach w BBC.

- No dobrze - mówię do Mayi, która wierci mi się w ramionach. -
Chodźmy obejrzyć Monty'ego.

Dopiero kiedy odstawiam Mayę i ruszamy w kierunku sali prehistorycznej, trzymając się za ręce, zauważam, że zmierza ku nam Hannah. W prochowcu, z torebką, pewnie idzie na lunch. Na nasz widok uśmiecha się, a potem szybko spogląda pod nogi. Przez sekundę się waham, czy cokolwiek powiedzieć, ale to by było absurdalnie chamskie, gdybym przeszedł obok niej bez słowa.

- Hannah, to moja żona Mel. Mel, Hannah, nasz nowy pracownik.

- Miło cię poznać - mówi Hannah, wyciągając dłoń.

- Ciebie też - mówi Mel. - Serdecznie ci współczuję, że musisz wytrzymywać z Adamem przez cały dzień.

- Bardzo mi pomaga.

- Cóż, miło mi to słyszeć.

Wszyscy uśmiechają się odrobinę niezręcznie. Maya wpatruje się w buty Hannah.

- Patrz, ma buciki Dorotki. Czerwone i z czubkami -mówi do mnie.

Uśmiecham się i kiwam głową.

- A to nasza córeczka, Maya. Której, jak mogłaś zauważyć, bezpośredniość jest nieobca.

- Miło cię poznać, Maya. - Hannah pochyła się, żeby uściskać jej rączkę.

- Rzeczywiście przypominają trochę buciki Dorotki. Ale chyba nie są magiczne. Tak naprawdę to tylko obcierają mi pięty.

- Powinnaś nakleić plasterki - radzi Maya. - Mamusia tak robi z nowymi

butami.

- Dzięki za radę. - Hannah uśmiecha się i macha do Mayi na odchodnym.

- No, chodź. - Maya ciągnie mnie za rękę. - Monty będzie się zastanawiał, gdzie jestem.

- Wygląda na sympatyczną - ocenia Mel, gdy oboje dajemy się ciągnąć Mayi korytarzem.

- Jest sympatyczna. Na jej nieszczęście Chris też tak uważa.

- Nie gadaj. - Mel kręci głową. - Od razu przychodzi mi do głowy wyrażenie „za wysoka półka”.

Kiedy docieramy do sali wystawowej, kłębi się już w niej tłum dzieci, które z podziwem wpatrują się w Monty'ego. Siedzam sobie Mayę na ramiona i na jej prośbę zaczynam wskazywać różne części szkieletu, choć wszystko to już słyszała dziesiątki razy.

- Czemu macie tylko jednego Monty'ego? - pyta Maya po chwili.

- Chyba nie miał braciszków ani siostrzyczek - odpowiadam.

- To tak jak ja. Jest samotny?

Spoglądam na nią. Jej twarz nagle staje się poważna.

- Nie, kochanie. Nie jest samotny. Tylko bardzo, bardzo wyjątkowy.

Nic nie mówię, aż do chwili gdy wieczorem leżymy z Mel w łóżku.

Staram się wymyślić jakiś subtelny sposób zagajenia tematu, choć mam świadomość, że tak naprawdę nie ma znaczenia, jak ta rozmowa się zacznie, ponieważ dobrze wiem, jak się skończy. Głaszczę włosy Mel. Są delikatne i rozwiane, tak jak włosy Mayi. Oczywiście bez złotych pasemek.

- Słyszałaś, jak Maya dziś powiedziała, że Monty jest samotny?

- To nie znaczy, że ona tak się czuje.

- To czemu to powiedziała? Mel wzrusza ramionami.

- Może chodziło jej tylko o to, że to jedyny tyranozaur. To mogło znaczyć cokolwiek.

- Czasami próbuję sobie wyobrazić, jak by to wyglądało. To znaczy, jakbyśmy mieli kolejne dziecko. Wyglądałoby jak miniatura Mayi, czy może zupełnie inaczej.

Mel nie odpowiada. Jej twarz jest odwrócona. Dalej głaszczę jej włosy.

- Chodzi mi tylko o to, żeby się upewnić, że pewnego dnia nie będziemy tego żałować. W sensie, że nie zdecydowaliśmy się na drugie dziecko.

Prawie czuję chłód przebiegający po skórze Mel. Odsuwa się ode mnie.

Kiedy w końcu się odzywa, w jej głosie dźwięczy niesłyszana wcześniej nutka irytacji.

- Zapomniałeś już o bezsennych nocach? O kolkach, ząbkowaniu. O tym, że musiałam poświęcić dwa lata pracy zawodowej?

- Sama się na to zdecydowałaś. Mówiłaś, że tego chcesz.

- Wiem, że mówiłam. I nigdy tego nie żałowałam. Ale to nie znaczy, że chcę tego znowu.

- Zapytam, czy będę mógł wziąć urlop. Będziemy się zmieniać co pół roku.

Mel wpatruje się w sufit i potrząsa głową.

- Siedząc tu cały czas, zwariowałbyś.

- Wychodzilibyśmy tu i tam, tak jak ty z Mayą.

- Jakoś nie widzę cię na jodze dla matek z dziećmi.

- W takim razie pływanie. Zabierałbym je na basen. I tylko spacer i takie tam.

Mel odwraca się i patrzy na mnie. Jej twarz pociemniała, jakby ktoś przekręcił wyłącznik światła.

- Przykro mi, kochanie. Odpowiedź jest wciąż ta sama. Po prostu chcę się cieszyć Mayą.

- Do tego czasu pójdzie już do szkoły.

- To dodatkowy argument, żeby nie wracać do krainy bezsenności i popękanych piersi. A nawet nie wspomniałam o porodzie.

Już mam coś powiedzieć, ale powstrzymuję się. Nic, co mówili na zajęciach w szkole rodzenia, nie przygotowało mnie na to, żeby patrzeć, jak osoba, którą kocham najbardziej na świecie, jest targana straszliwym bólem porodu, a ja nie mogę zrobić niczego, żeby jej pomóc. Jasne, próbowałam ją wspierać, mówić, co trzeba, i nie narzekać, gdy jej paznokcie poharatały mi dłonie dosłownie do krwi.

Ale tak naprawdę,

to po cóż tam byłem? Myślałem tylko o tym, że robię to dla niej.

Przekonałem ją, żebyśmy starali się o dziecko, a potem ją zapłodniłem, nim jeszcze wysechł atrament na umowie (metaforycznie rzecz ujmując, bo w rzeczywistości niczego nie podpisywaliśmy). I choć gdy Maya przyszła na świat, oboje zalaliśmy się łzami, ja właściwie płakałem z powodu Mel, odczuwając prawdziwą ulgę, że jej ból się skończył i nie muszę więcej patrzeć, jak cierpi.

- Przepraszam. - Przyciągam ją do siebie. - Wiem, że to było dla ciebie naprawdę ciężkie przeżycie. Chodzi tylko o to, że kiedy widzę Mayę...

- To nie możesz przestać myśleć, jacy z nas szczęściarze, że ją mamy - Mel kończy za mnie zdanie, choć nie tak, jak planowałem.

Oczywiście jest zafiksowana, że coś tak dobrego nigdy nie trwa wiecznie. Ale nie mam zamiaru przekonywać jej na siłę. To musi być jej decyzja. Jeśli kiedykolwiek mam ją znów oglądać podczas porodu, muszę mieć pewność, że nie chodzi jej tylko o to, żeby zrobić mi przyjemność.

Leżymy tak przez chwilę, żadne z nas nic nie mówi, aż wreszcie Mel przerywa ciszę.

- Może w zamian weźmiemy jej jakieś zwierzątko. Zaczynam się śmiać.

- Co? - pyta Mel.

- Podoba mi się, jak jednym zwinnym ruchem przechodzisz od drugiego dziecka do złotej rybki.

- Tylko nie rybkę - zastrzega Mel. - Maya zbyt wiele razy oglądała *Gdzie jest Nemo?* Pewnie będzie próbowała ją uwolnić, wylewając akwarium do zlewu.

- W takim razie co proponujesz?

- Może szczura. Podobno świetnie się nadają na domowe zwierzątko.

Znów wybucham śmiechem.

- Co znów nie tak?

- Nic - mówię. - Po prostu wyobrażam sobie, jak będzie próbowała przebrać go za Angelinę Ballerinę.

- No i dobrze, więc byłby to szczur transwestyta.

- W porządku, ale pod jednym warunkiem. Mel wzdycha i unosi brwi w oczekiwaniu.

- Żeby nigdy nie przyłapał cię na tym, że puszczasz jej tę piosenkę Michaela Jacksona. Wiesz którą, *Ben*, tę o szczurze.

- Dobra, niech będzie. Mogę teraz spać?

Kiwam głową i całuję ją, zanim zgaszę światło. Próbując wymazać z głowy widok Mayi bawiącej się z nowym dzieckiem, którego nie będziemy mieli. To nie takie proste. Zwłaszcza że jedyne, co dostaję w zamian, to głos Michaela Jacksona śpiewającego *Ben*.

ROZDZIAŁ 3

Mel

Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam, zapraszając ich w ich rocznicę.

- Ty zawsze dobrze robisz - mówi Adam, gdy przechodząc, ściska mnie za ramię. Ręce ma mokre od zmywania. A teraz ja będę miała na bluzce duży, mokry odcisk dłoni.

- Nie tak jak ty. - Szczerzę się w uśmiechu.

- Jestem facetem. Genetycznie zaprogramowano mnie, żebym przynajmniej raz dziennie coś spieprzył.

- Ale to trochę obciach, prawda?

- Co, bycie facetem?

- Nie. Ze musieliśmy zaprosić Steve'a i Louise na rocznicową kolację, bo on nie zamierza jej nigdzie zabrać.

- Nie musieliśmy ich zapraszać. Sama zdecydowałaś.

- Tylko dlatego, że powiedziałaś mi, że jest skończonym osłem i planuje wziąć coś na wynos.

- Więc jeśli to będzie totalny niewypał, to moja wina, tak?

Uśmiecham się do Adama. Czasami potrafi mnie przejrzeć.

Chyba można zaryzykować stwierdzenie, że się wtrącam do cudzych spraw. Na ogół nie lubię tego robić. Nie byłam jedną z tych dziewczyn, które próbowały umawiać ze sobą

kolegów i koleżanki z klasy albo starały się poznać swoje przyjaciółki singielki z wolnymi przyjaciółmi swego chłopaka. Choć w dziwny sposób właśnie tak zeszli się Steve i Louise. Nie próbowałam celowo ich swatać, ale los ciągle ich stykał ze sobą na naszych imprezach.

Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że to wypali. Oczywiście ewidentnie się przyciągali - oboje są atrakcyjni fizycznie. Jednak zawsze uważałam, że Steve jest trochę za mało stonowany jak dla Louise, że za bardzo lubi drwić z ludzi, nie ma w sobie nic z jej łagodności. Ale to ona wpadła po uszy. Steve ociągał się ze ślubem; Louise, jak sama mi przyznała, powiedziałaaby tak w ciągu pierwszego roku znajomości.

To cudownie tak dobrać się we czwórkę. O wiele milej niż mieć do czynienia z małżonkami swoich przyjaciół, których w zasadzie się nie zna ani z nimi za dobrze się nie dogaduje. Oznacza to również, że mogę zrobić coś takiego - zaprosić ich i nie będzie to wyglądało jak próba ukrycia faktu, że Steve nie miał w planach żadnego rocznicowego wyjścia do restauracji. A przynajmniej mam nadzieję, że nie będzie to takie oczywiste.

Ubrana w piżamkę z dinozaurami Maya wpada do kuchni. Na głowie ma fioletową tiarę. Jest chodzącą sprzecznością. A raczej biegającą.

- Panna, zwolnij. - Łapię ją w ostatniej chwili przed czołowym zderzeniem z piecem kuchennym. - Co mówiłam o bieganiu tutaj?

- Żeby nie biegać. Tylko na dworze jak Tatuś. - Podkrada się do Adama i obejmuje jego nogi. Choć nie cierpię wszystkich tych stereotypów, gdyby ktoś się pojawił i przystemplował jej na czole „córeczka Tatusia”, nie mogłabym się z tym nie zgodzić. Patrzę, jak Adam się schyla i robi jej pierdziuszka na policzku. Właśnie w takich chwilach, kiedy cały ogrom ich wzajemnej miłości prawie mnie obezwładnia, zaczynam

się rozklejać. I zastanawiać się, czy nie jestem podłą egoistką, bo nie chcę, żebyśmy starali się o drugie dziecko. Wiem, jak bardzo Adam tego pragnie, choć dobrze mu idzie ukrywanie przede mną całego bezmiaru tego pragnienia. I wiem, że Maya byłaby fantastyczną starszą siostrą, i pod wieloma względami byłoby to dobre dla niej samej, gdyby musiała myśleć o potrzebach kogoś innego. Ale jednocześnie wciąż mam w pamięci, jak trudna była poprzednia ciąża. Jak przez nią cały ten ból wy dostał się na powierzchnię. Ból, którego nie mogłam dzielić z Adamem. Ból, który od tamtego czasu muszę z takim trudem głęboko w sobie ukrywać. I przez niego nie jestem w stanie przestać myśleć, że to źle chceć czegokolwiek więcej, niż już mam. Że w jakiś sposób naginam szczęście odrobinę za bardzo.

- Kiedy przyjdzie Lułjiz? - Maya wymawia jej imię, jakby to była nazwa jakiegoś sprzedawanego spod lady leku na biegunkę*. Na szczęście Louise to bawi.

- W każdej chwili - mówię. - Ale pamiętaj, że jak tylko się przywitasz, idziesz spać. Dobrze?

Maya kiwa głową, choć wiem, że w odpowiednim momencie się wyprze. Najbardziej na świecie nienawidzi tego, że coś mogłoby ją ominąć.

Adam sprawdza musakę. Oboje lubimy gotować, ale wiemy z doświadczenia, że nie jest dobrze, gdy łączymy siły w kuchni. Dla niego przepisy są punktem wyjścia, gdy ja zawsze twardo się ich trzymam. Dlatego wypracowaliśmy kompromis; on robi danie główne, a ja zajmuję się deserem i przystawką. W ten sposób nie wchodzimy sobie w paradę, a jeśli jego eksperymentalna kuchnia zaliczy wpadkę (jak się kilkakrotnie zdarzyło), nasi goście przynajmniej będą mogli zająć się dwoma daniami, na których można polegać. Żeby

*** Maya wymawia pierwszą sylabę imienia Louise jak angielskie słowo „loo”, oznaczające ubikację (przyp. tłum.).**

oddać Adamowi sprawiedliwość, na ogół jego eksperymenty owocują potrawami, nad którymi goście się rozplývają, a moja twórczość kulinarna staje się jedynie dodatkiem. Ale to mi nie przeszkadza. Kto podejmuje ryzyko, zasługuje na pochwałę, jeśli się ono opłaci. A Adam przynajmniej potrafi się przyznać, gdy coś pójdzie nie tak.

Głośne pukanie do drzwi wysłała naszą córkę w górne warstwy stratosfery ekscytacji. Maya rzuca się na Louise i niemal zwala ją z nóg.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urocznicy i mamusia mówi, że mogę mieć szcurka.

- Dziękuję, skarbie. - Louise pochyla się, żeby ją przytulić. -

Szcurka, tak? Ty to masz szczęście.

- Będzie zajmował trochę mniej miejsca niż dinozaur -wyjaśniam.

- Mamusiu, teraz nie można dostać dinozaura. One były tylko dawniej.

- Na przykład wtedy, kiedy byłem dzieckiem - mówi Adam. Maya marszczy czoło.

- Tatusiu, nawet ty nie jesteś taki stary. To było przed jaskiniowcami.

- Ależ kiedy byłem dzieckiem, mieliśmy jaskiniowców -upiera się Adam.

- Myślisz, że gdzie mieszkał Steve, jak go poznałem?

Maya posyła badawcze spojrzenie w stronę Steve'a. Widziała parę fragmentów *Flinstonów* i podejrzewam, że gdyby Freda wysłać na dietę i nieco rozciągnąć, mógłby trochę przypominać Steve'a.

- Tatusię cię wkręca, skarbie. - Steve szczerzy się w uśmiechu. - Tak naprawdę to twój dziadek był jaskiniowcem.

- Hej, coś jest na rzeczy - mówi Adam. - Pamiętacie, jak przyszedłem po Mel, a Tom otworzył drzwi i powiedział: „Nimej”.

Troje z nas się śmieje, a Louise i Maya wyglądają na zdziwione.

- Przepraszam - Adam zwraca się do Louise - ale ciągle zapominam, że czasami potrzebujesz tłumacza. Pewnie w twojej części lasu mówiło się: „Nie ma jej”.

- Och nie, w Warwickshire najpierw trzeba zatelefonować i sprawdzić - mówi Steve. - Nikt tak po prostu nie wpada bez zapowiedzi.

Steve i Adam znów się śmieją. Louise nie wygląda na szczególnie rozbawioną.

- Oni tylko żartowali o jaskiniowcach - tłumaczę, widząc, że Maya wciąż jest dezorientowana. - A szurerek będzie dużo fajniejszym zwierzątkiem niż dinozaur.

Buzia Mayi jaśniej.

- Dam ci go pogłaskać, jeśli chcesz - mówi do Louise.

- Pewnie, że chcę - odpowiada Louise. - Choć może lepiej, żebyś jakiś czas pottrzymała go w klatce, żeby się do mnie przyzwyczaił.

- Niezły unik - szepczę do Louise, biorąc od niej płaszcz. Wygląda oszałamiająco w delikatnie różowej dżersejowej sukni i fioletowym bolerku. Ale przecież Louise jest jedną z tych kobiet, wysokich, szczupłych, z miseczką w rozmiarze C, które dobrze wyglądają dosłownie we wszystkim. Jako ktoś, kto mógłby kupować ubrania w dziale dziecięcym, tylko sobie wyobrażam, jakie to uczucie.

- Chodź, Maya, czas do łóżka - mówię.

- Ojjjj.

- Opowiem ci fajną bajeczkę, jeśli nie będziesz się guzdrać - pomaga mi Adam.

- O szurku, dinozaurze i motyłu?

- Właśnie tę miałem na myśli.

Maya żegna się z Louise i Steve'em, jakby nigdy więcej miała ich nie zobaczyć, i znika z Adamem na piętrze.

- No, to wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy. - Całuję kolejno Louise i Steve'a. Uderza mnie mieszanka perfum i wody po goleniu.

Dziwnie tak sobie przypomnieć, jak bardzo ludzie, którzy nie mają dzieci, są zadbani.

- A tobie wielkie dzięki za to. - Louise omiata gestem kuchnię. - Bez dwóch zdań najlepsza restauracja w Calder Valley - Nie wiemy jeszcze, co tam Adam pichci - wtrąca Steve i uśmiecha się do mnie. Powstrzymuję pokusę, żeby wypomnieć mu, że nie musielibyśmy tego robić, gdyby nie był takim sknerą.

Steve i Louise siadają naprzeciwko siebie przy dębowym stole, a ja tymczasem przypiekam ser halloumi. Kocham swoją wielką kuchnię połączoną z jadalnią. Serce domu bije zdecydowanie tutaj. Ciepło, gwarnie, towarzysko. Za każdym razem, kiedy idziemy do moich rodziców, przypominam sobie, jakie to niegrzeczne porzucać gości w pozbawionej duszy, pachnącej potpourri jadalni, a samemu iść pławić się w ciepłe i

bardziej zachęcających kuchennych zapachach.

Adam wraca po pięciu minutach, akurat gdy zaczynam podawać. W elektronicznej niani słyhać, jak Maya jeszcze sobie coś mówi.

- No, daj spokój - wyjaśnia Adam. - Nikt chyba nie oczekiwał, że od razu uśnie?

- Szkoda, że nie rodzą się z wyłącznikiem - marzy Steve. Louise posyła mu spojrzenie. Dopiero wówczas zdaję sobie sprawę, że gdy gotowałam, nie zamienili ze sobą ani słowa.

- To co, chcecie, żebyśmy się zmyli i zostawili was samych na romantycznej rocznicowej kolacji? - pyta Adam.

Zapada kłopotliwe milczenie, które w końcu przełamuje Steve.

- Myślę, że to nie będzie konieczne. Wiesz, jesteśmy po ślubie.

Zerkam na Louise, która wygląda, jakby usilnie starała się uśmiechnąć.

- Steve'owi chodziło o to - tłumaczy - że będzie nam bardzo miło dzielić z wami tę uroczystość.

- I nie zapominajcie o Basilu i Sybil - wtrąca Adam. Kiedy dostaliśmy od Steve'a i Louise zaproszenie na ślub, od razu powiedział, że siedemnastego kwietnia przypada rocznica ślubu bohaterów *Hotelu Zacisze*. Próbowałam go przekonać, żeby nie wspominał o tym podczas toastu, jaki na weselu wygłaszał jako świadek, ale nie mógł się oprzeć, wiedząc, że wywoła salwę śmiechu.

- Jakże moglibyśmy zapomnieć, skoro do cholery co rok nam o tym przypominasz? - mówi Steve. - Nieważne. Chcielibyśmy zrewanżować się w waszą rocznicę. To znaczy zabrać was gdzieś na kolację. A nie wystawiać na pastwę naszych talentów kulinarnych.

- Dziękujemy. - Zerkam na Adama, który z entuzjazmem kiwa głową.

- Mówiłam mu, że nie chcemy nic hucznego. Kolacja dla naszej czwórki brzmi świetnie.

- Myśleliśmy o sobocie przed, to jest chyba pierwszego maja - mówi Louise. - Jeśli wam pasuje.

- Chyba w porządku. Zapytam rodziców, czy będą mogli popilnować Mayi, ale na ogół nie mają żadnych planów.

- I dzięki temu nic nie muszę organizować. - Adam uśmiecha się szeroko.

- Oprócz prezentu, pamiętaj - dodaję.

Louise spuszcza wzrok. Czuję, że Adam zaraz wyskoczy z żartem na temat tanich kwiatów Steve'a.

- W każdym razie - podnoszę kieliszek z winem - za kolejne szczęśliwe rocznice, które nastąpią.

Trącają się cztery kieliszki. Choć zauważam, że te należące do Steve'a i Louise nie dotykają się.

- To kto oglądał debatę liderów partii? - pyta Adam. -Ktoś dołączył do fanklubu Nicka Clegga?

Myślę sobie, że pierwszy raz polityka jest bezpiecznym tematem. A z pewnością dużo bezpieczniejszym niż rozmowa o rocznicach.

Muszę poczekać do końca posiłku, żeby porozmawiać na osobności z Louise. Adam opowiada Steve'owi jedną ze swych licznych anegdot na temat Twittera (śledzi wpisy wielu dziennikarzy i komentatorów politycznych, prawdziwy cud, że ze wszystkim się wyrabia. Choć myślę, że łagodzi w ten sposób syndrom odstawienia. Wbrew temu, co utrzymuje, wiem, jak wiele go kosztowało porzucenie pracy w gazecie).

- Może Steve ci pokaże? - proponuję. - Wiesz, to, o czym mówiłeś, jak wysyłać tweety z komórki, ściąganie różnych aplikacji i tak dalej.

- Czyli zgadzasz się, żebym przez chwilę odgrywał maniaka nowych technologii? - upewnia się Adam.

- O ile potem pozmywasz.

Adam spogląda na Steve'a. Wahają się jedynie przez milisekundę, po czym znikają na piętrze, jak dwóch uczniów, którzy nie mogą dłużej wytrzymać i pędzą pobawić się samochodzikami. Louise wstaje, by zanieść do zlewu swoją filiżankę po kawie.

- Nie tak szybko. - Sadzam ją z powrotem przy stole, biorąc jej filiżankę z rąk. - Chcę wiedzieć, co się z wami dzieje.

Twarz, która przez cały wieczór tak dobrze trzymała się w ryzach, w końcu odpuszcza. Dwie łzy wyciskają się z jej oczu i spływają w dół, jakby grały z piegami w grę „połącz kropki”.

- Hej, nic się nie martw. - Nachylam się, żeby ją przytulić. - Adam i ja też się kłócimy, wiesz, zazwyczaj o jakieś głupstwa.

- Chciałabym, żeby to była tylko kłótnia. Ale on się nawet ze mną nie kłóci. Tylko zabija mnie tym swoim milczeniem.

- To znaczy?

- W drodze tutaj słowem się nie odezwał. Wcisnął do odtwarzacza płytę Coldplay i tyle. Kiedy spytałam go, co się stało, wzruszył

ramionami i nic nie powiedział. To gorsze niż zajmowanie się dziećmi w przedszkolu.

- Co ci podarował? - pytam. - Z okazji rocznicy.

- Kwiaty - odpowiada. - Ze stacji benzynowej na rogu. W tym roku chociaż odkleił metkę.

- A ty co mu dałaś?

- Bilety na występ Petera Kaya w Manchesterze. Teraz i ja muszę powstrzymywać łzy. Louise nie przepada za Peterem Kayem.

- Czyli jak długo to już trwa? Louise spogląda w sufit i wzdycha.

- Bardzo długo.

- Dni, tydzień, miesiąc?

- Dłużej.

Siadam obok niej, odgarniam jej z twarzy pasemko wilgotnych blond włosów.

- Czemu nic nie mówiłaś?

- To nie jest coś, co można tak po prostu rzucić w rozmowie, prawda?

„Tak na marginesie, moje małżeństwo jest w bardzo złym stanie”.

- Wiem, ale...

- Mel, nie wiesz. Ty i Adam wciąż się kochacie. To widać na kilometr. Macie całą tę akcję, że rozkwitacie, kiedy drugie z was wchodzi do pomieszczenia. A kiedy ja wchodzę do pokoju, Steve zamyka się w sobie.

- Ale nadal go kochasz?

- Oczywiście że tak. Chcę mieć z nim dzieci, ale to się chyba nigdy nie stanie. I wiem, że on od początku tego nie ukrywał, ale zawsze myśli się, że ta druga osoba zmieni zdanie. Złagodnieje z upływem lat, jak zobaczy kolegów, którzy zostali ojcami.

Postanawiam nie wspominać, że Adam chce się starać o kolejne dziecko. To by było naprawdę okrutne. A Louise jest w takim stanie, że pewnie zaoferowałyby, że zostanie surogatką.

- Przykro mi - mówię. - Może Maya zniechęciła go do bycia ojcem.

- Nie mów głupstw, jest cudowna. To Steve jest impregnowany na zachwyty nad dziećmi. Powtarzam mu różne urocze powiedzonka dzieciaków z przedszkola, a on nigdy się nawet nie uśmiechnie.

- Myślisz, że to go gryzie? Świadomość, że ty chcesz dziecko?

Spogląda na mnie i wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Przecież nie roztrząsam tego obsesyjnie. Raczej oboje

udajemy, że nie ma tematu.

- Ale wciąż, no wiesz... Nie macie osobnych łóżek, czy coś?

Louise potrząsa głową.

- Nie zrozum mnie źle. Nie narzekam na aspekt fizyczny, ale emocjonalnie nie mogę na niego liczyć. Powinien zacząć palić, przynajmniej miałby jakiś powód, żeby nie rozmawiać ze mną po seksie.

- Och, Louise. - Ściskam jej dłoń. Nie wiem, co powiedzieć. Przecież nie narzeka mi na chłopaka. Nie mogę poradzić, żeby go rzuciła. Jest jej mężem. I tak się składa, że najlepszym przyjacielem Adama. - Może poproszę Adama, żeby z nim porozmawiał i spróbował dojść, w czym problem?

- Nie. Steve byłby wściekły, gdyby dowiedział się, że cokolwiek powiedziałam. Poza tym niedługo wrócą. Muszę iść i poprawić makijaż. Nie chcę, by widział, że płakałam.

Louise wstaje, bierze torebkę i rusza w kierunku łazienki na parterze.

Adam niedawno zawiesił w niej zdjęcie naszej trójki splecionej w rodzinnym uścisku. Żał mi, że wyglądamy na nim na tak bardzo szczęśliwych.

- I jak, chyba wszystko poszło dobrze? - mówię później, zamykając drzwi.

- Przynajmniej moja musaka stanowiła miłą odskocznię. - Adam obejmuje mnie i całuje. - Zaliczyli jakąś sprzeczkę, czy coś?

- Coś trochę poważniejszego.

- To znaczy?

- Mam ci nie mówić.

- Ale i tak mi powiesz. Nie martw się, w przeciwieństwie do ciebie, będę trzymał język za zębami.

- Ja nie plotkuję. Martwię się o nich.

Adam marszczy brwi i prowadzi mnie do stołu, gdzie stygną nasze drugie kawy. Powtarzam mu słowa Louise. Kiedy kończę, odchyła się na krześle.

- Rany, nie miałem pojęcia, że jest aż tak źle. Myślałem, że to jakieś spięcie o te gówniane kwiaty.

- I to właśnie nam uświadamia, że coś takiego może się zdarzyć każdemu.

- Chwila, moment. Wiesz... Jeszcze się nie rozwiedli.

- Niedługo mogą to zrobić.

- Nie, wszystko przejdzie bokiem. Steve czasem potrafi zachowywać się jak humorzasty palant. To pewnie jakiś kryzys wieku średniego.

Trzeba mu tylko skopać tyłek.

- Obiecałam, że nic nie powiesz.

- Nie powtórzę mu, co powiedziała Louise. Nie muszę. Było raczej oczywiste, że coś jest nie tak.

- Nie wiem. Może nie powinniśmy się mieszać. Adam uśmiecha się i potrząsa głową.

- Nie możemy tego nie zrobić. Podobno jesteśmy ich najlepszymi przyjaciółmi.

- Nie chcę pogorszyć sprawy.

- Ja się zajmę Steve'em, a ty wspieraj Louise.

Kiwam głową i biorę łyk letniej kawy. Dopiero wtedy sobie przypominam.

- Cholera.

- Co?

- Przecież są opiekunami Mayi. Co by z nią było, gdyby się rozstali?

- Nic by nie było. Wciąż byłaby tutaj, z nami.

- Nie, chodzi mi o to, że gdyby potem coś się z nami stało. Adam przewraca oczami. Dyskusja na temat opiekunów trwała niemal tak długo, jak moja ciąża. Nie jesteśmy religijni, więc nie chcieliśmy ochrzcić Mayi, ale postanowiliśmy wyznaczyć opiekunów prawnych. W zasadzie to nie do końca prawda. Ja chciałam ich wyznaczyć. Adam mało co nie posikał się ze śmiechu, kiedy mu to zasugerowałam, i powiedział, że jestem jedyną kobietą, jaką zna, która nalegałaby na spisanie testamentu, nim urządzi pokój dla dziecka.

Kiedy już opanował śmiech i przystał na moją prośbę, dyskusja przeniosła się na dobór odpowiednich osób. Dopiero kiedy zabierzecie się do sporządzenia listy osób, które są: a) żyjące (wypadł ojciec Adama i księżna Diana, która odstawała trochę od reszty na początkowej liście); b) pasujące (w sensie odpowiednich cech charakteru, a nie na przykład wyglądu); c) wypłacalne i odpowiedzialne (odpadła większość przyjaciół Adama); d) rezydentami naszego kraju (mój brat i bratowa odpadli, ponieważ mieszkają w Belgii, a matka Adama

w Australii, o ile nie odpadła wcześniej z powodu tego, że zostawiła ojca Adama dla innego mężczyzny i nawet nie pofatygowała się, żeby przysłać wieniec na jego pogrzeb); e) wystarczająco młode, żeby wziąć na swe barki

wychowanie dziecka, do czasu aż przestanie być nastolatkiem (co wykluczyło moich rodziców); f) nie propagują ideologii faszystowskich (Adam nalegał na ten punkt); oraz g) nie są zwolennikami metod wychowawczych „zadowolony maluch” Giny Ford (tak, to był mój pomysł) - wówczas zdacie sobie sprawę, jak ciężko znaleźć kogoś, komu można powierzyć dziecko na wypadek waszej śmierci. W końcu doszliśmy do drugiego etapu selekcji, na liście zostały dwie pary: Louise i Steve (choć duży znak zapytania zawisł nad jego wyraźnym brakiem sympatii dla dzieci) oraz Susan Sarandon i Tim Robbins (*Thelma i Louise* oraz *Skazani na Shawshank* są w naszej trójce ulubionych filmów, oboje wypowiedzieli się przeciwko interwencji w Iraku, i czytałam wywiad z Sarandon, w którym opowiadała, jak każde z nich przez pół roku pracuje, a drugie pół spędza, opiekując się dziećmi, wszystko to zdawało się wówczas idealnie spełniać konieczne do tej funkcji wymagania). Kiedy zapytałam Louise, czy ona i Steve zgodziliby się rozważyć zostanie opiekunami Mayi, wybuchła płaczem, ponieważ myślała, że zamierzam jej powiedzieć, że mam raka czy coś w tym stylu. Ale kiedy ją uspokoiłam i wszystko wyjaśniłam, od razu powiedziała tak, a Steve zgodził się niechętnie, gdy Adam zwrócił mu uwagę, że raczej niepodobieństwem jest, aby kiedykolwiek musiał wypełniać obowiązki opiekuna, i że to zdecydowanie lepsze, niż gdyby musiał wykosztować się na prezent i przechodzić przez kościelną ceremonię zostawania ojcem chrzestnym.

Spoglądam na Adama. Uśmiecha się w ten szczególny sposób.

- No co? Trzeba się nad tym zastanowić.

- Mel, oni przechodzą trudny okres. Nie możemy ich prosić, żeby nie rozstawali się ze względu na nasze dziecko.

- Przecież tak nie mówię. Mówię tylko, że to okropne. Nawet ludzie, co do których myślisz, że są naprawdę szczęśliwi...

Głos mi ucieka i zaczyna się łamać. Adam obejmuje mnie ramieniem i przyciąga moją głowę do swojej.

- Czasem straszna głuptaska z ciebie, Mel Taylor. Ale to jeden z powodów, dla których kocham cię tak bardzo.

Uśmiecham się przez łzy.

- Myślę, że ta cholerna lista potencjalnych opiekunów jest przeklęta - mówię. - Najpierw Susan Sarandon i Tim Robbins się rozstali, a teraz to.

- Nadal żałuję, że nie było mi dane przeczytać tego listu, który miałaś

zamiar do nich napisać - błyska zębami Adam - który zaczynałby się od słów: „Droga Pani Sarandon, Drogi Panie Robbins, nie znamy się, ale chcielibyśmy poprosić Was, czy nie mielibyście nic przeciwko, żeby zająć się w przyszłości naszym dzieckiem, gdyby nam coś się stało”.

- Nadal uważam, że by się zgodzili.

- Cóż, chyba nigdy się nie dowiemy. Wtulam się w ramię Adama.

- Ale nie sądzisz, że to przerażające? Co może przytrafić się ludziom?

- Tak, ale to są inni ludzie, nie my. Nam nic nie jest. Dużo lepiej nawet. I tak pozostanie, dobrze?

Kiwam głową, a rękawem wycieram oczy.

- A teraz chodź, idziemy spać. Pewna młoda dama, którą znam, mniej więcej za pięć godzin będzie skakać nam po głowach.

Pozwalam Adamowi zaprowadzić się za rękę na górę. Zastanawiam się, czy Louise i Steve już śpią. Raczej wciąż leżą z otwartymi oczami w jednym łóżku. Zwróceni do siebie plecami. A w powietrzu unosi się ciężkie milczenie.

ROZDZIAŁ 4

Adam

No, mów, kim ona jest? - O co ci chodzi? - pyta Steve. Biegniemy wzdłuż wąskiego grzbietu wysokiej grani. Tu nie ma się gdzie ukryć.

Nie ma miejsca, żeby mnie wyprzedzić. Jeśli zaczniesz się wycofywać, obrócę się i pobiegę za nim. Dlatego właśnie czekałem, aż tu się znajdziemy. Żeby mieć pewność, że przyszpilę go tam, gdzie chcę.

- Ta druga kobieta.

- Jaka druga kobieta?

- To oczywiste, że nie poświęcasz Louise całej swojej uwagi. Więc zastanawiam się, kto dostaje resztę.

Steve posyła mi takie samo spojrzenie, jakim uraczył mnie, kiedy oskarżyłem go o kradzież albumu z naklejkami z Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej w 1990 roku.

- Co mówi Louise?

- Dobrze wiesz, że Mel nie powtarza mi nic, co Louise mówi jej o tobie.

- To kto inny włożył ci to do łba?

- Byłem na tej kolacji, pamiętasz? Możliwe, że było to najbardziej boleśnie żenujące doświadczenie mojego życia.

- Twoja musaka nie była aż tak zła.
- Wiesz, co mam na myśli.
- W tej chwili nie układa nam się za dobrze.
- Bo kogoś masz?

Steve aż zatrzymuje się na krótką chwilę. Wpadam prosto na niego.

- Nikogo nie mam, OK? - Wściekłość i żar jego głosu uderzają mnie jak płomień palnika. Prawie łapię się za policzek, żeby sprawdzić, czy zostało mi na nim choć trochę skóry

- Dobra, już dobra - mówię. - Wierzę ci. Biegnij. Steve rusza, najpierw powoli, jakby testował podłogę.

- Więc skoro nie masz nikogo, w czym problem?

- Jezu, co to ma być? Przyjechałem tu pobiegać, a nie na terapię małżeńską.

- Louise wyglądała na nieszczęśliwą. Uważam ją za przyjaciółkę. I z jakichś niewytłumaczalnych powodów ciebie też uważam za przyjaciela. Nie chcę, żebyście byli nieszczęśliwi.

- Kto mówi, że jestem nieszczęśliwy?

- No, chyba nie powiesz mi, że tryskasz humorem jak źródło na wiosnę?

- Przechodzimy trudny okres, to wszystko. Miesiąc miodowy się skończył i kontempluję perspektywę spędzenia z nią reszty życia.

- Cholera, mówisz to tak, jakbyś wylądował z jakimś paszтетem.

Louise jest świetna. Jest jedną z najsympatyczniejszych osób, jakie znam.

- Ta, łatwo ci powiedzieć.

- Co to ma znaczyć?

- Nic.

- To czemu to powiedziałaś?

- Bo nie każdy jest tak po uszy zabujany jak ty i Mel, OK? Reszta nas żyje w realnym świecie.

Biegnę przez chwilę w ciszy, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

Zaskakuje mnie aż taka niechęć. Przecież powinno się cieszyć szczęściem przyjaciół. Wyraźnie Steve ma jakiś problem, o którym mi nie mówi.

- Może za rzadko się kochacie?

- Co to w ogóle za pytanie? - krzyczy przez ramię Steve.

- Takie, które zadajesz, kiedy starasz się dociec, dlaczego twój najlepszy

przyjaciel jest takim dupkiem.

- Dzięki za troskę, doktorze Freud, ale w tej sferze problemów nie mamy - mówi Steve. - Skoro musisz już wiedzieć, ona chce dziecka. A ja nie. I fakt, że przez najbliższe dziesięć lat będzie mnie o to męczyć, nie napawa mnie radością.

- Rozmawiałeś z nią o tym?

- Nie ma sensu. Żadne z nas nie zmieni zdania. Parskam śmiechem.

- Co cię tak bawi?

- Ja chcę mieć drugie dziecko, a Mel nie chce. Steve zwalnia i obraca się.

- Przepraszam, nie wiedziałem. Dlaczego ona nie chce?

- Uważa, że powinniśmy zadowolić się tym, co mamy. I dlatego że tak ciężko zniosła narodziny Mayi. Ale to nie to. Chodzi o to cholerne przekonanie, że nie wolno kusić losu.

- Co masz na myśli?

- Bo jak sam zauważyłeś, jesteśmy tak zabujani, że ona uważa, że coś tak dobrego nie może trwać wiecznie.

- A, racja - mówi Steve. - Chyba nie bardzo możesz coś z tym zrobić.

- No, nie. Niezły absurd, co? Obaj chcemy czegoś przeciwnego. Może miałbyś ochotę zamienić się żonami? - Czekam na śmiech Steve'a, ale nadaremnie.

- To był żart! - wołam za Steve'em, który odbiega, zwiększając tempo.

- Wiem! - odpowiada. - Obawiam się, że opuściło mnie poczucie humoru.

*

- Jesteś pewien, że wyglądam w porządku? - pyta Mel, rozprostowując poły zakietu, gdy zatraskują za nami drzwi wejściowe.

- Wyglądasz świetnie. Poza tym, przecież to nie jest rozmowa o pracę.

- To czemu się tak czuję?

Rzucam jej wspierające spojrzenie, bo Mel przejmuje się podobnymi sprawami dużo bardziej, niż powinna, więc jest przekonana, że spotkanie dla nowych rodziców zostało zaaranżowane w celu sprawdzenia, czy nadaje się na matkę dziecka przyjmowanego do szkoły.

- Mamusiu, będziesz pracować w mojej nowej szkole? - pyta Maya, podskakując między nami. Nie ma zainstalowanego programu „chodzenie”. Skakanie, bieganie albo wleczenie się to jedyne dostępne ustawienia.

- Nie, kochanie. Tatuś tylko żartował - wyjaśnia Mel. - Pracuję na uniwersytecie, prawda? Pani Hinchcliffe będzie twoją nową nauczycielką i

dlatego idziemy teraz się z nią spotkać.

Maya kiwa głową i dalej podskakuje. Ściskam jej dłoń, dobrze wiedząc, że Mel robi to samo z jej drugą rączką. Nie żeby Maya tego potrzebowała. Wręcz gotuje się z podekscytowania, że idzie do dużej szkoły. Nic jej nie zniechęca. Nigdy nie zniechęcało i być może nigdy nie zniechęci. Zawsze ma się nadzieję, że dziecko przejmie najlepsze cechy obojga z nas, i z Mayą tak właśnie jest. Po mamie odziedziczyła wygląd i stanowczość, a po mnie luz i zamiłowanie do przygód.

Zastanawiam się, czy wobec tego Mel jest przekonana, że każde nasze kolejne dziecko dostanie wszystko, co

w nas najgorsze. Pewnie niektórym parom musi się to przydarzać.

Pewnie był kiedyś o tym artykuł w „Guardianie”, na stronie dla kobiet.

Dochodzimy do podnóża stromych schodów wiodących do Szkoły Podstawowej Vale Road. To mała wiejska wiktoriańska szkółka, w której uczy się mniej niż osiemdziesiąt osób. Kamienny budynek wcina się w zbocze wzgórza i choć oznacza to, że nie ma wystarczająco dużo płaskiej powierzchni na szkolne boisko, dzieci są zabierane na wycieczki po okolicy. Wyobraźcie to sobie; spacer, przygody, uczenie się o przyrodzie z pierwszej ręki. Założę się, że czegoś takiego nie ma w ogólnokrajowym programie nauczania.

Maya z zapalem wspina się po schodach. Mam nadzieję, że zostanie jej tak na dobre, że będzie jednym z tych dzieciaków, które lubią szkołę, a nie takim, któremu po tygodniu wszystko spowszednieje i dostarczenie go do bram szkoły stanie się codzienną bitwą, połączoną z pojedynkiem na wrzaski i wyjściem z płaczem. Jeśli się to zdarzy, to przynajmniej Mel będzie wiedziała, co z tym zrobić. Bycie ekspertem od rozwoju dziecka ma swoje plusy. Minusy oczywiście też. Pewnie właśnie dlatego Mel tak się martwi tym, że Maya zaczyna szkołę. To właśnie jest kłopot z wiedzą. Czasami jest jej za dużo.

Wchodzimy do niewielkiego holu udekorowanego, jak to zwykle bywa, mieszaniną namalowanych przez dzieci obrazków i innych projektów plastycznych. Drzemiący we mnie cyniczny duch byłego wyrobnika zastanawia się, czy gdzieś w Trzecim Świecie nie ma manufaktury, która wykorzystuje pracę dzieci, trzaskając te dzieła i eksportując do szkół, w których uczniowie są zbyt zajęci wkuwaniem do matury, żeby mieć czas na tworzenie sztuki. Może dyrektorzy kupują je po cenach hurtowych, żeby zrobić wrażenie na rodzicach.

Co takiego jest w sowach zrobionych z kartonów na jajka i piór, że dają rodzicom poczucie, iż ich dzieci są pod dobrą opieką? Nasza lodówka już jest cała pokryta cudacznymi i cudownymi dziełami Mayi z przedszkola; widzę ten moment, kiedy Mel zasugeruje kupno drugiej lodówki, która pomieści nowe prace ze szkoły. Ponieważ już dyskretnie rozmontowałem i upłynniłem ogromny model pałacu z rolek po papierze toaletowym i butelek po płynie do zmywania, gdyż Mel nie mogła się do tego przemóc, wiem, że to na moje barki spadnie skradanie się pod osłoną nocy w celu pozbycia się tej twórczości. Mam też powody podejrzewać, że pracownicy żłobka dyżurują na śmietnikach, żeby odzyskiwać swoje materiały i już następnego dnia ponownie dystrybuować je wśród naszych dzieci.

Witają nas dyrektor, pan Groves, który wydał nam się trochę niesztampowy, kiedy już rozejrzeliśmy się po szkole, oraz nauczycielka Mayi, pani Hinchcliffe. Teraz żałuję, że nie przebrałem się z garnituru, w którym byłem w pracy. Pan Groves ma na sobie zwyczajne ubranie, spodnie chinosy i rozpiętą koszulę. Ewidentnie nie jest miłośnikiem formalizmu.

- Miło znów państwa widzieć, państwo Taylor - mówi. Wprawdzie w nowym naborze jest tylko dziesięcioro dzieci, ale i tak imponuje mi, że zdołał zapamiętać, kim jesteśmy.

- A ty, Maya, jak się masz? - dodaje, schylając się. - Nie możesz się już doczekać wrzeźnia?

- Mogę zacząć już teraz? - pyta Maya.

- Ależ ty jesteś gorliwa. - Pan Groves śmieje się. - Obawiam się, że będziesz musiała poczekać trochę dłużej, ale może pani Hinchcliffe zabierze cię na dół, do twojej klasy, żebyś mogła się znów rozejrzeć.

Pani Hinchcliffe musi być po pięćdziesiątce, ale wygląda wręcz niemożliwie olśniewająco jak na nauczycielkę: buty

na wysokich obcasach, jedwabiście lśniące włosy, dyndające kolczyki i stylowa apaszka. Kuca, żeby zrównać się z Mayą, i bierze ją za rękę.

- Chodź, Maya, pomożesz mi. Potrzebuję pomysłów, jak przerobić nasz kącik tematyczny.

- Dinozaury - stwierdza Maya bez wahania. - Musi mieć pani ogromnie wielkiego dinozaura. Tatuś może pani załatwić, jak pani chce.

Uśmiecham się do pani Hinchcliffe, nim z Mayą odejdzie korytarzem.

- Poradzi sobie - uspokajam później Mel, kiedy leżymy w łóżku. -

Widziałaś ją, mało nie wyszła z siebie.

- Wiem - mówi Mel. - I naprawdę lubię panią Hinchcliffe. Po prostu próbuję to wszystko jakoś ogarnąć. Wydaje mi się, że ledwie pięć minut temu uczyła się chodzić.

- A nim się obejrzysz, będzie się w liceum całować z chłopakami za wiatą na rowery, tak jak ty to robiłaś.

- Oj! - Mel wali mnie poduszką, którą ma pod ręką. -Całowałam się tylko z jednym.

- I popatrz, do czego cię to doprowadziło.

- A swoją drogą to zabawne - ciągnie Mel. - Poznałam Steve'a, kiedy byłam w wieku Mayi. Może ona będzie przyjaciółką na całe życie jednego z tych dzieciaków, które dziś widzieliśmy.

- Wczoraj nazwałaś Steve'a draniem, jak ci powtórzyłem, co powiedział o Louise.

- No tak, myślę, że wobec niej zachowuje się jak drań, ale mimo to jest chyba przyjacielem. Cieszę się tylko, że nie moim mężem.

- Zobaczysz, sami się z tym uporają. Nim Maya pójdzie do szkoły, wszystko się uspokoi.

- A myślisz, że nie skłamał, jak spytałeś, czy kogoś ma? Ze to tylko chodzi o dziecko?

- Tak. Myślę, że nie skłamał. Tak czy siak, nie mam zamiaru spędzać kolejnej nocy, rozmawiając o ich małżeństwie. - Przewracam się na łożku i całuję Mel w usta. Uśmiecha się do mnie, choć widzę, że myślami jest wciąż gdzie indziej.

- I przestań się zamartwiać o Mayę. Na zieloną szkołę pojedzie dopiero za sześć lat. I zapewniam cię, że gdy już pojedzie, coś wykombinuję, żeby oderwać cię od myślenia o tym.

Mel znów się uśmiecha, tym razem wyraźniej. I odwzajemnia pocałunek.

ROZDZIAŁ 5

Mel

Na pewno nie macie nic przeciwko? - pytam, fruując po kuchni, próbując jednocześnie jeść tost, pić herbatę, szczytkować włosy i rozglądać się za parasolką.

- Oczywiście, że nie. To jeden z plusów bycia szefem, mogę się spóźnić i nikt mnie nie ochrzani. W każdym razie bez problemu odrobię tę godzinę w

przyszłym tygodniu.

- Dziękuję - mówię, całując Adama w czubek głowy. - Jesteś aniołem.

- Mam nadzieję, że w niebie mi to wynagrodzą - odpowiada.

- Albo, jeśli szczęście będzie ci sprzyjać, ja ci to potem wynagrodzę.

Adam uśmiecha się do mnie szeroko i unosi brwi.

- Od rana dziś szalejesz.

- Mam dobre przeczucia.

- Myślisz, że coś wyniknie z tego spotkania z Margaret?

- Na ogół nie prosi wykładowców na słówko przed zajęciami. I wie, że od września chciałabym więcej godzin.

- Będę trzymał kciuki. Daj znać, jak poszło. A teraz już się nie denerwuj i leć.

- Nie mogę znaleźć parasolki.

- Ma być sucho.

- Na wszelki wypadek - rzucam przez ramię, wychodząc do przedpokoju, gdzie natykam się na Mayę, która zeskakuje z dolnego schodka, trzymając w górze moją czerwoną parasolkę.

- Co ty wyrabiasz?

- Próbuję latać jak Mary Poppins.

Kręcę głową, ale nie potrafię ukryć uśmiechu.

- Cóż, obawiam się, że teraz ja muszę lecieć i potrzebuję parasolki.

Wiesz co, może jak wrócę, pojeżdżamy po poręczy?

Maya kiwa głową i wręcza mi parasolkę.

- Zabierasz mnie do przedszkola?

- Nie, dziś kolej Tatusia.

Rozpływa się w uśmiechu. Nauczyłam się nie czuć tym dotknięta.

Ściskam ją i daję całusa.

- Baw się dobrze. Mamusia bardzo cię kocha.

Maya gna do kuchni. Zerkam na zegarek i wzdycham.

- Pa, kochanie. Muszę pędzić! - wołam do Adama, łapiąc płaszcz i teczkę.

- Powodzenia! - krzyczy Adam z kuchni.

Ostatnie, co słyszę, zatraskując za sobą drzwi, to jak Maya pyta, czy zamiast jogurtu na śniadanie może dostać lody czekoladowe.

Pospiesznie wchodzę po schodach głównego kampusu Bradford University. Uwielbiam to miejsce. Jest niczym tło do sporego kawałka filmu o moim dorosłym życiu. Tu zrobiłam licencjat, podobnie jak Adam; to nie

tak, że nasz związek nie wytrzymałby, gdybyśmy poszli na różne uniwersytety, po prostu Bradford miało ofertę zajęć, która nam

odpowiadała, i dzięki temu nie było potrzeby, żeby się rozdzielać.

Żeby zrobić magisterkę z pedagogiki, musiałam przenieść się do Leeds, ale wówczas już mieszkaliśmy z Adamem razem (on dojeżdżał do Sheffield na zajęcia z dziennikarstwa), więc nie było problemu.

Nigdy naprawdę nie polubiłam Leeds. Rozrosło się tak, że ciężko powiedzieć, gdzie jest centrum miasta. Ciągle się gubiłam. Wiele przemawia na korzyść przyzwyczajenia. Pewnie dlatego skończyło się na tym, że wróciłam tutaj, żeby zrobić uprawnienia wykładowcy akademickiego. Bradford to takie miasto, jakie lubię; wystarczająco duże, żeby było interesujące i zróżnicowane, ale na tyle małe, że można się w nim poruszać bez mapy.

Więc kiedy powstała możliwość, żeby zostać tu i wykładać, cóż, to było jak przeznaczenie. Nadal rajcuje mnie widok własnego nazwiska na liście pracowników wydziału. Oczywiście funkcjonuję tu jako Melanie Summerskill. Tak samo jak wtedy, kiedy pojawiłam się tutaj jako nieopierzona osiem-nastolatka. Podoba mi się to. Poczucie, że tutaj dorosłam. Tak bardzo mi się to podoba, że nie wyobrażam sobie, bym kiedykolwiek chciała pracować gdzieś indziej. I wiem, jak niewiele osób może tak o sobie powiedzieć - tym bardziej uważam, że jestem szczęściarą.

Zapinam żakiet kostiumu i przechodzę pospiesznie przez park w stronę Wydziału Socjologii i Nauk Humanistycznych. Kieruje nim Margaret Carmichael. Jej wydajność i biznesowe podejście trochę przerażają, ale mimo to ją lubię. Stanowcza, ale sprawiedliwa, tak pewnie można o niej powiedzieć. Jest też jedną z najinteligentniejszych i najbardziej czytanych osób, jakie znam, co może być dość onieśmielające. Pewnego razu przyłapała mnie na czytaniu czasopisma „Take a Break”; nie było moje, ktoś zostawił egzemplarz na stołówce, ale i tak podejrzewam, że w jej głowie zostałam oznaczona jako intelektualna waga lekka.

Pukam do drzwi jej gabinetu i wchodzę, gdy słyszę „Proszę”, wypowiedziane znajomym szorstkim głosem, który trochę łagodnieje na mój widok.

- Aach, Melanie. Dziękuję, że przyszałaś, Siadaj. Przysiadam na czarnym winylowym krześle po drugiej

stronie biurka, na którym panuje doskonały porządek, i staram się, jak mogę, nie wyglądać niczym dziecko oczekujące, co dostanie na Gwiazdkę.

- Mam dobrą i złą wiadomość. Którą chcesz usłyszeć najpierw?

Czuję szarpnięcie w żołądku - może jednak Mikołaj wcale nie przyniósł mi tego, czego oczekiwałam.

- Nie martw się - Margaret z pewnością zauważyła, że szczeka mi opadła na podłogę. - Mam nadzieję, że dobra wiadomość znacząco przebijie tę złą.

- W takim razie najpierw poproszę złą - staram się przygotować.

- Cóż, obawiam się, że podjęliśmy decyzję o zawieszeniu zapisów na kurs zawodowy w niepełnym wymiarze godzin „Praca z dziećmi i młodzieżą”. Nie będzie go w przyszłym semestrze.

Kiwam głową, faktycznie straciłam część pracy.

- Ale dobra wiadomość - energicznie kontynuuje Margaret - jest taka, że będziemy oferować w pełnym wymiarze godzin seminarium licencjackie „Wczesne lata rozwoju dziecka” i chciałabym, żebyś je poprowadziła.

Moja szczeka wraca na miejsce i szczerzy się idiotycznie.

- To chyba znaczy, że się zgadzasz - mówi Margaret.

- Będę zachwycona. To wspaniała wiadomość. Dziękuję.

- Później porozmawiamy o szczegółach na temat wymiaru godzin, ale wiem, że i tak chciałaś od września zwiększyć ich liczbę. Czy to aktualne?

- Tak, zdecydowanie. Maya zaczyna szkołę i będę szczęśliwa, mogąc pracować pięć dni, choć obawiam się, że nie dam rady, żeby to były pełne dni.

- Jestem pewna, że sobie z tym poradzimy. Szkoła jest dużym krokiem dla dzieci i dla rodziców. To zrozumiałe, że będziesz chciała mieć dla niej czas.

Uśmiecham się, przez chwilę nie mogąc znaleźć słów. Spoglądam w dół, żeby sprawdzić, czy nogi mi nie dyndają. Kiedy byłam małą dziewczynką, machałam nimi, gdy byłam podekscytowana, i coś czuję, że ponieważ jestem mikruską, może mi to wrócić. Adam naśmiewa się z tego, ale myślę, że inni ludzie też by tak machali, gdyby ich nogi nie zawsze dotykały ziemi. Znów podnoszę wzrok. Margaret spogląda na mnie wyczekująco. Zdaję sobie sprawę, że rozmowa dobiegła końca, a ona czeka, aż sobie pójdę. Gramolę się z krzesła.

- Przeogromne dzięki - mówię, łapiąc płaszcz i teczkę.

- Widzisz, zła wiadomość nie była w końcu taka zła. Uśmiecham się i

wychodzę z gabinetu, cichutko zamykając za sobą drzwi. Pierwsze, co robię, to wyciągam komórkę i wysyłam SMS do Adama. Jego odpowiedź brzmi: „Hurra, dobra robota! Mogę się teraz zwolnić? Buźka”. A za chwilę dodaje: „I nie martw się, nie dałem Mayi lodów na śniadanie!”.

Cały ranek jestem jak na haju. Adam zawsze twierdzi, że z zajęć wracam nakręcona; jakby uruchamiały we mnie jakąś przekładnię, do której nic innego nie jest w stanie sięgnąć. Ale dziś tak bardzo czuję, że żyję, wszystko tak mnie zachwyca. Studenci pewnie myślą, że coś wzięłam. Wyobrażam sobie, jak po zajęciach plotkują, w czym też mianowicie się nurzam.

Wciąż jestem uśmiechnięta, gdy w porze lunchu spotykam na stołówce Nadine.

- Jezu, kotka, która dostała śmietankę i co tam jeszcze -mówi, spoglądając na mnie, gdy siadam obok niej z ciabattą i kawą.

- Cóż, na pewno kotka, która dostała więcej godzin i prowadzenie seminarium w pełnym wymiarze. - Szczerzę do niej zęby.

- Wow, gratulacje. To wspaniale. - Nadine podrywa się, pędzi na moją stronę stołu i ściska mnie najmocniej, jak potrafi. Prowadzi zajęcia poświęcone młodzieży. Może dlatego często mówi „wow”.

- Dziękuję. Czuję, że w końcu moja kariera znów zaczyna nabierać tempa.

- To jak Maya pójdzie do szkoły, nie pogadamy sobie o jej pierwszym dniu - mówi Nadine z uśmiechem. Ma trójkę dzieci w wieku szkolnym.

Wie, jak to jest.

- Na pewno wypłaczę sobie oczy, ale przynajmniej będę codziennie w pracy, co oderwie mnie od ciągłego myślenia o tym, jak bardzo za nią tęsknię.

- I więcej zarobisz, choć nie poczujesz tego, bo wszystko i tak pójdzie na jej szkolne mundurki i buciki. I nie będziesz miała czasu dla siebie, bo każdy wieczór zejdzie ci na pieczeniu ciasteczek na zbiórkę funduszy w szkole albo na szyciu kostiumów na bal karnawałowy, a w weekendy pochłoną cię całkowicie kinderbale, dyskoteki i zajęcia z gimnastyki.

- Dzięki, że zdejmujesz mi różowe okulary.

- Nie ma za co, na mnie zawsze możesz liczyć, że sprowadzę cię na ziemię, wiesz o tym. - Uśmiecha się szeroko.

- W takim razie muszę zrobić jak najlepszy użytek z najbliższych czterech miesięcy.

- Począwszy od waszej okrągłej rocznicy w przyszłym tygodniu.
Wciąż nie mogę uwierzyć, że ty i Adam jesteście ze sobą dwa razy dłużej niż ja i Paul.

- Oj, przestań, przez ciebie czuję się staro.
- Nie jesteś stara. Po prostu nigdy nie musiałaś próbować chleba z innych pieców, jak reszta z nas.

- Tak właśnie chyba jest, jeśli ma się szczęście za pierwszym razem.
- No, ale musiałaś przynajmniej pocałować się z innym chłopakiem.
Waham się przez sekundę. Wiem, że to bezdennie kretyńskie, ale wciąż jeszcze nie powiedziałam nikomu o Stevie. O tym, że pocałował mnie na bożonarodzeniowej dyskotecie w ostatniej klasie podstawówki.

Nie miałam pojęcia, że to robi. I wówczas jeszcze nie znałam Adama, więc nie zrobiłam nic złego - miałam jedenaście lat, na miłość boską.

Ale fakt, że Steve jest teraz najlepszym przyjacielem Adama oraz mężem mojej najlepszej przyjaciółki, sprawia, że jest to dość żenujące.

Adam i Louise pewnie szczerze by się uśmiechali, gdybym im powiedziała. Ale ponieważ Steve nigdy tego nie zrobił, a minęło ponad dwadzieścia lat, myślę, że po prostu dziwnie byłoby wspominać o tym teraz. Chociaż Nadine mogę powiedzieć. Ona nie jest jego żoną.

- Był taki chłopak, który pocałował mnie pod jemiolą na bożonarodzeniowej dyskotecie, kiedy miałam jedenaście lat, ale to wszystko. Dziewięć miesięcy później poznałam Adama.

Nadine odstawia kawę i nachyla się do mnie przez stół.

- No dobra, ale na pewno podobali ci się jacyś inni chłopcy.
- Nie. Od dwudziestu dwóch lat lecę na Adama i tyle.
- Ale jak byłaś na uniwerku, zanim się pobraliście, nie gadaj, że nie zwracałaś uwagi na innych koleś.

- No tak, było paru przystojnych. Ale cieszyłam się tym, co mam.
- Niektórzy - Nadine zniża głos - wciąż lubią brać samochód na jazdę próbną, nawet jeśli nie zamierzają go kupować.

Uśmiecham się i kręcę głową.

- Niektórzy - też szepcą. - Ale nie ci, którzy już mają najlepszy model w swojej klasie.

- Jezu, ty naprawdę jesteś święta.

- Po prostu wiem, kiedy zmierzam w dobrym kierunku i nigdy nie

chciałabym zrobić czegoś, co wiązałoby się z ryzykiem jego utraty.

- Cóż - kwituje Nadine. - Powiem tyle. Jeśli kiedykolwiek wznowią *Czar par*, będę was sekundować, żebyście wygrali. Nie ma takiej rzeczy, której byście o sobie nie wiedzieli.

Uśmiecham się do niej i biorę kolejny gryz ciabatty. Nie chcę się zwierzać, że jest jedna taka rzecz. Choć trzeba przyznać, że nie taka, o którą pytano by w teleturnieju.

Idę korytarzem, wracając do sali, gdzie będę prowadzić zajęcia, gdy dzwoni komórka. Ze względu na Mayę zawsze mam ją włączoną. Od razu odbieram.

- Halo?

- Czy to pani Taylor? - słyszę nieznamy głos po drugiej stronie słuchawki. I ze sposobu, w jaki to mówi, wiem, że ma dla mnie złe wieści.

ROZDZIAŁ 6

Adam

Maya spogląda na mnie w ten sposób. Czyli: nie możesz mi odmówić, nie, kiedy jestem tym małym i słodkim aniołkiem. Pierwsze kilka razy zadziało bezbłędnie, ale teraz już się wycwaniłem. Poza tym wiem, że mogę jej odmówić, nie ryzykując pełnowymiarowej hysterii, bo mam asa w rękawie, który przebija nawet czekoladowe lody.

- Nie jemy lodów na śniadanie, młoda damo. - Łaskoczę ją pod pachą.

- Ale jak tylko zjesz swój pyszny jogurt malinowy, mam dla ciebie prezent niespodziankę.

Maya piszczy, podskakuje na krzeselku i zaczyna wcinać jogurt.

Dobrze wiem, co książki o rodzicielstwie, które subskrybuje Mel, mówią na temat przekupywania dzieci, żeby skłonić je do jedzenia, i normalnie nie robiłbym tego. Ale jutro jest przyjęcie niespodzianka i jeśli mam mieć jakąś nadzieję, że Maya będzie trzymać buzię na kłódkę, muszę mieć ją po swojej stronie.

- Skończyłam. - Maya pokazuje jako dowód pustą miseczkę.

Uwielbiam, jak dzieciaki to robią. Powinny otworzyć restaurację pod szyldem Czyste Talerze, gdzie przywoływano by kelnera, podnosząc do góry wylizane naczynia. Byłoby

to dużo zabawniejsze niż te wszystkie sztywne maniery przy stole.

- Świetnie. - Przykucam przy Mayi i wycieram jej buzię serwetką. - A teraz posłuchaj, potrafisz dochować tajemnicy?

Maya kiwa głową z entuzjazmem, choć wiem, że dotyczy on czego innego.

- Dobrze, bo prezent, który mam dla ciebie, to coś, co włożysz na przyjęcie niespodziankę, jaką urządzamy jutro.

- Będziemy się bawić w „Chodzi lisek koło drogi”?

- Nie, kochanie, ponieważ to nie jest impreza dla dzieci, tylko impreza z okazji dziesiątej rocznicy Mamy i Taty. Tylko Mamusia nic o tym nie wie, bo chcę, żeby to była niespodzianka, dobrze?

- Dobrze - mówi Maya. Przechodzi do części, w której dostaje prezent. Wciąż nie mam pewności, czy rozumie powagę dochowania tajemnicy, ale teraz muszę go już jej dać, bo inaczej spóźnimy się do przedszkola.

- Poczekaj. - Biegnę do gabinetu po sukienkę, która leży w szufladzie mojego biurka zapakowana w fioletową bibułę przewiązaną srebrną kokardą (sprzedawczyni w Monsoonie odwaliła kawał dobrej roboty i byłem jej wdzięczny za darmowe pakowanie prezentu, choć wcześniej wydałem małą fortunę na maciupki skrawek materiału z paroma cekinami). Przynoszę sukienkę do kuchni, w której Maya prawie chodzi po ścianach.

- Proszę bardzo. - Z uśmiechem podaję jej pakunek.

Maya rozrywa bibułę, głęboko wzdycha na widok fioletowej sukni ze srebrnymi cekinami, bierze ją i zaczyna tańczyć po pokoju.

- Czyli podoba ci się? - pytam.

- To najlepsza sukienka, jaką mam. - Maya obejmuje mnie za nogi. - Tatusiu, dziękuję.

Mam teraz wyrzuty sumienia, że zawahałem się na widok metki z ceną. Maya jest tak wdzięcznym dzieckiem. Zawsze prosi Mikołaja tylko o jedną rzecz. A w zeszłym roku była wielce wyrozumiała, kiedy okazało się, że kucyk nie jest prawdziwy.

- Dobrze, chodźmy na górę, żebyś mogła przymierzyć i sprawdzić, czy pasuje.

Pędzimy do jej pokoju. Ściągam jej piżamkę w motyle i przez głowę wkładam sukienkę. To moment zaiste jak z *Kopciuszka*. Ja też niemal wzdycham z zachwytu. Ma cztery latka, a już przeraża mnie, jak bardzo jest piękna. Boję się pomyśleć, co ze mną będzie, kiedy skończy lat trzynaście. Zaczynam rozumieć królów z bajek, którzy zamykali córki w zamkowej wieży. Wiem, że to nie jest dobre, ale zaczynam zdawać sobie sprawę, skąd im się to brało.

Maya wiruje, okręcając sukienkę.

- Mogę w niej iść do przedszkola?

- Przykro mi, kochanie. Musimy przypilnować, żeby jutro ładnie wyglądała.

Twarz Mayi przygasa. Powinienem przewidzieć, że o to poprosi.

Muszę szybko coś wymyśleć, żeby uniknąć potopu łez.

- Nie możemy dopuścić do tego, żeby Mamusia odebrała cię w niej z przedszkola. To by zepsuło niespodziankę. - Tama się trzyma. Muszę coś jeszcze dorzucić, by mieć pewność, że nie pęknie. - Co powiesz na to, że dziś ja położę cię do łóżeczka i wieczorem przymierzysz ją jeszcze raz? Chociaż nie będziesz w niej spać. Kopciuszek nie może pojawić się na balu w

pomiętej sukience, prawda?

Maya uśmiecha się i bez oporów pozwala się rozebrać. Wskazuję leżące na łóżku ubranko, które Mel wcześniej dla niej przygotowała.

- To ubieraj się do przedszkola, a ja skoczę schować twoją suknię, żeby Mamusia jej nie znalazła. Przebierzesz się w nią

jutro wieczorem, jak podrzucę cię do dziadków, a wtedy będzie to dla Mamusi niespodzianka, zobaczy cię w niej, kiedy przyjedziemy na imprezę.

- To będzie w pałacu? - pyta Maya.

- Nie do końca, ale w ślicznym wielkim hotelu. Tam, gdzie Mamusia i Tatuś wzięli ślub.

- Mamusia włoży suknię ślubną?

- Nie, kochanie. Ale wiesz, i tak będzie pięknie wyglądać. Jej też kupiłem nową sukienkę.

- Jej też tak się świeci jak moja?

Zaprzeczam. Nie spodziewałem się, że zazdrość o ciuchy zaczyna się u kobiet tak wcześnie.

- Nie, kochanie. I jest też innego koloru.

Maya kiwa z zadowoleniem głową. Znikam na piętrze i wieszam sukienkę w mojej szafie, w pokrowcu na garnitur, w którym schowałem suknię Mel. Mam nadzieję, że Mel się spodoba. Suknia oraz przyjęcie.

*

Jedziemy do Arki, mijając fantazyjnie przystrzyżony żywopłot, który zabawia dzieciaki (i bezpiecznie utrzymuje je na terenie przedszkola).

Początkowo planowaliśmy z Mel, że będziemy chodzili tu na piechotę, bo z naszego domu jest to jakieś dwadzieścia minut. Ale połączenie chaosu, jaki panuje u nas o poranku, i guzdrania się Mayi sprawiły, że nieodwołalnie zasililiśmy szeregi innych pracujących rodziców, wiecznie w niedoczasie, robiących ileś rzeczy naraz, podrzucających w biegu dzieci do przedszkola.

Mogliśmy zapisać Mayę do żłobka na Uniwersytecie Bradford, bo przede wszystkim byłoby taniej. Ale kiedy przyszliśmy się tu rozejrzeć i zobaczyliśmy piękny plac zabaw z widokiem na dolinę, cóż, zostaliśmy trafieni-zatopieni, podobnie zresztą jak Maya.

Pomagam jej wysiąść z samochodu, trzyma mnie za rękę, dopóki nie przejdziemy przez bramę, po czym zaczyna skakać wzdłuż ścieżki.

Przytykam wskazujący palec prawej ręki do panelu i drzwi do głównego budynku otwierają się z brzęczeniem. Nadal uważam, że to lekka przesada,

jak na przedszkole w leśnej dolinie, w wiejskiej okolicy Calderdale, ale Mel czuje się uspokojona, że tak poważnie podchodzą tu do sprawy.

Idę za Mayą do środka, gdzie bawią się już dzieci, które przyszły wcześniej. Mnie uspokaja to, że Maya zawsze tak się cieszy, kiedy tu przychodzi. Nigdy nie łapała się nas ani nie płakała, kiedy ją zostawialiśmy.

- Mam nową sukienkę, a Mamusia i Tatuś będą mieli przyjęcie niespodziankę! - wykrzykuje Maya do wszystkich w zasięgu swego głosu, a konkretnie do tuzina dzieciaków i trójki pracowników. Becky, główna przedszkolanka Mayi, odwraca się do mnie i uśmiecha.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o niespodziankę.

- Nowa sukienka miała być dość prymitywną łapówką, żeby kupić jej milczenie. Chyba to nie były najlepiej wydane pieniądze.

- Z pewnością jest nią zachwycona.

- O tak, ale byłbym wdzięczny, gdyby przypomniała jej pani, żeby nie wspominała o tym mamie, kiedy Mel przyjdzie ją odebrać.

- Oczywiście - mówi Becky. - Powiem jej, że bawimy się w sekrety wróżki.

Zastanawiam się, czy nie spytać o zasady tej zabawy, gdyby w przyszłości miało się pojawić jakieś nawiązanie do niej, ale rzut oka na zegarek uświadamia mi, że na mnie już pora.

- Miłej zabawy, córuś! - wołam. - Tatuś musi iść.

- Dobrze! - krzyczy Maya.

Podbiega, żeby mnie uścisnąć. W jednej ręce trzyma dinozaura, a w drugiej świder Boba Budowniczego. Postanawiam nie dopytywać się, o co chodzi w tej zabawie.

- Do zobaczenia później, skarbie. - Daję jej całusa. Sekundę później już jej nie ma. Odgłos wiercenie dobiega z domku Wendy. Zegnam się i wychodzę.

W drodze do pracy słucham radia 5 Live. Choć nie powinienem, ponieważ prowadzony przez Nicky Campbella program z udziałem słuchaczy na bank podniesie mi z rana ciśnienie. Można by się spodziewać, że kogoś, kto przez dziesięć lat był dziennikarzem, nie zaskoczy zdolność wspaniałych brytyjskich radiosłuchaczy do wygadywania kompletnych bzdur. Zawsze ktoś się trafi. Jedna osoba, która wprost zwala z nóg swą głupotą. Dziś rano jest nią Graham z Doncaster. Mój rodak z Yorkshire, ale bardzo pogubiony. Graham mówi, że nie zagłosuje na Gordona Browna, ponieważ nazwał jakąś

kobietę bigotką. Kiedy Nicky pyta go, w takim razie na kogo odda swój głos, odpowiada, że na Brytyjską Partię Narodową. Jakby to było logiczne. Ja też nie pałam przesadną miłością do Browna, ale argument Grahama brzmi mniej więcej tak, jakbyśmy słysząc, że Święty Mikołaj krytykuje jednego z elfów, zwolnili go i w zamian zatrudnili Szatana.

Zastanawiam się, czy nie zatrzymać samochodu i nie zadzwonić do radia, żeby zaprezentować swój wywód, ale skądś z daleka spływa na mnie głos rozsądku Mel. Przełączam się na Absolute Radio i czuję ulgę, słysząc *I Predict a Riot* (Przewiduję zamieszki), w wykonaniu Kaiser Chiefs. Jak laburzyści przegrają (co z pewnością się zdarzy), oczywiście nie będzie zamieszek, bo jesteśmy w Wielkiej Brytanii. A Brytania po prostu cmoka z dezaprobatą i w ciemno daje komu innemu szansę spieprzenia wszystkiego. I nigdy

nie zastanawia jej fakt, że ci inni są w opozycji, bo spieprzyli ostatnio wszystko. Zatrzymuję się na światłach. W samochodzie obok, na siedzeniu pasażera leży egzemplarz „Daily Express”. Brown jest już w tak oczywisty sposób spalony, że przeczucili się na Nicka Clegga. Jezu, wystarczy, żeby koleś wystąpił w żółtym krawacie. Słyszę, jak Mel mówi mi, żebym się uspokoił. Widzę jej twarz, a na niej tę łagodność i spokój, które pojawiają się, kiedy z jakiegoś powodu dostają piany. I uśmiecham się, że potrafi mnie na tym przyłapać, nawet gdy nie siedzi obok.

Chris, kiedy go mijam, rzuca mi spojrzenie „a o której to się przychodzi”. Nigdy nie pogodził się z tym, że nie dostał mojej posady.

Aplikował na to stanowisko i już witał się z gąską, bo myślał, że rozmowy z kandydatami będą zwykłą formalnością. Podobno, gdy powiedziano mu, że odpadł, wybiegł z budynku, pomstując, że jest niedoceniany i że komisja rekrutacyjna dała się zwieść formie, zamiast treści. W ustach specjalisty od PR zabrzmiało to dość zabawnie, ale co tam. Oczywiście nigdy nie powiedział mi wprost, że jego zdaniem byłby lepszy na tym stanowisku. Ale niemal na każdym kroku daje mi to do zrozumienia, co widać też w wyrazie zniesmaczenia i rozczarowania, jaki nieustannie gości na jego twarzy.

- Dzięki, że utrzymywaliście przyczółek. Jak tam?

- Mokro - mówi Chris.

- To znaczy?

- Jakaś akcja z rurami w łazienkach na drugim piętrze, w nocy mocno zalało. „Z życia owadów” zamknięte ze względów bezpieczeństwa.

- Cholera. A zniszczenia są duże? Chris wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Nie pytałem.

- W tej chwili próbują oszacować. - Ton Hannah jest o wiele bardziej uczynny. - Roger cały ranek biega po spotkaniach.

Roger to dyrektor muzeum. Jest typem naukowca, kompletnie sobie nie radzi z praktyką. Nie wróży to dobrze pozostałej części dnia, a zwłaszcza moim nadziejom na wyjście o przyzwoitej godzinie, żebym mógł po drodze do domu zajrzeć na chwilę do hotelu i upewnić się, że przygotowania do imprezy są pod kontrolą.

Siadam przy biurku i czytam żółtą karteczkę post-it z krzaczkowatym pismem Chrisa.

- Adrian Bashforth przyjdzie w południe zamiast o drugiej? - pytam.

- Ta, przecież napisałem - odpowiada Chris.

- Powiedział dlaczego?

- Chyba nie.

Kiwam głową, uznając, że nie warto próbować wyciągać z Chrisa więcej informacji. Mam ochotę go ukamienować.

- Kto to jest? - pyta Hannah.

- A, taka szycha z Orange. Szykują się na sponsora letniej wystawy „Dinozaury w 3D”. Roger chce, żebym go oprowadził i wysondował na temat możliwych linków na stronie i artykułów, które moglibyśmy napisać.

- Brzmi fajnie - stwierdza Hannah. Przez sekundę zastanawiam się, czy by jej nie oddelegować. Dziś to spotkanie jest mi naprawdę nie na rękę i wiem, że Hannah dużo lepiej ode mnie poradziłaby sobie z całą tą biznesową gadką. Ale w ostatniej chwili powstrzymuję się od tego, żeby ją poprosić. To nie w porządku zrzucić na nią mój bajzel tylko dlatego, że jest chętna i dałaby sobie radę.

- Tak, tylko to nie najlepszy moment, z wyłączonym drugim piętrem, ale będę musiał jakoś sobie poradzić.

- Po prostu pokręć się dłużej wokół Monty’ego w sali prehistorycznej - podpowiada.

- Masz rację. A jak skończy mi się wena, zawsze mogę mu opowiedzieć jakąś historyjkę o dinozaurach autorstwa Mayi.

- Jest podekscytowana jutrzejszą imprezą? - pyta Hannah. Wciąż mi

głupio, że jej nie zaprosiłem. Sytuacja była niezręczna, ponieważ wolałem nie zapraszać Chrisa, a jednocześnie nie chciałem, żeby Hannah poczuła, że ją jakoś wyróżniam. Atrakcyjne młode kobiety pewnie mówią prawdę, kiedy narzekają, że nikt ich nigdy nie zaprasza.

Te bardziej dojrzałe po prostu nie chcą ich towarzystwa, a mężczyźni w pewnym wieku nie zapraszają ich, żeby nie wyjść na starych rozpustników. Ale już za późno. Nie ma nic gorszego niż zapraszanie na ostatnią chwilę.

- Można tak powiedzieć. Powiedziałem jej dziś rano i wyleciała tak daleko poza skalę, że w tym momencie mogła pewnie zasilić energią cały kraj.

- A twoja żona nadal nic nie wie?

- Nie. Chociaż jak dotrę wieczorem do domu, to się pewnie zmieni.

- To nawet lepiej. Skoro nie lubi niespodzianek - stwierdza Chris.

Hannah spogląda na mnie pytająco.

- Wiesz, jak to jest - mówię. - Kiedy kobieta zapewnia, że chce skromnie, chyba nie zawsze myśli tak naprawdę?

Hannah kiwa głową i uśmiecha się. Raczej wymuszonym uśmiechem. Cholera. Może wcale nie mam racji.

- A więc witam w Muzeum Historii Naturalnej w Manchesterze - staram się jak mogę brzmieć entuzjastycznie. Ściskam dłoń Adriana Bashfortha. Należy do ludzi, którzy przetrzymują uścisk zdecydowanie za długo. - Był już pan u nas kiedyś?

- Nie. Niedawno przeprowadziłem się z Londynu. I nie mam dzieci.

- Och, jesteśmy nie tylko dla dzieci - mówię. - Robimy sporo imprez „Po zmroku” dla firm. W lobby można też urządzać spotkania wigilijne.

- Świetnie. Rewelka. To co, idziemy? - Adrian Bashforth jest tu wbrew swej woli. To oczywiste. Przyjechał z biura Orange w Leeds, ale najwyraźniej nie trafił na północ bez sprzeciwu. Wyobrażam sobie, że identyfikuje się z tymi wszystkimi typkami z londyńskiej BBC, którzy narzekali, że przeniesiono ich do Salford. Przypomina mi się skecz Victorii Wood. Ten, w którym prezenterka mówi: „Przepraszamy widzów na północy. Musi być wam strasznie”.

- Chodźmy zatem na pierwsze piętro - proponuję. - Wszyscy chcą zaczynać od sali prehistorycznej. Pokażę panu, co tam mamy, a potem opowiem o naszych planach wystawy w trzech wymiarach.

Wchodzę po schodach pierwszy. Mogłem przywołać windę, ale wolałem

nie ryzykować, że otworzy się przez pomyłkę na chaos drugiego piętra.

Popycham podwójne drzwi. Monty stoi dumnie w odległym krańcu sali, górując na wszystkim. Zerkam, czy na twarzy Adriana zagościł wyraz podziwu. Nic z tych rzeczy.

- Oto Monty, nasza gwiazda - mówię żwawo, kierując niewzruszonego Adriana w głąb sali. Cóż, imię mogłem sobie darować. Zabrzmiało zbyt dziecinnie.

- Szkielet odkrył paleontolog amator, w wychodni pokładu skalnego, niedaleko Buffalo w Dakocie Południowej.

Zerkam na Adriana. Wciąż brak jakichkolwiek oznak zainteresowania. W sali jest jedynie garstka ludzi. Piątki w porze lunchu są luźniejsze. Ale obawiam się, że i to nie robi zbyt dobrego wrażenia.

- Proszę podejść i popatrzeć z bliska. - Rzestępuję nad sznurową barierką i staję dokładnie pod czaszką Monty'ego. Zdaję sobie sprawę, że próbuję coś ugrać martwym dinozaurem. Ale muszę to zrobić, bo jest najlepszym, co mamy, i jeśli chcemy zachować choć cień nadziei na roztańczonego i rozśpiewanego dinozaura w 3D, ten koleś musi mi pomóc.

- No, hmm, duży jest - mówi Adrian i nie rusza się z miejsca.

Powstrzymuję się, by nie powiedzieć, że oczywiście jest duży, bo to pieprzony dinozaur. Słysząc teraz dźwięk wiercenia i kucia, dochodzący z piętra nad nami.

- To nasza wystawa „Budowniczy Bob”, na drugim piętrze - żartuję.

Adrian nie śmieje się. Wciąż żadnego wrażenia. Może działa to tylko na moją córeczkę. Żałuję, że nie ma tu Mayi, żałuję, że nie mogę złapać w butelkę trochę jej entuzjazmu, żeby wylać go na Adriana.

Nad sobą słyszę trzask i dźwięk rozrywania. Podnoszę wzrok, niemal oczekując, że zobaczę zwisającą z sufitu nogę hydraulika. To by już raczej przesądziło sprawę. Łańcuch, na którym wisi czaszka Monty'ego, drży. Słysząc kolejny trzask, tym razem głośniejszy i dłuższy. Z przeraźliwym chrzęstem puszcza umocowanie w suficie.

Mózg każe moim stopom się ruszyć. Zapominam o sznurkowej barierce i przewracam się do tyłu. Patrzą, jak spada na mnie głowa Monty'ego. Wali się. Leci. W dół. Krzyk. Wrzask. Okropny, przeszywający ból. Mój ból. Gdy głowa Monty'ego łączy się z moją. A potem już nic.

ROZDZIAŁ 7

Mel

Przy telefonie - mówię do komórki nieswoim głosem. - Dzień dobry, pani Taylor. Tu Roger Simpson z muzeum. Chodzi o Adama.

Zamykam oczy. Myślałam, że o Mayę. Ze dzwonią, bo coś się stało z Mayą.

- Obawiam się, że zdarzył się wypadek.

Kolejka górską leci w dół, ciągnąc za sobą mój żołądek. W środku krzyczę, ale na zewnątrz pozostaję opanowana. Nie jestem pewna, czy Roger zrobił pauzę dla efektu, czy też obejrzał za dużo odcinków serialu *Na sygnale* i myśli, że tak właśnie powinno się przekazywać złe wieści. Mam ochotę wydrzeć się na niego, żeby mi powiedział; po prostu, do cholery, powiedz mi pan, co się stało. Ale czekam, aż kolejka zaczyna wpełzać z powrotem na szczyt, nie wiedząc, czy następny zjazd nie będzie głębszy niż poprzedni.

- Łańcuch, który przytrzymywał szkielet *Tyrannosaurus rex*, odczepił się od sufitu - kontynuuje. - Adam stał pod nim.

Z ust wyrzywa mi się coś, co brzmi jak śmiech. Oczywiście nerwowy śmiech. Ponieważ to wszystko jest idiotyczne i ponieważ przeraża mnie, co głos powie za chwilę.

- Nie żyje?

- Żyje, ale jest poważnie ranny. Stracił przytomność. Został zabrany na ostry dyżur do szpitala Świętego Krzyża w Manchesterze.

Kiwam głową, co jest kretyńskie, bo rozmówca mnie nie widzi, ale w tej chwili nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa. Korytarzem mijają mnie studenci. Z oczu leją mi się łzy i spływają po twarzy, chociaż nie mogę zrozumieć dlaczego, bo nie płaczę. W ogóle nie płaczę.

- Tak mi przykro - mówi Roger. - Oczywiście przeprowadzimy drobiazgowy dochodzenie w tej sprawie. Za chwilę zadzwonię do kierownika odpowiedzialnego za BHR

Ponownie kiwam głową.

- Jeśli jest coś, co możemy zrobić, żeby pomóc. Cokolwiek - kontynuuje mój rozmówca.

Poskładajcie dinozaura z powrotem. To jedyne, co przychodzi mi do głowy. Poskładajcie dinozaura. Naprawcie go, żeby to nie mogło się zdarzyć. Cofnijcie taśmę. Emocje kipią. Nie jestem w stanie dalej tego słuchać.

- Do widzenia - kończę rozmowę. Ręka trzęsie mi się tak bardzo, że

ledwo wpycham komórkę do torebki. Wiem, że muszę się ruszyć, ale nie wiem jak. Coś wewnątrz mnie przejmuję kontrolę. Obraca mną i zaczyna poruszać nogami z powrotem wzdłuż korytarza. Płynę pod prąd studentów, którzy wracają na zajęcia. Z trudem dociera do mnie, że część z nich się na mnie gapi. Po raz drugi dzisiaj stoję przed gabinetem Margaret. Słyszę, jak pukam do drzwi i wchodzę.

- Przepraszam, że przeszkadzam - mówię. - Mój mąż miał wypadek.

Jest nieprzytomny. Muszę jechać prosto do szpitala. Ktoś będzie musiał mnie zastąpić. Bardzo przepraszam.

Teraz już płaczę. Normalne łzy i łkanie. Margaret sadza mnie na krześle. Bierze mi z ręki kluczyki samochodowe

i wkłada je z powrotem do mojej torebki. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że je trzymam.

- Gdzie stoisz?

- Przy stacji kolejowej Mytholmroyd.

- Zamówię taksówkę. Pociąg będzie jechał za długo, poza tym i tak nie będziesz w stanie prowadzić samochodu. W którym szpitalu leży?

- Świętego Krzyża w Manchesterze - słyszę swój głos. Margaret wykonuje telefon. Z karafki na biurku nalewa szklanek wody i wkłada mi do rąk.

- Chcesz, żeby ktoś z tobą pojechał? - pyta.

Myślę o Nadine. Jej zajęcia już się zaczęły. Nie chcę nikomu sprawiać kłopotu.

- Nie, nie, w porządku, dziękuję. Głęboko oddychać i takie tam.

Chyba udało mi się uśmiechnąć, ale nie mam pewności. Margaret podaje mi chusteczkę. Dotykam nią policzków, po czym zgniatam ją w dłoni.

- Powinniśmy do kogoś zadzwonić? Twoja córeczka jest w naszym żłobku?

- Nie. Jest w przedszkolu niedaleko domu. Zadzwonię do rodziców, żeby ją odebrali. Nie chcę, żeby się teraz martwiła. Do czasu, jak przyjadę, Adam pewnie odzyska przytomność.

Margaret kiwa głową. Odstawiam wodę. Nie wypięłam ani kropli.

- Chodźmy przed główne wejście - mówi. - Taksówka zaraz będzie.

Wstaję. Ponownie odpalam autopilota. Szybko pokonujemy korytarz.

Co zadziwiające, moje nogi są w stanie samodzielnie funkcjonować. W lobby czekamy tylko minutę czy dwie, nim przed wejście podjeżdża taksówka. Mam świadomość, że drzwi się otwierają, a Margaret pomaga mi

wsiąść.

Mówi coś taksówkarzowi. Potem zwraca się do mnie, głaszcząc mnie po głowie.

- Proszę, koniecznie daj mi znać, jeśli będę mogła jakoś pomóc. W czymkolwiek.

Kiwam głową i dziękuję jej, choć nie jestem pewna, czy zdołała mnie usłyszeć, zanim zatrzasnęła drzwi. Taksówkarz odjeżdża. Jest mały, żylasty i ma tłuste włosy. Nie zapiął pasa. Wkurza mnie to. Ludzie, którzy uważają, że wypadek im nie grozi. Grozi. Wszystkim grozi.

Każdemu bez wyjątku.

Taksówkarz nie próbuje nawiązać rozmowy. Przyjmuję to z ulgą.

Ciszę wypełnia Radio 2. Nigdy już nie będę w stanie słuchać Jeremy'ego Vine'a, nie przypominając sobie jednocześnie tej chwili.

To tak, jakby ktoś mnie złapał i odciągał od normalnego życia, od mej przytulnej, bezpiecznej egzystencji. A po krótkiej chwili upuści mnie i będę musiała wysiąść z taksówki i ruszyć w nieznaną. W świat moich koszmarów, tyle że będzie to już nie koszmar, a rzeczywistość.

Spuszczam wzrok. Wciąż trzymam w ręku zmiętą chusteczkę.

Wkładam ją do torebki, wyciągam komórkę i wybieram numer rodziców. Dzwoni i dzwoni. Czekam, aż zgłosi się automatyczna sekretarka. I w końcu przypominam sobie, że są ostatnimi ludźmi w kraju, którzy jeszcze jej sobie nie kupili. Może to i lepiej, bo i tak nie mam pojęcia, jaką wiadomość bym im nagrała. To przecież piątkowe popołudnie. Mama jest w przychodni. Mogę tam zadzwonić. Pewnie odbierze. Ale nie chcę. Będzie do mnie mówiła, jakbym była jedną z pacjentek. A cała poczekalnia będzie mogła usłyszeć jej stronę rozmowy. Nie chcę tego. Nie wydaje mi się, żeby Adam tego chciał.

Zamiast tego dzwonię do ojca. Na pewno jest w muzeum modeli kolejowych. Tam na pewno będzie spokojniej.

- Halo? - Tata zdaje się zaskoczony. Nie odbiera w muzeum zbyt wielu telefonów.

- Tato, tu Mel. Musisz mi pomóc. - Nie chcę, żeby głos mi się załamał. Przerywam na chwilę, próbując utrzymać go w ryzach. -

Możesz odebrać za mnie Mayę, proszę? Muszę jechać do szpitala w Manchesterze. Adam miał wypadek.

Po drugiej stronie słuchawki zapada cisza. Czuję się okropnie, że powiedziałam mu to tak suchym tonem, ale z jakiegoś powodu jestem w stanie sobie z tym wszystkim radzić jedynie w ten sposób.

- Och, skarbie. Jaki wypadek? - pyta. Powstrzymuję się, by nie powiedzieć o dinozaurze. Zabrzmiałoby to absurdalnie. A nawet niepoważnie.

- Spadło na niego coś ciężkiego. Jest nieprzytomny. Wiem niewiele więcej. Jestem w drodze do szpitala.

- Chcesz, żebym zadzwonił do matki? - Tata wyraźnie nie wie, co robić.

- Nie, nie ma potrzeby. Jakbyś tylko mógł odebrać Mayę w okolicach piątej, zaprowadził ją do nas i zabrał rzeczy potrzebne, żeby mogła u was zanoć. Dmuchane łóżeczko, piżamkę, szczoteczkę do zębów, termofor Iggie Piggle. Ona ci pokaże, gdzie co jest.

- Tak. Tak, oczywiście.

- Tylko proszę, nie przestrasz jej. Powiedz jej, że Tatuś nabił sobie guza, a Mamusia musi się nim opiekować w szpitalu. Nocleg u was przedstawi jej jako wielką przygodę. Niech dostanie lody na podwieczorek. Naprawdę cokolwiek, byleby tylko była szczęśliwa i nie martwiła się. Jeśli się zdenerwuje, proszę zadzwoń do mnie, ja z nią porozmawiam.

- Dobrze, kochanie. Zadzwoń do nas później, dobrze?

Po jego głosie słyszę, że też z trudem się trzyma. Wyobrażam sobie, jak tam stoi, z przyciśniętą do ucha staroświecką słuchawką, ramiona zapadają mu się jeszcze bardziej pod ciężarem złych wieści, do których nie jest przyzwyczajony.

- Tak. Tak, zadzwonię.

- Do widzenia, kochanie.

Wkładam komórkę do torebki. We wstecznym lusterku łapię wzrok taksówkarza. Nic nie mówi. Tylko wyłącza Radio 2.

Kiedy zatrzymujemy się przed wejściem na ostry dyżur, zaczynam przetrząsać torebkę w poszukiwaniu gotówki.

- W porządku - mówi taksówkarz. - To na rachunek uniwerku. Mam nadzieję, że z pani mężem wszystko dobrze.

Dziękuję skinieniem głowy i gramolę się z samochodu. Taksówka odjeżdża, pozostawiając mnie przed nowocześnie wyglądającym wejściem ze szkła i stali. Zagryzam wargi i wpadam do środka. Nie mam pojęcia, czemu przyjdzie mi stawić czoło. Wiem jedynie, że muszę zobaczyć Adama.

Rozpaczliwie chcę go dotknąć, przytulić.

Powiedzieć mu, że jestem.

Na recepcji ostrego dyżuru jest długa kolejka. Kobieta z papierowym ręcznikiem w kwiatowe wzory owiniętym wokół zakrwawionego palca, chłopczyk z ramieniem w prowizorycznych szynach, którego mamusia ma minę „już tu byłam”. Nikt tu trupem nie padnie. Uznaję, że mam prawo nie po brytyjsku się wepchać.

- Przepraszam! - krzyczę do recepcjonistki, przeciskając się na przód kolejki. - Szukam męża. Adam Taylor. Przywieziono go tutaj. Jest nieprzytomny.

Ludzie w kolejce przestają na mnie syczeć i odsuwają się na bok.

Recepcjonistka przewija w dół ekran komputera, podnosi telefon i dzwoni.

- Pani Taylor jest na recepcji - mówi, po czym zwraca się do mnie: - Za chwilę ktoś po panią przyjdzie.

Dziękuję jej. Co za kretynizm. Ona się zachowuje, jakby to była cholerna poczekalnia u lekarza rodzinnego. Tylko że nie przyszłam tu po wymaz z szyjki macicy. Czekam, żeby zobaczyć męża, który, z tego, co wiem, leży w pół żywy na łóżku szpitalnym parę metrów stąd.

Wracam do recepcjonistki.

- Nie, proszę pani. Muszę zobaczyć go teraz. - Głos mi drży. Czuję, że zaraz zostanę uraczona kazaniem „proszę czekać w kolejce jak pozostali”, gdy naraz otwierają się boczne drzwi, przez które wychyla głowę pielęgniarka. Dziwnie mnie uspokaja, że jest ode mnie mocno starsza.

- Pani Taylor? - słyszę. Przytakuję. - Doktor Perryman chce z panią porozmawiać.

To niedobrze. Wiem, że to niedobrze. Lekarze są strasznie zajęci, nie rzucają wszystkiego, żeby porozmawiać z krewnymi. Przemyka mi myśl, że Adam być może już nie żyje. Że mógł tu umrzeć.

- Czy on żyje? - pytam. - Muszę wiedzieć. Pielęgniarka odwraca się i łagodnie uśmiecha.

- Żyje. Tylko nadal jest nieprzytomny. Doktor Perryman wszystko pani wyjaśni.

Zostaję wprowadzona do niewielkiej salki obok korytarza. Siedzi w niej z poważną miną srebrnowłosy lekarz. W ręce trzyma notatki.

- Muszę go zobaczyć - wyrywa mi się, a po twarzy leją mi się łzy.

Wszelkie pozory opanowania znikają. - Muszę natychmiast zobaczyć męża. Proszę.

Doktor Perryman przez sekundę się waha. Jest jednak istotą ludzką.

- Dobrze - mówi. - Porozmawiamy później. Ale musi się pani przygotować na to, że pani mąż doznał poważnego urazu głowy. Wciąż jest nieprzytomny. Wprowadzono mu rurkę intubacyjną i jest podłączony do respiratora. Podaliśmy mu także leki uspokajające i zwiotczające mięśnie.

Wpatruję się w niego. Wciążam głośno powietrze.

- To standardowa procedura. Musimy się upewnić, że nie będzie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów, które mogłyby uszkodzić kręgosłup.

Kiwam głową przez łyzy. Doktor Perryman wstaje i wyprowadza mnie z salki, a potem idziemy wzdłuż korytarza. Zatrzymujemy się przed drzwiami, na których jest napis „Oddział Reanimacji”. Zwraca się do mnie, a ja daję znak, że jestem gotowa. Podążam za nim.

W środku jest mężczyzna, który leży na szpitalnym łóżku. Oczy ma zamknięte. Twarz śmiertelnie bladą. Na jego czole rozpychają się plamy fioletu i czerwieni. Gruba rura prowadzi od jednej z licznych otaczających go maszyn do ust. Ten mężczyzna to mój mąż. Ten mężczyzna to Adam.

Pielęgniarkę zauważam dopiero, gdy sprawdza coś na jednym z monitorów.

- Czy on mnie słyszy? - pytam.

- Tego nie wiemy - odpowiada. - Sugerujemy krewnym, żeby rozmawiali tak, jakby pacjent ich słyszał.

Robię krok w kierunku łóżka. Nie całuję jego twarzy, bo za bardzo się boję, że zrobię mu krzywdę. Więc w zamian biorę go za rękę. Jest ciężka i bezwładna. Ściskam ją, ale nie odwzajemnia uścisku. Padam na kolana, by zatopić rozpalone, mokre policzki w jego dłoni.

- Jestem tu - mówię. - Przyjechałam najszybciej, jak mogłam. Już dobrze. Będzie dobrze.

Minutę czy dwie później zagląda doktor Perryman. Podnoszę się i po cichutku wychodzę, nie trzeba mnie ponaglać. Zobaczyłam go.

Powiedziałam mu, że jestem. Teraz potrzebuję odpowiedzi. Podążam za lekarzem do bocznej salki. Zamyka drzwi i podsuwa mi krzesło.

Opadam na nie ciężko.

- Wiem, że to musi być dla pani ogromny wstrząs - zaczyna. - Pani mąż

ucierpiał wskutek ciężkiego urazu przedniej części głowy. Z tego, co wiemy od pracowników muzeum, od momentu uderzenia pozostaje nieprzytomny.

- Ale odzyska przytomność, prawda? Doktor Perryman bawi się długopisem.

- Za wcześnie, żeby wyrokować. Wykonaliśmy wstępną ocenę, coś, co się nazywa skalą Glasgow. Wykryliśmy pewne spontaniczne napięcia i rozluźnienia mięśni i pojawiło się kilka nieartykułowanych dźwięków, ale nie otwiera oczu ani nie reaguje na ból.

- Co to znaczy?

- Oceniliśmy go na pięć punktów, minimalnie mógł otrzymać trzy. To by oznaczało poważne uszkodzenie mózgu, ale więcej będziemy wiedzieli dopiero po tomografii.

- Kiedy to nastąpi?

- Za kilka minut. Tomograf używa promieni rentgenowskich i komputera, żeby stworzyć dokładny obraz wnętrza głowy. Radiolog powinien być potem w stanie dostarczyć nam bardziej szczegółowych informacji.

Kiwam głową. Nadal nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Część mnie oczekuje, że w każdej chwili Adam wmaszeruje do salki, przepraszając za kawał, w którym trochę za bardzo się zagalopował.

Ale nikt nie wchodzi. Drzwi pozostają stanowczo zamknięte.

- Co może wyjść podczas badania? - pytam. Doktor Perryman waha się przez sekundę.

- W gruncie rzeczy sprawdzamy wielkość obrzęku mózgu. To bardzo delikatny narząd o konsystencji galaretki. Każdy gwałtowny wstrząs powoduje jego przemieszczanie, w którego trakcie ściska się i rozszerza.

Mam teraz w głowie obraz mózgu Adama mniej więcej jako katastrofy, którą zapamiętałam z egzaminu z gotowania na zajęciach praktyczno-technicznych.

- A co, jeśli mózg jest bardzo spuchnięty?

- Musielibyśmy operować, usunąć fragment czaszki, żeby zrobić trochę miejsca obrzękowi. Będziemy też sprawdzać, czy nie ma wewnętrznego krwawienia i jakichkolwiek oznak wylewu.

- A uszkodzenie mózgu?

- Na tak wczesnym etapie nie potrafimy powiedzieć, czy mózg uległ uszkodzeniu wskutek urazu.

- Ale taka możliwość istnieje?

- Tak. Obawiam się, że tak.

Już nie wyobrażam sobie galaretki. Wyobrażam sobie Adama, pełnego życia, jak biegnie przez wrzosowiska, jak gdyby nigdy nic; Adama, który przez resztę życia będzie leżał jak jakieś cholerne warzywo. Z faktu, że doktor Perryman podaje mi pudełko chusteczek, wnioskuję, że znowu płaczę.

- Jak powiedziałem, to najgorszy możliwy scenariusz, ale są też zdecydowanie bardziej optymistyczne.

Już mam zapytać, jakie to scenariusze, ale powstrzymuję się, ponieważ nie jestem pewna, czy chcę o nich słuchać. W moim najbardziej optymistycznym scenariuszu nie ma krwawienia wewnętrznego ani obrzęku, ani trwałego uszkodzenia mózgu. Adam wkrótce odzyskuje przytomność, wszyscy śmiejemy się z tego, co się stało, a on przez kolejne lata zabawia znajomych opowieścią, jak to dinozaur sprowadził go do parteru. Jakoś nie sędzę, by najbardziej optymistyczny scenariusz doktora Perrymana miał cokolwiek wspólnego z moim.

*

Siedzę i patrzę, jak Adam jest przenoszony na wysuwane łóżko w sali z tomografem. Niepokojąco przypomina to kostnicę. Za moment łóżko zacznie się przesuwac i stracę z oczu ciało Adama. Mam nagłe poczucie, że oto mi go zabierają. Chcę rozbić szybę i wyszarpać go z powrotem. Powiedziec mu, że jest mój. Ze nie mają prawa. Żadnego prawa. Ktoś naciska guzik. Łóżko zaczyna się przesuwac. Po swojej stronie szyby naciskam przycisk stop, ale nic się nie

dzieje. Nie dzieje się absolutnie nic. Bo nie ma guzika stop.

Przyciskam szybę. Pieprzoną, płaską szybę. Jestem bezsilna. Niczego nie mogę zmienić. Gdy Adam znika w maszynie, słycać głośny warkot. Będzie bardzo niezadowolony. Adam nie lubi ograniczonych przestrzeni. Źle znosi przebywanie w zamknięciu. Co, jeśli zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje? Może krzyczy w środku, ale z powodu leków nic nie dochodzi na zewnątrz. Muszę mu pomóc. Muszę ich powstrzymać.

Uderzam pięścią w szybę. Chwilę później leżę skulona na podłodze i szlocham w niekontrolowany sposób. Przychodzi pielęgniarka i podnosi mnie. Obejmuje mnie ramieniem i zabiera do maleńkiej bocznej salki. Cztery ściany, dwa krzesła. Niewiele więcej niż cela.

Dostaję szklankę wody. Dlaczego wszyscy myślą, że woda coś pomoże? Mój mąż jest nieprzytomny. Może mieć uszkodzony mózg, a jedyne co

wszyscy dokoła są w stanie zrobić, to dać mi szklankę wody i poklepać mnie po dłoni. Chcę się obudzić. Ujrzałam swoją przyszłość i dostrzegłam błędy swego postępowania. Przeszłam przemianę, jak bohater *Opowieści wigilijnej*. Będę szczęśliwa. Będę się cieszyła każdą sekundą życia. Już niczego nie zepsuję, martwiąc się czymś, co może nigdy się nie zdarzyć. Ale oczywiście się zdarzyło. Zostałam ukarana.

To już nie jest koszmar. To życie.

Gdy później siedzę już w gabinecie doktora Perrymana, staram się odgadnąć z wyrazu jego twarzy, jak bardzo złe ma dla mnie wieści.

Mówimy tu o gradacji zła. Nie ma szans, żeby wiadomość była dobra.

- Obawiam się, że tomografia wykazała dość rozległy obrzęk mózgu Adama - mówi doktor Perryman. - Będziemy musieli go operować.

Siła uderzenia skupiła się z przodu

głowy, więc zaobserwowaliśmy szczególnie ciężki obrzęk płatów czołowych. Za jakiś czas, kiedy obrzęk się zmniejszy, przeprowadzimy dalsze badania, między innymi rezonans magnetyczny, żeby spróbować uzyskać dokładniejszy obraz sytuacji. Ale to dopiero po operacji.

Kiwam głową. Brzmi to jak najgorszy możliwy scenariusz.

- Jest jakaś dobra wiadomość? - pytam.

- Nastąpiło krwawienie wewnętrzne, ale nie ma oznak znaczących krwinków ani wylewu, choć mogą się jeszcze pojawić w późniejszym czasie.

- Rozumiem - mówię, choć tak naprawdę nie rozumiem.

- Pani Taylor, wiem, że to bardzo trudny czas dla pani. Ale może być pani pewna, że mąż otrzyma opiekę na najwyższym możliwym poziomie, zarówno podczas operacji, jak i później.

- A jak długo może pozostawać w stanie śpiączki? - pytam. Tak.

Powiedziałam to. Słowo na Ś. Bo taka jest sytuacja. Mój mąż jest w śpiączce.

- Tego niestety nie wiemy. Każdy przypadek jest inny. Ale uczciwie jest powiedzieć, że im dłużej pozostaje nieprzytomny, tym gorsza prognoza.

Bezpośrednio po operacji zostanie przeniesiony na oddział

intensywnej terapii. Następne dwadzieścia cztery godziny będą miały decydujące znaczenie. Na tym etapie to wszystko, co możemy powiedzieć.

Jestem u boku Adama, gdy wiozą go na salę operacyjną. Sama byłam w szpitalu tylko raz w życiu, kiedy rodziłam Mayę. Ani ona, ani Adam nigdy nawet nie leczyli się ambulatoryjnie. A jednak tu jestem, rzucona na głęboką

wodę, bez wcześniejszej aklimatyzacji - w postaci chociażby jakiejś wizyty późną nocą na ostrym dyżurze.

Zatrzymują się przed drzwiami, wychodzi pielęgniarka i pyta mnie, czy chcę ucałować męża, zanim go zabiorą.

Wiem dlaczego. Na wypadek, gdybym nigdy nie miała go już ujrzeć żywego. Siadam w małym pokoiku po drugiej stronie korytarza i zastanawiam się, jakim właściwie pocieszeniem byłby ten pocałunek, jeśli naprawdę okazałby się ostatnim.

Czekanie trwa długo. Najdłużej w moim życiu. Nie robię nic, tylko siedzę, gapiąc się w ścianę. Mózg pusty, oprócz jednej jedynej prośby, żeby Adam dał radę. Kiedy mężczyzna, który jak mniemam, jest chirurgiem, w końcu wchodzi do pomieszczenia, wiem, że wszystko jest w porządku, po prostu że sposobu, w jaki otwiera drzwi. Szybko i głośno. Gdyby wieści były złe, jestem pewna, że otwierałby je cicho i powoli.

- Pani mąż opuścił salę operacyjną. Musieliśmy usunąć spory fragment czaszki, ale wszystko poszło gładko i teraz dochodzi już do siebie.

- Dziękuję - mówię. Nigdy te słowa nie brzmiały tak niewystarczająco.

Zanim wejdem, próbuję przygotować się na to, co zobaczę. Ale nie sądzę, żeby można było przyjąć spokojnie widok swojego męża w śpiączce, po poważnej operacji mózgu. To nie jest coś, do czego jesteśmy zaprawieni.

Głowę ma owiniętą bandażami. Chociaż tyle, że przykrywają większą część zasinienia, ale nie są w stanie ukryć tego, że ma zgolone włosy.

Adam zawsze powtarzał, że gdyby zaczął łysieć, czesałby się na pożyczkę, bo z ogoloną głową wyglądałby idiotycznie. Choć teraz to najmniejsze z jego zmartwień.

Na bandażach widzę plamy zaschniętej krwi. I zauważam, nawet poprzez bandażę, że jego czoło jest bardziej płaskie, prawie zapadnięte.

Chcę zapytać kogoś, co zrobili z kawałkiem czaszki, który usunęli.

Zachowali go? Wstawiają

z powrotem później? Czy dadzą mi go, żebym wzięła do domu jako dość makabryczny souvenir?

Biorę rękę Adama. Głaszczę paznokcie kciuka. Głaszczę go przez dłuższą chwilę, nim jestem w stanie cokolwiek powiedzieć.

- Wiem, że tam jesteś - szepczę w końcu. - Proszę, wróć do mnie.

Proszę, wróć do mnie jak najszybciej.

ROZDZIAŁ 8

Słyszę słowa Mel, które przebijają się przez mgłę między nami. Nie umarłem. Zalewa mnie fala ulgi. Gazety miałyby używanie, gdybym umarł: „Tyranozaur zabił muzealnika”, „Pierwsza ofiara dinozaura od 65 milionów lat”. Pewnie trafiłbym do *Księgi rekordów Guinnessa* jako jedyny człowiek w historii zabity przez dinozaura. I dostałbym jedną z Nagród Darwina, przyznawanych (oczywiście pośmiertnie) ludziom, którzy poprawiają jakość puli genów, przypadkowo się z niej eliminując w naprawdę głupi sposób. Pamiętam, że kiedyś wszedłem na ich stronę i chichotałem, czytając o facecie, który umarł, sprawdzając, czy jego kurtka jest odporna na cios nożem.

Już lepiej, gdyby to się stało podczas jakiegoś heroicznego wyczynu; zepchnięcia z drogi grupki dzieciaków, żeby je uratować albo coś w tym stylu. Ale nie, jestem tu, ponieważ potknąłem się o sznurek piętnaście centymetrów nad podłogą i na czas nie zszedłem z linii upadku czaszki dinozaura. Irlandczycy mają specjalne słowo na określenie takiego kompletnego idioty - *eejit*. To właśnie ja. Idiota, w dodatku patentowany.

Wyobrażam sobie uśmiezek na twarzy Chrisa, kiedy wrócę do pracy. Nigdy nie będę w stanie zmyć z siebie wstydu. A jeśli chodzi o Monty'ego, miałem go za przyjaciela. Wśród wszystkich podłych, dwulicowych, oszukańczych szkieletów dinozaurów. Jeśli chciał wyjechać komuś z byka, mógł wybrać kogoś swojego rozmiaru. Mel wciąż do mnie mówi. Słowa rwą się niczym kiepski sygnał radiostacji. W dziwaczy sposób rozumiem teraz, jak czuje się książę Erie w *Małej Syrence*, kiedy budzi się i pamięta, że słyszał piękny głos, ale nikogo już tam nie ma. Będę musiał opowiedzieć o tym Mayi, kiedy się obudzę. Może uda mi się ją przekonać, że właśnie o to w tym wszystkim chodzi. Ambitne podejście do metody Stanisławskiego, żebym mógł wcielić się w rolę księcia Erica w sztukach Mayi. I wówczas sobie przypominam. Przyjęcie. Maya się załamała. Ponieważ nie będzie okazji, by włożyć nową sukienkę. A Mel nie będzie miała pojęcia, o co chodzi. Pewnie dopiero krewni jej powiedzą. Ze jej mąż przygotowywał dla niej fantastyczną imprezę z okazji dziesiątej rocznicy, ale wziął i wszystko zepsuł, wdając się w bójkę z dinozaurem. Nie spodziewam się, żebym zdołał na czas odzyskać przytomność. A nawet jeśli mi się to uda, będą chcieli zatrzymać mnie na

obserwacji. Kurwa. Ze wszystkich możliwych głupich sposobów położenia imprezy...

Odpywam gdzieś na chwilę. Gdzieś, gdzie nie słyszę głosu Mel.

Mam poczucie, jakbym unosił się w kabinie deprywacyjnej. Nigdy czegoś takiego nie próbowałem, ale Mel raz tak, w spa, i dokładnie mi o tym opowiedziała. Niemal nie czuję swojego ciała. Głowę mam dziwnie odrętwiałą. Pewnie coś mi dali. Naszprycowali mnie po dziurki w nosie. Kiedy działanie leków ustąpi, wróci ból. Ale jak im o tym powiem? Już wiem, że nie jestem w stanie mówić. Próbowałem, kiedy Mel weszła po raz pierwszy. Mózg wysyła słowa, ale nim

dotrą do ust, po drodze gdzieś zanikają. Tak samo, kiedy próbuję się ruszyć. Wygląda na to, że kończyny mi strajkują. Myślę o tym biednym facecie z *Motyła i skafandra*. Nazywał się Bauby. Książka kompletnie mnie rozwalila. Film też. Pamiętam, że Mel wbijała mi paznokcie w rękę w scenie, kiedy zszywali mu powieki w jednym oku.

Zespół zamknięcia, na to cierpiał. Skąd mam mieć pewność, że i mnie to nie spotkało? Też był dziennikarzem. Może jesteśmy bardziej na to narażeni. Nasze mózgi nadal wypływają słowa, a u innych ludzi po prostu się zamykają. Ale wiem jedno. Nigdy nie będę miał

cierpliwości, żeby mruganiem podyktować choćby jeden akapit, nie mówiąc o całej książce.

Najbardziej niepokojący jest brak bodźców. Kiedy to się zdarzyło, wiedziałem, że nie umarłem, ponieważ czułem ból. Ale potem ból zniknął i zastąpiło go dojmujące poczucie odrętwienia. Wtedy myślałem, że umarłem. Ze przekręciłem się na drugą stronę. Czekałem na jasne światło i przejście kolorowym tunelem, o czym wspominają wszyscy ci, którzy rzekomo przeżyli śmierć kliniczną. Kiedy zaczęło się brzęczenie i chrzęsty, myślałem, że to część tego procesu. Ale jednak nie. Coś mi robili. Pewnie badali mi mózg. Pewnie zdziwili się, kiedy odkryli, że wciąż go mam po tym bajzlu, jaki sobie zafundowałem. No, ale go odkryli. I chyba potem dobrali mi się do środka głowy. Jedyne, o czym myślałem, to skecz o Reaganiu z programu *Spitting Image*, w którym zaginął prezydencki mózg.

A teraz? Jak się czuję? Nie wiem. Nie widzę swego ciała, nie czuję go. Tak jakby w głowie przepalił mi się bezpiecznik. I dopiero gdy ktoś wstawi nowy, wróci światło. Wszystko zacznie znów normalnie działać. Żałuję, że bardziej nie uważałem na lekcjach fizyki. Może teraz umiałbym zrobić sobie w mózgu obejście.

- Idiotyczne, prawda? Myślałam, że dziś wieczorem uczymy moją nową pracę. A zamiast tego jesteśmy tutaj.

To głos Mel. Wróciła. A może nigdy nie odeszła i to ja powróciłem do niej. Jej praca. Zapomniałem o tym. Moja wspaniała, przerażająco mądra żona poprowadzi seminarium. Będzie zachwycona. Nigdy nie widziałem, jak prowadzi zajęcia. Dziwne, prawda? Spędzasz z kimś dwie trzecie życia i nigdy nie masz okazji, żeby zobaczyć, jak wygląda jego dzień pracy. Choć potrafię ją sobie wyobrazić. Kiedy wraca do domu, wciąż jest nabuzowana. Mam przed oczami, jak szumi, krążąc po klasie, niczym wrzucona do szklanki tabletki alka seltzer.

Wyjaśnianie różnych rzeczy dobrze jej idzie. Ma też cierpliwość, do Mayi wręcz anielską. Jak sobie przypominę, jaka była podczas całego tego przyuczania do korzystania z nocnika. Nigdy, ani razu, nie straciła cierpliwości, nawet kiedy w drodze do Sheffield, dokąd akurat jechaliśmy, musieliśmy zatrzymać się na każdej stacji benzynowej.

Taka jest we wszystkim, co dotyczy Mayi. Zawsze uspokaja, zachęca, chwali. I popatrzcie, jak to się opłaciło. Popatrzcie na Mayę. Tak jakby miała na sobie niewidzialny płaszcz pewności siebie. Nic jej nie rusza.

A wielki w tym udział Mel.

Jest mi teraz źle. Bardzo źle, że ją zawiodłem. Chciałem tej imprezy dla niej. To miał być mój wyjątkowy gest, mój sposób podziękowania jej za wszystko. I wiem, że na początku byłaby skonsternowana i pewnie na osobności rzuciłaby pod moim adresem kilka inwektyw, ale potem byłaby zachwycona. Naprawdę. Może zrobią tę imprezę beze mnie. Nie obraziłbym się. A przynajmniej niezbyt mocno. I dzięki temu Maya miałaby szansę włożyć swoją kreację. Rany, ale będzie rozczarowana z powodu tej sukienki. Nawet nie wie, gdzie jej szukać.

To wszystko robi się coraz bardziej idiotyczne. Już wystarczająco mi się dostało. Boże, to bardzo zabawny żart, ale teraz chcę już moje życie z powrotem.

- Maya przyjedzie rano - mówi Mel. - Bardzo chce cię zobaczyć. Jest u rodziców, rozmawiałam z nią przez telefon i buzia jej się nie zamyka o jakiejś niespodziance, którą oboje dla mnie szykujecie.

Powiedziałam jej, co ci się przydarzyło. Chciałam być z nią szczerą.

Wiesz, o co spytała w pierwszej kolejności? Czy Monty'emu, cholernemu

tyranozaurowi, nic się nie stało.

Nie umiem ocenić po głosie Mel, czy śmieje się, czy płacze. Może po trosze jedno i drugie, jak ja.

ROZDZIAŁ 9

Mel

Budzę się na krześle obok łóżka Adama, mam sztywny kark. Przez sekundę mnie to drażni, dopóki nie spojrzę na niego i nie przypomnę sobie, że ja nie mam na co narzekać. Ani trochę.

Pielęgniarki nalegały, żebym poszła do domu. Część mnie koniecznie chciała zobaczyć Mayę, żeby upewnić się, że wszystko z nią w porządku - na tyle w porządku, na ile może być, w sytuacji gdy dowiedziała się, że tatuś zasnął twardym snem i jest w szpitalu, i na razie nie wróci do domu. Ale nie mogłam zostawić Adama samego.

Wyobrażałam sobie, że w nocy odzyska przytomność i nie będzie wiedział, gdzie do diabła jest albo co się stało. Musiałam tu być. Jedyna noc, którą spędziliśmy osobno od czasu zamieszkania razem, to kiedy rodziłam Mayę. Adam zawsze żartuje, że próbuję przebić Paula i Lindę McCartney. Ale to nie tak. Po prostu chcę przy nim być.

- Dzień dobry, kochanie - mówię do Adama, nachylając się, żeby pocałować go w policzek. Mam cichą nadzieję, że w tym momencie wszystko potoczy się jak w bajce Disneya. Książę obudzi się z długiego snu. Księżniczka wyzna mu dozgonną miłość i będą żyli długo i szczęśliwie. Właściwie

to nic się nie dzieje. Książę śpi dalej. Księżniczka ciężko wzdycha i stara się powstrzymać łzy. Jestem przekonana, że Mayi nie spodobałaby się ta bajka. Ani trochę.

Wchodzi pielęgniarka. Ta sama, która była tu, kiedy przybyliśmy na OIOM. Na imię ma Jacinta. Uśmiecha się do mnie. Jednym z tych współczujących uśmiechów, które

tak

dobrze
wychodzą
pielęgniarkom.

- To jak się dzisiaj czujemy, panie Adamie? Na zewnątrz piękny dzień. Szkoda tak leżeć, panie Leniuszku. Trzeba zwlec cztery litery z łóżka.

Uśmiecham się do niej. Podoba mi się, że tak gada sobie do Adama.

Polubi ją. Jestem tego pewna. Polubi ją dużo bardziej niż pielęgniarkę z nocnej zmiany. Tamta nie powiedziała do niego nawet pół słowa.

Jakby go tu nie było.

- A pani, młoda damo, powinna się trochę przespać - zwraca się do mnie. - Będę miała oko na pani męża.

- Nie mogę. Moja córeczka przyjdzie niedługo. Bardzo chce zobaczyć tatę.

- Słyszał pan? - mówi do Adama. - Nie wiedziałam, że z pana taki równy tata. Teraz naprawdę musi pan zwlec tyłek z łóżka.

Jacinta kręci głową i zajmuje się przez chwilę sprawdzaniem całej aparatury i monitorów oraz zapisywaniem czegoś na karcie pacjenta.

- Co z nim? - pytam.

- Bez zmian.

Bez zmian w porównaniu z czym? Z pewnością nie z momentem, kiedy obudził się wczoraj rano. Ale co, jeśli jutro będzie bez zmian i pojutrze, i w kolejne dni? Jak szybko zrobi się normalnie? Jak długo potrwa, nim dostanę z powrotem mojego Adama?

Siadam i biorę go za rękę. Odpowiadam mu o szczęśliwych minionych dniach. To tak, jakbyśmy zestarzeliby się długo

przed czasem. I jedyne, czego możemy się jeszcze uczepić, to wspomnienia. A szansa, że pojawią się kolejne, szczęśliwe, maleje z każdą godziną.

- Będziesz miał dziś gości - mówię mu. - Rodzice przyprowadzą niedługo Mayę. A w porze lunchu przyjdą Steve i Louise.

Tylko to powstrzymało Louise przed przyjściem wczoraj, kiedy do niej zadzwoniłam. Wyczuwało się niedowierzanie po drugiej stronie słuchawki.

- Och, Mel - powtarzała. Bez końca. Ludzie nie są przyzwyczajeni do telefonów, które informują ich, że bliska im osoba jest w śpiączce. I nic nie mogą powiedzieć, kiedy im się już to przekáže. Oprócz „Och, Mel”.

I propozycji, że przyjdą z wizytą. Ale nie chciałam, żeby wczoraj ktokolwiek przychodził. Po prostu chciałam przez chwilę być sam na sam z

Adamem. Postarać się jakoś zrozumieć, co się stało, nim z kimkolwiek stanę twarzą w twarz.

Spoglądam na zegarek. Jest za piętnaście dziesiąta.

- Wyjdę im na spotkanie. Niedługo wrócę, dobrze?

Trudno przestać mówić rzeczy, które w normalnych warunkach pociągałyby za sobą odpowiedź. Być może właśnie to staram się zrobić. Podstępem zmusić Adama, żeby odpowiedział „dobrze” albo „w porządku”, jak gdyby po prostu bawił się w ciche dni, a ja, mówiąc właściwą rzecz, zamiast zwracać się do niego wprost z pytaniem, mam szansę przyłapać go na złamaniu postanowienia, żeby się do mnie nie odzywać. Adam milczy. W tej grze jest zdecydowanie lepszy ode mnie.

Idę na koniec korytarza, żeby poczekać na Mayę. Chcę ją zobaczyć, zanim ona zobaczy Adama. Muszę ją przygotować, chociaż nie mam błędnego pojęcia, jak u licha miałabym to zrobić. Przez cały tydzień edukuję innych ludzi w temacie dzieci; jak je uczyć, jak pomagać im w trudnych chwilach,

jak radzić sobie z chorobą, narkotykami, alkoholem, przemocą domową. Ale kiedy chodzi o nasze własne dziecko, to zupełnie inna para kaloszy. Za dużo wiem. Wiem, że takie zdarzenia mogą źle wpłynąć na dzieci, które wcześniej były dobrze przystosowane, że mogą napędzić rozmaite kompleksy. Wiem, że muszę być silna dla Mayi. Żeby uwierzyła, że jest jakieś wyjście z tej sytuacji. Że wszystko znów może być dobrze. Ale jak mam tego dokonać, skoro nie jestem pewna, czy sama w to wierzę?

Podwójne drzwi otwierają się i oto jest. Wybucha mi w ramionach łzami i bólem. Wszelkie pomysły, jakie miałam, żeby utrzymać wszystko w ryzach, wyparowują w jednej chwili. Moje łzy mieszają się z jej łzami, miłość odkaża ból, powoduje, że on znika. Maya przyczepia się do mnie jak rzep i ja też wtulam się w nią, zapewniając jej przynajmniej jedną rzecz, której może się trzymać.

- Chcę zobaczyć Tatusia - szłocha mi do ucha.

- Wiem, kochanie. Już cię do niego zabieram. Muszę tylko najpierw z tobą porozmawiać. Wy tłumacz mi, jak to będzie.

Odsuwa się odrobinę, pozwalając mi odetchnąć i podnieść wzrok.

Zdaję sobie sprawę, że moi rodzice wiszą nad nami niczym żywa rzeźba zatytułowana: „Nie wiedząc, co zrobić lub co powiedzieć”.

- Nabił sobie dużego guza? - pyta Maya.

- Coś w tym rodzaju. Przeszedł poważną operację i ma głowę w

bandażach. Musieli zgolić mu włosy przed operacją, ale odrosną. Ma też w ustach dużą rurkę, bo nie może sam oddychać.

- Jak nie możesz oddychać, umierasz. - Lekcje biologii w wykonaniu Adama były aż nadto udane.

- Jest w porządku, lekarze mają takie urządzenie, które oddycha za Tatusia.

- Czemu sam nie może?

- Jego mózg spuchł wewnątrz głowy i nie pracuje odpowiednio. Ta część, która wysyła wiadomości do innych części ciała, przestała pracować.

- Trzeba ją naoliwić?

Uśmiecham się. Maya uwielbia patrzeć, jak Adam majstruje przy rowerze.

- Coś w tym stylu, kochanie. Potrzebuje czasu, żeby mu się polepszyło.

- A jak się nie polepszy? Czy on umrze?

Jezu. Myślę sobie, że brała u Adama lekcje na temat technik przeprowadzania wywiadów. Połykam gulę, która narosła mi w gardle, i znów przytulam mocno Mayę.

- Kochanie, lekarze nie uważają, że umrze. Ale jest bardzo chory.

Oczy ma zamknięte i nie może się poruszyć ani z tobą porozmawiać.

Ale będzie cię słyszał.

- To naoliwili mu uszka?

- Lekarze są zdania, że musimy cały czas mówić do Tatusia. Żeby wiedział, że tu jesteśmy.

Maya kiwa głową, potop pytań chwilowo ustaje. Wstaję. Tata całuje mnie delikatnie w policzek. Nawet jego okulary wyrażają zaniepokojenie. Mama głaszcze moje ręce. Widać, jak trudno im znaleźć słowa.

- Dobrze ci było u Babci i Dziadka? - pytam Mayę.

- Tak. Jedliśmy lody. Ale Dziadek nie chciał opowiedzieć mi historyjki o Montym.

Zerkam na Tatę, który wzrusza przepaszająco ramionami. Pewnie obawiał się koszmarów.

- Nie szkodzi. Najpierw pomóżmy Tatusiowi wyzdrowieć. Może potem będziemy się bawić w historyjki o Montym.

- Czy Monty też wyzdrowieje?

- Kochanie, mam taką nadzieję. Przyjaciele Tatusia z muzeum pewnie składają go z powrotem.

- Mogę pójść zobaczyć?

- Najpierw zobaczymy Tatusia, dobrze?

Biorę ją za rączkę i ruszamy korytarzem. Kiedy dochodzimy do drzwi sali Adama, zwracam się do rodziców.

- Możecie dać nam najpierw pięć minut na osobności?

Tata kiwa głową. Mama przywdziewa swój najlepszy niedzielny uśmiech. Otwieram drzwi i wprowadzam Mayę do środka. Jest moment zawahania, kiedy wpija się mocno w moją dłoń, ale ją puszcza i biegnie do łóżka.

- Tatusiu! - krzyczy, dopadając do jego nóg i przyciskając główkę do kolan. Jak głupia nie ostrzegłam jej, żeby była delikatna, żeby uważała na jego głowę, żeby nie przewróciła ani nie dotykała żadnych urządzeń. Ale okazuje się, że nie potrzebowałam tego robić. Wydaje się, że Maya ma instynktowną wiedzę, jak zachowywać się, kiedy tatuś leży w śpiączce.

- Monty był bardzo niegrzeczny, Tatusiu. Ze tak cię urządził - mówi. -

Już ja mu nagadam, jak go zobaczę. Chyba tylko tak się bawił. Myślę, że nie zrobił tego specjalnie.

Mrugam, żeby rozproszyć łzy i móc dobrze widzieć. Moją córeczkę i męża, dwoje ludzi, których kocham najbardziej na świecie, a skala ich miłości odbiera mi dech, nawet gdy jedno z nich pogrążone jest w śpiączce.

- Tatusiu, ale masz dużo rurek i innych rzeczy. Mam nadzieję, że lekarze szybko ci pomogą. Chyba potrzebujesz trochę więcej oleju.

Teraz trzyma go za rękę. Bawi się jego palcami, jak gdyby stroiła radio. Idzie odrobinę dalej w górę łóżka, w kierunku głowy, nachyla mu się nad uchem i szepce coś. Czeka kilka sekund i szepce ponownie.

- Co mówisz Tatusiowi? - pytam.

- Nie mogę ci powiedzieć. To tajemnica.

- Ach, ta sama, o której wspominałaś przez telefon?

- Tak. Ale nie mogę powiedzieć. Obiecałam Tatusiowi. Spogląda na Adama, a potem znów na mnie. Twarz jej się marszczy.

- Nie wiem, gdzie jest moja sukienka - mówi łamiącym się głosem.

- Jaka sukienka, kochanie? - pytam, klękając obok niej i obejmując ramieniem.

- Którą Tatuś kupił mi na przyjęcie. - Powiedziawszy to, zakrywa szybko ręką usta, a następnie zaczyna płakać. Mocno szlocha, łka.

- Jakie przyjęcie? - pytam, głaszcząc ją po włosach.
- Nie mogę ci powiedzieć. Tatuś mówił, że to niespodzianka.
Coś się działo. Coś, o czym nie mam pojęcia.
- Kochanie, kto jeszcze o tym wie?
- Dziadziuś i Babcia, ale oni powiedzieli, że teraz nie możemy mieć przyjęcia. Ale nie mają racji, prawda? Tatuś obudzi się na czas, prawda?
- Kochanie, a kiedy to jest?
- Dziś wieczorem. Tatuś powiedział, że będę mogła nie kłaść się do późna. Jak będę grzeczna, to do północy, jak Kopciuszek.

Otwieram drzwi. Mama i Tata czekają tuż za nimi. Po ich twarzach widać, że słyszeli każde słowo.

- Wchodźcie - mówię.

Wchodzą i zamykają za sobą drzwi. Spoglądają na Adama, a potem uciekają wzrokiem w podłogę, jak ludzie na ulicy, kiedy widzą niepełnosprawnego.

- O co chodzi z tym przyjęciem? - pytam.

- Nie chcieliśmy zawracać ci tym wczoraj głowy - mówi Tata.

- Zawracać mi czym głowy?

Mama wzdycha. Wiedziała, że pierwsza pęknie.

- Adam zorganizował dla ciebie wielkie przyjęcie z okazji rocznicy. Miało być dziś.

- Jak wielkie? Gdzie? Kto jeszcze ma przyjść? - W kwestii bombardowania kogoś pytaniami stałam się godną rywalką Mayi.

- W Scitcliffe Hall - mówi Mama. - Zaprosił chyba z osiemdziesiąt osób. Rodzina i przyjaciele. Miał być poczęstunek, orkiestra i cała reszta.

Kiwam głową, nie bardzo wiedząc, co mam zrobić z tą nową informacją. Część mnie chce uściskać Adama, że zrobił to wszystko z myślą o mnie. Inna część chce walić go poduszką po głowie, że nie posłuchał, kiedy prosiłam, by nie było hucznie. Bo teraz zobacz, co się stało. Zerkam na Adama. Jedna łza wymyka się z jeziora, które nagromadziło mi się w oczach. Maya rzuca się w moim kierunku.

- Mamusiu, nie martw się. Dalej możemy mieć przyjęcie. Tatuś nie ma nic przeciwko.

Spoglądam w sufit i twarz mi się zmienia. To już za dużo. Tego już nie wytrzymam. Nie po tym wszystkim.

- Skarbie, zadzwoniliśmy wczoraj do hotelu i odwołaliśmy - mówi Tata.

Maya zalewa się świeżą falą łez. Obejmuję ją mocniej.

- Oddadzą ci zaliczkę, chociaż tyle - dodaje Mama. -Z powodu okoliczności czy jakoś tak.

- Obdzwoniliśmy rodzinę - ciągnie Tata. - I poinformowaliśmy ich.

Ale nie mamy numerów waszych znajomych.

Spoglądam w dół, na przełamaną na pół twarz Mayi.

- Przykro mi, kochanie. Ale nie możemy mieć przyjęcia bez Tatusia.

- Chcesz, żebyśmy mieli przyjęcie, prawda, Tatusiu? -Maya podbiega do Adama. Ta pauza, kiedy czeka na odpowiedź, która nie nadchodzi, rozwala mnie kompletnie. Uderza mnie też to, że jeśli Adam nas słyszy, wcale mu to

nie pomaga. Wręcz przeciwnie, musi mu być okropnie. Do sali wchodzi Jacinta i przerywa nieprzyjemną scenę.

- Hej, panie Adamie, czy to pańska śliczna dziewczynka? - zagaduje.

Maya odwraca się, żeby spojrzeć na Adama, oczekując, że może Jacinta posiada jakiś tajny sposób komunikowania się z nim.

- Ależ szczęściarz z pana - mówi dalej Jacinta. - Piękna żona i śliczna córeczka. Musi pan szybko się dla nich obudzić.

- Ja i Tatuś mieliśmy dla Mamusi przyjęcie niespodziankę - tłumaczy Maya. - Ale teraz już nie możemy go mieć, bo Tatuś źle się czuje, i dlatego nie mogę włożyć mojej nowej sukienki.

- Idę o zakład, że wyglądasz w niej ślicznie jak z obrazka - pociesza Jacinta. - A kiedy Tatusiowi się polepszy, myślę, że będzie wtedy przyjęcie, żeby to uczcić, i będziesz mogła włożyć swoją nową sukienkę.

Jacinta spogląda na mnie i mruga porozumiewawczo. Uśmiecham się z wdzięcznością. Maya wydaje się udobruchana. Adam śpi dalej.

*

Siedzę sama, gdy przyjeżdżają Louise i Steve. Rodzice zabrali Mayę do domu, miała dość przeżyć jak na jeden dzień. Louise puka do drzwi.

Widzę przez szybę jej twarz, poważną i zmęczoną. Jakby ktoś umarł. I ludzie przychodzili pochylić się nad ciałem i złożyć kondolencje.

Wstaję, Louise podchodzi szybko i obejmuje mnie. Stoimy tak dłuższą chwilę. Dobrze mieć kogoś w moim rozmiarze, do kogo można się przytulić. Żadna z nas nic nie mówi. Nie ma takiej potrzeby. Kiedy w końcu podnoszę wzrok, widzę, jak Steve z niezręczną miną stoi w nogach łóżka Adama.

Jego ciemne oczy wydają się osadzone jeszcze głębiej niż zazwyczaj, a

wysoka szczupła sylwetka jakby walczyła, by się nie zgarbić.

Puszczam Louise i podchodzę do niego. Steve na ogół unika pocałunków i uścisków. Ale to nie jest normalna sytuacja. Obejmuję go. Z początku jakby nie wiedział, gdzie podziąć ręce. Trzęsie się. W

końcu czuję delikatny dotyk jego palców na moich plecach.

- W porządku - szepczę, głaszcząc jego plecy. - Wyjdzie z tego.

Zarost Steve'a drapie mnie w czoło. To jedyne, co przypomina mi, że mam do czynienia z dorosłym mężczyzną. Jeśli chodzi o całą resztę, wygląda to dokładnie, jakbym trzymała w ramionach chłopca. Tego samego chłopca, który zawsze był u boku Adama, kiedy razem dorastaliśmy. A jego przyjaźń nigdy nie zawiodła. Spoglądam na Steve'a, a on kiwa głową. Chociaż niezbyt pewnie. Podobnie jak niepewny jest półuśmiech na twarzy Louise. A to, o czym nikt nie wspomina, prześladuje nasze myśli. Co, jeśli z tego nie wyjdzie? Co, jeśli nigdy nie wyzdrowieje?

Podchodzę do łóżka Adama. Dotykam lekko jego ręki.

- Przyszli Louise i Steve.

Steve wydaje się zaskoczony, że ma rozmawiać z Adamem. Pierwsza odzywa się Louise.

- Mam nadzieję, że głowa nie boli cię aż tak bardzo. Na szczęście to już nie epoka kompresów z octu.

Louise zerka na mnie niepewnie. Daję jej znać, że dobrze sobie radzi.

- Nie martw się o Mel - mówi dalej. - Będziemy się nią opiekować. Po prostu skup się na tym, żeby zdrowieć.

Louise odchodzi od łóżka. Sala wypełnia się na chwilę ciszą. Widzę, że Steve z trudem przełyka ślinę.

- Jeśli kiedykolwiek spotkam tego dinozaura, który ci to zrobił, obiję mu mordę.

Przez sekundę mam wrażenie, że klatka piersiowa Adama się zatrzęsła i że wybuchnie śmiechem. Ale to tylko myślenie życzeniowe.

W zastępstwie Adama uśmiecham się do Steve'a. W jego imieniu.

- A teraz przyznajcie się, czyj to był pomysł z tą imprezą.

- Oj, to już wiesz - dziwi się Louise.

- Maya mi powiedziała. Rodzice ją odwołali.

- Ja nie miałem z tym nic wspólnego. - Steve unosi ręce. - To w całości sprawka Adama. Ale próbowałem mu powiedzieć, że nie lubisz niespodzianek.

Louise posyła mu karcące spojrzenie.

- Adam był bardzo podekscytowany tą imprezą - mówi szybko i odwraca się do mnie. - Planował ją od miesięcy. Nie mam pojęcia, jak udało mu się utrzymać wszystko w tajemnicy przed tobą.

- Ani ja. Ale muszę wiedzieć, kto był zaproszony. Muszę wszystkich obdzwonić. Nie mogę ich narażać, żeby jechali po nic.

- Nie bądź głuptaskiem. My to zrobimy - deklaruje Louise.

-Właściwie to już zaczęliśmy. Wczoraj wieczorem Steve zadzwonił do paru osób, z którymi biegają. I do wszystkich z uniwerku, którzy przyszli nam do głowy. Nie jesteśmy tylko pewni, kto jeszcze był zaproszony. Pewnie Adam miał gdzieś listę.

- Pewnie w swoim blackberry - mówię. - Bo wiedziałby, że tam nie zajrzę.

- Gdzie on jest? - pyta Steve.

- Pewnie tam w torbie. - Wskazuję na szafkę przy łóżku. - Szpital przekazał mi wszystkie rzeczy, które Adam miał przy sobie, kiedy to się stało. Szczerze mówiąc, jeszcze tam nie zajrzałam.

- Może wezmę go i wyślę SMS do wszystkich w jego książce adresowej? To samo mogę zrobić z twoją komórką, jeśli chcesz.

- Naprawdę? Dziękuję. To by było cudowne.

- Znasz jego hasła do Facebooka i Twittera?

- MayaGrace - mówię po chwili namysłu. - I do wszystkiego innego też.

- Może i tam coś zamieszczę. Na wypadek, gdybym kogoś pominął.

Gdzie jego laptop?

- Pewnie w bagażniku samochodu.

- A samochód?

- Na stacji Littleborough. Mam nadzieję, że kluczyki są w tej torbie. O Boże, o niczym nie pomyślałam. Muszę zrobić tyle rzeczy.

Padam z powrotem na krzesło. Louise posyła Steve'owi spojrzenie pod tytułem „odpuść” i kuca obok mnie.

- Mel, przeżyłaś potworny szok. To oczywiste, że o niczym nie pomyślałaś. Byłaś tu, gdzie twoje miejsce, z Adamem. Nie musisz w ogóle o tym myśleć. My się wszystkim zajmiemy. Chociaż tyle możemy zrobić i dzięki temu nie będziemy się czuli tak cholernie bezradni. Dobrze, a kiedy ostatnio jadłaś?

Niezbyt przytomnie spoglądam na Louise. Na śniadanie zjadłam batonik

Toffee Crisp, który znalazłam w torebce, i mam mgliste wspomnienie Jacinty przynoszącej mi wczoraj kanapkę z serem i pomidorem, ale pewna nie jestem.

- No tak - stwierdza Louise. - Zabieram cię do bufetu. Steve posiedzi z Adamem. A może się prześpisz? Nie powinnaś zostawać tu znowu na noc.

- Chcę pojechać do domu, do Mayi, ona potrzebuje jakiejś normalności. Ale nie jestem w stanie znieść myśli, że zostawię Adama samego. Na wypadek, gdyby, no wiesz...

- Ja z nim zostanę - deklaruje Steve. - Załatwię wszystko po południu, pojedę do jego auta, wyślę SMS-y. Potem przyjadę tu na nocną zmianę, żeby cię zluzować.

- Dziękuję - mówię. - Bardzo mi pomagasz. Adamowi też twoje towarzystwo sprawi przyjemność. Będziecie mogli pogadać o męskich sprawach. Pewnie ma już dość mojego paplania.

- Daj spokój - ucina Louise. - Lunch.

- Pielęgniarka pewnie będzie tu za chwilę - mówię Steve'owi. - Ma na imię Jacinta, jest naprawdę miła. W razie jakichkolwiek problemów po prostu naciśnij ten guzik. - Wskazuję na panel obok łóżka Adama.

Steve kiwa głową.

- Idźcie - mówi. - Damy sobie radę.

Dopiero w momencie gdy wchodzę do szpitalnego bufetu, świat dość nieprzyjemnie przypomina mi, że poza salą Adama życie toczy się dalej. Ludzie jedzą i piją, rozmawiają, wychodzą na zewnątrz na dymka. Zastanawiam się, z jakiego powodu są tutaj. Kogo odwiedzają, w jakim są stanie, od jak dawna tu przychodzą. Chce mi się krzyknąć: „Zamknijcie się, dobrze? Mój mąż leży w śpiączce”. Ale nie krzyczę.

Siadam cicho przy stoliku w rogu, a Louise idzie po jedzenie.

- Przepraszam. - Wraca kilka minut później z miseczką zupy pomidorowej i kanapką z sałatką z tuńczyka. - Nie było za bardzo wyboru.

Wybieram zupę. Zauważam swoje odbicie w łyżce. Mam na sobie wczorajszy makijaż i wczorajsze ubranie. Przypomina mi się wiersz Audena *Niech staną zegary*. Jak ja wypłakiwałam oczy, kiedy John Hannah recytował go w *Czterech weselach i pogrzebie*. Adam ścisnął mi wtedy rękę. Dałabym wszystko, żeby zrobił to teraz.

Odkładam łyżkę i gapię się w zupę, a chmury łez znów się zbierają.

- Hej... - Louise pochyla się, żeby pomasować mi ramiona. -

Wszystko dobrze.

- Ale przecież nie jest, prawda? Wiesz, nie tak miało być. To nie miało się zdarzyć. Miałam dziś wieczorem iść na przyjęcie z okazji dziesiątej rocznicy naszego ślubu.

- Pielęgniarka miała rację. Urządzimy wielką imprezę, kiedy Adam poczuje się lepiej.

Wzruszam ramionami. To bardzo miłe, że ludzie mówią „kiedy”, a nie „jeśli”, ale nie zmienia to sytuacji. Mamy do czynienia z „jeśli”.

- Wiesz, co jest naprawdę głupie? - mówię. - Nie mogę przestać myśleć, że to jego wina. Ze planowanie tak dużej imprezy to było kuszenie losu. Dlatego nie chciałam hucznych obchodów.

- To szaleństwo. Nikt nie mógł przewidzieć tego, co się stało.

- Wiem. I wtedy zaczynam nienawidzić siebie za to, że go obwiniam. I zaczynam winić się, że byłam wczoraj taka cholernie szczęśliwa.

Dostałam więcej godzin i seminarium do prowadzenia.

- Mel, to fantastycznie.

- Teraz już nie. Prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Chcę tylko odzyskać Adama.

Louise podrzuca mnie później na stację Mytholmroyd. Mój samochód wciąż tam stoi, chociaż tyle. Choć wygląda trochę, jakby był porzucony. Jak gdyby zaczynał się zastanawiać, czy kiedykolwiek wróce. Krótki odcinek do domu przejeżdżam na autopilocie. Dopiero kiedy widzę samochód Adama przed domem, tam gdzie Steve go zaparkował, uderza mnie, że stracił kierowcę i nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek go odzyska.

Waham się, nim włożę klucz do zamka. Zbieram się w sobie, żeby zaprezentować pogodną twarz i pozytywne nastawienie, których Maya teraz potrzebuje. Ale nastawiam się na to, że dom bez Adama będzie wydawał się potwornie opustoszały.

Pierwsza *rzecz*, którą widzę po wejściu, to dwie jego kurtki wiszące w przedpokoju. Sekundę później słyszę „Mamusia przyszła”. Maya wybiega z kuchni, wciąż urażona i wściekła. Łapię ją w ramiona i pozwalam, żeby ścisnęła mnie tak mocno, że zastanawiam się, czy jak wstanę, na pozostawię na podłodze kałuży.

- Kiedy wraca Tatuś? - pyta.

- Kochanie, jak tylko poczuje się lepiej.

- A kiedy to będzie?

- Nie wiemy, skarbie.

- Chciałam iść na twoje przyjęcie. - Mayi znów lecą łzy, a za nią w drzwiach kuchni staje Tata.

- Próbowała znaleźć swoją sukienkę - mówi. - Nie wie, gdzie Adam ją położył. Mówi, że miał pójść gdzieś ją schować. Szukaliśmy w jej szafie, ale nie ma.

- Chodźmy - zwracam się do Mayi. - Idziemy na górę. Poszukamy jej razem.

Zsuwam buty i podążam za Mayą, która wspina się po schodach na czworakach. Doskonale wiem, że u dzieci, które przeżywają traumę, często pojawia się regresja. Zaczyna wzbierać we mnie fala paniki, ale wówczas przypominam sobie, że Maya robiła tak już w zeszłym tygodniu. Może w ten sposób wspina się szybciej. Ale zdaję sobie sprawę, że od teraz już tak będzie. Ciągle będę wyszukiwała oznak psychicznego urazu.

- Zaczniemy w naszym pokoju! - wołam za nią.

Podchodzę prosto do komody Adama i zaczynam przetrząsać szuflady. Starając się nie myśleć o tym, że moje ręce dotykają jego ubrań. Gdy w ostatniej szufladzie nie znajduję sukienki, otwieram drzwi szafy Adama i jego zapach uderza mnie prosto w twarz. Kilka koszul niewątpliwie należy do kolekcji „już raz noszone”. Wiszą na wypadek, gdyby skończyły się te świeżo uprane i wyprasowane. Nie pachną brzyd-

ko, ale mają jego zapach, co wystarcza, żebym musiała przygryźć wargę. Mój wzrok przyciąga coś błyszczącego, widocznego przez plastikowe okienko pokrowca na garnitur. Koszule z cekinami nie są w stylu Adama. Zdejmuję pokrowiec, rozpinam i wyciągam ze środka maleńki wieszak.

- To ona! - krzyczy z zachwytem Maya. - Moja sukienka. Prawda, Mamusiu, że jest piękna?

Kiwam głową, nie mogąc wydusić słowa, gdy Maya wiruje po pokoju, przyciskając do siebie sukienkę.

- Swoją też znalazłaś? - pyta Maya.

- Moją co?

- Sukienkę. Tatuś powiedział, że tobie też kupił. Ale w innym kolorze. Wracam do szafy. Sięgam do pokrowca i wyciągam drugi wieszak.

Wisi na nim dopasowana sukienka wieczorowa z cienkiego jak opłatek jedwabiu w kolorze indygo. Mam buty i torebkę dokładnie w tym samym

odcieniu. Zawsze narzekam, że kupiłam dodatki, zanim znalazłam pasującą do nich suknię.

- Jest śliczna, prawda, Mamusiu? Nie tak piękna, jak moja, bo się nie błyszczy, ale i tak będziesz w niej ładnie wyglądała.

Uśmiecham się przez łzy, przykładając do siebie suknię.

- Włóżmy je - mówi Maya. - Zrobimy niespodziankę Babci i Dziadziusiowi.

Bardzo chciałabym zrobić jej przyjemność, ale obawiam się, że mogę kompletnie się załamać.

- Kochanie, włóż swoją. A ja myślę, że swoją zostawię na czas, kiedy Tatuś wróci do domu.

ROZDZIAŁ 10

Wszystko co jasne i piękne, wszystkie stworzenia duże i małe**.

Co to, kurwa, ma być? Chyba w nocy umarłem. Anioły witają mnie w niebie. Chociaż anioły nie powinny fałszować.

„Wszystko co mądre i wspaniałe, przez Pana Boga jest stworzone”.

O Boże, na pewno jestem w piekle. Upadłe anioły witają potępionych. Jezu, żałuję, że nie płaciłem abonamentu RTV. Nie miałem pojęcia, że będą w stanie to sprawdzić.

„Każdy kwiatusek, co się otwiera, każdy ptaszek, który śpiewa”.

„Słodkie krople deszczu i słońca promienie z niebios”.

Chwila, moment. Poznają ten głos. Spotkania rodzinne, śluby i pogrzeby. To Joan. Moja teściowa. To gorzej niż piekło. To piekło na ziemi. Postanowiła mi śpiewać. Próbuje wybudzić mnie ze śpiączki.

Jezu, myślałem, że bardziej się postarają. Susan Boyle była zbyt zajęta? Jak się lepiej nad tym zastanowić, Katy Perry to byłby trafny wybór. Albo nawet Cheryl Cole, nie będę kręcił nosem.

*** Hymn anglikański *All Things Bright and Beautiful*, tłum. W Nerkowski.**

„Fioletowe szczyty gór, płynące w dół rzeki”.

Zapomniałem, że jest więcej zwrotek. Chyba co najmniej trzy.

Problem w tym, że nie mam pewności, czy na tym jednym hymnie się skończy. Ona tak naprawdę wcale nie jest uduchowioną osobą. Wydaje mi się, że chodzi do kościoła jedynie ze względów towarzyskich. Jest oczywiście zagorzałą miłośniczką programu *Songs of Praise*. Śmierć świętej

pamięci wielkiego Harry'ego Secombe'a była niemal równoznaczna z odejściem Mesjasza. Choć to, że następnie chałturę tę przejął Aled Jones, miało w sobie coś z powtórnego przyjścia.

Pozwalam, żeby słowa przepłynęły przeze mnie, żałując, że nie robią tego szybciej.

„Wszystko to przez Pana Boga jest stworzone”. Czy ona robi pauzę dla efektu, czy może to już koniec? Nie, nie. Chyba skończyła.

Alleluja. No, proszę, tym mnie do siebie zjednała.

- Dzień dobry, Adamie. Pomyślałam, że to będzie dla ciebie miły początek dnia. Oczywiście, nie codziennie. W grafiku są też inni. Ale we wtorki i czwartki to ja będę ci towarzyszyć.

Jest grafik? Czyj to był pomysł? Grafiki są do uciążliwych zadań - zmywanie, wynoszenie śmieci - no, przecież nie do opieki nad pogrążonym w śpiączce? Czy mogę dostać stąd przepustkę na wtorkowe i czwartkowe poranki? Może uda mi się dokonać samozapłonu i włączyć alarm przeciwpożarowy. Cholera, żałuję, że nie mogę mówić. Ani się ruszać. Chciałbym zrobić coś jak z Biblii, wstać, wziąć swoje łóżko i odejść. Ile to już trwa? Nie wiem dokładnie.

Gadają ci te wszystkie bzdety, a nikt nie wspomni, który dziś jest.

Może obawiają się, że w ten sposób poczułbym się traktowany z góry.

Albo po prostu myślą, że wolałbym nie wiedzieć, że czułbym się jeszcze gorzej, gdybym odkrył, ile dni zeszło mi na leżeniu tutaj. Dni, których nikt mi

już nie wróci. Myślałem, że potrwa to parę godzin. Może dzień albo dwa. Ale ciągnie się to już dłużej, tyle wiem. Nie używam przecież kalendarza, mam tylko system oparty na cyklu hałasu. Potrafię odróżnić noc od dnia dzięki różnym głosom personelu szpitalnego i ponieważ nocą nie ma odwiedzających. Trudność sprawia mi liczenie mijających dni. Wystarczyłyby najprostszy system stawiania kresek na wezglowiu łóżka. Ale mogę jedynie próbować wyobrażać to sobie w głowie. Niestety, moja głowa wydaje się do bani, jeśli chodzi o przypominanie sobie, ile kresek było wczoraj.

- Pani Westwood przyszła wczoraj do przychodni. Hemoroidy znów dają jej popalić. Ależ się ona z nimi męczy.

O, nie. Już ja wiem, dokąd to zmierza. Pieśni religijne, a potem raport medyczny o stanie zdrowia dobrych ludzi z Mytholmroyd. W

normalnych okolicznościach nie chciałbym wiedzieć o hemoroidach pani

Westwood, więc co u licha każe jej przypuszczać, że będąc w śpiączce, mam ochotę o tym słuchać? Chyba że próbuje mnie zanudzić do tego stopnia, że zacznę spełniać polecenia. Tak jakby ludzie w śpiączce byli w rzeczywistości rozleniwieni i jeśli ich życie uczyni się wystarczająco nudnym i przyziemnym, będą musieli otworzyć oczy i przemówić. Ale to tak nie działa. Leżałem tam, usiłując dźwignąć powieki, wysyłać sygnały, aż zaczęło mnie boleć od tych prób, ale moje znaki, zamiast dotrzeć do odbiorcy, wpadały do jakiegoś trójkąta bermudzkiego.

Odkrywam, że jestem nedorzeczenie zazdrosny o Jeana—Dominique’a Bauby’ego, kolesia od *Motyła i skafandra*. Przynamniej miał jedno oko, którym mógł mrugać. A także, jak sobie przypominam z filmu, otaczało go stadko pięknych kobiet, które się nim zajmowały (chyba że po prostu reżyser chciał, aby to wyglądało bardziej estetycznie i przyjemnie). Ja mam teściową, która śpiewa mi hymny i opowiada o wstydlivych problemach zdrowotnych innych ludzi. Kiedy wybu-

dzę się ze śpiączki, a wybudzę się, doniosę na nią za naruszenie tajemnicy lekarskiej. To będzie zabawne. Parskam śmiechem. Tyle że oczywiście w ogóle tego nie słyszą. Uwiązł mi gdzieś po drodze jak wszystko inne, co próbowałem powiedzieć. Zastanawiam się, czy kiedy w końcu uda mi się przemówić, to będzie jakby zaważyła się cholerna ściana i uwięzione słowa wypłyną szerokim strumieniem.

- Wczoraj w *Najsłabszym ogniwie* Anne Robinson miała nowe okulary. Nie wiem, skąd ona bierze na to pieniądze. Cóż, oczywiście wiem skąd. Ta durna BBC jej płaci. I pomyśleć, że kiedyś prowadziła *Points of View*. Rzekomo wstawiała się za płacącymi abonament.

Żałuję teraz, że pisałam do niej wszystkie te listy. I tak żadnego nigdy nie przeczytała na antenie.

To przestań je pisać. Mnie nie będzie żal. A wręcz przejdę przez całe Mytholmroyd w dziękczynnym tańcu.

- Wczoraj wieczorem, no, wiesz, wyciągnęłam Sylwię. Nie bardzo ma pojęcie, co ze sobą począć, teraz, jak Bill odszedł. To się nie powinno przydarzyć, prawda? Nie kobiecie w naszym wieku. Jeśli już mamy być skazane na samotność, przynajmniej powinno nam się pozwolić zostać pełną godności, oplakującą wdową. Poszliśmy do tej indyjskiej restauracji w Luddendenfoot. „Half-Moon” chyba się nazywa. Ja wzięłam omlet, a ona krewetki w panierce. Bardzo udane. Oczywiście trochę śmierdziało, te

wszystkie potrawy z curry, które brali inni, ale jakoś wytrzymałyśmy ze względu na obsługę. Kelnerzy tacy uczynni i uprzejmi. Przed niczym się nie uchyla.

Zastanawiam się przez chwilę, czy właśnie tak się zawinę. Udusiwszy się własnym śmiechem. Czuję, że odpływam. Być może tracę wolę życia. Albo przenoszę się tam gdzie zawsze, kiedy moja głowa wydaje się trochę „rozstrajać”.

*

Wybieram się w podróż pociągiem. Słyszę, jak para świszczę, a tłoki pracują. Bez powodzenia przeszukuję pamięć. Z pewnością nie jest to gwiazdkowa przejażdżka zabytkową linią Keighley and Worth Valley Railway, ponieważ słyszczanym dźwiękom nie towarzyszą krzyki setek rozentuzjasmowanych dzieciaków. A nie przypominam sobie żadnej innej jazdy pociągiem z lokomotywą parową. Przynajmniej nie od czasów dzieciństwa. Może to nie jest wspomnienie. Może wyobrażam to sobie. Zabieram samego siebie w miejsce, do którego chciałbym się udać. Chociaż to też bez sensu, ponieważ nie jestem jakimś fanem lokomotyw parowych. To znaczy ciuchcie są w porządku, ale wolałbym biec przez wrzosowiska. Nie jestem pewien, czemu postanowiłem ślimaczyć się po torach.

Słyszę kliknięcie. Dźwięki cichną.

- Chwilunia, Adam. Przełożę kasetę.

To głos Toma. Joan pewnie mnie odpuściła i przekazała jemu.

Oczywiście mogłem się domyślić. Mój teść ma kompletnego bzika na punkcie kolei. Z jakiego innego powodu ktoś prowadziłby w Halifax muzeum modeli pociągów, które ledwo ciągnie na skromniutkich cenach biletów? Podejrzewam, że tak naprawdę to przynosi straty. Ze Tom najzwyczajniej w świecie nie wspomina o tym Joan, tylko dotuje muzeum swoją emeryturą. Nie, żebym go winił. Myślę, że potrzebowałbym jakiejś odskoczni, gdybym od Bóg wie ilu lat był

mężem Joan. Mam słabość do Toma. Czuję, że słowa „odwieczne cierpienie” zostały wymyślone jako prefiks jego imienia. Ma w sobie jakąś bezsilność. Ze opieranie się koniec końców nie ma sensu. Ale jest wspaniałym dziadkiem dla Mayi. Wydaje się, że ona uruchamia w nim dziecięcy entuzjazm, który w przeciwnym razie nie znalazłby ujścia.

Brat Mel mieszka z żoną i synami w Belgii, więc choć Maya nie jest jedynym wnukiem Toma, tylko w nią jest realnie zaangażowany. Jedną z rzeczy, których żałuję najbardziej, to ta,

że mój ojciec nie dożył narodzin Mayi - zmarł, kiedy miałem dziewiętnaście lat, sześć lat po tym, jak Mama go zostawiła. Być może to przeczuwała. Pomyślała, że wymieni go na lepszy model, nim wysiądzie mu silnik. Może od początku miała taki plan. Nawet nie przyjechała na jego pogrzeb. Powiedziała, że jest za bardzo zajęta, żeby wziąć urlop. Co tak naprawdę było jeszcze gorsze, niż gdyby powiedziała, że nie stać jej na bilet lotniczy z Australii. A tak to był

jawny przykład „nie chcę”, a nie „nie mogę”. Więc też nie przysłała.

To by było na tyle, jeśli chodzi o dwadzieścia lat ich małżeństwa.

- Jak tak sobie słuchasz odgłosów pociągu, pomyślałem, że poczytam ci „Inside Track”, magazyn Stowarzyszenia Entuzjastów Modeli Kolejowych.

Cholera. Nie. To brzmi jak ze skeczu w programie *Have I Got News For You*. Paul Marton już by sypał kawałami o rozstawie szyn. A ja nie mam wyjścia, muszę tego słuchać. Oni nic nie rozumieją. Mają próbować wybudzić mnie ze śpiączki, a nie wpuścić w nią.

- Wygląda na to, że kolekcjonerzy mają problem ze zdobyciem Bachmanna Nr 41241 w kolorze kasztanowym. Ten model wypuszczono w serii limitowanej i niestety, nie mamy informacji o możliwych kolejnych dostawach. Z bardziej optymistycznych doniesień, Stowarzyszenie Modeli Kolejowych Calderdale zleciło firmie Dapol wyprodukowanie wąskotorowej cysterny do przewozu smoły, o płaskim dachu, w limitowanej serii 191 egzemplarzy.

Rozstrajam się i wyłączam. Wtorki i czwartki zapowiadają się na wyjątkowo długie.

Kiedy jakiś czas później znów dostrajam się do sali, w której leżę, Joan i Toma już nie ma. Otacza mnie cisza. Nie cisza w głowie. Inny jej rodzaj. Związany z samotnością. Od

razu żałuję, że chciałem, by sobie poszli. Wiem, że starają się, jak mogą. To nie ich wina, że wysiłki, jakie podejmują, są kiepskie.

Szczerze mówiąc, to było tak słabe, że właściwie aż śmieszne. Poza tym to miłe z ich strony, że dają odpocząć Mel. I chyba o to chodzi w tym całym grafiku. Ona jest tu codziennie, wiem o tym. Słyszałem jej głos między wszystkimi długimi interwałami nocnej ciszy. Nie mam pojęcia, jak ona daje sobie radę. Z opieką nad Mayą i pracą. Ehh.

Pewnie nie pracuje. Bo ja leżę w śpiączce. Ja bym nie pracował, gdyby ona była w śpiączce. Musieli dać jej jakiś urlop okolicznościowy. Pod tym

względem uniwersum jest bardzo w porządku. Teraz czuję się winny. Fatyguję tych wszystkich ludzi, ponieważ byłem wystarczająco głupi, żeby poprztykać się z dinozaurem.

Podrywam się, kiedy otwierają się drzwi (cóż, robię to w głowie, moje ciało chyba zostaje tam, gdzie było). Nasłuchuję kroków. To nie Mel, bo już by się odezwała. Żadna z pielęgniarek, bo po nich zawsze słyhać, że idą w konkretnym celu. Nie, te kroki są niepewne. Kobięce.

Kobięta, która z pewnością jest tu pierwszy raz.

- Cześć, Adam. - Od razu rozpoznaję ten głos. To Hannah.

- Rozmawiałam przez telefon z twoją żoną. Powiedziała, że mogę wpaść. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Chciałam ci to podrzucić.

Pauza, po czym Hannah kładzie coś na podłodze.

- Przepraszam - kontynuuje. - Ale jestem głupia. To twoja teczka i rzeczy z biurka. Nie byłam pewna, czy nie ma tam czegoś wartościowego. W każdym razie chciałam ci je przynieść. Położyłam przy szafce.

Pauza jest tym razem dłuższa. Hannah zmagą się z czymś. Jest za młoda, żeby stawać twarzą w twarz z czymś takim.

- Adam, tak mi przykro z powodu tego, co się stało. Wszyscy jesteśmy, hmm, tak naprawdę w szoku. Nawet Chris.

Czuję nagłe ukłucie tęsknoty za muzeum. Za widokami, zapachami, dźwiękami. Ogólnym rozgardiaszem. Dziwne, za czym tęsknimy, kiedy nam się to zabierze.

- W każdym razie prowadzą jakieś dochodzenie na dużą skalę.

Podejrzewają, że zalanie spowodowało większe uszkodzenia pod podłogą, niż się wydawało. A robotnicy chyba przecięli kabel, który był podłączony do systemu podwieszającego Monty'ego u sufitu.

Pewnie nie powinnam ci tego mówić. Ale niech tam. Kto jak nie ty ma prawo o tym wiedzieć.

Kolejna pauza. Słyszę jej kroki, które przemieszczają się na drugą stronę łóżka. Patrzy na mnie. Żałuję, że nie mogę widzieć jej twarzy.

Chciałbym móc jej powiedzieć, że to w porządku. Wszystko jedno, co sobie myśli.

- Adam, zawsze byłeś dla mnie dobry. Bardzo to doceniam. Chcę, żebyś to wiedział. I już tak wiele się od ciebie nauczyłam. Wszyscy się nauczyliśmy.

Wśluchuję się w jej kroki, które wracają na tę stronę łóżka, przy której

stała po wejściu do sali. Wyobrażam sobie, jak bawi się rękoma, robi coś z paznokciami, bo kompletnie brak jej słów.

- W każdym razie obawiam się, że nie mogę zostać. Wpadłam tylko w przerwie na lunch. Chris teraz dowodzi i, cóż, sam wiesz, jaki on jest.

Kroki oddalają się. Nagle się zatrzymują.

- Wiem, że pewnie myślisz sobie, głupiutka dziewczynka, ale chcę, żebyś wiedział, że wiele dla mnie znaczysz. Pamiętam ten moment, kiedy zobaczyłam cię w korytarzu z żoną i córeczką. Wyglądaliście jak idealna rodzina. A teraz...

Głos jej się łamie. Z trudem przetykam ślinę. Przynajmniej wydaje mi się, że to robię.

- Mam tylko nadzieję, że wszyscy będziecie znów szczęśliwi.

Pewnego dnia. W niezbyt odległej przyszłości.

Kroki ponownie się oddalają. Szepczę „Dziękuję”. Wiem, że mnie nie słyszy, ale i tak chcę to powiedzieć. Drzwi zamykają się za nią. Zostaję sam na sam z myślami.

*

- Wszystkiego najlepszego z okazji urocznicy, Tatusiu. - Maya wpada do sali.

Nasza rocznica. Nie wiedziałem. To nie to samo, co zapomnieć. Choć muszę przyznać, że śpiączka to chyba najlepsza wymówka, jaką facet może wymyślić, tłumacząc, dlaczego zapomniał.

Oczywiście Maya nie przyszła sama. Jest z nią Mel. Czuję jej obecność. Ale najwyraźniej w tej chwili nie jest w stanie nic powiedzieć. W zamian bierze mnie za rękę. Nie czuję jej palców, jedynie jej delikatność.

- Kochanie, wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy - szepce w końcu.

- Mamusi tak bardzo podobała się sukienka, że się popłakała - ogłasza Maya. - Ale nie będzie jej wkładać, bo mogłaby coś na nią wylać, zanim ty ją zobaczysz. Ja swoją włożyłam i poplamiałam czarną porzeczką. Mamusia ją wyprała i jest już sucha. Trzeba tylko wyprasować.

Nie wiedziałbym, czy w pierwszej kolejności zaśmiać się, czy zapłakać, gdybym mógł zrobić jedno i drugie. Tak bardzo chcę ją przytulić, przyciągnąć do siebie i nigdy nie puścić. Jaki ze mnie pożytek w tym stanie? Zepsułem imprezę, a teraz nie mogę nawet wyprasować jej sukienki. Mel radzi sobie świetnie z milionem i setką innych spraw, ale beznadziejnie prasuje.

- Zrobiłam to w przedszkolu dla ciebie i Mamusi.
- Skarbie, Tatuś tego nie widzi. Musisz mu opowiedzieć, co to jest.

- To kartka. Zrobiłam na niej serduszka. Dylan nie chciał mi dać czerwonej kredki, to wzięłam zieloną. I dodałam dużo buziaków.

- No, pięknie - stwierdza Mel. - Położyłyśmy ją na szafce przy łóżku.

- W domu masz dużo więcej kartek z okazji urocznicy - mówi Maya. - Mamusia jeszcze ich nie otworzyła. Będzie czekać, aż wrócisz.

Nie pomyślałem o kartkach. No pewnie, że nie. Nie jestem tak naprawdę typem faceta, który bawi się w kartki. Mam jedną dla Mel.

Jest na dnie szuflady w mojej szafie. Zastanawiam się, czy jej szukała. Może nawet znalazła.

- Mamusia przyniosła ci swoją.

- Kochanie, ty ją otwórz. Tatuś nie ma nic przeciwko. Musisz mu powiedzieć, co na niej jest.

- Są dwa serduszka. Duże, czerwone. Mamusiu, przeczytaj, co tu jest napisane.

- Mojemu mężowi... - Pauza. Długa. Chcę skończyć zdanie za Mel.

Wybawić ją z niedoli. - Z okazji dziesiątej rocznicy ślubu - kończy.

Słyszę suwak. Dobrze wiem, czego Mel szuka w torebce. To dobija moją cholerną głowę. Chcę w coś przywalić, choć prawda jest taka, że nie byłbym w stanie przebić się teraz przez papierową torbę. Co ze mnie za mąż? Sierota, nie mąż. Właśnie tak.

Mel coś szepce. Głos Mayi podnosi się o oktawę.

- I wiesz co? Nie będziemy mieć jednego szurka, będziemy mieć dwa. Mamusia przeczytała, że lubią towarzystwo. Kupi je, jak tylko znajdzie dwóch braciszków albo siostrzyczki. Mówi, że nie można ich przynieść, żeby ci pokazać, bo mogą wystraszyć pielęgniarke, ale kiedy wrócisz do domu, to wtedy ci pokażę. Nie będą gryzły czy coś, wytresuję je.

Biedny dzieciak. Na pewno jej ciężko. Naprawdę ciężko. Wiem, że obiecaliśmy jej szurka, ale wieki całe nic byśmy w tej sprawie nie zrobili. Pewnie wzięcie parki jest czymś w rodzaju substytutu tatusia.

Czymś, żeby oderwać jej myśli od tego, że nie ma mnie z nimi. Do tego doszło. Będę zastąpiony przez parkę szurków.

Maya nawija dalej, kompletnie jej nie przeszkadza, że nie odpowiadam. Mel ledwo udaje się coś wtrącić. Choć podejrzewam, że dziś przyjmuje to

raczej z ulgą.

- Teraz już pójdziemy - mówi w końcu Maya. - Mamusia włączy ci radio. Po przedszkolu wzięła mnie na głosowanie. Trzeba było postawić krzyżyk ołówkiem, bo flamastry za bardzo plamią.

Oczywiście. Wybory. Z tego również nie zdawałem sobie sprawy.

Nie mogę głosować. Nie mogę wziąć udziału w pierdolonym głosowaniu. Czy mogę? Może są specjalne reguły dla osób w śpiączce.

Może mogę zagłosować przez pełnomocnika. Być może Mel już to za mnie zrobiła. Czemu nie wiem, czy coś takiego jest możliwe? Przecież mienię się cholernym dziennikarzem.

- Pa, Tatusiu. Kocham cię bardzo.

- Kocham cię. - Mel ponownie ściska mi rękę. Ledwo się trzyma.

Stara się przez wzgląd na Mayę, wiem o tym. Kiedy Mayi tu nie ma, myślę, że nie radzi sobie za dobrze.

Wychodzą. Ciemność robi się jeszcze ciemniejsza. W radiu 5 Live jest Peter Allen. Mam okropne wrażenie, że za chwilę kraj skręci w prawo.

ROZDZIAŁ 11

Mel

Siedzę w gabinecie lekarskim, czekając na odpowiedzi. Adam jest w śpiączce od dziewięciu dni. W dziwny sposób powoli zaczynam uważać, że to normalne. Mówiąc normalne, mam na myśli, że z trudem przypominam sobie nasz ostatni wspólny dzień, zanim to się stało. W

istocie oddział intensywnej opieki stał się teraz naszym domem. Choć personel jest bardzo miły, wolałabym, żeby tak nie było.

- Więc tak, pani Taylor - mówi doktor Brooke, który konsultuje przypadek Adama. - Najnowsze badanie tomograficzne wykazało, że nie ma nowego krwawienia w mózgu ani przesunięcia linii pośrodkowej, co, jak już tłumaczyłem wcześniej, jest dobrą wiadomością. Rezonans magnetyczny nie wykazał skrzeplin, choć obydwa badania ujawniły wciąż spory obrzęk mózgu. Obawiam się, że wykazały również pewne uszkodzenia, co w połączeniu z obrzękiem wskazuje jednak na poważny uraz.

- Co to oznacza?

- To oznacza, że musi się pani przygotować na to, że mamy do czynienia z długotrwałą śpiączką.

Co to znaczy „przygotować”? Co mam robić, zakupić dodatkowe gotowe dania, odwołać letni urlop?

- Pan uważa, że on z tego nie wyjdzie, prawda? Doktor Brooke spuszcza wzrok. Jest młodszy niż doktor Perryman i mniej przyzwyczajony, żeby mówić takie rzeczy prosto w oczy.

- Chodzi po prostu o to, że wydaje się, że być może przed nami długa droga. Wciąż jeszcze jest wcześnie i jeśli Adam otworzy oczy w ciągu najbliższych trzech tygodni, rokowania się polepszą, choć jak już wspominałem, nie wszyscy pacjenci, którzy otwierają oczy, odzyskują świadomość.

Tak naprawdę próbuje mi powiedzieć, żebym przyzwyczajała się do tego, że mój mąż już do mnie nie wróci. Znam statystyki. Sprawdzalam w internecie. Kiedyś, nie tak dawno temu, łatwo było pozostawać w beztrioskiej nieświadomości. Dziś wystarczy wpisać w Google „śpiączka”, żeby dostać więcej informacji, niż da się przyswoić w ciągu całego życia, choć naprawdę staram się, jak mogę. Co wieczór siedzę do późnych godzin, próbując przedrzeć się przez artykuły.

Część żargonu medycznego sływa po mnie jak po kacze. Ale niektóre statystyki zostają w głowie. Tylko piętnaście procent ludzi, którzy pozostawali nieprzytomni przez sześć godzin albo dłużej, wróciło do pracy w ciągu pięciu lat. To sześć godzin. Drzę na myśl, jaki jest procent dla sześciu dni.

A oto inna informacja: Spośród pacjentów, którzy po dwudziestu czterech godzinach osiągnęli pięć punktów w skali Glasgow, ponad połowa umiera albo pozostaje w stanie wegetatywnym. Czytam to, a następnie kataloguję w głowie w folderze „niezbyt pomocne”. W

„ulubionych” zachowuję inne strony. Te pełne nadziei. Amerykańska strona o nazwie „Oczekiwanie”. Jest na niej wiele wpisów ludzi, którzy przechodzą przez to co ja. Wielu z nich cytuje opowieści o ukochanych osobach, które na przekór rokowaniom

udowodniły, że lekarze się mylą. Są też artykuły w gazetach. W Arkansas mężczyzna o imieniu Terry, który przebudził się po dziewiętnastu latach. Jego matka nigdy się nie poddała. Tak samo jak ja nigdy nie poddam się z Adamem. Jest też oczywiście ta książka.

Adamowy egzemplarz *Motyła i skafandra*, który teraz ma jeszcze bardziej pozaginane rogi niż wcześniej. Na początku powtórne jej czytanie

sprawiło mi ból, ale potem zdałam sobie sprawę, że każde słowo przepelnia nadzieją. Bauby był przez lekarzy spisany na straty.

Ale my wiemy, że nie był martwy. Wiemy, że myślał i czuł, i bolało go tak samo jak nas. Wiemy, że był tam, zamknięty. Żywy, jeśli nawet niezbyt żywawy.

- Skąd wiecie, że to nie jest zespół zamknięcia? - pytam. Doktor Brooke unosi brwi, przekłada jakieś papiery na biurku.

- Jeśli odnosi się pani do tej książki, pani Taylor, to naprawdę był bardzo rzadki przypadek. A jeśli już się przytrafia, to raczej ludziom, którzy doznali udaru.

Widzicie? Nie może zaprzeczyć. Nie wie. Żaden z nich nie wie. Nie zrobili odpowiednich badań. Są tak samo nieorientowani w tej sprawie jak i ja.

- Co, jeśli nie otworzy oczu w ciągu następnym dwudziestu jeden dni?

- Przejdziemy przez ten most, jeśli do niego dojdziemy, dobrze? - mówi doktor Brooke.

Próbuje mi powiedzieć w ten niezręczny, unikający tematu sposób, że jeśli to się zdarzy, wówczas straciłam Adama. I już go nie odzyskam.

Tymczasem

przeprowadzimy
przezskórną
endoskopową

gastrostomię, żeby odżywiać pani męża. To w zasadzie rurka, która idzie prosto do żołądka. Usunie to potrzebę karmienia przez zgłębnik nosowo-żołądkowy i jest najbardziej efektywną metodą długotrwałego odżywiania.

Wpatruję się w niego. Zrobią dziurę w brzuchu Adama. Dziurę, której tam być nie powinno. On może obudzić się jutro, co u diabła sobie pomyśli, gdy zobaczy rurkę w brzuchu? Lekarze się tym nie przejmują, bo nie spodziewają się, żeby miało to nastąpić. Mnie to jednak martwi.

Chwiejąc się, wychodzę na korytarz. Wszystko wokół jest nieostre.

Nie jestem w stanie wrócić do sali Adama. Musiałabym próbować być pogodna. A w tej chwili czuję się podle. Poza tym Adam bardzo dobrze wie, kiedy nie mówię całej prawdy. Nawet jeśli nie mógłby mnie zobaczyć, myślę, że wyczułby to w tonie mojego głosu.

Ruszam korytarzem. Nie mam pojęcia, dokąd zmierzam. Osoba, na którą wpadam, rozkłada szeroko ramiona, jakby chciała mnie złapać.

Dopiero kiedy się odzywa, poznaję, że to Louise.

- Hej, już w porządku. Mam cię.

- Co ty tu robisz?

- To moja zmiana, według grafiku. Przyjechałam prosto z pracy, żeby cię złuzować.

Kiwam głową. Grafik był pomysłem Louise. Nigdy nie byłam za niego bardziej wdzięczna niż teraz. Zamieniam się w roztrzęsioną fontannę łez. Louise obejmuje mnie ramieniem i prowadzi korytarzem do bufetu. Znajduje zaciszny kąt i pomaga mi usiąść. Nie próbuje podać mi szklanki wody ani poklepywać mnie po ręce. Jest takim przyjacielem, jakiego potrzebuję.

- Domyślałam się, że rozmawiałaś z doktorem Brookiem?

- Tak. Mówi, że muszę przygotować się na to, że Adam może być w długotrwałej śpiączce.

- Po prostu mówią o najgorszych możliwych scenariuszach. Mel, to nie znaczy, że z tego nie wyjdzie.

- Nie, ale to znaczy, że oni nie sądzą, żeby wyszedł. Włożą mu teraz rurkę do żołądka, żeby go karmić. Nie zrobiliby tego, gdyby myśleli, że obudzi się jutro.

- Posłuchaj, Adam ma ciebie i Mayę, ma do kogo wracać. Będzie walczył ze wszystkich sił.

- Wiem, że tak. Ale czuję, jakby wszyscy już postawili na nim krzyżyk.

- Ja nie. I wiem z całą pewnością, że Maya też nie. Wbijam oczy w ziemię.

- Nie wiem nawet, czy postępuję z nią właściwie. Może odkładam tylko kłopoty na później. Tak jej ciężko. Boję się, że nie będzie w stanie sobie z tym poradzić.

- Daj spokój, spośród wszystkich ludzi najlepiej wiesz, jak bardzo dzieci są nie do złamania. Maya jest twardym cukierczkiem.

- Tylko na zewnątrz. Nadzienie ma miękkie. Zwłaszcza jeśli chodzi o Adama.

- Nic jej nie będzie. Ma wspaniałą mamę, która pomoże jej przez to przejść. A teraz przyniosę ci czekoladę.

Przecieram oczy zmiętaloną chusteczką, którą znajduję w torebce, kiedy Louise podchodzi do lady. Mam tam cały stos chusteczek. Też jakby miały jakiś grafik. Unoszą się ku powierzchni, jak już wyschną po poprzednim użyciu.

- Wiesz, czego jeszcze nie powiedziałaś? - mówi Louise, wracając do stolika z ładunkiem czekolady.

- Czego?

- Dlaczego ja? Ze to niesprawiedliwe. Wiesz, masz prawo tak powiedzieć.

- Nie, nie mam.

- Dlaczego nie?

Muszę powstrzymać się, żeby nie wyrzucić z siebie prawdy. Nie czas na to. Więc w zamian mówię truizm.

- Tak długo wszystko układało się dobrze. Podczas gdy wszyscy inni mieli problemy, złamane serca, przechodzili kryzysy. Teraz moja kolej.

- Musisz przestać tak myśleć. Nic takiego ci się nie należało. Nikt nie zasługuje na to, żeby jego małżonek leżał w śpiączce.

- A jaki pożytek z tego, żeby mówić „to nie fair”? Niczego to nie zmieni.

- Nie, ale może sprawi, że poczujesz się lepiej. Wyrzucisz z siebie choć trochę złości.

- Ale ja nie czuję złości.

- Cóż, Adam nie jest moim mężem, ale ja czuję złość, że to się stało.

Co mi przypomina... Odzywali się do ciebie z muzeum?

- Tylko że sprawą zajmuje się kierownik do spraw BHP.

- Mel, musisz wynająć prawnika. Jeśli to potrwa dłużej, masz prawo do odszkodowania. Wiem, że uniwersytet zachowuje się bardzo w porządku, ale nie pozwolą ci siedzieć na okolicznościowym urlopie w nieskończoność.

Żuję batonik Toffee Crisp, obracając to wszystko w myślach.

- Wiem, że masz rację. Dokładnie coś takiego powiedziała by Adam...

Urywam w pół zdania. Miałam zamiar dodać, że gdyby wciąż był z nami. Wbijam wzrok w stolik. Duża łza spada na batonik. Louise podaje mi nową paczkę chusteczek.

- W porządku, dziękuję. - Sięgam do torebki i wyciągam którąś z wcześniej użytych. - Wykorzystam jeszcze raz tę.

*

- Cześć, kochanie - mówię, zawisając w drzwiach salki przedszkolnej w Arce.

Maya podnosi wzrok, właśnie dosłownie próbowała zaprzęgnąć wołu do karety. Wydaje się zaskoczona moim widokiem, co jest zrozumiałe.

Odbieram ją pierwszy raz od wypadku, smakując przy tym tę niewielką dawkę normal-

ności. Louise zasugerowała, że bym to zrobiła. Oczywiście miała rację. Dziś nie przyniosłabym Adamowi żadnego pożytku. I to takie przyjemne uczucie być tutaj dla Mayi.

- Mamusiu, chodź, zobacz, co zrobiłam. — Maya porzuca figurkę wołu, łapie mnie za rękę i ciągnie do kuchni. A tam na blacie leży zachwycająco lepki kopiec białego lukru, udekorowany czymś, co wygląda na całe opakowanie kolorowej posypki plus obfita garść smarties. Istnieje niewielka szansa, że gdzieś głęboko pod spodem jest mała babeczka.

- O rety, kochanie, jakie fantastyczne. Sama to zrobiłaś?

- Tak. Chciałam więcej posypki, ale Becky mi nie pozwoliła.

Powiedziała, że wróżka posypuszka uciekła.

- Świetnie się spisałaś. Zobaczmy, czy uda mi się pożyczyć pojemnik, żebyśmy mogły zabrać to do domu.

Spoglądam na Becky.

- Wszystko dobrze? - pytam cicho.

- W porządku, naprawdę. Mamy na nią oko.

Kiwam głową i idę w głąb kuchni, gdzie któraś z przedszkolank daje mi

mały plastikowy pojemnik. Wrzucam do niego ciasto, a Maya spogląda na nie, jakby było eksponatem w muzeum.

- Zatrzymam je dla Tatusia - mówi Maya.

Aż do tego momentu świetnie mi szło. Spoglądam w sufit, żeby Maya nie widziała, jak przygryzam wargę.

- Kochanie, to bardzo miłe z twojej strony, ale może zjesz je ze mną na spólkę, a potem zrobimy razem duże ciasto dla Tatusia, jak już poczuje się lepiej.

Maya wydaje się usatysfakcjonowana moją propozycją. Dużo bardziej usatysfakcjonowana niż ja. Źle się czuję z tym, że podbudowuję jej nadzieję, mówiąc takie rzeczy. Ale alternatywne powiedzenie jej prawdy wydaje się zbyt okrutne.

Maya aż krzyczy z radości, kiedy widzi swoją hulajnogę, którą zostawiłam na zewnątrz. Potrzebowałam się przejść

i wiedziałam, że ucieszy się, mogąc wrócić na niej do domu. Biorę ją za rękę i przechodzimy razem przez jezdnię, a potem zakładam jej kask. Maya wskakuje na hulajnogę i śmiga do przodu, a jej długie włosy rozwiewają się na wietrze.

- Kochanie, nie za szybko! - wołam za nią, chociaż wiem, że to bezcelowe. Jest uparta. I ma cztery latka. I cały świat u stóp. Pewnego dnia będę musiała ją puścić i już się tego boję. Zastanawiałam się kiedyś na głos, dlaczego nie można wszystkich chodników zastąpić tym sprężystym materiałem, którego używa się na placach zabaw dla dzieci. Adam wybuchnął wówczas śmiechem. Wiedział, że mówię poważnie. Tak, rozumiem, że dzieci muszą podejmować ryzyko, oce-niają je i w ten sposób się uczą. W teorii brzmi to świetnie. Dopóki to nie twoje dziecko leci po chodniku na hulajnodze, przechodzi przez rzekę na szkolnej wycieczce, na własną rękę wyrusza w szeroki świat.

Maya zawsze była bezcenna. Jak każde dziecko. Ale teraz mocniej to czuję. Z powodu tego, co się przydarzyło Adamowi. Idę pospiesznie, próbując wygonić z głowy złe myśli. Powinno się udać. Dolina w przyjazny sposób tętni wiosną. Jak gdyby w nocy okoliczne dzieciaki obsypały drzewa skrawkami zielonej bibuły. Wszędzie wokół unosi się zapach maja, świeżości, nowego początku. A ja czuję jedynie frustrację. Jak to wszystko śmie dawać mi pięknem po oczach, kiedy Adam nie może tego zobaczyć.

Wracamy do domu. Maya schodzi z hulajnogi, ma zaróżowioną twarz i potargane włosy.

- Czy Tatuś naprawi bramę, jak wróci do domu? - pyta, gdy zdejmuję jej kask. Rzeczywiście. Drewno było już od dłuższego czasu spróchniałe, ale w końcu puściły zawiasy. Nie mam pojęcia, od jak dawna tak to wygląda.

- Kochanie, wszystko w porządku. Zajmę się tym, jak tylko będę miała wolną chwilę.

- Ale nie masz narzędzi.

- Użyję narzędzi Tatusia.

- Wiesz, gdzie są?

Uświadamiam sobie, że nie wiem. A przynajmniej niezupełnie. Gdy ostatnio zaglądałam do komórki, nie wyglądała mi na miejsce, w którym można cokolwiek znaleźć, jeśli się nie wie, gdzie dokładnie to coś leży. Czuję się jak jakaś śmiechu warta gospodyni domowa z lat pięćdziesiątych, która sama nie potrafi nic zrobić.

- Chodź, poszukajmy - mówię.

W drodze do komórki zauważam, że nowalijki, które posadziliśmy parę tygodni wcześniej, zostały pożarte przez ślimaki. W zeszłym roku w naszym ogrodzie Maya jadła świeży groszek prosto ze strąków.

Obawiam się, że tego lata będziemy musieli polegać na mrożonkach Birds Eye.

Przetrząsam komórkę, próbując udawać, że wiem, co robię. Znajduję jakieś śrubki, ale śrubokręta brak. Młotek, ale bez gwoździ.

- Mogę pożyczyć ci moje narzędzia, jeśli chcesz - proponuje Maya.

- Dziękuję, kochanie. Być może będę musiała cię o to prosić. Na razie chodźmy stąd. Jutro poszukam dokładniej.

Kiedy otwieram drzwi wejściowe, odpada tylna ścianka skrzynki na listy.

- Wszystko się psuje - zauważa Maya.

Oczywiście ma rację. Robię, co mogę, żeby zmusić się do uśmiechu.

*

Jest ósma trzydzieści, kiedy w końcu udaje mi się położyć Mayę do łóżka. Mieliśmy zwyczaj, że każde z nas czyta jej po jednej bajeczce na dobranoc. Dziś przeczytałam trzy. Chyba w ten sposób próbuję jej rekompensować tamto.

Idę do salonu, żeby przysiąść, i natychmiast na sofie wita mnie sterta prasowania. A Mayi zostały już tylko jedno czyste majteczki. Dom nie był sprzątny od dwóch tygodni. Wiem, że to żałosne. Matki samotnie

wychowujące dzieci muszą cały czas radzić sobie same. Ale żadna z nich nie kursuje codziennie do szpitala, żeby odwiedzić pogrążonego w śpiączce męża.

Przechodzę do kuchni, gdzie na blacie piętrzą się brudne garnki i patelnie. Siadam przy kuchennym stole i otwieram laptop. Od czasu wypadku jestem zasypywana wiadomościami. Ludzie, do których Steve w moim imieniu wysłał SMS-y lub e-maile, przekazują wyrazy współczucia, jeśli to właściwe słowo, i domagają się informacji o postępach Adama. Oczywiście nie ma żadnych, czym się usprawiedliwiam, bo na większość tych wiadomości nie odpowiedziałam. Odpisałam tylko Nadine z uniwersytetu, ponieważ przysłała SMS-y co kilka dni, i źle się z tym czułam, że je ignorowałam.

Przewijam e-maile, aż napotykam wiadomość z Australii. Odezwała się do mnie matka Adama. Nie było szczytem moich marzeń wysyłanie komuś e-maila z informacją o synu w śpiączce, ale nie miałam wyboru.

Annabel nigdy nie zostawiła nam numeru telefonu. Mamy tylko adres e-mailowy ze strony poświęconej PR, którą prowadzi z mężem Graeme'em. Nie rozmawiałam z nią od czasu, kiedy byłam nastolatką.

Tak samo Adam. Wciąż jeży się na wspomnienie jej imienia. Ale chociaż jej nienawidzę za to, że tak mocno skrzywdziła Adama, wciąż jest jego matką. Uznałam, że ma prawo wiedzieć.

Klikam w e-mail i zaczynam czytać. Wyróżnia się zdanie „oczywiście, gdyby tylko interesy nie zabierały mi aż tyle czasu”. To oraz „proszę, przekaż moje najlepsze pozdrowienia”. Pozdrowienia?

Jest jego cholerną matką. On tam leży nieprzytomny w szpitalu, a ona jest zbyt zajęta pracą, żeby

przyjechać. Zatrząskuję laptop, nim spadną na niego łzy. Adam zawsze mi powtarzał, że ja i Maya jesteśmy całą rodziną, jakiej potrzebuje. Choć w tej chwili wołałabym, żeby nie była to prawda.

Chciałabym móc się na kimś oprzeć. Na kimś, kto podzielałby moją miłość do niego.

Słyszę delikatne stukanie do drzwi. Nie mam pojęcia, kto to może być i nie chcę otwierać, ale po głowie chodzi mi ta głupia myśl. Wiem, że gdyby Adam umarł, nie zadzwoniliby do mnie. Przysłałiby policję.

Muszę otworzyć. Na wszelki wypadek.

Odsuwam zasuwkę i uchylam minimalnie drzwi, licząc się z tym, że na progu mogę zobaczyć dwóch umundurowanych policjantów. Ale nie. Widzę

Steve'a.

Po twarzy lecą mi łzy ulgi. Steve wślizguje się po cichu i zamyka za sobą drzwi.

- Przepraszam. Powinienem uprzedzić cię SMS-em. Przestraszyłem cię? Kiwam głową.

- Myślałam, że to... - Głos znów więźnie mi w gardle. Steve obejmuje mnie ramieniem. Tym razem wydaje się dużo pewniejszy.

- Hej, w porządku. U Adama bez zmian. Właśnie wróciłem ze szpitala. Chciałem się upewnić, że u ciebie wszystko dobrze. Louise powiedziała, że miałaś ciężki dzień.

- Dzięki - mówię, kiedy w końcu mnie puszcza. - Przepraszam, że masz teraz mokre ramię.

- Nie szkodzi. Przynajmniej do czegoś się przydało. Wrócę do domu, jeśli przyszedłem nie w porę.

- Nie. Nie bądź niemądry. Wejdz.

Kiedy wchodzimy do kuchni, uderza mnie jej stan. Coś w stylu filmów dokumentalnych na BBC2 o studentach wynajmujących wspólne mieszkanie.

- Przepraszam cię za to. - Omiotam kuchnię bezradnym gestem. - Wiem, że to urąga wszelkim... Po prostu nie miałam czasu.

- Nie przepraszaj. To bez znaczenia.

Wiem od Louise, że Steve jest wyjątkowym czyścioszkiem.

Wyobrażam sobie, jak wraca do domu i mówi jej, że pozwoliłam sobie na kompletną zapaść. Napełniam czajnik i pstrykam włącznik.

Przynajmniej mogę zrobić kawę.

- Wszystko mnie przerasta. Jakoś dawało się to znieść, kiedy wstawałam rano z myślą, że może dziś Adam się obudzi, ale teraz lekarze mówią o długofalowych sprawach, i, hmm, nie wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzę.

Odwracam wzrok. Nie chcę, żeby Steve zobaczył, jak znów mruganiem staram się powstrzymać łzy. Czajnik za-gotowuje wodę, nalewam kawy. Steve pije czarną, bez cukru. I całe szczęście, bo w domu nie ma mleka. Podaję mu kubek. Waha się przez sekundę. Bez namysłu podałam mu kubek Adama „Najlepszy Tata świata”. Bierze go, nie komentując.

- Pozwól sobie pomóc - mówi.

- Ty i Louise zrobiliście już wystarczająco.

- Mogę cię odciążyć w pewnych sprawach. Louise ma rację, musisz wynająć adwokata. Mogę się tym zająć. Znajdę ci kogoś dobrego.

- Naprawdę? Bardzo byś mi pomógł. To okropne uczucie myśleć o pieniądzach w takiej sytuacji.

- Cóż, nie masz wyjścia. Musisz myśleć o Mayi. Przyjdę w weekend i naprawię bramę. I załatwię ci sprzątaczkę.

- Nie bądź niemądry. Nie musisz tego robić. Poradzę sobie z tym.

- A kiedy zamierzasz to zrobić? Wzruszam ramionami.

- No właśnie. Z Louise mamy taką osobę i dałbym za nią tyle złota, ile waży. Ostatnią rzeczą, której potrzebujesz po powrocie ze szpitala, jest taki widok.

Oczywiście ma rację. Z nieba by mi spadła taka pomoc. Nie miałam pojęcia, że Steve będzie tak świetnie sobie radził w kryzysowej sytuacji. Może nie znam go tak dobrze, jak myślałam.

- Dziękuję - mówię. - Prawdziwy anioł z ciebie. Teraz kolej Steve'a, żeby wzruszyć ramionami.

- Adam to mój najlepszy kumpel. Jestem mu to winien, że będę się tobą opiekował. Wiem, że na moim miejscu zrobiłby to samo.

Podchodzi z kubkiem kawy do zlewu. Znów wyczuwam, że jest mu ciężko. Może nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo.

- Tęsknisz za nim?

- Tak, to prawda. W czwartek poszedłem biegać. Bez niego panowała tak cholerna cisza, że było mi źle.

- Nie mówiłbyś tak, gdyby tu był. Wyobraź sobie ten wykład o wyborach, jaki by ci zaserwował. Twój przyjaciel Cameron szukający kumpli z łapanki.

- I Brown desperacko czepiający się życia - dodaje Steve. - Raczej mało w tym godności, prawda? Może Adam to wszystko zaplanował.

Jeśli laburzyści się utrzymają, od razu odzyska przytomność.

Uśmiecham się. Pierwszy prawdziwy uśmiech od bardzo dawna.

- Tak lepiej - mówi Steve.

- Nie mogę ci obiecać, że ten uśmiech się utrzyma.

- Wiem. Ale zawsze to coś na początek.

Siadamy i rozmawiamy przez chwilę. O tym, z kim w końcu Nick Clegg wylądował w koalicyjnym łóżku, o Mayi, o wszystkim, byle nie o Adamie. I przez krótką chwilę czuję się znów niemal jak człowiek.

- W każdym razie - Steve odstawia pusty kubek - lepiej, jak pozwolę ci się położyć.

Idę za nim, odprowadzając go do przedpokoju. Niemal przewraca się na zepsutej skrzynce na listy.

- To też naprawię w weekend.

- Dziękuję. To znaczy za wszystko.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić w tej sytuacji. - Nachyla się, żeby pocałować mnie w policzek. - Uważaj na siebie. I pamiętaj, czegokolwiek byś potrzebowała... OK?

Kiwam głową i patrzę, jak podchodzi do samochodu, podzwaniając trzymanymi w ręku kluczami.

ROZDZIAŁ 1 2

Teraz to już na pewno mi się pomieszało. Jak inaczej wyjaśnić to, że słyszę Davida Camerona i Nicka Clegga, którzy biorą udział we wspólnej konferencji prasowej w ogrodzie przy Downing Street?

Nabiłem sobie potężnego guza i teraz wydaje mi się, że Nick Clegg jest wicepremierem. Za chwilę zacznę mi się roić, że burmistrzowie Boris Johnson i Ken Livingstone tańczą razem partię z *Dziadka do orzechów*.

Jakiś dziennikarz pyta Camerona, jak się czuje z tym, co kiedyś powiedział, że Clegg to jakiś żart. A teraz serwują dowcipy niczym duet komików. Flip i Flap rządzą krajem. Albo może Tommy Cannon i Bobby Ball? Nawet w najgorszych koszmarach...

O Boże. Już koniec. Oddali głos Peterowi Allenowi w studiu. To 5

Live. Nie wyobraziłem sobie tego. To się dzieje naprawdę. Podobnie jak to, że jestem w cholernej śpiączce. W tej chwili to najlepsze miejsce, w którym mógłbym się znaleźć. Oczywiście pod warunkiem, że Cameron nie postanowi złożyć wizyty w szpitalu. Kiedyś, w latach osiemdziesiątych, nosiłem przy sobie żartobliwe oświadczenie dawcy narządów, wycięte z magazynu „Private Eye”: „Na wypadek gdybym odniósł poważne obrażenia, moją wolą

jest, by pod absolutnie żadnym pozorem nie mogła mnie odwiedzić Margaret Thatcher”. Teraz coś takiego by mi się przydało. Coś w stylu: „Gdybym zapadł w śpiączkę, nie życzę sobie, aby David Cameron lub Nick Clegg odwiedzali mnie pod pretekstem podniesienia zaufania do działań koalicyjnego rządu na rzecz państwowej służby zdrowia”.

Kiedy się obudzę, zabiję Steve’a. Za cały ten stek bzdur o tym, że

Cameron to prawowity następca Tony'ego Blaira. Założę się, że Calder Valley poparła torysów. Nad Hebden Bridge zawiśnie niebieska flaga.

Dziwne.

W tle pobrzmiwa analiza w 5 Live. Jestem wdzięczny Mel, że przyniosła mi radio. Dzięki temu działa mi ocalała część mózgu. Choć bywają chwile, kiedy wolałbym, żeby leciała zapętlona piosenka *Mój rowerek ma dzwoneczek* z jednej z płyt Mayi, *Jo Jingles*, aż usmaży się ta resztką mózgu, która mi pozostała. I nie musiałbym rozmyślać o sytuacji, w której się znalazłem. Nie musiałbym się martwić o to, jak Mel sobie radzi. Zastanawiać się, czy kiedykolwiek będę w stanie znów zobaczyć Mayę. Powiedzieć choć jedno słowo. Poruszyć mięs-

niem. Którymkolwiek mięśniem. Wybredny nie jestem. W dodatku mówi to niepoprawny optymista. Facet, który zawsze we wszystkim umiał dopatrzeć się czegoś pozytywnego. Próbuję. Tak bardzo próbuję.

Ale z każdym dniem optymizm maleje, z każdym wykonanym „Wszystkiego co jasne i piękne”, którym raczy mnie Joan, jest mi odrobinę trudniej. Najciężej znieść to, że, jak mi się wydaje, nic nie mogę zrobić. Czasami im bardziej próbuję odezwać się, poruszyć choćby palcem, tym dalej zdaję się odpływać. Teraz też dopada mnie ciemność. Tęsknię za kolorami. Głębokimi, bogatymi, wibrującymi kolorami. Nawet kiedy wyobrażam sobie, jak różne rzeczy wyglądają, wszystko zaczyna się robić monochromatyczne. Tak jakbym zapomniał, jak wygląda szkarłat albo szmaragdowa zieleń.

Pożądaję doznań, jakichkolwiek doznań. Dobrych albo złych. Nicość, odrętwienie, bezruch doprowadzają mnie do szału. Kiedy wyobrażam sobie samego siebie, widzę tylko wielką głowę. Trochę tak jak Czarnoksiężnik z Krainy Oz wyświetlony na ekranie. Kończyny są odległym, mglistym wspomnieniem. I jeśli ich lub głosu wkrótce nie odzyskam, obawiam się, że po prostu zwiędną i umrą. O ile już nie są martwe. Mam teraz w brzuchu rurkę, przez którą mnie karmią. Wiem, bo lekarze powiedzieli mi, że zamierzają ją umieścić, a Mel uprzedziła mnie o tym w wieczór przed zabiegiem. Głupie jest to, że nie czuję tej rurki. Jak ma się w brzuchu dziurę, powinno się, do cholery, zdawać z tego sprawę. Nigdy nie czułem się mniej żywy niż teraz. Jestem martwym drewnem. Próchnica wdała się na serio i na dobre. I już tylko w górnej części korony drzewa widać jakiegokolwiek oznaki życia.

- Hej, piękny dziś dzień. Zbyt piękny, żeby się tu kisić, słuchając tego

ple, ple, ple w radiu.

Lubię Jacintę. Podoba mi się, że nie traktuje mnie ulgowo. Wszyscy pozostali zawsze są tak cholernie mili. Uwielbiam też to, że jej głos różni się od większości głosów. Wesoly zaśpiew z Jamajki z odrobiną akcentu manchesterskiego dla dobrej równowagi. Wyobrażam sobie, jak wygląda. Duża, delikatna, rzeczowa kobieta, usta ma pomalowane czerwoną szminką, zęby białe jak perły i uśmiech tak wielki, że ledwo mieści się w drzwiach. Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę. W

dniu, w którym otworzę oczy.

- Przynajmniej dziś nie wtorek ani czwartek. Rany, słyszałam, jak ona śpiewa. Jak rozumiem, chce pana nieźle wystraszyć. Jak się już pan obudzi, koniecznie niech jej pan każe wziąć lekcje śpiewu, dobrze?

Tak bardzo śmieję się w środku, że chyba się zsikałem. Choć to niemożliwe. Jacinta wytłumaczyła mi, że do penisa mam przyczepiony cewnik. Chyba prowadzi do jakiegoś zbiornika, który musi być regularnie opróżniany. W takich chwilach czuję ulgę, że nie widzę. Wystarczająco dołuje mnie poczucie, że jestem bezradnym warzywem. Ujrzenie tego na własne oczy mogłoby już przepelnić czarę goryczy.

Drzwi się otwierają. Kroki. To Steve. Gram sobie w grę „Jaki to gość”, wariację na temat „Jaka to melodia”. Czasami udaje mi się odgadnąć po trzech krokach. Zdarza się nawet, że orientuję się po sposobie otwierania drzwi. Louise jest najcichsza, Tom najgłośniejszy.

Chyba to przyzwyczajenie z czasów, kiedy tak często zatrząskiwał przejścia między wagonami w pociągach. Steve jest mniej więcej pośrodku. Pewny ruch zamknięcia drzwi i zdecydowane kroki. Żałuję, że nigdy nie próbuje mnie zaskoczyć, przychodząc z Louise, ale od wieków nie byli już u mnie razem. Ostatnio, kiedy przyszedli tu po raz pierwszy. Pewnie dlatego, że mają osobne dyżury w grafiku.

- Cześć, stary. Tu Steve.

Oczywiście nie mają pojęcia. Że rozgryzłem, kto przyszedł, na długo zanim się przywitają. O to właśnie chodzi w tej grze, żeby zgadnąć, nim padną pierwsze słowa. Zabawne, że wszyscy przedstawiają się imieniem, jak gdyby nie wystarczył sam głos. To znaczy z wyjątkiem Mel i Mayi. One wiedzą, że nie trzeba mi tego mówić.

W radiu 5 Live zaczyna się kolejna runda analiz politycznych dotyczących możliwych pułapek rządu koalicyjnego.

- Chyba dosyć się już tego nasłuchałeś. - Steve wyłącza radio. - Ale

szczerze powiedziawszy, nie będzie aż tak źle, jak myślisz. Wydaje mi się, że dobrze to spożytkują.

Bzdury. To bym powiedział, gdybym mógł. Ale nie mogę, więc po prostu leżę i bez szemrania przyjmuję jego słowa.

Steve'owi idzie coraz lepiej. Rozmawianie z facetem w sypialni. Na początku było mu naprawdę ciężko. Niezręcznie, ciągle miewał

momenty zawahania. Ale praktyka czyni mistrza. Po prostu mówi. Nie zadaje pytań.

- Coś ci przyniosłem. Coś, co powinienem ci oddać dawno temu.

Słyszę plaśnięcie i jakiś przedmiot ląduje na szafce po prawej.

- To twój album z nalepkami z Mistrzostw Świata w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. Nie zgubiłeś go. Wziąłem go sobie bez pytania.

Gnojek. A miałem go za najlepszego przyjaciela. I cały czas obwiniałem o to Neila Wentwortha. Neil Wentworth jest niewinny.

Odnajdę go na Facebooku, jak już stąd wyjdę, i publicznie przeproszę.

- Byłem wtedy o coś na ciebie wściekły. Pomyślałem, że ci oddam, ale jak wkurzyłeś się na maksa, nie miałem odwagi się przyznać. A potem po prostu zapomniałem. Przez lata leżał w pudełku ze szkolnymi rzeczami.

Wszystkie nalepki są na miejscu, sprawdziłem.

Cóż, sam sprawdzę, przy pierwszej nadarzającej się okazji. Byłem jedynym dzieciakiem w szkole, który skompletował całość. To zrujnowało mi tamte mistrzostwa. To oraz fakt, że Anglia odpadła w karnych w półfinale.

- W każdym razie przepraszam, dobrze?

Chodzi raczej o to, że czujesz się z tym lepiej, że się przyznałeś, i jesteś zadowolony, że nie miałem okazji nazwać cię małą złodziejską szują. Rany, równie dobrze mogę robić za konfesjonał. Po prostu wpadajcie, mówcie, co tam musicie powiedzieć, żeby sobie ulżyć, a ja nawet nie mrugnę.

- Próbując w żaloszny sposób odkupić swoją winę, załatwiłem ci adwokata. Zebrali wszystkie dane i szykują pozew o odszkodowanie. Ich zdaniem zajmie to lata, ale przynajmniej sprawiliśmy, że sprawa zaczęła się toczyć.

Boże. Odszkodowanie. Nawet o tym nie pomyślałem. Ale ma rację.

Nie wiem, jak długo uniwersytet pozwoli Mel być na urlopie. Domyślałem się, że dostaje pełną pensję. Ale nie wiem tego. Nie mam pojęcia, jak to funkcjonuje. Czy muzeum nadal mi płaci? Zakładam, że tak, ale nie sądzę, żeby miało tak być w nieskończoność. Nie wiem, co mam zapisane w

umowie. Na ogół nikt nie sprawdza, co zapisano małym drukiem o tym, jak długo będą ci płacić, jeśli zapadniesz w śpiączkę.

- Wyrezyłem też Mel w paru sprawach w domu i w ogrodzie. Po prostu chciałem się na coś przydać i trochę ją odciążać.

To miło z jego strony. To znaczy, naprawdę miło. Niestety Mel zorientuje się, że Steve, jeśli chodzi o wszelkiej maści majsterkowanie, jest o niebo lepszy ode mnie. Szkoda życia na wyciąganie poziomnicy, żeby sprawdzać, czy półka jest równo. Od zawsze wyznawałem taką filozofię. I okazało się, że mam rację.

- Dobrze sobie radzi. To znaczy w domu. W ogóle nie musisz się o to martwić. Zaglądam do niej, jak tylko mam czas. Zazwyczaj kiedy wracam od ciebie. Chyba dopiero jak zdarzy się coś takiego, zdajesz sobie sprawę, jaka jest konstrukcja danego człowieka. Jeśli chodzi o Mel, jej konstrukcja jest cholernie mocna. Jak na nią popatrzeć, nie przyszłoby ci to do głowy, prawda? Czasami wydaje mi się, że wciąż ma piętnaście lat. Muszę sobie przypominać, że nie chodzimy już razem do szkoły. I nie jestem jak zwykle piątym kołem u wozu.

Był piątym kołem? Inaczej to zapamiętałem. Chociaż chyba za bardzo byłem zapatrzony w Mel, żeby o tym myśleć. Pamiętam, że spędzał z nami dużo czasu. Może parę razy poszedł z nami do kina. I pewnie całowałem się z Mel na

jego oczach raz czy dwa. Możliwe, że czuł się trochę niezręcznie. Tak naprawdę nigdy o tym nie myślałem.

- Będę dbał o nią za ciebie. Upewniał się, że wszystko jest w porządku. Cokolwiek przyszłość przyniesie, nie chcę, żebyś się o nią martwił. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, przez co przechodzisz, leżąc tak. Czuję się kompletnie bezsilny. Chodzą mi po głowie słowa cholernej piosenki Rolfa Harrisa. *Dwaj mali chłopcy* do kurwy nędzy.

Szkoda, że nie zostałeś ranny w jakiejś bitwie. Mógłbym wpaść na koniu i wyciągnąć cię w bezpieczne miejsce. Pewnie nie miałbym jaj, żeby się odważyć, ale wiesz, o co mi chodzi. Więc tak sobie myślę, że skoro nie mogę ci pomóc, przynajmniej będę się za ciebie opiekował

Mel. Pomagał jej w domu. Był pod ręką, gdyby potrzebowała z kimś porozmawiać. Z kimś, kto zna cię nawet dłużej niż ona.

Cieszę się, że oczy mam nadal zamknięte. W przeciwnym razie zobaczyłby, że gromadzą się w nich łzy. Pewnie nieźle by mnie wyśmiał. Oj, potrafi to zrobić. A tu się okazuje, że pod tą fasadą zarozumiałego

prześmiewcy czai się wielki wrażliwiec, który próbuje się wydostać. Cieszę się z tego. Cieszę się, że Mel ma kogoś, kto się nią zaopiekuje. Kogoś, kto wiem, że jej nie zawiedzie.

ROZDZIAŁ 13

Mel

Muzeum modeli kolejowych Taty jest jak podróż w czasie. Znajduje się kilka przecznic od głównego centrum handlowego w Halifaksie. W podniszczonym budynku, którego nikt inny nie chciał wynająć.

Wiszący nad drzwiami szyld jest wyblakły, a „m” w słowie „muzeum” niebezpiecznie się przechyla. Na wystawie stoją zakurzony model kolejki, dwa tunele i most. Ale na zewnątrz jest guzik. Żaden dzieciak w Halifaksie nie jest w stanie przejść obok, nie nacisnąwszy go. Guzik uruchamia pociąg na wystawie. Proste, ale niebywale efektywne.

Gdybym go nie znała lepiej, powiedziałabym, że Tata jest geniuszem marketingu. Dzieciaki odciągają rodziców od zakupów tylko po to, żeby móc nacisnąć ten guzik. Na nieszczęście dla Taty przytłaczająca większość z nich jest zaraz potem zaciągana z powrotem na zakupy.

Choć prędzej czy później zdarza się dziecko wystarczająco uparte, żeby wydebić pozwolenie na wejście do środka. Do tego można dodać ojców i dziadków, którzy dadzą wiele, żeby urwać się z zakupów, by mniej więcej przez godzinę posmakować nostalgii. I dzięki temu muzeum trwa. A Tata z czystym sumieniem może spędzać popołudnia, bawiąc się modelami pociągów.

- Mamusiu! - krzyczy Maya, jak tylko wchodzę. Oczywiście uwielbia to miejsce. Dobrze się składa, bo ostatnio spędza tu raczej sporo czasu.

Nie miałam wyboru. To nie w porządku ciągać ją codziennie do Manchesteru, żeby odwiedzała Adama. Zabieram ją co drugi dzień, ale to w zupełności wystarczy. Uwielbia go odwiedzać, choć ciężko to znosi. Płaci wysoką cenę. Ważne, żeby spędzała też czas inaczej. Żeby poświęcała go na robienie zwyczajnych rzeczy, tak jak inne dzieci.

Żeby na chwilę przestawała być małą dziewczynką, której tatuś jest w śpiączce, i po prostu mogła się pobawić.

- Cześć, kochanie. - Pochyliłam się, żeby mocno ją przytulić. - Dobrze się bawiłaś?

- Tak. Dziadzius pokazał mi, jak przestawiać zwrotnicę i pozwolił mi

zjeść całe opakowanie Maltesers i tubkę Smarties.

Podchodzę do Taty, który ma minę winowajcy.

- Powinieneś już wiedzieć, że coś takiego nie ujdzie ci na sucho - szepczę, całując go w policzek.

- No, ale przecież to jej nie zaszkodzi, prawda? Powstrzymuję się, aby nie powiedzieć, że zarówno ja, jak

i dentysta Mayi jesteśmy odmiennego zdania.

- W każdym razie - kontynuuje - uznałem, że trzeba ją trochę rozpieścić.

To sposób Taty, żeby powiedzieć szyfrem „ponieważ jej ojciec jest w śpiączce”. Wydaje mi się, że nadal nie wymówił ani razu słowa na „ś”.

Cała ta sytuacja wyrywa go z jego bezpiecznego świata.

- Ciebie zresztą też - mówi, wciskając mi do ręki tabliczkę mlecznej czekolady.

Wiem, to miłe z jego strony, ale z trudem się powstrzymuję, żeby nie krzyknąć: „Tato, mam trzydzieści trzy lata i męża w śpiączce. Już ci się nie uda pocieszyć mnie słodyczami”. Nie krzyczę. Tylko uśmiecham się do niego. Bo nie jest

w stanie *znaleźć* słów ani siły emocjonalnej, żeby pocieszyć mnie w inny sposób.

- Dziękuję. - Wkładam czekoladę do kieszeni. - Zostawię sobie na później.

- Jak się czuje Adam?

Powstrzymuję pokusę, żeby odpowiedzieć: „A jak myślisz? Tak samo jak wczoraj i przedwczoraj”.

- No, wiesz... - mówię.

Tata kiwa głową, wbija wzrok w podłogę i drapie się w brodę. Wiem, że kiedy jestem w szpitalu, świetnie się bawi z Mayą. Ona opowiada mi potem, czym się zajmowali. Ale jak tylko się pojawia, żeby ją odebrać, to jakby przez drzwi razem ze mną wkraczał realizm. Tata nie może się już ukrywać w świecie fantazji, w którym wszystko było dobre. A to jest dla niego wyraźnie nieprzyjemne.

- W każdym razie, panno - zwracam się do Mayi - pora się zbierać.

- Ojjj. - Odpowiedź była do przewidzenia.

- Znów zobaczysz się z dziadkiem w sobotę.

- Jupi.

Uwielbiam, kiedy Maya to robi. Przechodzi od smutku do radości w kilka sekund. Emocjonalne jo-jo, jak to nazywam. Podbiega do Taty i z całych sił

przytula mu się do nóg. On pochyla się i pozwala, żeby połaskotała go w brodę. To taki ich mały rytuał. Z powodu brody Maya nie da mu całusa, więc w zamian go łaskocze.

- Tato, dziękuję - mówię.

- Nie ma za co. Zawsze się cieszę, jak tu wpada. Zresztą wiesz.

Wychodzimy. Maya biegnie wcisnąć guzik na zewnątrz, żeby uruchomić pociąg jeszcze jeden, ostatni raz, zanim pójdziemy.

Przez całą drogę do domu Maya szczebioce z podniecenia. Głównie coś bez większego sensu, ale pociesza mnie to, że wciąż, mimo wszystko, potrafi być jak inne dzieci. Choć teraz, skoro najwyraźniej sytuacja zacznie się przeciągać, obawiam się długofalowych reperkusji.

W domu przygotowałam dla niej niespodziankę. W końcu znalazłam parkę szczurów. Planowałam zabrać ją do sklepu zoologicznego, by sama je wybrała, ale potem pomyślałam, że w żadnym wypadku nie skończyłoby się na dwóch szczurach, chciałyby mieć całą menażerię.

Dlatego zdecydowałam się skorzystać z pomocy lokalnego weterynarza. I dobrze się złożyło. Skontaktował mnie z hodowcą, powiedział, że szczury pewnie pożyją dłużej, jeśli będą pochodzić ze sprawdzonego źródła. A zdychający szczur to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowała Maya. W każdym razie szczury stoją w kuchni. Z

tego powodu od godziny chodzi mi po głowie piosenka zespołu UB40
Rat in Mi Kitchen.

- A teraz - mówię Mayi, parkując przed domem - mam dla ciebie niespodziankę.

- Tatusz wrócił? - wykrzykuje Maya.

Serce mi się ściska. Myślałam, że zrozumiała już sytuację. Wie, że Adam w najbliższym czasie nie wróci do domu. Ale potem mówi coś takiego jak teraz. Myśli, że przyleci wróżka i sypnie magią, która sprawi, że wszystko znów będzie dobrze. Jest dzieckiem. Dzieckiem, które nie rozumie, jak i dlaczego odebrano jej tatusia. A ja potrafię tylko prowizorycznie zaszpachlować pęknięcia. Mogłabym dać jej wszystkie zwierzątka świata, ale i tak nie miałyby to znaczenia.

Jedyne, czego ona chce, to żeby tatuś wrócił.

- Nie, kochanie. - Gramolę się do niej na tylne siedzenie. Żeby ją objąć. Dać jej tyle ciepła i wsparcia, ile potrafię. -Przepraszam cię, ale nie potrafię zaczarować Tatusia, żeby tak po prostu wrócił do domu. Skarbie, będzie długo leżał w szpitalu.

- Wróci do domu, jak będę miała pięć latek? Uśmiecham się.

Dziewięć miesięcy to musi być dla niej cała wieczność.

- Miejmy taką nadzieję, skarbie. Miejmy nadzieję. Maya siedzi przez chwilę z poważną miną, po czym przypomina sobie, że czeka na nią niespodzianka.

- To co to jest?

- Ach, no cóż, musisz chyba wejść do środka i zobaczyć? Ale jedno ci powiem. Są bardzo małe i łatwo je przestraszyć, więc musisz być cicho.

Maya wciąga głośno powietrze.

- Szczurki! - krzyczy. - Kupiłaś mi szczurki. Uśmiecham się i odpinam jej pas. Maya katapultuje się na zewnątrz.

- Poczekaj na Mamusię. I pamiętaj, co powiedziałam. Musimy być cicho. Mocno trzymam jej rękę, gdy na palcach wchodzimy do kuchni.

- Gdzie one są? - pyta Maya, zaglądając do klatki.

- Wychodzą z tej tuby. - Pokazuję palcem. Maya znów głośno wzdycha.

- To najfajniejsze zwierzaki na świecie - mówi na widok lśniącego białego futerka i długiego ogona większego szczura oraz mniejszego czarnego, który podąża za nim.

Oddycham z ulgą, że dobrze wybrałam.

- Jak je nazwiesz?

Maya myśli przez sekundę.

- Roddy i Rita - oświadcza. - Jak w tym filmie *Wpuszczony w kanał*.

Uśmiecham się z ulgą, że nie powiedziała „Adam i Ewa”.

- Obaj są chłopcami, ale to nie ma znaczenia - mówię.

- Nie - odpowiada. - Nie ma. Ten czarny może udawać, że jest dziewczynką.

Pamiętam, co Adam powiedział o tym, że będzie je próbowała przebierać. I tak mocno chcę, żeby tu był i to usłyszał.

Dłuższą chwilę oglądamy Roddy'ego i Ritę. Mówię jej, że musimy dać im szansę, żeby dzień czy dwa przyzwyczaili się do nas, zanim wyjmemy ich z klatki i będziemy dotykać. Przeglądamy broszurkę, którą dostałam, *Jak dbać o szczura*. Już mam wstać i zająć się stertą brudnych naczyń w zlewie, gdy słyszę pukanie do drzwi.

- Kto to? - pyta Maya.

- Nie wiem. Pójdę sprawdzić.

Maya idzie ze mną. Jest bardzo ciekawska. Otwieram drzwi. Staje w nich kobieta mniej więcej w moim wieku. Ma krótkie brązowe włosy, zmęczone

oczy i natychmiast się uśmiecha. Ma na sobie uniform z białym fartuchem i trzyma dużą torbę. Przy ulicy stoi zaparkowany samochód z logo „Pomocna dłoń”.

- Dzień dobry, pani Taylor - mówi. - Mam na imię Denise. Słyszałam, że potrzebuje pani sprzątaczkę.

W tym momencie czuję się zupełnie jak w filmie o Niani McPhee.

Muszę się powstrzymać, żeby sprawdzić, czy na jej twarzy nie ma kurzajek.

- Ehm, tak. Chyba potrzebujemy.

Maya szarpie mnie za spódnicę i syczy mi do ucha: - Przysłał ją rząd? Tak jak w *Niani i wielkim bum*. Zerkam na Denise, która dyplomatycznie udaje, że nie dosłyszała.

- Przysłał mnie Steve Dawson. Zostawiłam wiadomość na pani sekretarce i poczcie głosowej. Ale powiedział, że bym się nie przejmowała, jeśli pani nie oddzwoni, i mimo to przyjechała.

- Och. Tak. Tak, oczywiście - mówię, odsuwając się na bok, żeby mogła wejść, i jak przez mgłę przypominam sobie, że mrugała lampka sekretarki.

- Będzie z nami mieszkać? - pyta Maya.

- Nie, kochanie. - Śmieję się. - Tylko posprząta.

- O, to dobrze. Może pani zrobić, żeby wszystko błyszczało? - Maya podnosi głowę, żeby spojrzeć na Denise.

- Zrobię, kotku, wszystko co w mojej mocy.

- Tak przy okazji, to moja córeczka Maya - mówię.

- Jesteś bystra jak strumyczek i na dodatek ślicznotka z ciebie. -

Denise uśmiecha się do małej.

- Mój Tatuś mocno śpi w szpitalu, ale mam dwa szcurki - ogłasza Maya w ramach przedstawienia się.

Denise posyła mi niepewne spojrzenie.

- Są w klatce - uspokajam, zdawszy sobie sprawę, że chyba jej niepewność dotyczyła szcurków, bo o Adamie Steve pewnie jej powiedział. - Ale jeśli to pani przeszkadza, przykryję je.

- Jeśli nie będą mi się pętać pod nogami ani paskudzić, dogadamy się - odpowiada.

- W porządku. Pokażę pani, gdzie są środki do sprzątnięcia.

- Nie trzeba. Wszystko mam w samochodzie. Sprzątam, prasuję, zmywam. Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie mam zacząć.

Uśmiecham się do Denise. Niemal przepelniają mnie emocje.

Doprowadzi dom do porządku. Z barków ześlizguje mi się wielki ciężar. Nie aż tak ogromny, jak ten, który pozostaje, ale mimo wszystko swoje ważył.

Dopiero kiedy następnego dnia parkuję przed domem Steve'a i Louise i zauważam, że na podjeździe nie ma jego samochodu, zdaję sobie sprawę, że to czwartek. Steve poje-

chał biegać. Czasami zapominam, że dla reszty świata sprawy toczą się swoim torem. Jedynie w moim świecie wszystko się zatrzymało.

Chcę mu osobiście podziękować za przysłanie Denise. W czystym domu jest coś, co wywołuje poczucie nadziei. Może dam radę przez to przejść. Może lekarze się mylą. Adam wyzdrowieje. Życie może wrócić do normy.

Drzwi otwiera Louise. Na topie ma zielony odcisk małej rączki. To zdecydowanie przedszkolanki, a nie dzieci, potrzebują fartuchów na zajęciach z plastyki.

- Cześć. - Wycieram buty i wchodząc do środka. - Przepraszam, że wpadam bez zapowiedzi. Chciałam podziękować. Za sprzątaczkę. Ale zapomniałam, że Steve biega.

Przestaję trajkotać i spoglądam na Louise, która milczy. Dopiero wówczas zauważam, że ma zaczerwienione oczy. Ze znajomy uśmiech, który stale gościł na jej twarzy, zniknął.

- Co się stało? - pytam, a znajomy skurcz żołądka znów przypomina o sobie.

- Steve nie poszedł biegać. To znaczy, może i poszedł. Chodzi o to, że później tu nie wróci.

- Czemu nie?

- Odszedł wczoraj ode mnie. Powiedział, że chce spróbować separacji. Wynajął mieszkanie. W Rishworth, tak chyba powiedział.

Choć w tym momencie już właściwie nie słuchałam.

Gapię się na nią z otwartymi ustami. Nie miałam pojęcia, że tak to się skończy. Myślałam, że jedynie przechodzą trudny okres. Ze jakoś z tego wyjdą.

- Och, Louise, biedactwo - mówię, tuląc ją. Cała się trzęsie, ale łez nie widać. Chyba wypłakała już wszystkie. - Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie wczoraj?

- Nie potrzebujesz tego na dokładkę. Tak jakbyś nie miała już nadto.

- Boże, czuję się okropnie - mówię. - Nawet cię nie pytałam, jak się

sprawy mają. Skupiałam się tylko na swoich problemach.

- To oczywiste. I słuszne. Masz na głowie dużo ważniejsze zmartwienia.

- Twoje małżeństwo też jest ważne. Chodź, usiądziemy i porozmawiamy o tym. Rodzice siedzą z Mayą. Teraz moja kolej, żeby wstawić wodę na herbatę.

Louise podąża za mną do kuchni. To takie nowoczesne cacko, błyszczy tak, że można się przejrzeć, każdy szczegół zaplanowany.

Louise siada przy stole. Zauważam, że leży na nim tylko jedna mata-podstawka, a w miejscu, gdzie zazwyczaj siadał Steve, stoi kwiatek w doniczce. Stawiam na stole nasze herbaty i czekam, aż Louise zacznie mówić.

- Po prostu nie rozumiem. - Kręci głową. - Przecież nie było kłótni, nie pozarliśmy się o nic ważnego ani nic. Nie było idealnie, sama wiesz, ale nie miałam pojęcia, że jest nam pisane coś takiego.

- Nie podał ci żadnego powodu?

- Tak naprawdę nie. Powiedział, że czas najwyższy, żeby był ze mną szczerzy i że nie ma pewności, czy widzi dla nas przyszłość. Uważa, że najlepiej, jeśli na czas, kiedy będzie się zastanawiał, jak postąpić, wyprowadzi się z domu. Powiedział coś o tym, że zobaczy, jak sprawy będą wyglądały za cztery miesiące.

- Cholera jasna. To nie... Nie sądzisz... Louise kręci głową, więc nie muszę kończyć.

- Powiedział, że nie. Powiedział, że chodzi o niego. Że ja nic złego nie zrobiłam i że nie chce mnie krzywdzić bardziej, niż już mnie skrzywdził.

- No to o co chodzi? Przecież ludzie nie wyskakują z czymś takim bez ważnego powodu.

Louise wzrusza ramionami.

- Myślę, że to ma związek z Adamem.

- Co masz na myśli?

- Bardzo źle to znosi.

- Wiem.

- Nie. Nawet gorzej niż to okazuje. Zaczął miewać nastroje, zachowywać się irracjonalnie, stał się opryskliwy. Opowiada, że życie jest za krótkie, żeby nie robić tego, na co ma się ochotę. Chyba nagle się przebudził, że chce je sobie naprostować.

- Ale w jego życiu jesteś też ty. Louise ponownie wzrusza ramionami.

- Mel, nie sądzę, żeby on mnie kochał. Nie jestem pewna, czy

kiedykolwiek mnie kochał.

- Nie bądź śmieszna. - Wyciągam rękę, żeby uścisnąć jej dłoń. -

Oczywiście, że cię kocha. Jesteś wspaniała. Jesteś piękna i zabawna, i zdecydowanie jesteś najsympatyczniejszą osobą, jaką znam. Dlaczego miałby cię nie kochać?

- Chciałabym wierzyć, że mnie kochał, może nawet nadal... Ale on jest tak bardzo zamknięty w sobie, że ciężko cokolwiek powiedzieć.

Łudziłam się, że uda mi się go zmienić, otworzyć trochę, żeby wpuścił mnie do środka. A on robi coś takiego i zastanawiam się, czy w ogóle znam go choć trochę.

Wzdycham. Też tego nie rozumiem.

- Może to jakiś kryzys wieku średniego.

- Ma dopiero trzydzieści trzy lata.

- Niektórzy przechodzą to wcześniej. Może, tak jak mówisz, ta cała sprawa z Adamem to wywołała. Louise, ja nie wierzę, że to koniec. Nie mogę uwierzyć, że miałby nie wrócić. Parę dni, żeby ułożył sobie wszystko w głowie i zrozumie, jakim był durniem.

- Chciałabym być taka pewna.

- Chcesz, żebym do niego pojechała? Spróbowała z nim porozmawiać?

Louise kręci głową.

- Dzięki, ale nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. On tak nie lubi rozmawiać o naszych prywatnych sprawach. Sami musimy się z tym uporać. Żebyśmy tylko wiedziały, z czym mamy się uporać.

Przez kilka chwil siedzimy w ciszy.

- Szkoda, że nie ma tu Adama - przerywam milczenie.

- Wciąż tu jest.

- Wiesz, co mam na myśli. Żałuję, że nie może pójść i wybić mu z głowy. Nie dosłownie, ale wiesz, jacy oni byli. Nigdy jeden nie słuchał obojętnie, jak drugi go opieprzał.

- Wiesz, nad czym się cały czas zastanawiam? - mówi Louise. - Ta kolacja, którą zjedliśmy u was. Miesiąc temu byliśmy w czwórkę, a teraz popatrz. To równie dobrze mogło być w poprzednim życiu.

- Wiem. Wyobraź sobie, gdyby ktoś nam wtedy powiedział.

Przewinałyby taśmę do przodu, żeby nas obejrzeć. Nie uwierzyłybyśmy, prawda? Że wszystko w życiu może tak szybko się posypać.

- I co z tym zrobimy?

- Siedz spokojnie i czekaj. Steve wróci. Myślę, że w tej chwili on sam nie

wie, czego chce. Chyba ta cała akcja z Adamem po prostu namieszała mu w głowie. Nie myśli logicznie. Nie mogę uwierzyć, że przyjechałam tu, żeby mu podziękować. Teraz chciałabym w twoim imieniu kopnąć go w jaja.

Louise po raz pierwszy prawie udaje się uśmiechnąć.

- Mam nadzieję, że nie będzie ci przez to niezręcznie. Że jesteś wplątana. W sam środek tego wszystkiego.

- Nie jestem wplątana w środek. Jestem po twojej stronie.

- Nie. Nie chcę, żebyś musiała opowiadać się po którejś stronie. Znasz go dłużej niż ja i on jest najlepszym przyjacielem twojego męża. Chcę, żebyś nadal była przyjaciółką, zarówno moją, jak i jego. Proszę.

Louise nie tylko tak mówi, ona naprawdę tak myśli. A ucięcie znajomości ze Steve'em byłoby odcięciem części Adama.

- Dobrze - mówię. - Jeśli tego chcesz. Ale ostrzegę go, że kiedy Adam się obudzi, na pewno powie mu parę słów do słuchu. A i ja mu wygarnę, jakie drań ma szczęście, że ma ciebie za żonę.

Louise udaje się ponownie uśmiechnąć. Odgarnia włosy za uszy, po czym wypija kolejny łyk herbaty.

- A jak ci minął dzień, lekarze powiedzieli coś nowego?

- Raczej nie. Nic nie mówią, ale i nie muszą. Są przekonani, że się nie obudzi.

Teraz Louise ściska mi rękę.

- Mel, jestem pewna, że on walczy naprawdę ze wszystkich sił.

- Wiem. Czuję to, kiedy z nim jestem. A nawet wtedy, gdy mnie tam nie ma. Maya też to wie. W tej sali czuje się ból, kiedy ona tam jest, bo on tak mocno stara się do nas przebić. I wiesz co, niedługo mu się to uda. Musi się udać.

ROZDZIAŁ 14

Salę zalewa wpadające przez okno światło poranka. Słońce. Przez okno. Kurwa. Widzę. Mgła się podniosła, podciągając za sobą moje powieki. Próbuję poruszyć ręką, ale wciąż nie mogę. Próbuję coś powiedzieć. Nic. Ale widzę. Wszystko jest trochę rozmazane, ale jestem w stanie rozróżnić przedmioty, kształty i kolory. Wróciłem do świata żywych. Nawet jeśli wciąż przypominam żywego trupa. Chcę krzyczeć, wrzeszczeć i płakać, wszystko naraz. Oczywiście żadnej z tych rzeczy nie mogę zrobić na głos, ale skuteczniam je po cichu.

Czuję, że i śmiać mi się chce. Tak długo marzyłem o tym, wyobrażałem sobie tę chwilę, kiedy otworzę oczy i zobaczę wpatrzone we mnie twarze bliskich. A kiedy mi się udało, to do cholery nikogo tu nie ma. Już nawet obecność Joan by mnie ucieszyła, przetrzymałbym budzenie za pomocą „Wszystkich rzeczy jasnych i pięknych”, cokolwiek, byleby znów ujrzeć ludzką twarz. W filmach jest inaczej.

Ktoś powinien wyznać mi dozgonną miłość. Albo chociaż łkać u wezgłowia. Może powinienem zamknąć oczy i udawać, że nadal śpię, aż nadejdzie bardziej sprzyjający moment. Pewnie wszyscy inni też byliby bardziej zadowoleni takim obrotem

spraw. Całe to śpiewanie, puszczenie mojej ulubionej muzyki, rozmowy, a koniec końców otwieram oczy, kiedy do diabła nic się nie dzieje. To raczej niweczy ich wysiłki. Jak się lepiej nad tym zastanowić, powinienem otwierać oczy kolejno dla każdego z nich.

Wszystkim dać tę chwilę satysfakcji, że to im się udało, to oni sprawili, że coś we mnie drgnęło. Szkopuł w tym, że tak długo czekałem, aż otworzę oczy, że teraz się boję zamknąć je ponownie, nawet mrugnąć, bo czar może prysnąć. Nigdy więcej już się nie otworzą. Tak czy owak, za późno na dywagacje. Słyszę kroki na korytarzu. Drzwi otworzą się lada moment. Ktokolwiek wejdzie, zareaguje pewnie jak w programie *Mamy Cię!* Przydałaby się ekipa telewizyjna, żeby sfilmować to wszystko dla potomności. Mógłbym puszczać w Boże Narodzenie, kiedy skończą się już tematy rozmów.

Klamka obraca się. Moment zawahania. A następnie znajomy głos, choć odrobinę zdławiony.

- Panie Adamie, no, w końcu postanowił pan do nas dołączyć. Nie spieszyło się panu, cokolwiek by gadać. Przeciągnął pan sobie trochę to słodkie niedzielne lenistwo, co?

Widzę ją. Widzę Jacintę. Stoi w nogach łóżka i uśmiecha się do mnie. Nie rozróżniam wszystkich szczegółów, ale to ona.

- Tak mi przykro, że pierwsza rzecz, jaką pan widzi, to moja niewyjściowa gęba. Tyle ślicznotek się tu kręciło, a pan się musiał obudzić na mnie. - Cmoka, kręcąc głową.

Jest w błędzie. Mnie jej twarz wydaje się piękna. Skórę ma ciemną.

Włosy bujne i falujące, a na ustach fiolet (nie czerwień, jak sobie wyobrażałem), otaczający ten wspaniały, wielki uśmiech, który rozgrzeje cię bardziej niż gorąca czekolada.

- Niech pan leży spokojnie, a ja pójdę, żeby doktor Brooke pana obejrzał, i zadzwonię do tej pana uroczej żonki. Ale

przyleci odstawiona, mówię panu. Tylko trzymaj pan te oczy otwarte.

Żebyś pan nie zrobił ze mnie kłamczuchy, bo pomyślą, że rum tankuję.

Wychodzi. Przez chwilę czuję pustkę, bo straciłem z oczu tę twarz, jedyną od tak dawna. Ale zaraz drzwi gwałtownie znów się otwierają.

- Dzień dobry, panie Adamie, cieszę się, że w końcu możemy się zobaczyć. - Doktor Brooke uśmiecha się szeroko.

Jest młodszy, niż myślałem, i też niższy. Nie, żeby narzekał. Na nic nie narzekam. Wszystko jest nowe, świeże i niesamowicie dziwne.

Widzieć ludzi, których głosy stały się tak bardzo znajome. Jestem ciekaw, czy się uśmiecham. Wydaje mi się, że tak, ale chyba jednak nie, bo nikt na to nie reaguje. Powtarzam sobie, że muszę być cierpliwy. Krok po kroku.

Doktor Brooke zaczyna mnie badać, świeci mi kolejno w jedno oko, potem w drugie, sprawdza odruchy (nie, żebym je miał) i patrzy na wszystkie monitory. Do sali wchodzi dwójka młodych ludzi, których przedstawia mi jako stażystów. Pewnie są podekscytowani. Przykład jak z podręcznika medycyny, ale na żywo. Ich obecność mi nie przeszkadza. Jeśli chodzi o mnie i o towarzystwo ludzi, im więcej, tym lepiej. Doktor Brooke jednak pyta, czy się zgadzam. Nawet proponuje, żeby mrugnął, jeśli nie. Próbuję, nie dlatego że się nie zgadzam, ale ponieważ nagle zdaję sobie sprawę, że skoro mogę otworzyć oczy, powinienem też móc mrugać. Nic z tego. Próbuję tak mocno, że obawiam się, że z uszu buchnie mi para. Nie rozumiem. Jak to możliwe, że się otworzyły, skoro nie mogę ich teraz zamknąć? Czy to znaczy, że od teraz stale będą otwarte? Czy będę w stanie spać z otwartymi oczami? Pytania mnożą się, ale nie umiem na nie odpowiedzieć. Znów nagle zazdroszczę Bauby'emu. Mo-

że i miał tylko jedno oko, ale przynajmniej mógł nim mrugać. Dla mnie komunikowanie się to wciąż pieśń przyszłości. I w pewnym sensie teraz, kiedy widzę świat, w którym się znajduję, brak możliwości porozumiewania się jeszcze bardziej boli. Wiem, że jestem pazerny. Jeden zmysł na raz. Skupmy się na tym, co dziś. Nie było jakiejś koszarnej piosenki o tym? Lena coś tam. Lena Martell. Oż, kurwa. Jak to możliwe, że pamiętam takie rzeczy, a nie mogę sobie przypomnieć, jak się mruga?

Z daleka już słyszę Mayę. Malutkie stopki galopujące korytarzem, rozentuzjasmowany głosik. I głos Mel, łagodny, ale stanowczy, który prosi,

żeby szła spokojniej. Kroki cichną przed drzwiami. Przez minutę nic się nie dzieje. Zastanawiam się, co Mel jej mówi. Jak wytłumaczyć czterolatce, że tatuś cię widzi, ale nie może cię uściskać ani z tobą porozmawiać? Drzwi się otwierają. Pisk. Tak bardzo chcę ją zobaczyć.

Mija parę chwil, nim Mel zdaje sobie sprawę, że nie mogę poruszać oczami.

- Maya, idź w nogi łóżka. Podniosę cię, żeby Tatuś mógł cię zobaczyć.

I sekundę później już tam jest. Moja śliczna córeczka na rękach Mamy. Spojrzenie małej promienieje. Ma we włosach swoją fioletową kokardę. Zawsze ją zakłada na kinderbale i specjalne okazje. Za Mayą stoi Mel. Jej oczy się uśmiechają, ale lecą z nich ciche łzy. Łzy, które tak bardzo chciałbym otrzeć jej z policzków.

- Cześć, Tatusiu - mówi Maya. - Ale długo spałeś, prawda? Musiałeś być bardzo zmęczony.

- Cześć, kochanie - dołącza cicho Mel. - Przepraszam, że nie było nas tutaj. Przyjechaliśmy od razu, jak zadzwonili.

Cała ona, przeprasza, jakby to była jej wina.

- W każdym razie tak bardzo się cieszymy, że znów widzisz.

Wiedziałyśmy, że dasz radę. Że się nie poddasz.

- Patrz, Tatuś płacze - mówi Maya.

- Nie, kochanie. Wiem, że tak to wygląda, ale to tylko oczy mu łzawią. Pamiętasz, powiedziałam ci, jak pan doktor wytłumaczył - to dlatego, że Tatuś nie może mrugać?

Chcę jej powiedzieć, że się myli. Że lekarze są w błędzie. Chcę jej powiedzieć, że płaczę. Również na zewnątrz.

- Podobają ci się moje rysunki, które dla ciebie namalowałam? - pyta Maya.

- Chyba Tatuś nie widzi ich stamtąd - mówi Mel. - Chodź, zdejmujemy je i powiesimy na tej ścianie naprzeciw niego.

Przez kilka minut Mel i Maya to pojawiają się w polu widzenia, to znów znikają. Trochę tak, jakby oglądać film nakręcony kamerą na nieruchomym statywie. Ale stopniowo na przeciwległej ścianie powstaje cała galeria. Ogromne fioletowe motyle (rozpoznaję je, Maya zawsze maluje motyle w ten sam sposób), biała i czarna plama, to chyba szczury (odkąd je dostała, nieustannie opowiada o Roddym i Ricie), a także sporo bliżej nieokreślonych kleksów, mazai i bazgrołów. Dziecięca twórczość w całym swym

cudownym, wspaniałym, abstrakcyjnym chaosie. Bardzo mi się podoba. Wręcz pieję z zachwytu. Zaskakuje mnie jedynie brak dinozaurów. Maya zawsze je rysowała. Nie chciałbym, żeby przez całą tę sprawę przestała je lubić.

- Podobają ci się? - pyta Maya.

Próbuję sprawić, by moja twarz, moje usta, moje ciało w jakikolwiek sposób powiedziały „tak”.

- Nie podobają mu się? - niepokoi się Maya.

- Oczywiście, że mu się podobają - odpowiada Mel, przytulając ją. -

Po prostu nie może się uśmiechnąć ani podziękować.

- Ale ja chcę z nim porozmawiać - marudzi Maya.

- Chodź, może połaskocz go w paluszki. - Mel odsuwa kołdrę. - To może być twój specjalny sposób na porozumiewanie się z Tata.

Maya niepewnie dotyka mojego dużego palca. Przez krótką chwilę wydaje mi się, że to czuję. Potem zdaję sobie sprawę, że po prostu widzę, co ona robi i wyobrażam sobie, jakie to uczucie. Teraz patrzę, jak jej paluszki mnie łaskoczą. Próbuję wypchnąć kąciki ust do góry.

Po minie Mayi widać, że nic się nie dzieje.

- Tak jakby wciąż spał, tylko ma otwarte oczy - zauważa Maya.

W jej głosie pobrzmiwa rozczarowanie. Mel usuwa mi się z pola widzenia. To dlatego, żebym nie widział, jak płacze. Nie wie, że wciąż umiem zobaczyć oczami wyobraźni, jak łyży torują sobie drogę po jej twarzy.

ROZDZIAŁ 15

Mel

Przynajmniej mają tu przyzwoitą herbatę. - Mama siada obok mnie w szpitalnym bufecie. - Choć wybór herbatników mógłby być większy.

Mój mąż właśnie otworzył oczy po trzech tygodniach śpiączki, a ona narzeka na herbatniki.

- No, w każdym razie, hmm, oczy Adama wyglądają dobrze - mówi Tata.

- Tak - potwierdzam. Cóż mogę dodać. Ma dobre intencje. To nie jego wina, że w tej chwili kompletnie się nie sprawdza.

- Więc co dalej? - pyta Tata.

- Doktor Brooke dokładnie ocenia teraz stan Adama. Nie znam szczegółów, ale mam się z nim później spotkać w tej sprawie.

- Czy Tatuś wróci z nami dziś do domu? - Maya spogląda znad morza ketchupu, w którym pływają frytki.

- Nie, kochanie. Jeszcze długo nie, pamiętasz?

- To może przyniosę Roddy'ego i Ritę, żeby mu pokazać?

- Kochanie, obawiam się, że to niemożliwe. Do szpitala nie można przynosić szczurów.

Maya wzdycha i wraca do frytek. Dopóki nie zaczęła bywać w szpitalnym bufecie, nie dostawała ich zbyt często.

- Skoro o tym mowa. - Mama przycisza głos. - Czytałam artykuł, chyba w „Daily Mail”, o tym, że w jakimś szpitalu znaleziono szczurze odchody. Chociaż wydaje mi się, że to było w Liverpoolu. Widocznie panują tam inne zwyczaje...

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale rezygnuję. Naprawdę nie ma sensu. Mama jest beznadziejnym przypadkiem. A ja nie mam siły, żeby kopać się z koniem.

- Po obiedzie weźmiemy Mayę do domu - oznajmia Tata.

- Dziękuję - mówię szeptem. - Myślę, że miała dość wrażeń jak na jeden dzień.

Nie tak to miało wyglądać. Kiedy rano zadzwonili ze szpitala, wpadłam w euforię. Płakałam z radości i z poczucia ulgi. Tańczyłam z Mayą po kuchni. Teraz mój entuzjizm w najlepszym razie oklapł, w najgorszym zaś dość znacząco wyparował. Maya miała rację. Adam wcale się nie obudził. Jedynie otworzył oczy. Czy to źle, że oczekiwałam więcej? Lekarze ciągle mi powtarzali, że to nie będzie jak w filmie. Nie zdarza się, żeby ktoś otworzył oczy i zaczął rozmawiać, jak gdyby nigdy nic. Jednak mimo to liczyłam na więcej. Przebłysk świadomości. Znak, że Adam łomocze do drzwi i próbuje do nas wrócić.

Prawda jest taka, że nawet nie ma pewności, czy nas widzi. Czy jego mózg w ogóle rejestruje jakiegokolwiek obraz. To samo zresztą dotyczy słuchu. Myślę, że nas słyszy. Czasami jestem tego pewna. A jednak teraz, gdy otworzył oczy i nie ma sposobu, żeby się z nim porozumieć, nie jest to takie oczywiste, czy przebija przez nie świadomość. Tak jakby światła były włączone, ale nikogo nie było w domu. I cały czas tak sobie myślę, a co, jeśli ktoś jest w domu, ale nie potrafi się z nami skontaktować? Co,

jeśli zatrzaskał się jak Bauby? Adam nie byłby w stanie tego znieść.

Byłby tym przeraźliwie sfrustrowany.

Próbuję znów wzbudzić w sobie entuzjazm. Mówię, że jesteśmy dużo dalej niż wczoraj. Ze są powody do optymizmu. Jednak przychodzi mi to z trudem. Ponieważ brakuje mi męża. I tak bardzo chcę go odzyskać.

- BBC wciąż mi nie odpowiedziała w sprawie tego durnego Evansa - mówi Mama.

Wyruszyła na samotną krucjatę, która ma na celu usunięcie Chrisa Evansa z Radio 2 i przywrócenie na tron prawowitego władcy, sir Terry'ego Wogana. Oczywiście nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby sprawdzić, czy sir Terry jest w ogóle zainteresowany, ale ponieważ szanse powodzenia akcji są zerowe, nie chce mi się wtrącać.

- No wiesz, czytałam któregoś dnia, że on ma trzecią żonę. To teraz w BBC zatrudnia się ludzi tego pokroju?

Zerkam na Tatę. Wzrusza ramionami. Oboje wiemy, że lepiej się nie odzywać.

- Mogę już iść do domu? - Maya wylizła już do czysta ketchup z talerza.

- Tak - odpowiadam, wiedząc, że Mama też będzie musiała pójść. -

Dziadek i Babcia cię zabiorą.

- A ty? - pyta Maya.

- Zobaczę się z panem doktorem, a potem posiedzę jeszcze z Tatusiem.

Wrócę do domu, żeby przeczytać ci bajeczkę na dobranoc, dobrze?

Maya zgadza się z poważną miną. Całuję ją w czubek głowy. Brakuje mi chwil, które spędzałyśmy razem. Bardzo za tym tęsknię.

- Więc tak - mówi doktor Brooke, kiedy się z nim spotykam. - Jak pani wie, to, że Adam otworzył oczy, jest dużym

krokiem naprzód. Ale jak już wyjaśniałem wcześniej, nie gwarantuje znaczącego postępu.

- A co z oceną jego stanu, którą pan dziś przeprowadzał?

- Wciąż brak oznak, że Adam ma świadomość tego, co się wokół niego dzieje. Nadal brak jakiegokolwiek reakcji.

- Ale to nie znaczy, że on nie myśli i że nas nie słyszy. Słyszy, wiem, że tak jest, kiedy odwiedzamy go z Mayą. Widzę to po jego twarzy.

Doktor Brooke uśmiecha się wyjątkowo pobłaźliwie.

- Często się zdarza, że gdy bliscy spędzają z pacjentem tak wiele czasu, zaczynają dostrzegać coś, czego po prostu nie ma.

- Pan nadal uważa, że mu się nie polepszy, prawda? Doktor Brooke bierze głęboki oddech.

- Wprawdzie otwarcie oczu to dobry znak, świadczący o tym, że pobudzony obszar centralny zaczyna znów normalnie funkcjonować, ale jednak pacjenci czasem pozostają uwięzieni w stanie wegetatywnym miesiące, a nawet lata po tym, jak pierwszy raz unieśli powieki.

Wpatruję się w doktora Brooke'a. Powiedział „stan wegetatywny”.

Nikt wcześniej nie użył tego terminu w odniesieniu do Adama. Doktor Brooke orientuje się po moim wyrazie twarzy, że nie rozumiem, zanim znajduję właściwe słowa.

- Przepraszam. Powinienem pani wyjaśnić, że gdy nieprzytomny pacjent otwiera oczy, ale nie reaguje na bodźce, technicznie rzecz biorąc, nie jest już w śpiączce. Przeszedł w stadium, które nazywamy stanem wegetatywnym.

Głośno przełykam ślinę. Słyszę, jak uchodzi ze mnie powietrze.

Doktor Brooke wygasił mój entuzjazm.

- Ma pan na myśli to, że nigdy nie odzyska świadomości. Nie w pełni. Tak właśnie pan uważa.

- Obawiam się, że istnieje taka możliwość. Jest bardzo prawdopodobna.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Kwestia ta była szeroko badana. Spośród pacjentów, którzy otwierają oczy pomiędzy drugim i czwartym tygodniem, jedynie trzydzieści dwa procent osiąga znaczący postęp w ciągu roku. Wiek odgrywa dużą rolę. Adam plasuje się gdzieś pośrodku. Dziewięć procent pacjentów w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat, którzy po miesiącu byli w stanie wegetatywnym, po roku funkcjonowało samodzielnie.

- Więc jest nadzieja. Ma dziewięćprocentową szansę powrotu do normalnego życia.

-

Normalnego?

Tego

nie
powiedziałem.

Samodzielne

funkcjonowanie. To coś zupełnie innego. I to naprawdę niewielki procent. Proszę za bardzo nie rozbudzać w sobie nadziei. Nie chciałbym, żeby się pani rozczarowała.

Rozczarowała, tak mówi. Wyobraźcie sobie, jakie to okropne uczucie. Kiedy marzenia legną w gruzach, gdy nie można już wybiegać w przyszłość z myślą o wspólnym wyjeździe na wakacje. Gdy trzeba powiedzieć córce, że Tatusia może nie będzie z nią pierwszego dnia szkoły. Gdy każdą noc spędza się samotnie w wielkim łóżku. Gdy nie wyprało się poszewki poduszki, na którą mąż kładł głowę, żeby nie utracić tej resztki zapachu obok siebie. Jezus Maria, wyobraźcie sobie to rozczarowanie.

- Nie. Oczywiście, że nie. - Wstaję, głośno szurając krzesłem. Chcę stąd wyjść, najszybciej jak to możliwe. Jeśli ten człowiek naprawdę uważa, że pomaga mi uniknąć rozczarowania, to się cholernie myli.

Wypadam na korytarz, chcąc uciec stamtąd jak najszybciej. Idę ze spuszczoną głową. Wiem, że jeśli będę się trzymać pomarańczowej linii na

podłodze, dotrę do sali Adama. Zastanawiam się, czy właśnie dlatego je malują. Wskazująca kierunek kolorowa linia pozwala zorientować się mniej więcej, dokąd się podąża, idąc ze spuszczoną głową, żeby ludzie nie widzieli łez. Nogi mi przyspieszają, zaczynam truchtać. Już prawie jestem przy drzwiach sali Adama, gdy nagle wpadam na kogoś.

Kogoś, kto niesie kubek kawy, która rozlewa się na podłogę. Już mam przeprosić, kiedy czuję na ramieniu czyjąś dłoń. Spoglądam w górę. To Steve. Odstawia na pobliski parapet kubek z resztką kawy.

- W porządku - mówi. - Jestem tu.

Sekundę później z rozwianym włosom walę pięściami w jego klatkę piersiową, potrząsając głową.

- Mówią, że nie odzyska świadomości - szlocham. - Ze to stan wegetatywny.

Steve kiwa głową i przyjmuje to na klatę. Przyjmuje wszystko, czym go raczę. Nie ocenia. Nie próbuje być protekcyjny. Po prostu jest.

Czeka, aż się uspokoję. Aż ręce przestaną młócić, głowa przestanie się trząść, a głos zawodzić.

- Chodź. Muszę kupić sobie nową kawę. Tobie też kupię. Idę ze Steve'em do bufetu. Żadne z nas się nie odzywa.

Czuję się jak nadmuchany do połowy balon, który ktoś wypuścił z rąk.

Poobijawszy się o wszystko dookoła, teraz leży na podłodze, sflaczały i nieruchomy.

Steve kupuje dwie kawy i siada naprzeciwko mnie, ostrożnie układając pod stolikiem długie nogi. Wygląda jak model z żurnala, pozujący z niewymuszoną elegancją. Adam zwykle się z tego nabijał.

Chociaż sam przecież nie wyglądał jak abnegat.

- Zaczęłam myśleć o nim w czasie przeszłym - mówię częściowo do siebie, a częściowo do Steve'a. - Tak jakby było

dwóch Adamów. Ten, który był ze mną, i ten, który leży w szpitalnym łóżku. Jakoś ciężko połączyć ich ze sobą. Steve kiwa głową.

- Wiem, że to pewnie brzmi okropnie. Ale od kiedy ma otwarte oczy, jest mi jeszcze trudniej. Wszedłem do jego sali, obróciłem się na pięcie i wyszedłem. Dlatego byłem po kawę. Nie dałem rady oglądać go w tym stanie. Chciałem potrząsnąć nim, krzyknąć na niego, żeby przestał się lenić i wstawał.

Zerka na mnie.

- Przepraszam. Nie powinienem tego mówić. To pewnie zabrzmiało strasznie egoistycznie - dodaje.

- W porządku - uspokajam go. - Wiem, o co ci chodzi. Tak długo czekałam na ten dzień i cieszę się, że Adam może znów zobaczyć Mayę. Musi czuć wielką ulgę. Ale nie mogę się powstrzymać, by nie chcieć czegoś więcej. Jak pomyślę, że będzie tak tkwił już na zawsze...

Steve kiwa głową, a mi głos się załamuje. Przysuwa rękę, jakby chciał ująć moją dłoń, ale rezygnuje.

- To co dokładnie powiedział lekarz? - pyta.

- Tyle tylko, że Adam wszedł w następne stadium. Ze jest w stanie wegetatywnym i że niektórzy pacjenci tkwią w nim miesiące albo lata.

O, i jeszcze, żebym się postarała nie czuć rozczarowania. Że co? To jest do cholery mój mąż. Jak mogę nie czuć rozczarowania?

Tym razem Steve się nie waha. Wyciąga rękę i ściska mnie za ramię.

- Na pewno ci ciężko. Ale nie jesteś sama. Jestem z tobą. Wszyscy jesteśmy. I bardzo nie chcemy, żeby to pochłonęło cię bez reszty.

- Co przez to rozumiesz?

- Nielatwo się z tym pogodzić, prawda? Ale może tak byłoby lepiej dla nas wszystkich.

- Co? To znaczy poddać się?

- Nie, nie poddać się. Chodzi o to, żeby być realistą. Zaakceptować, że sprawy mają się tak, a nie inaczej.

- Jak mam zaakceptować to, że on jest w tym stanie? Nienawidzę tego.

- Wiem. Ale jest, jak jest i może tak już zostać.

- Nie. Nie zostanie tak. On do mnie wróci. Po prostu zajmie mu to trochę więcej czasu.

- Mel, mam nadzieję, że się nie mylisz. Ale co, jeśli nie masz racji?

Nie mówię, żebyś porzuciła nadzieję, proszę cię tylko, żebyś nie oczekiwała zbyt wiele.

- Zaczynasz mówić, jak ci lekarze.

- Mel, po prostu próbuję cię chronić. Nie ma tu Adama, więc ktoś musi to zrobić za niego.

Bardzo mi się nie podoba to ostatnie stwierdzenie. Pomysł, że jestem jakąś bezradną kobietką w potrzebie, którą trzeba ratować przed nią samą. Oraz założenie, że Steve w czymkolwiek mógłby zastąpić Adama.

- Posłuchaj, jestem ci bardzo wdzięczna za wszelką pomoc i wsparcie, ale nikt mi nie będzie mówił, żebym nastawiła się na najgorsze.

Robiłam to długie lata. Psuło mi to poczucie szczęścia u boku Adama, tak bardzo zawsze się zamartwiałam. A potem to się wzięło i stało. I fakt, że się tego spodziewałam, to znaczy nie „tego” dokładnie, ale czegoś, wcale nie osłabił siły, z jaką to we mnie uderzyło.

Zdaję sobie sprawę, że moje słowa nie brzmią jak wypowiedź osoby, która na studiach chodziła na zajęcia z psychologii dla zaawansowanych. Ale to nie jest przykład z podręcznika. To zapis tego, co się dzieje w mojej głowie.

- Tylko, Mel, jaka jest alternatywa?

- Nadal będę miała odwagę wierzyć, że odzyskam Adama.

Prawdziwego Adama. Tego z czasu przeszłego. Mojego męża i twojego najlepszego przyjaciela.

Steve wzrusza ramionami i wzdycha. Wpatruje się w ścianę za moimi plecami. Czuję, że on też cierpi. Może byłam dla niego za ostra. Wiem, że ma dobre intencje. Ze w swym mniemaniu, troszcząc się o mnie, wyświadcza Adamowi przysługę.

- Posłuchaj, przejmujesz się mną, ale chyba każde z nas znalazło inny sposób, by sobie z tym poradzić - mówię.

- A co to ma niby znaczyć?

Dobrze wie, o co mi chodzi. Na pewno odgadł, że Louise musiała mi już powiedzieć.

- Niektórzy z nas zostają i podejmują walkę. Inni uciekają, żeby w zaciszu lizać rany.

- Nigdzie nie uciekłem.

- Może powiedz to Louise.

- Słuchaj, to nie ma nic wspólnego z tym, o czym rozmawiamy.

- Ma, bo w tym wszystkim chodzi o Adama.

- Dlaczego tak uważasz?

- Ta sytuacja nieźle tobą wstrząsnęła. Nie wiesz, jak sobie z nią radzić, a że nie umiesz się otworzyć przed Louise, to schowałeś się w kryjówce i zaryglowałeś za sobą drzwi.

- To oficjalna diagnoza psychologiczna?

- Nie, ale to właśnie powiedziałaby Adam, gdyby tu był. Był naprawdę.

- I myślisz, że dlatego odszedłem od Louise?

- Z jakiego innego powodu miałbyś to zrobić? Steve kręci głową.

- Mel, o wielu rzeczach nie masz pojęcia.

- Świetnie. Zamieniam się w słuch.

- O sprawach, których nie chcę roztrząsać.

- Bo nie układają się w logiczną całość.

- Nie, ponieważ nie lubię rozmawiać o swoich prywatnych sprawach.

- Ze mną nie musisz, ale ze swoją żoną już tak. Louise uważa, że odciąłeś się od niej. Nie rozumie, co się dzieje. Nie dałeś jej szansy, żeby cokolwiek wyprostować, bo nawet nie powiedziałeś jej, co jest nie tak.

- Uwierz mi, próbuję ją chronić. Prawda czasem bywa bolesna.

- Nie tak bardzo, jak głucho milczenie.

Steve znów spuszcza wzrok i bawi się pustym kubkiem.

- Steve, ona ma prawo wiedzieć, w czym tkwi problem. Zasluguje na to, żebyście razem spróbowali się z tym uporać.

- Czasem nie da się już z tym uporać. Zdarza się, że sprawy zaszły za daleko.

- Czyli nawet nie spróbujesz?

- Od dawna próbowałem i nic z tego nie wyszło. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby kiedykolwiek wyszło.

Jego szczerość mnie zaskakuje. Tego się nie spodziewałam i nie bardzo

wiem, czemu mówi to mnie.

- Powiedziałeś to Louise?

- Nie. Nie tak szczegółowo.

- A kiedy planujesz to zrobić?

- Powiedziałem jej, że potrzebuję czterech miesięcy, żeby wszystko przemyśleć, i tego się będę trzymał.

- No, ale wygląda na to, że już się zdecydowałeś.

- Może i tak. Ale to nie w porządku powiedzieć jej (eraz. Muszę dać jej szansę przyzwyczajania się do tego, że mnie przy niej nie będzie.

Dzięki temu, kiedy powiem jej, że to definitywnie koniec, nie będzie to aż tak wielkim szokiem. Mam nadzieję, że do tego czasu nauczy się radzić sobie beze mnie.

Przewracam oczami i kręcę głową, wciąż nie mając pewności, czy dobrze zrozumiałam.

- Więc czemu mówisz to mnie?

Steve wzrusza ramionami.

- Pewnie dlatego, że nie ma tu Adama, a jesteś ty.

- Adam jest tutaj.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Skąd masz pewność, że jej nie powiem?

- Bo troszczysz się o jej dobro tak bardzo jak ja. Pewnie nawet bardziej.

Znów kręcę głową.

- Nie wierzę, że mógłbyś jej zrobić coś takiego. Ona tak bardzo cię kocha. Wiesz, nieważne, kiedy jej powiesz, i tak będzie zdruzgotana.

- Myślisz, że mnie to bawi? Ale być z kimś, kogo się nie kocha, też nie jest wobec tej osoby uczciwe, prawda?

- Naprawdę jej nie kochasz? Waha się. Wbija wzrok w stolik.

- Nie tak, jak powinienem.

Chowam twarz w rękach. Myślę o Louise. O tym, jak bardzo będzie przygnębiona.

- Kiedy już jej powiesz, proszę cię, nie wspominaj o tym mówię.

Steve znów unosi wzrok.

- Myślałem, że twoim zdaniem powinno się być szczerym.

- Na ogół tak. Czasem trzeba człowiekowi zostawić coś, czego może się trzymać. Coś, co osłabi siłę upadku.

Znów spuszcza wzrok i patrzy na swój kubek.

- Tak przy okazji, nie chcę, żeby między nami cokolwiek się zmieniło.
- Cóż, to raczej nieuniknione. Chcesz się rozwieść z moją najlepszą przyjaciółką. Trudno, byś oczekiwał, że będę skakać z radości.
- Wiem. Ale nadal chcę ci pomagać. Jestem to winien Adamowi i nie chcę go zawieść.

Wzdycham głęboko. Żałuję, że wobec Louise nie ma takiego poczucia lojalności jak wobec Adama.

- Jak tylko odzyska świadomość, to tak cię opierniczy...

Steve otwiera usta, ale zaraz ponownie je zamyka. I tak wiem, co chciał powiedzieć. Że Adam nie odzyska świadomości. Ani dziś. Ani jutro. Ani kiedykolwiek.

CZEŚĆ DRUGA ROZDZIAŁ 16

Wtorek, 19 sierpnia 2010

Ten żart już nie śmieszy. Wiecie o tym, że dostałem po głowie od dinozaura i wylądowałem w sypialni. Na początku chyba nawet wydawało mi się to dość zabawne. Zawstydzające, ale jednak i śmieszne. Oczywiście tak było wtedy, kiedy myślałem, że lada moment się ocknę. Kiedy była to nowość, że rodzina i przyjaciele próbują mnie obudzić. Myślałem, że to zdarzenie zapisze się w annałach jako ważne doświadczenie życiowe, podobnie jak wyjazd na stypendium zagraniczne. Wydarzenie, którego wolałbym nie przeżyć i na pewno nie będę mile wspominał, ale które pomogło mi ukształtować charakter. Z czasem jednak to doświadczenie życiowe zamieniło się w życie.

Na szafce przy moim łóżku stoi teraz kalendarz, taki w którym każdego dnia zrywa się kartkę. Mel powiedziała, że pewnie chciałbym wiedzieć, którego dziś mamy. Chyba ma rację. Ale za każdym razem, kiedy zrywa kartkę, wyobrażam sobie, że ów dzień leży zmięty na podłodze, razem z poprzednimi. Wtapia się w morze straconych dni.

Dni, których nikt mi nigdy nie zwróci. Oczywiście Mel nie rzuca kartek na podłogę. Wkłada je do torebki i zabiera do domu. Nie mam pojęcia, co potem z nimi robi. Zachowuje dla

potomności? Oddaje na makulaturę? Drze, żeby zrobić z nich podściółkę dla szczurów? Tak czy siak, właśnie dzięki temu wiem, że mamy połowę

sierpnia. Cóż, dzięki temu, a także za sprawą Mayi, która odlicza dni do pójścia do szkoły. Jestem w stanie przełknąć, że większość lata przeszło mi koło nosa. Z tego, co słyszę (głównie od Joan, na której zawsze można polegać, jeśli chce się usłyszeć dokładną prognozę pogody), kiepskie to było lato. Jednak nie mogę znieść tego, że nie będzie mnie z Mayą jej pierwszego dnia w szkole. Moja mała dziewczynka dorasta i chcę być tego świadkiem, chcę ją potrzymać za rękę, zobaczyć, jak daje popalić chłopakom i w której ławce będzie siedzieć. Ale nie, nie będzie mi to dane. Bo tkwię w tym cholernym łóżku na oddziale neurologicznym szpitala w Manchesterze.

Przenieśli mnie tu z oddziału intensywnej opieki, kiedy zacząłem samodzielnie oddychać, dość szybko po tym, jak otworzyłem oczy.

Okazało się, że było to pod każdym względem złe posunięcie. Musieli wykonać mi tracheostomię, żeby na bieżąco usuwać wydzielinę z gardła, której sam nie jestem w stanie odkrztuszać. Co oznacza, że mam kolejną nadprogramową dziurę w ciele, tym razem w szyi.

Obawiam się, że zaczynam wyglądać jak żywy durszlak. Jednak najgorsze w przeprowadzce było to, że zostawiła mnie Jacinta. Tęsknię za jej głosem, cudownym uśmiechem i tą szczyptą tupetu, którą mnie raczyła. Tutejsze pielęgniarki są tak cholernie ugrzecznione i sztampowe. A nowy lekarz prowadzący nazywa się David McKee, dzięki czemu za każdym razem, kiedy do mnie mówi, myślę jedynie o książeczce *Elmer*. Choć to pewnie inny David McKee jest jej autorem.

Aczkolwiek podejrzewam, że ktoś, kto konsultuje przypadki neurologiczne, mógłby z powodzeniem podjąć się wymyślania przygód patchworkowego słonia. Poza tym nie mam już nawet swojej własnej sali. Tego też mi brakuje. Towarzystwo jest przere-

klamowane. A w każdym razie to, które stało się moim udziałem.

Nigdy nie myślałem, jak bardzo ludzie hałasują. Rozmowy, kaszel, krzyki, szuranie krzesłami, przesuwanie przedmiotów, turkotanie wózków i co tam jeszcze, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Gdybym mógł teraz zrobić coś, cokolwiek, przyłożyłbym palec do ust i powiedział: „Ciii”. Tęsknię za spokojem wrzosowisk, kiedy biegłem ścieżką wśród skał, a w uszach szumiał mi tylko wiatr. Plus oczywiście epitety, które od czasu do czasu rzucał Steve.

Jeszcze nie byłoby tak najgorzej, gdyby przenieśli mnie gdzieś bliżej domu. Mel i Maya muszą być wymęczone bezustannym podróżowaniem do

Manchesteru. (No, naprawdę, to bezmyślność zafundować sobie wypadek po drugiej stronie Gór Pennińskich).

Okazało się, że właściwie nie ma oddziału neurologicznego, który znajdowałby się znacząco bliżej domu. Więc tkwię tutaj, uparcie uciążliwy i unieruchomiony. Mel, uwaga, nadal nie opuściła ani jednego dnia. To jedna z tych rzeczy, na których mogę polegać; noc, dzień, wózek z posiłkami (gnojki robią to na oczach faceta, który wciąż nie jest w stanie normalnie jeść. Pewnie tylko dlatego szpitalne jedzenie wydaje mi się tak kuszące, że jestem karmiony przez cholerną rurkę w brzuchu), wydawanie lekarstw (bardzo w stylu *Lotu nad kukulczym gniazdem*), no i wizyty Mel.

Pewnie niedługo wróci do pracy. Nie wiem, jak sobie z tym poradzi, prowadząc zajęcia pięć dni w tygodniu, zajmując się Mayą i odwiedzając mnie. Będzie wykończona. Wyczerpana. Już teraz to widzę; z oczu zniknął jej blask. To ja. Ją. Wykańczam. Jest mi z tym źle, bardzo źle. Czasami nawet zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej dla niej, gdybym wtedy zginął. Z pewnością na początku byłoby jej ciężko, ale miałyby szansę przeżyć żałobę i w którymś momencie znów zacząć żyć. Bo to, co teraz jest jej udziałem, trudno nazwać życiem.

Całe to gówno, z którym musi się użerać. A ja leżę sobie tutaj i ani mi się śni wyzdrowieć czy też sobie odpuścić.

Jest tu teraz. Słyszę, że zbliżają się jej kroki. To trochę tak, jak Maya zawsze potrafiła rozpoznać silnik mojego samochodu, kiedy jakieś auto zatrzymywało się przed domem. Mel najpierw podchodzi do łóżka i staje w zasięgu mojego wzroku, uśmiecha się do mnie w sposób, w jaki zawsze się do mnie uśmiechała. Emanuje z niej jasność, blask i ciepło. Pewnego dnia, jak już w końcu poderwę tyłek z tego łóżka, stanę na wózku rozwożącym lekarstwa i poinformuję wszystkich w zasięgu głosu, że ona jest skarbem narodowym. Na pewno ją to rozbawi. Stawianie jej na piedestale, razem z June Whitfield i Julie Walters. Oczywiście nie dziwi mnie to, że jest tak wspaniała.

Gdybyśmy byli w *Czarze par* i prowadzący zapytałby: „Gdyby przygniótł cię szkielet dinozaura i zapadłbyś w śpiączkę, czy Mel a) zemdłałaby, b) rzuciłaby wszystko, żeby opiekować się tobą, c) uciekłaby z sąsiadem?”, bez wahania odpowiedziałbym „b”. Nigdy nie przestaje mnie zadziwiać sposób, w jaki się o mnie troszczy, jak odruchowo wie, czego bym chciał, a co będzie mnie irytować. Teraz zaciąga wokół mnie parawan, zawsze tak robi.

Ponieważ wie, że cenię sobie prywatność. Siada obok mnie na skraju łóżka, głaszcze po ramieniu, mówi łagodnie.

- Gorąco na zewnątrz. Maya jest zachwycona. Od początku lata czeka na taki dzień, kiedy w Arce wystawią kurtynę wodną. Kiedy od niej wychodziłam, szalała na dworze w kostiumie kąpielowym, wrzeszcząc i krzycząc jak wariatka, biegając wokół spryskiwacza. Zrobiłam zdjęcie. Poczekaj, pokażę ci.

Wyciąga komórkę i przytrzymuje ją około trzydziestu centymetrów od mojej twarzy. Mogę mniej więcej rozpoznać fioletowy kleks z wielkim uśmiechem na buzi.

- No, dobrze - mówi. - To bierzmy się za ciebie.

Z szafki przy łóżku bierze dużą miskę i znika za parawanem. Wraca po kilku minutach. Widzę, że miska paruje. Zastanawiam się, czy zdaje sobie sprawę, że moje ciało nie czuje ciepła, że jedynie je widzę. Być może jest tego świadoma, ale używa ciepłej wody, ponieważ to by było nieładnie z jej strony, gdyby używała zimnej tylko dlatego, że nie jestem w stanie poczuć różnicy. Wyciąga maszynkę i krem do golenia, układa mi wokół szyi mały niebieski ręcznik, ostrożnie omijając ujście rurki tracheostomijnej. Zanurza ręce w wodzie, wyciska trochę kremu, rozprowadza go w palcach, a następnie kładzie mi dłonie na policzki.

Czasami mam wrażenie, że czuję jej ręce. Nie, że jej skórę na swojej.

To coś dużo głębszego. Miłość, która wylewa się z porów jej ciała i wlewa się do moich, promieniuje przez kolejne warstwy do miejsca, w którym może mnie dotknąć. Dotknąć naprawdę. W sposób, w jaki nic innego nie jest w stanie tego zrobić. Patrzę na okrężne ruchy koniuszków jej palców, widzę delikatną pianę. Czasami wydaje mi się, że czuję zapach, ale tak naprawdę jedynie go sobie przypominam.

Używa tego samego kremu do golenia z Body Shopu, który kupuję od lat. Wyobrażam sobie, jak czasem idzie go kupić, musi to robić, zużyliśmy już co najmniej tubkę. To pewnie jedyna rzecz, którą wciąż dla mnie kupuje. Jedzenia nie, ubrań nie. Tylko krem i maszynki do golenia. Jedyna oznaka tego, że wciąż żyję. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek doszedł do wniosku, że pacjenci w stanie wegetatywnym nie potrzebują się golić. Potrzebują. Zarost wciąż rośnie. Maya ma w domu książeczkę *Mr Follycule's Beard*, o człowieku, którego broda rośnie w zawrotnym tempie, wypełnia dom, a potem wychodzi na ulicę. Gdyby Mel codziennie mnie nie goliła, pewnie tak

bym teraz wyglądał.

Bierze maszynkę i płynnymi ruchami przejeżdża mi nią po policzkach. I uwierzcie, dla mężczyzny nie ma nic

lepszego. A z pewnością nie dla takiego jak ja. Jest tak delikatna, pełna miłości, ostrożna. To dużo bardziej intymna czynność niż seks.

Jeśli kiedykolwiek znów zacznę się ruszać, poproszę ją, żeby nadal mnie goliła. „Gól mnie -powiem. - Gól mnie, tak, jak to robiłaś, kiedy byłem warzywem”. Rany, gadam jak jakiś dziwak. Choć przecież jestem dziwakiem. Doskonale wiem. Widzę, jak ludzie na mnie patrzą.

Ci, którzy odwiedzają innych pacjentów, przechodząc, gapią się na kolesia w rogu, który nie mówi i nie rusza się. Pewnie miewają koszmary o tym, że zmieniają się we mnie, są związani i zakneblowani.

Dokarmiani siłą prosto do żołądka, sikają rurką, a ktoś musi wsadzać im palec w tyłek, żeby wyciągnąć kupę. Założę się, że kiedy stąd wychodzą, dziękują niebiosom, że nie są tacy jak ja. Wiem, że mój stan został zdiagnozowany jako wegetatywny, ponieważ Mel mi powiedziała. Lekarze uważają, że zdezerterowałem. Nie mają pojęcia, że wciąż tu jestem i próbuję wyważyć drzwi. Nie wiem, co o tym sądzić. Czy cierpię na zespół zamknięcia albo jakiś inny, jeszcze nieodkryty, rodzaj uszkodzenia mózgu. Wiem tylko, że nadal tu jestem, a Mel powtarza mi, że wciąż mogę z tego wyjść. To się zdarza, nawet po tak długim czasie. Lecz nie dano mi instrukcji, jak miałbym to osiągnąć. Choć na różne sposoby staram się obudzić, wygląda na to, że wcale się do tego nie przybliżam.

Mel osusza mi twarz ręcznikiem. Chciałbym złapać ją za rękę i przyciągnąć z powrotem, żeby jeszcze raz dotknęła mi twarzy. Błagać ją, żeby nie przestawała. Żeby goliła mnie dalej, aż nie zedrze skóry.

Czasami żałuję, że jest taka ostrożna. Mogłaby mnie z raz czy dwa zaciąć. Chcę zobaczyć krew. Mieć pewność, że naprawdę nadal żyję.

Że pod nieruchomą powierzchnią coś jeszcze pulsuje. Krzyczę. To niemy krzyk, który rozbrzmiewa wewnątrz mnie, odbija się echem od ścian grobowca, jakim jest moje ciało. W chwilach takich jak ta,

kiedy ból i frustracja, wynikające z tego, że nie mogę poderwać się do życia, stają się zbyt silne, nauczyłem się opuszczać teraźniejszość i wycofywać do przeszłości. Zanurzać się w wydarzeniach, które zapisały mi się w pamięci, kamieniach milowych mojego życia. Mając nadzieję, że gdzieś wzdłuż tej drogi odnajdę klucz, który pozwoli mi kontynuować podróż. Wznović ją od momentu, w którym została przerwana.

*

Mel na czworakach w basenie, w którym rodziła. Było w tym coś tak bardzo pierwotnego. Moja żona wydaje odgłosy, o jakie nigdy bym jej nie posądzał. Byłem tam z nią, ale nie pozwoliła mi się dotknąć.

Chodziliśmy na te wszystkie cholerne zajęcia w szkole rodzenia, podczas których uczyłem się, jak ją masować w trakcie porodu, a kiedy nadszedł już czas, nie pozwoliła mi się nawet zbliżyć. Przeniosła się w jakieś inne miejsce, gdzieś wewnątrz niej samej, w miejsce, do którego nie miałem dostępu. Położna uśmiechnęła się do mnie. Takim uspokajającym uśmiechem, że „wszystko dobrze, żona świetnie sobie radzi”. Przykucnąłem więc na brzegu basenu, patrząc z bezbrzeżnym podziwem na Mel. Moja drobna żona o twarzy elfa, która często prosiła, żebym odkręcił jej słoik, jakimś cudem wypycha na świat nasze dziecko.

- Dalej, jeszcze trochę, już widzę czubek główki - powiedziała położna.

Oczy Mel były mocno zaciśnięte, a twarz wykrzywił grymas bólu.

Czułem się żałośnie bezsilny. Ale przede wszystkim chciałem, żeby to się już skończyło.

- Fuuu! - wykrzyknęła.

Nie miałem pojęcia, skąd taki właśnie okrzyk. Jednak chwilę później zobaczyłem główkę, a zaraz potem wysliznęło

się czerwone ciało. Przez sekundę, ułamek sekundy poczułem, że mi niedobrze, ponieważ nie byłem pewien, czy jest żywe. Lecz chwilę później położna wyłowiła dziecko z wody i rozległ się płacz.

Najwspanialszy cichutki krzyk, jaki kiedykolwiek słyszałem.

- Gratuluję - powiedziała położna. - Ma pan córeczkę. Podała ją Mel, która przytuliła małą i popatrzyła na mnie.

Włosy miała mokre, policzki czerwone z wysiłku, a uśmiech wyglądał tak, jakby zaraz miał się ześliznąć jej z twarzy.

Odwzajemniłem go, po twarzy sływały mi łzy ulgi, gdy nachyliłem się nad basenem, żeby uściskać jej rozgrzane, mokre ciało, wiedząc, że już nigdy, przenigdy nie będę powątpiewał, czy jest do czegoś tam zdolna.

- Cześć, Maya - szepnęła Mel.

Obróciła Mayę nieznacznie w moją stronę, żebym mógł zobaczyć jej buzię.

- Jest piękna - powiedziałem, wyciągając w jej kierunku palec.

Taka właśnie była. Ale na widok krwi w basenie zacząłem płakać.

Zacząłem się trząść, czując wielką ulgę, że wszystko się już skończyło.

I że obie mają się dobrze.

- W porządku - rzekła uspokajająco Mel. - Wszystko będzie dobrze.

- Wiem - odparłem. - Już jest.

ROZDZIAŁ 17

Mel

Czekam na doktora McKee. Dla Adama musi to być zabawne, że jego lekarz prowadzący nazywa się tak samo, jak autor książeczki o słoniu Elmerze. Dziwne, jak bycie rodzicem czterolatki jest przepustką do elitarnego klubu, którego członkowie znają się na żartach opartych na bohaterach książek dla dzieci. Próbowałam wytłumaczyć Steve'owi, dlaczego to jest śmieszne, ale nie zrozumiał.

Doktor McKee jest w porządku. Lepszy niż doktor Brooke, choć nie tak miły, jak doktor Perryman. Jeśli dalej tak pójdzie, niedługo będę mogła ułożyć ranking najlepszych lekarzy zajmujących się Adamem.

A może z czasem wszyscy oni po prostu zleją się w jedno, kto wie.

Adam jest na tym oddziale już niemal od trzech miesięcy. Nie mogę powiedzieć, żebym szczególnie lubiła to miejsce. Sądzę, że Adam podziela moje zdanie. Pewnie tęskni za jednoosobową salą. Ja na pewno tak. Nie podoba mi się, że każdy, kto tu wejdzie, może się na niego gapić. Pewnie tęskni też za radiem. Mają tu jedynie słuchawki, które można podłączyć do szpitalnego radiowężła. Zakładam mu je od czasu do czasu, ale podejrzewam, że to męczy. Nigdy nie lubił

lokalnych rozgłośni BBC, a to

jest jeszcze kilka poziomów niżej, blisko parodii programów radiowych. Jest tu też dość głośno. Czytałam o stymulowaniu pacjentów w śpiączce i próbowałam jednej z technik na Adamie, ale cały ten hałas w tle brzmi pewnie jak szum radiowy. Ta technika wymaga chwil ciszy przeplatanej symulacją, a tutaj zawsze w tle jest jakiś hałas.

Drzwi się otwierają. Doktor McKee jest wysoki i zdecydowanie duży; pewnie uprzejme określenie powinno brzmieć „postawny”. W przeciwieństwie do słonia Elmera nie jest patchworkowy.

- Pani Taylor, przepraszam, że musiała pani czekać. Proszę wejść.

Próbuję, jak to mam w zwyczaju, odgadnąć z wyrazu jego twarzy i tonu głosu, czy ma dla mnie dobre, czy złe wieści. Jednak lekarzom dobrze idzie

ukrywanie prawdy. Podejrzewam, że są niezłymi pokerzystami.

- Pozwoli pani, że od razu przejdę do sedna - mówi doktor McKee. - Stan pani męża, od czasu kiedy przeniesiono go do nas, nie uległ zauważalnej zmianie. Nie odnotowaliśmy dalszego postępu.

Oczywiście musi nadejść moment, kiedy trzeba się zastanowić, czy tu jest dla niego najlepsze miejsce, czy może gdzie indziej będzie otoczony bardziej odpowiednią opieką.

Wpatruję się w niego, unosząc brwi. Dobrze wiem, o co chodzi.

Adam zajmuje łóżko, którego potrzebują dla innego pacjenta. Chcą się go pozbyć. To proste.

- Co pan ma na myśli? - Nie zamierzam ułatwiać mu sprawy. Będę udawała idiotkę i wyduszę to z niego.

Doktor McKee bierze głęboki oddech.

- Ponieważ od czasu wypadku minęły już prawie cztery miesiące, i od momentu, kiedy pan Adam otworzył oczy, jego stan nie uległ zmianie, nadszedł czas, żeby zastanowić się, czy do jego potrzeb nie będzie bardziej pasował dom opieki.

Nie jestem gwałtowna. Naprawdę nie jestem. Ale targa mną nagła chęć, żeby kopnąć go pod biurkiem w pizczel.

- Pan nie sądzi, że jego stan się poprawi, prawda?

- Tego nie powiedziałem. Wie pani już teraz wystarczająco dużo na temat tego stanu, żeby rozumieć, że nigdy nie możemy powiedzieć „nigdy”.

Jednak
opinię
medyczną

musimy
opierać

na
prawdopodobieństwie i obawiam się, że w tym przypadku
prawdopodobne jest, że pan Adam znajduje się w trwałym stanie
wegetatywnym.

Czuję ostry ból, jak gdyby jego słowa włożyły szpilki i skakały mi po
twarzy. Doktor McKee w jednej chwili ląduje na samym dole mojego
rankingu ulubionych lekarzy. Nie jestem nawet pewna, czy kiedykolwiek
jeszcze będę w stanie czytać o przygodach słonia Elmera.

- A czy ja mam cokolwiek do powiedzenia?

- Oczywiście, bierzemy pod uwagę zdanie rodziny i kiedy zaplanujemy
spotkanie, by omówić ten przypadek, będzie się pani mogła wypowiedzieć,
ale ostatecznie musimy podjąć skomplikowaną decyzję związaną z leczeniem
i pielęgnacją pacjenta.

Ten facet powinien być politykiem. To bardzo rozwlekły i
dyplomatyczny sposób mówienia „nie”.

- Więc jak prędko pana zdaniem to nastąpi?

- Nie ma określonego harmonogramu. Rozumiemy, że będzie się pani
musiała zastanowić nad wyborem domu opieki, ale pozwoliliśmy sobie
zebrać trochę informacji o tych, które możemy pani polecić, bo z ich usług
już korzystaliśmy.

Wręcza mi plik broszur w przezroczystej plastikowej teczce.

Wszystko jest takie zimne, takie ostateczne. Nie zdziwiłabym się, gdyby
odsunęła się jakaś zasłona, a ciało Adama wysunięto powoli w otwartej
trumnie. W głowie mnożą mi się niedokończone zdania, ale żadne nie jest w
stanie się

wydostać. Doktor McKee spogląda na mnie, moje milczenie zdaje się go
niepokoić.

- Jeśli martwi panią aspekt finansowy, na ogół jest tak, że odszkodowanie
pokrywa opłaty.

Wbijam w niego wzrok. Najwyraźniej nie ma pojęcia, że załatwienie
odszkodowania zajmuje lata. Nie zdziwiłabym się, gdyby wręczył mi
podpisany akt zgonu Adama. To właśnie tutaj wyprawiają. Zabijają go, a
mnie nawet nie poproszono o zgodę.

- Dziękuję, ale to nie będzie potrzebne - mówię, zwracając broszurki.

- Pani Taylor, rozumiem, że to dla pani trudne. Nie będziemy pani
popędzać. Proszę je chociaż wziąć, żeby mogła je pani przejrzeć, kiedy uzna

to pani za stosowne.

Rzucam mu broszurki na biurko.

- Nie potrzebuję ich, ponieważ Adam nie idzie do żadnego domu opieki.

- Przykro mi, pani Taylor, ale naprawdę nie ma innego wyjścia.

- Owszem jest. Wróci ze mną do domu.

Doktor McKee spogląda na mnie znad okularów, jakby stracił wątek.

- Ale on będzie potrzebował opieki dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Wiem. Obiecałam naszej córce, że kiedy Tatuś będzie się czuł wystarczająco dobrze, wróci do domu. I dokładnie tak się stanie.

- Proszę posłuchać. Może niech się pani spokojnie nad tym zastanowi?

Rozważy, co to za sobą pociąga.

- Wie pan co, to nie jest decyzja biznesowa. Mówimy o moim mężu.

Nie wyślę go do żadnego domu opieki. Kropka. Gdyby pan zechciał powiedzieć mi, z kim muszę porozmawiać, żeby załatwić formalności, byłabym wdzięczna.

Wstaję i wychodzę z gabinetu. Nie wiem, kogo bardziej zaskoczyły moje słowa, doktora McKee czy mnie samą. Zdaję sobie sprawę, że to bardzo poważna decyzja. Z daleko idącymi konsekwencjami dla nas wszystkich. Lecz nigdy w życiu niczego nie byłam równie pewna.

Idę prosto do Adama. Wiem, że powinnam odczekać, nim mu powiem. Upłynie jeszcze trochę czasu, zanim będę mogła go zabrać.

Trzeba rozwiązać tyle problemów, zgromadzić fundusze i przebrnąć przez biurokratyczne formalności. Jednak podjęłam decyzję i nie chcę, żeby usłyszał o niej przypadkiem od kogoś innego. Niektórzy wciąż rozmawiają przy nim, jak gdyby go tam nie było. Chcę, żeby usłyszał

to ode mnie. Poza tym, kiedy mu powiem, to będzie obietnica i nikt mnie nie zmusi do zmiany zdania.

Uśmiecham się do niego, stając w nogach łóżka, zasuwam parawan i siadam przy nim, głaszczę jego ramię, biorę go za rękę.

- Hej, mam dobre wieści. Wprawdzie nie teraz zaraz, ale pozwolą ci stąd wyjść. Zabieram cię do domu.

Wpatruje się we mnie pustym wzrokiem. Ale wiem, że lam wewnątrz też się uśmiecha.

- Cześć, wszystko w porządku? - pyta Louise, gdy gramolę się na siedzenie pasażera obok niej.

Jedziemy na zajęcia flamenco w Hebden Bridge. Louise przekonała mnie,

żeby na nie wrócić, że potrzebuję trochę czasu dla siebie.

- Tak, dziękuję - mówię, zapinając pas. - Maya strasznie chciała iść ze mną, ale Tata zaczął opowiadać jej jakąś historyjkę i udało mu się odciągnąć jej uwagę.

- To dobrze. - Louise ruszając, zerka na mnie. - Udało ci się porozmawiać z lekarzem?

Waham się. Nikomu jeszcze nie powiedziałam. A już z pewnością nie rodzicom. Ale im dłużej o tym myślę, im bardziej analizuję to, co zrobiłam, tym większą czuję ulgę. I nie chcę już tego ukrywać.

- Adam wraca do domu - wyrzucam z siebie.

- Do domu? - pyta Louise, hamując gwałtownie przed światłami.

- Tak. Właśnie tak.

- Dlaczego? To znaczy, jest jakaś zmiana?

- Lekarz w zasadzie powiedział mi, że nie jest już tam mile widziany.

Chcą go umieścić w domu opieki, ale ja powiedziałam: nie.

- Więc kto się będzie nim opiekował?

- Oczywiście ja.

- Ale, Mel, nie dasz rady. Co z twoją nową pracą?

- Hmm, złożę wypowiedzenie.

Rozmyślałam o tym całe popołudnie, ale teraz, kiedy powiedziałam to na głos, brzmi to jeszcze bardziej przerażająco.

- Nie mam wyboru - kontynuuję, próbując przekonać zarówno Louise, jak i siebie. - Nie pozwolę zesłać Adama do jakiegoś domu opieki.

Trąbi samochód stojący za nami. Światło zmieniło się na zielone.

- Ale nie możesz tak po prostu zrezygnować z pracy - mówi Louise, ruszając.

- Nie zrezygnuję całkowicie, tylko przejdę na niepełny etat.

Przeglądałam dziś po południu internet. W Calderdale College szukają na zastępstwo na okres urlopu macierzyńskiego kogoś do prowadzenia kursu na poziomie podstawowym z opieki nad dzieckiem. Dziesięć godzin tygodniowo.

Louise spogląda na mnie, jakbym właśnie zaproponowała jej zamianę George'a Clooneya na Wayne'a Rooneya.

- Och, Mel.

- No co? To przecież praca. Dzięki temu codziennie wyrywałabym się z

domu na parę godzin. Znalazłam organizację charytatywną, która zapewnia opiekę, na co powinno wystarczyć ubezpieczenie Adama, a Mama i Tata też pewnie będą mogli mi pomóc.

Louise otwiera usta, żeby coś powiedzieć. Coś, czego, czuję, nie chcę usłyszeć.

- Louise, proszę cię. Wiem, że to odważny krok, ale potrzebuję kogoś, kto mnie w tym wesprze.

- Ale to tak wielkie poświęcenie. A jeśli cię przerośnie? To piekielnie wielkie zobowiązanie.

- Wiem. Ale na tym polega małżeństwo. Ty zrobiłabyś to samo... -

Urywam, kojarząc, co mówię. Jest już jednak za późno.

- W porządku. - Louise parkuje przed ośrodkiem kultury. - Wiem, co masz na myśli. I uwierz mi, pewnie zrobiłabym dla Steve'a to samo, nawet teraz.

- Posłuchaj, wiem, że to duża sprawa - mówię. - I strasznie się boję.

Ale co mogę zrobić? Tak czy siak, nie mogę już się wycofać, bo powiedziałam Adamowi.

- Rozumiem. A Mayi?

- Nie, jeszcze nie. Poczekam z tym, aż wszystko załatwię. Nie jestem pewna, czy Maya da radę się opanować. To będzie znaczyć dla niej tak wiele, że Tata jest w domu. Bardzo źle znosi rozłąkę z nim. Potrzebuje go z powrotem w domu. Obie potrzebujemy.

Louise obdarza mnie pełnym współczucia uśmiechem, do którego przyzwyczaiałam się w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Wiem, co myśli.

Przed powiedzeniem czego się powstrzymuje. Ze do domu nie wróci tatuś Mayi. W każdym razie nie tatuś, którego Maya pamięta.

Wchodzimy do holu. Pozostałe uczestniczki zajęć podnoszą wzrok i witają się z nami. Dwie z nich podchodzą

i mówią mi, jak dobrze, że wróciłam. Jednak widzę też ich twarze.

Współczucie. Brak pomysłu, co innego można by jeszcze powiedzieć.

W przypadku raka przynajmniej można pytać, jak przebiega terapia albo czy chory jest w remisji. A moja sytuacja jest tak bezduszna.

Nawet powrót Adama do domu nie jest czymś, co można by uczcić.

Przecież nie poczuł się lepiej. Po prostu nie chcą go już trzymać w szpitalu. I choć tego popołudnia były momenty, kiedy czułam podekscytowanie, mam też powody, żeby obawiać się przyszłości.

Lekarze postawili na nim krzyżyk. Przeniesienie do domu opieki jest

odpowiednikiem wysłania kogoś na przymusową emeryturę. Wiem, że Adamowi bardzo by się to nie podobało. Nigdy bym im na to nie pozwoliła i dlatego zabieram go do domu. Lecz nie mam złudzeń -

jedyne, co można powiedzieć o przyszłości, to to, że jest niepewna.

Przebieram się w kostium flamenco: spódniczkę z fal-banami, bluzkę w stylu cygańskim, podkute buty. Coś tu jednak nie gra. Przebieranie się i udawanie, że dobrze się bawię. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że przez wzgląd na Adama nie powinnam robić nic, co jest głośne i pełne entuzjazmu. Ale kiedy zaczyna grać muzyka, a ja wytupuję rytm, pstrykam palcami i obracam spódniczkę, udaje mi się w jakiś sposób uciec na chwilę od wszystkiego. To okazja, żeby zatopić się w innym świecie. W świecie, w którym mój mąż nie leży w szpitalu w stanie wegetatywnym. W świecie, w którym jestem ognistą hiszpańską kusicielką, a w moich oczach wypisane jest zaproszenie do łóżka. To oczywiście jedno wielkie kłamstwo. Choć mam ciemną karnację i pomimo najszczerzych moich wysiłków żadna ze mnie tancerka flamenco. Podejrzewam, że metr sześćdziesiąt wzrostu odgrywa w tym pewną rolę. Louise, nawet z jej cerą angielskiej róży, wygląda niczym najbardziej zmysłowa señorita w pueblo. Kiedy ją mijam, uśmiecha się, ale wiem, że ona

też próbuje wymazać z głowy obraz prawdziwego świata. Od czasu separacji widziała Steve'a raz, kiedy wpadł zabrać resztę rzeczy.

Trudno to nazwać próbą pogodzenia. Oczywiście nic jej nie powiedziałam. Wierzę wbrew nadziei, że Steve zmieni zdanie.

Zauważy, że życie bez Louise nie jest nawet w połowie tak przyjemne, jak mu się wydawało. Ona ciągle mnie pyta, co u niego (głupio mi, bo widuję jej męża dużo częściej niż ona, ale Louise twierdzi, że cieszy ją to, że nadal się przyjaźnimy). Prawda jest taka, że Steve ma się dobrze.

Moim zdaniem wciąż jest trochę zmartwiony, ale z pewnością nie snuje się przygnębiony po domu. Oczywiście nie mówię jej tego.

Wspominam, że jest wyciszony, może nawet przybity. Ale nie, że czasami powie dowcip. Zdarza mu się nawet mnie rozśmieszyć, co obecnie nie jest takie proste.

Tupię jeszcze parę razy, kiedy wszyscy inni już się zatrzymali. Iris, instruktorka, posyła mi spojrzenie.

- Przepraszam - mówię. - Zamyśliłam się.

- Masz ochotę wejść na kawę? - pytam później Louise, kiedy

zatrzymujemy się przed moim domem. - Rodzice od razu sobie pójdą.

- Nie, dzięki. W domu czeka na mnie dużo pracy. A ty połóż się wcześniej.

- Dziękuję.

- Za co?

- Że mnie namówiłaś, bym tam wróciła. Było w porządku. Prawie dobrze się bawiłam.

Louise uśmiecha się.

- Cieszę się, że Adam wraca do domu.

- Dziękuję. Wiem, że łatwo nie będzie, ale poczujemy się dużo lepiej, kiedy już tu będzie z nami.

- Wiem. I my... To znaczy ja. Będę ci pomagać, w czym tylko będę mogła. Steve na pewno też.

- Dziękuję. Jesteś wspaniała, wiesz? I nie zapominaj o tym.

Całuję ją w policzek. Ściskam mocno. Ponieważ ona nie ma teraz nawet poduszki, do której mogłaby się przytulić. Jedynie miejsce, w którym ta poduszka kiedyś leżała.

ROZDZIAŁ 18

Dom. Fatamorgana. Boję się, że kiedy tam w końcu dotrę, zobaczę jedynie rozgrzaną mgłę w oddali i przygniecie mnie ciężar rozczarowania. Wykończy mnie. Jednak Mel twierdzi, że to się dzieje naprawdę. Wracam do domu. Ale uwierzę, jak zobaczę. Nie, żebym wątpił w słowa Mel, ale to się wydaje tak nierealne. Przecież nie mogę po prostu wstać, wziąć łóżko i sobie pójść. Jak się tam dostanę? Pewnie karetką. To raczej nie brzmi jak bajka. Do domu przywiozła go karetka, a potem żyli długo i szczęśliwie. Nie sądzę, żeby Mayę zadowoliło takie zakończenie. Ale nie będzie miała wyboru. Jakaś część mnie oczywiście desperacko chce wrócić do niej do domu. Aby w jakimś niewielkim stopniu poczuć się znów jej tatusiem, a nie warzywem, które ona odwiedza co drugi dzień. Jednak martwię się, jaki to będzie miało na nią wpływ. Przecież to nie jest normalne. Ze w salonie leży ojciec w stanie wegetatywnym. Będę zajmował dużo więcej miejsca niż jej zjeżdżalnia dla kulek i nie da się mnie rozmontować i schować z powrotem do pudełka. Może umieszczą mnie w sypialni dla gości. To rozwiązanie byłoby najbardziej łaskawe.

Z dala od przyjaciół, którzy będą ją odwiedzać po szkole. Albo może

zostanę na parterze, ale

kiedy ktoś przyjdzie, będą mnie przykrywać prześcieradłem. Będą udawać, że jestem nową kanapą i nie chcą, by się pobrudziła. Albo jeszcze lepiej, jakby używali mnie do jakichś praktycznych celów.

Postawili mnie w rogu jako wieszak na kapelusze.

Nie będzie mi żal szpitala. Mam już dość. Dostyc szpitala na całe życie. Nie mam jednak złudzeń, że dom będzie panaceum na wszystkie moje bolączki. Frustracja pozostanie, a na dodatek pojawi się poczucie winy. Mel będzie moją pielęgniarką. Dlatego jutro idzie na uniwersytet złożyć wypowiedzenie. Rzuca karierę zawodową, żeby mnie niańczyć.

To najbardziej niewiarygodnie bezinteresowna rzecz, jaką można zrobić, ale tak bym chciał, żeby nie musiała tego robić. Tak była podekscytowana perspektywą prowadzenia seminarium. Kilka lat temu miała już okazję, ale na pierwszym miejscu postawiła opiekę nad Mayą. A teraz, właśnie gdy znów znalazła się w sytuacji, w której mogła to zrobić, spada na nią ciężar opieki nade mną. Jezu, tak mi wstyd. Koszmarne brzemię. Jakbym własnoręcznie cofnęła sytuację kobiet o trzydzieści lat.

Odgłos kroków. Pamiętam je, takie niepewne. I twarz w nogach łóżka. Twarz, której się nie spodziewałem.

- Cześć, Adam - mówi Hannah. - Twoja żona powiedziała, gdzie mogę cię znaleźć. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, że tu jestem.

Przeciwko? Dlaczego miałbym mieć cokolwiek przeciwko? Tak miło ją zobaczyć. Obcięła się. Jedna z tych fryzur „na podlotka”. Bardzo szykowna. Raz jeden czuję ulgę, że nie jestem w stanie mówić.

Gdybym mógł, pewnie powiedziałbym coś, co by źle zabrzmiało.

Hannah obchodzi łóżko i siada na krześle obok.

- Naprawdę się cieszę, że przejrzałeś na oczy. - Urywa. -Przepraszam, pewnie głupio to zabrzmiało. To znaczy cieszę się ze względu na ciebie. Ze możesz znów widzieć.

Kolejna pauza. Czuję nagłą potrzebę, żeby coś powiedzieć, żeby ułatwić jej zadanie, choć nie mam pojęcia, jak miałbym tego dokonać.

- Twoja żona powiedziała, że niedługo wrócisz do domu. To musi być dla ciebie ulga. Znów będziesz z rodziną. Tyle o nich opowiadałeś.

Wszystkie te historyjki o twojej córeczce. Złożyli z powrotem Monty'ego, tak na marginesie. Odbyła się wielka narada w tej sprawie i

kazali go zreperować. Powiedziałam, że moim zdaniem chciałbyś, żeby znowu stanął. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

Jestem zaskoczony, że ktokolwiek nawet wspomniał o tym, co mogę w tej sprawie sądzić. Zastanawiam się, jakie inne możliwości rozważano, czy ktoś zasugerował umieszczenie tabliczki z inskrypcją: „W tym miejscu tyranozaur powalił Adama Taylora” i może jeszcze, żeby w każdą rocznicę wypadku urządzać upamiętniającą go uroczystość. Może tak by postąpili, gdybym umarł. Fakt, że żyję, czyni sprawę trochę niezręczną.

- W pracy bez zmian. To znaczy, oczywiście jest zmiana. Mam na myśli, że prawie wszystko toczy się tak samo jak przedtem. To znaczy z wyjątkiem tego, że ciebie nie ma. -Usiadła tak, że niezbyt dobrze widzę jej twarz, ale słyszę plaśnięcie, jakby uderzyła się ręką w czoło. -

Przepraszam, gadam chyba bez sensu.

Chcę jej powiedzieć, że to w porządku. Jest młoda. Ludzie świeżo po dwudziestce nie muszą wiedzieć, jak rozmawiać z byłymi szefami w stanie wegetatywnym. Będąc w jej wieku, nie odważyłbym się nawet tu przyjść.

- Odwiedziłam cię dziś, ponieważ, hmm, odchodzę.

Pewnie jak się jest unieruchomionym, nie ma sensu powiedzieć, że mnie zamurowało, ale odczuwam wegetatywny odpowiednik takiego wrażenia.

- Dostałam pracę w dziale PR Muzeum Narodowego w Walii. Bez szału, wiem, ale myślą bardzo przyszłościowo i Cardiff wydaje się miastem, w którym wiele można osiągnąć. Po prostu, wiesz, pomyślałam, że dobrze mi zrobi zmiana otoczenia.

Powoli zaczynam rozumieć. Jestem wściekły, że nie potrafię nic powiedzieć. Nawet nie mogę się przyłączyć do niezręcznego milczenia. A z pewnością nie w sposób, jaki mogłaby zauważyć.

Zastanawiam się, czy gdyby mi się to nie przytrafiło, też by odeszła.

Czy może to w pewien sposób ułatwiło jej podjęcie decyzji. Skoro już nie między nami nie mogłoby się zdarzyć. Czuję się głupio wobec niej, wobec Mel - z powodu tej maleńkiej części mnie, której próżność została polechtana. Chcę zawołać jak mały chłopczyk: „To nie ja, ja tego nie zrobiłem”, żeby utrzymać pozory niewinności. Ale czasami nie trzeba nic mówić. Czasem wystarczy po prostu być.

- W każdym razie, hmm, przestanę już paplać bez sensu i dam ci odpocząć. Przestałam śledzić twoje posty na Twit-terze, ale nie bierz tego do siebie. Ciągłe się zaśmiewam, kiedy czytam twoje stare wpisy.

Ale chyba powinnam odciąć się od przeszłości.

Nachyla się i całuje mnie w policzek. Żałuję, że tego nie czuję. I tak nie mógłbym odwzajemnić pocałunku.

- Do widzenia, Adam - mówi. - Nigdy cię nie zapomnę. Patrzę, jak wychodzi. Nie odwraca się. Słyszę na korytarzu oddalające się kroki. Odchodzi coś, co i tak nie miało się nigdy zdarzyć. A równocześnie na peron w mojej głowie wjeżdża to, co zawsze było w planach.

- Steve uważa, że jestem dziwny - powiedziałem Mel, kiedy leżeliśmy razem w łóżku.

- Dlaczego? Bo chcesz się ze mną ożenić?

- Nie, bo nie przyjąłem jego propozycji, żebyśmy urządzili weekend kawalerski w Amsterdamie.

- Czyli dziś w „Robin Hoodzie” nie było żadnych tancerek na rurze?

Uśmiecham się do niej. To był mój pomysł, żeby w wieczór przed ślubem zabrać świadka na drinka w jakieś zaciszne miejsce. Choć dobrze wiedziałem, że dzięki temu zapunktuję trochę u Mel.

- Cały czas nawijał, że to mój ostatni wieczór wolności i zabawy.

- Boże, to brzmi, jakbyś jutro miał dać się wykastrować i wtrącić do więzienia, a nie brać ślub.

- To znaczy, że nadal będziemy mogli uprawiać seks? - spytałem.

Mel uśmiechnęła się i dała mi kuksańca w zębra.

- A jeśli chodzi o to, że noc przed ślubem spędzamy razem - ciągnąłem - cóż, Steve uważa, że to się nadaje dla psychiatry.

- Louise też tak powiedziała. Oczywiście trochę bardziej dyplomatycznie. Ale była niemal tak samo zszokowana jak moja mama. Musiałam jej przypomnieć, że skoro mieszkamy razem, raczej nie mogę noc przed ślubem wyrzucać cię z domu.

- Pewnie ona i Steve nie pójdą w nasze ślady, kiedy zdecydują się hajtnąć.

- Jeśli - powiedziała Mel. - Nadal uważam, że Louise mogła trafić lepiej.

- Hej. Mówisz o moim świadku.

- Tak, tym samym, który teraz, jakby tylko miał okazję, przykułby cię nago do jakiejś rury.

Wybuchnąłem śmiechem i przeturlałem się na nią.

- I jak tam, pani Summerskill, denerwuje się pani za pięć dwunasta?

- Nie. Dlaczego miałabym się denerwować? Zrobię to, co zawsze

chciałam zrobić.

- Co? Włożyć wielką bezę?
- Oj, przecież ci mówiłam. Suknia jest gładka i wysmakowana.
- Zupełnie jak facet, za którego wychodzisz.
- Zamkniesz się wreszcie i mnie sponiewierasz, czy nie?
- Och, skoro nalegasz. - Pocałowałem ją w kark.
- Daj mi popalić. Jutro będę zamężną kobietą.
- Nie rano.
- Jeśli przez ciebie spóźnimy się na ślub...
- To co? Rozwiedziesz się ze mną? Uśmiechnęła się i odwzajemniła

pocałunek.

Skończyło się tak, że dotarliśmy na czas. Ledwie. Przynajmniej zdążyliśmy przebrać się w hotelu w osobnych pokojach. Mel chciała, żeby był ten moment, kiedy pierwszy raz zobaczę ją w sukni - a nie, żebym musiał jej zapinać zamek. Nadal pamiętam tę chwilę. Kiedy odwracam się, żeby zobaczyć, jak zmierza w moją stronę. Nie jestem za dobry w opisywaniu sukien. Nie umiem powiedzieć, z jakiego materiału była uszyta ani jaki miała krój. Wiem tylko, że była pora-

żająco piękna. Tak porażająco, jakby była wycięta z żurnala.

- Jezu, popatrz na nią - wyszeptałem do Steve'a.

Ale nie spojrział. Nadal bawił się obrączkami, które trzymał w kieszeni. Uśmiechnąłem się do Mel, gdy ona stanęła obok. Nadal potrafiłem wyobrazić ją sobie w wieku trzynastu, szesnastu i dwudziestu jeden lat. I umiałbym sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała, kiedy będzie miała lat trzydzieści, czterdzieści, nawet sześćdziesiąt. Ale widziałem, że ten widok - Mel w dniu naszego ślubu, kiedy ma dwadzieścia trzy lata - zabiorę ze sobą do grobu.

ROZDZIAŁ 19

Mel

Maya stoi w czerwonej szkolnej bluzie i szarej spódnicy. Wygląda na starszą przynajmniej o trzy lata od tej, która zaledwie parę minut temu jadła śniadanie w pizamce w motyle.

- Fantastycznie. Upniemy włosy. Nie chcemy, żeby wchodziły ci w oczy, kiedy będziesz malowała.

Maya na ogół nie nosi upiętych włosów. Jest coś symbolicznego w tym,

że biorę czerwoną frotkę i przewlekam przez nią jej długi warkocz. Jakbym łapała dzikiego kuczka, żeby go ujarzmić. Dzikiego kuczka, który nie ma pojęcia, że od teraz nie będzie już mógł

swobodnie sobie galopować. **Że** za chwilę jego życie zmieni się na dobre.

- Och - mówię, robiąc krok do tyłu i mierząc ją wzrokiem ml stóp do głów. - Ale wyrosłaś. Chodź i spójrz w lustro.

Prowadzę ją do przedpokoju i podnoszę, żeby mogła się zobaczyć.

Uśmiecha się szeroko do swego odbicia.

- Możemy zrobić zdjęcie dla Tatusia? - pyta. Przytulam ją.

- Oczywiście, że tak. To świetny pomysł.

I daję mi się nie rozkleić, kiedy znajduję aparat, a nawet kiedy robię zdjęcie. Dopiero potem, kiedy stawiam Mayę

z powrotem na podłodze, a ona idzie sama zawiązać sobie buty, muszę na chwilę odwrócić wzrok, żeby się pozbierać. Nie mogę uwiecznić na fotografii wszystkich chwil, nie jestem w stanie prowadzić wideo pamiętnika zawierającego każdy moment, który Adam przegapił. Życie musi toczyć się dalej. Ale ten pierwszy dzień szkoły już od dłuższego czasu spędzał mi sen z powiek.

Na szczęście Maya jest nastawiona na tak. Myślę, że gdyby uczepliła się mnie i nie chciała iść do szkoły, zaraz bym się podłamała. Ale gdy otwieram drzwi, a ona od razu wyskakuje na ścieżkę, wiem, że nie mogę się zdradzić z tym, jak bardzo mi żal, że nie ma tu Adama.

- Dobrze, chodźmy - mówię, biorąc ją stanowczo za rękę, gdy przechodzimy przez ulicę.

- Cały dzień będziemy malować? - pyta Maya.

- Nie cały, kochanie. Będzie też okazja porobić coś innego. Rysować i pisać.

- I bawić się?

- Będzie mnóstwo zabaw.

- Pani Hinchilffe będzie mi czytać?

- Myślę, że tak.

- Będzie wymyślać historyjki o dinozaurach? Wzdycham. Cały czas wisi to nad nami. Maya nie chce

mieć już więcej do czynienia z dinozaurami. Od miesiący nie tknęła żadnej związanej z nimi zabawki. Ciągłe wyjmuję je, rozkładam niby przypadkowo, ale ona odkłada je z powrotem do pudła. To ta sama dziewczynka, która zaryczała na ogromnego tyranozaura na pokazie

Wędrówkę z dinozaurami, gdy starsze od niej dzieci kulily się ze strachu na swoich siedzeniach.

- Może nie będzie miała czasu, żeby wymyślać historyjki. Ale jeśli opowie coś o dinozaurach, to wspaniale, prawda? Przecież ty wiesz mnóstwo o dinozaurach.

Maya nie odpowiada. Z daleka widać już szkołę. Czuję, że żołądek mi się zaciska. Za chwilę wyślę moją małą dziewczynkę w szeroki świat. I choć wiem, że to konieczny element procesu dorastania, wypadek Adama wzmógł strach, że coś jej się stanie. Gdyby Adam mógł mówić, pewnie powiedziałby, że teraz jest nawet mniej powodów, by się zamartwiać. Piorun nigdy nie trafia dwa razy w to samo miejsce. Ale przecież tak samo się nie spodziewał, że coś złego może przytrafić się jemu.

Wspinamy się po kamiennych schodach. Maya piszczy, dostrzegając na placu zabaw Isobel i Ryana, dwójkę przyjaciół z Arki. Biegnie do nich i chwali się nowymi szkolnymi butami. Sekundę później podnosi sukienkę, żeby pokazać im czerwone majteczki, o których żartem powiedziałam, że pasują do mundurka. Dokładnie w tym momencie na placu zabaw pojawia się pani Hinchcliffe. Uśmiecham się i wzruszam ramionami. Na szczęście pani Hinchcliffe odwzajemnia uśmiech.

- Mogło być gorzej - mówi. - Przynajmniej nie robi tego pierwszego dnia liceum.

- Nie, ale to zmartwienie wciąż jeszcze przede mną. Pani Hinchcliffe dzwoni dzwonkiem. Pierwszaki ustawiają się przed nią w szereg, gadając z podekscytowaniem. Chwilę później ruszają do budynku. Pewnie chodzi o uniknięcie długotrwałych łzawych pożegnań. Maya odwraca się, macha do mnie i podskakując, podąża za panią Hinchcliffe. Da sobie radę. Wszystko będzie w porządku. Uśmiecham się do pozostałych mam, które znam z widzenia, jeśli nie z imienia. A potem zbiegam po kamiennych schodach, żeby nie miały okazji spytać, jak czuje się mój mąż.

Później tego ranka ktoś puka do drzwi. Otwieram i widzę rodziców.

Nie zapraszałam ich. Matka ma w oczach „to”

spojrzenie. W ręku trzyma torebkę. Przyszli w jakiejś sprawie. Mojej sprawie. Mam nagłą ochotę powiedzieć: „Nie, dziękuję, nie dzisiaj” i zatrzasnąć im drzwi przed nosem. Jednak nie mogę tego zrobić. Nie tak mnie wychowano.

- Cześć - mówię więc. Z salonu dobiega odgłos odkurzenia. Mama spogląda na mnie pytająco. - Denise sprząta.

Mama kręci głową z dezaprobatą, bo nie pochwała korzystania z usług sprzątaczk. Nie powinno się komuś płacić za sprzątanie swoich brudów.

- Wchodźcie - zapraszam, bo już dłużej nie mogę znieść tego napięcia. - Wstawię wodę.

Podążają za mną do kuchni. Dobrze wiem, po co przyszli, ale nie zamierzam im niczego ułatwiać. Mama celowo kładzie torebkę na stole i spogląda na Tatę, który spiesznie spuszcza wzrok.

- Nie jesteśmy pewni - Mama oczywiście zadecydowała, że sama musi się z tym uporać - czy to, co planujesz, jest najlepszym rozwiązaniem.

Odnotowuję, że użyła słowa „planujesz”. Z pewnością wciąż nie przyjęła do wiadomości, że to się już dzieje.

- Tak? A dlaczego?

- Przecież to nie jest normalne. Żeby mąż w śpiączce leżał ci w salonie. Tata krzywi się, zanim ja zdążę to zrobić.

- Nie, nie jest. Ale też większość mężów nie jest w stanie wegetatywnym.

- Tak, ale nawet ci, którzy są, nie mieszkają w domu z rodziną, prawda?

- Skąd wiesz?

- Cóż, gdyby istnieli, byłyby o nich filmy dokumentalne na BBC2. I artykuły w „Daily Mail”.

- Nie sądzę, żebym była jedyną osobą, która to robi, a jeśli nawet, to z pewnością nie powód, żebym tego nie robiła.

- Ale co sobie ludzie pomyślą, jak przyjdą cię odwiedzić?

- Nie dbam o to, co sobie pomyślą. Mamo, Adam jest moim mężem. I wraca do domu.

Nalewam im herbaty. Tata nie miał jeszcze okazji spojrzeć mi w oczy.

- Kochanie - mówi, gdy podaję mu kubek - martwi nas, że tak bardzo się poświęcasz. Ze rzucasz pracę.

- Nie mam wyboru. Jeśli mam się nim opiekować, muszę być na miejscu. Albo tak, albo wysyłam go do domu opieki. Co by Adama załamało. Dobrze o tym wiesz.

- Chyba teraz nie bardzo może narzekać, prawda? - Nawet według standardów Mamy to jest już dno. Na końcu języka mam pytanie, jakby postąpiła, gdyby chodziło o Tatę, ale powstrzymuję się, bo jestem raczej pewna, co by odpowiedziała.

- To, że nie jest w stanie mówić, nie oznacza, że nie czuje. Adam nie chce iść do domu opieki, więc zabieram go do domu, gdzie jego miejsce.

- A jak Maya zaprosi tu swoich małych przyjaciół? Z pewnością ich to wystraszy.

- To jest jej tatuś i jego obecność w domu będzie miała na nią dobry wpływ. Tak bardzo za nim tęskniła.

- A co z tobą? Jak dasz radę ułożyć sobie życie? Wpatruję się w nią, nie wierząc, że to powiedziała. W końcu otwiera się mój wentyl bezpieczeństwa.

- Ułożyć sobie życie? Co przez to rozumiesz? Mam sobie kogoś znaleźć, o to ci chodzi? Może umknęło twojej uwadze, ale wciąż mam męża, dziękuję bardzo. I on wróci, czy tego chcesz, czy nie.

Dopiero gdy kończę, zdaję sobie sprawę, że w kuchni stoi Denise, trzymając w rękach wiadro i mop.

- Może wrócę później? - pyta.

- Nie, proszę robić swoje. Rodzice właśnie wychodzą.

Mama bierze torebkę, a Tata podąża za nią do przedpokoju. Idę za nimi. Skoro już wyrzucam ich za drzwi, mogę zrobić to uprzejmie.

- Słuchajcie, jestem bardzo wdzięczna za to, że odwiedzacie Adama.

Nie chcę w żaden sposób was obciążać i jeśli wolicie z nim nie siedzieć, kiedy wróci do domu, w porządku, po prostu mi powiedzcie, a ja poproszę kogoś innego.

- Oczywiście, że będziemy z nim siedzieć - oświadcza Mama. - Tak jak powiedzieliśmy, weźmiemy na zmianę przedpołudnia.

Powiedziawszy to, odmaszerowuje ścieżką. Czuję lekkie ukłucie winy. Ale tylko lekkie.

- Wiem, że chcesz zrobić to, co najlepsze dla Adama - dodaje Tata. -

Chcę tylko, żebyś nie żałowała wszystkich tych poświęceń, które staną się twoim udziałem w kolejnych latach. Wiesz, rozgoryczenie źle wpływa na małżeństwo. Bardzo źle.

Nachyla się, żeby cmoknąć mnie w policzek, i odchodzi ścieżką w stronę Mamy, która czeka przy samochodzie. Zamykam drzwi i wracam do kuchni.

- Przepraszam panią - mówię do Denise, która w żółtych gumowych rękawicach myje zlew.

- Nie musi pani przepraszać. Proszę mi wierzyć, w porównaniu z awanturami w mojej rodzinie to było jak popołudniowa herbatka.

Nawet niczym pani nie rzuciła. Ja to bym chociaż spodek rozbiła.

Uśmiecham się i kręcę głową.

- Nie wiem. Może mają rację. Może to jest szaleństwo. Gdyby chodziło o pani męża, zrobiłaby pani to co ja?

- Nie, ale ja to chętnie bym się męża pozbyła. Przez te wszystkie lata nieźle mi dał popalić. Gdybym mogła, jutro bym go spakowała i wysłała do domu opieki. Nie musiałabym już po nim sprzątać.

- Wcale tak pani nie myśli.

- Ależ tak.

- To czemu go pani nie zostawi?

- Bo to ojciec moich dzieci. Poza tym dwaj, z którymi byłam przed nim, byli nie lepsi, więc skąd pewność, że następny byłby? To już chyba wolę wróbla w garści.

Kiwam głową. Prawie już zapomniałam, w jak wielkie poczucie winy wpędzał mnie związek z Adamem. Jakie to dziwne nie móc przyłączyć się do tak powszechnego jęku kobiet, które zawiodły się na mężach.

- Szczęściarz z niego, że panią ma - mówię. - Założę się, że bez pani by zginął.

- Się wie. Facetem to się trzeba zajmować od kołyski po grób. Świat by stanął w miejscu, gdybyśmy przestały się o nich troszczyć.

- Czyli pani nie uważa, że zwariowałam, bo chcę sprowadzić Adama do domu?

- Nie, jeśli pani tego chce, to nie. Mnie to nie przeszkadza, 'lak długo, jak będę w stanie koło niego sprzątać.

Uśmiecham się. Myślę, że Adam ją polubi.

Następnego ranka pukam do drzwi gabinetu Margaret. Czuję się jak Maria z *Dźwięków muzyki* w scenie, kiedy szła porozmawiać z Matką Przełożoną. Oczekuję, że usłyszę coś mądrego. Ze ktoś nada temu wszystkiemu jakiś sens.

- Witaj, Melanie - mówi Margaret, wstając zza biurka.

Obejmujemy się w dość niezręczny sposób. Siadam. Pamiętam ostatni raz, kiedy tu byłam. Widzę, że tym razem ręce mi się nie trzęsą.

Czuję się dziwnie spokojna.

- Dziękuję za list. - Margaret siada naprzeciwko mnie. - Jak wyjaśniłam w e-mailu, jest mi niezwykle przykro, że nas zostawiasz, ale doskonale cię rozumiem. Musisz kierować się dobrem swoim i swojej rodziny.

Kiwam głową, oczekując, że w każdej chwili zaczniesz śpiewać „Jak mam rozwiązać problem z Melanie”.

- Czuję się okropnie, że nie uprzedziłam cię wcześniej -mówię.

- Nie szkodzi. Żałuję tylko, że nie byliśmy w stanie zaproponować ci niczego w takim wymiarze godzin, żebyś mogła to pogodzić z obowiązkami rodzinnymi. Ale, tak jak mówiłam, nie widzę problemu, żebyś, zważywszy na okoliczności, nadal przebywała na specjalnym urlopie, do czasu kiedy zaczniesz obowiązywać wypowiedzenie.

- Dziękuję - mówię. - Naprawdę bardzo to doceniam.

- Udało nam się pozyskać wykładowcę z Uniwersytetu Leeds Metropolitan, który przejmie twoje obowiązki, więc nie będzie problemu z prowadzeniem seminarium.

- To dla mnie ulga. Bardzo mi przykro, że tak zawiodłam.

- Nikogo nie zawiodłaś. Bardzo się cieszę, że dostałaś pracę w Calderdale College, ale jeśli kiedykolwiek będziesz w stanie do nas wrócić, proszę nie wahaj się z nami skontaktować.

- Dziękuję - mówię. - Na pewno tak zrobię.

- I proszę nie słuchaj, jeśli ktoś będzie ci zarzucał, że poświęcasz karierę zawodową. Rodzina powinna być na pierwszym miejscu. Poza tym szesnastolatki, których będziesz uczyć, są równie ważni jak magistranci tutaj. I wiem, że dasz z siebie wszystko.

Kiedy wychodzę z gabinetu Margaret, po twarzy błąka mi się uśmiech, a w uszach dźwięczą anielskie chóry.

Idę do kawiarni nieopodal na umówione spotkanie z Nadine. Kiedy podchodzę bliżej, wstaje, żeby mnie przytulić. Uścisk jest niezręczny, jak zwykle w spotkaniach po latach, gdy nie jest się już pewnym dawnej bliskości. Co tak na-

prawdę jest bez sensu. Minęło ledwie parę miesięcy. Jednak w ciągu tego czasu tak wiele się wydarzyło, nastąpiło tyle zmian, że praca na uniwersytecie czy plotkowanie z Nadine nad bagietką podczas lunchu wydają się wspomnieniami z poprzedniego życia.

- Cześć - mówi Nadine. - Dobrze wyglądasz.

Stara się być uprzejma. Nie sądzę, żeby kostium i lekki makijaż mogły tak dobrze zatuszować prawdę.

- Dziękuję. Przepraszam, że wcinam ci się w końcówkę wakacji. Ale ostatnio tak rzadko bywam w tych okolicach.

Nadine mieszka w Bingley, po drugiej stronie Bradford. Przed wypadkiem nieczęsto się z nią widywałam poza uczelnią, a teraz stało się to jeszcze trudniejsze.

- Nie bądź niemądra. Miło cię zobaczyć. Szkoda, że w takich, a nie innych okolicznościach, ale przynajmniej w końcu się spotkałyśmy.

Czuję się okropnie, że nie zebrałam się, żeby wpaść.

Wymieniłyśmy całkiem sporo SMS-ów i e-maili. Od czasu do czasu udawało nam się zamienić parę słów przez telefon. Jednak pomimo prób nigdy nie zdołałyśmy się spotkać. A jeśli nie widuje się kogoś codziennie albo chociaż raz na miesiąc, to nieubłaganie jakaś cząstka wzajemnej bliskości słabnie.

- Nic się nie stało. Jesteś zajęta, wiem. I wiem również, że zawsze będziesz po drugiej stronie słuchawki, jeśli będę potrzebowała z kimś porozmawiać.

Nadine porusza ramionami. Mam nadzieję, że udało mi się zdjąć jej z barków choć część winy, która najwyraźniej jej ciąży. Wielokrotnie proponowała mi, że pomoże, jak tylko będzie potrafiła, ale nie chciałam jej fatygować. Ma trójkę dzieci i męża, którzy nie przestaną jej potrzebować tylko dlatego, że Adam jest w stanie wegetatywnym.

Zycie innych ludzi toczy się dalej. Rozumiem to i tak być powinno.

- Jak Maya sobie wczoraj poradziła? - pyta Nadine, kiedy siadam naprzeciwko niej.

- W porządku. Pomaszerowała do klasy z uśmiechem i beze mnie. Po południu wróciła pełna wrażeń, a dziś rano wyszykowała się tak szybko, jakby nie mogła się już doczekać.

- Świetnie, dzięki temu było ci trochę lżej.

- Tak, to prawda. I oby to trwało jak najdłużej. A jak twoja trójka?

- A, mieliśmy typowe zrządzenie pierwszego dnia. Choć dziś już było w porządku. Znów przykają się między sobą o to, kto co dostał na drugie śniadanie.

Zawisa nad nami kelnerka z pogniecionym notatnikiem. Ja zamawiam kawę i opiekaną drożdżówkę z rodzynkami. Nadine prosi o to samo.

- To jak ci poszło z Margaret? - pyta.

- Tak się składa, że była bardzo miła. To chyba pierwsza osoba, która nie uważa, że kompletnie zwariowałam. Ani nie próbowała skłonić mnie do zmiany zdania.

Nadine bawi się jedną z saszetek cukru, które leżą na stoliku.

- Cóż, może to bez znaczenia, ale ja też nie uważam, że zwariowałam.

Wiem, jak oboje jesteście mocno zaangażowani w siebie nawzajem. W ogóle nie byłam zaskoczona, kiedy przeczytałam twój e-mail.

- Więc nie uważasz, że rzucam karierę zawodową?

- Nie. Robisz sobie przerwę. Wiele kobiet tak postępuje z rozmaitych powodów rodzinnych. A szczerze mówiąc, trudno mi sobie wyobrazić lepszy powód niż twój.

Kelnerka wraca z naszym zamówieniem. Odgryzam duży kęs gorącego, nasączonego masłem ciasta. Jedzenie, które poprawia nastrój. Właśnie tego potrzebuję.

- Co twoim zdaniem powiedzą inni wykładowcy?

- Kicham na to - oświadcza Nadine. - I ty też powinnaś. To nie ich cholerny interes.

- Wiem. Ale mimo wszystko wyobrażam sobie, jak niektórzy faceci będą mrużyć pod nosem, że baba nie była w stanie podołać rygorom prowadzenia seminarium magisterskiego.

- Cóż, jeśli tak zrobią, powiem im, gdzie mogą spadać. Poza tym nie warto zwracać sobie głowy kimś, kto patrzy z góry na uczenie w szkole średniej.

- Dziękuję. - Uśmiecham się. Nadine odwzajemnia uśmiech.

- Dobrze, ale nie gadajmy już o robocie. Opowiedz coś o planach, żeby zabrać Adama do domu. Jak to wszystko idzie?

- Myślę, że powoli wszystko się układa. Urzędniczka w szpitalu jest świetna. To tylko kwestia tego, żeby zgromadzić fundusze i załatwić sprawy papierkowe.

- Jeśli będę ci mogła jakoś pomóc, powiesz mi, dobrze?

- Dziękuję, ale szczerze mówiąc, poradzę sobie. Mam rodziców, a Louise i jej mąż Steve też są bardzo pomocni.

- W porządku. Ale jeśli kiedykolwiek zmienisz zdanie, moja propozycja pozostaje aktualna.

Jestem wdzięczna za jej uprzejmość, ale jeśli mam być szczerą, tkwiąca w ludziach potrzeba, żeby coś zrobić, spróbować polepszyć moją sytuację, czasami bywa trochę męcząca. Prawda jest taka, że jeśli ktoś ugotuje mi obiad, popilnuje przez parę godzin Mayi albo zabierze mnie na kawę, to choć jest to bardzo miłe, niczego nie zmienia. Nie przywróci mi Adama.

- Po prostu dawaj znać co i jak, kiedy już zacznie się semestr - mówię.
- Dzięki temu, jeśli kiedykolwiek będę miała możliwość wrócić, nie będę czuła się jak z kompletnie innej bajki.

Wizyty Steve'a w czwartki, po jego odwiedzinach u Adama, stały się niemal tradycją. Wydaje się, że zabawa w złotą rączkę sprawia mu przyjemność. Pewnie dzięki temu czuje się potrzebny. Dlatego zawsze staram się znaleźć dla niego coś do zrobienia, nawet jeśli właściwie nic nie wymaga naprawy. Również dlatego pozwalam mu pomalować salon, mimo że nie przepadam za kolorem magnolii. Pokój wymaga odświeżenia, więc kiedy Steve staje w przedpokoju z wiadrem farby i wałkiem, nie bardzo wiem, jak mu odmówić.

- Cześć - mówię. - Jak leci?
- Wydaje mi się, że w porządku.

Zawsze odpowiada tak samo. Zaczynam rozumieć, że musiało to doprowadzać Louise do szału. To jego przekonanie, żeby dusić wszystko w sobie.

- Kawy?
- Tak, bardzo chętnie. To najpierw zajmę się tym kapiącym kranem.
- Dzięki. Jeśli jeszcze potem będziesz miał chwilę, obawiam się, że przepaliła się żarówka w salonie. Wyciągnęłam drabinę, ale... - Mój głos milknie, gdy wykonuję gest sięgania, próbując pokazać mu, w czym tkwi problem.

Wymiana żarówek to jedna z wielu nieprzyjemnych konsekwencji bycia upośledzonym w pionie, w dodatku jeśli ma się dom z wysokimi sufitami. Pewnie powinnam sobie sprawić dłuższą drabinę, ale wcześniej nie było takiej potrzeby.

- Jak ty sobie radzisz w supermarketach? To znaczy, będąc takim mikrusem.
- Spadaj. - Uśmiecham się. - Dla takich jak ja, którzy nie mogą dosięgnąć górnych półek i mają już dosyć proszenia innych, wymyślono zakupy z dostawą do domu.
- A ja mam dosyć, jak mikrusy proszą mnie, żeby coś im podać.
- Kiedy ty niby chodzisz do supermarketów?

- Teraz chodzę.
- No, jasne. Że też nie pomyślałam.

- Czemu nie robisz tego przez internet?
- To nie to samo. Nie da się wrzucić czekolady do koszyka przy kasie, kiedy nudzi ci się czekanie.
- Uśmiecham się. Adam też miał taki zwyczaj.
- Jestem właśnie zajęta przekładaniem przyrządzonego przez siebie chilli do dwóch pojemników, kiedy Steve wchodzi do kuchni.
- Ładnie pachnie.
- Możesz się poczęstować. Robię naprawdę wielką porcję, żeby zamrozić. Dzięki temu nie muszę gotować codziennie.
- Nie, w porządku. W szpitalu zjadłem kanapkę.
- To nie jest pełnowartościowy posiłek. No, weź - mówię, nakładając mu na talerz. - Musisz o siebie dbać.
- Pod warunkiem, że ty też zjesz trochę. Założę się, że nit nie jadłaś.
- Ma rację, nie jadłam. Nie licząc resztek spaghetti Mayi. To dziwne uczucie siedzieć naprzeciwko Steve'a przy stole w jadalni. Trochę tak, jak tańczyć z niewłaściwym partnerem. Choć jeśli mam być szczerą, cieszę się z towarzystwa. Jedzenie każdego wieczoru w samotności jest niezbyt miłe.
- Wiem, że powinnam powiedzieć Steve'owi. Jak dotąd unikałam tego tematu. Pewnie dlatego, że wszyscy inni, [których poinformowałam, zareagowali tak, a nie inaczej.
- Muszę ci coś powiedzieć. Steve zerka na mnie niepewnie.
- Adam wraca do domu - kontynuuję. Przez chwilę panuje cisza. Kończy przeżuwać, potem zdaje się trawić tę informację.
- Co to znaczy, że wraca do domu?

- Lekarz powiedział, że nie mogą nic już dla niego zrobić. Chcieli umieścić go w domu opieki, ale się nie zgodziłam.
- Więc zabierasz go tutaj?
- Tak. Tu jest jego dom.
- Wiem, ale kto się będzie nim opiekował? -Ja.
- No, a gdy będziesz w pracy?
- Złożyłam wymówienie. Dostałam pracę w niepełnym wymiarze godzin w Calderdale College. Zastępuję kogoś na urlopie macierzyńskim, dziesięć godzin tygodniowo. A w tym czasie będą tu rodzice.
- Steve jest tak samo zdumiony jak wszyscy inni.
- Jezu, Mel, to straszne poświęcenie.
- A co miałam robić?

- Umieścić go w tym domu, jak ci powiedzieli.
- Jasne, i ty też chciałbyś, żeby ciebie tak potraktowano.
- Nie miałbym nic do powiedzenia, prawda?
- Louise zrobiłaby dla ciebie to samo.
- Nie sędzę.
- Właśnie, że tak. Powiedziała mi. Steve kręci głową.
- A dlaczego ja dowiaduję się ostatni?
- Po prostu nie mogłam się zebrać, żeby ci powiedzieć.
- Aha. Rozumiem. - Steve odkłada widelec. Chowa twarz w dłoniach.
- Nie wiem, czemu się tak przejmujesz.
- Obiecałem Adamowi, że będę się tobą opiekował. A teraz widzę, że wyszłaś przed szereg i wszystko załatwiłaś, nawet mi o tym nie wspominając.
Teraz ja odkładam widelec. Muszę przyznać, że jego troska mnie poruszyła.
- Posłuchaj, nie omawiałam tego z nikim. Zdecydowałam w jednej chwili. Po prostu czułam, że tak powinnam postąpić.

- Ale co z twoją karierą zawodową?
- Adam jest ważniejszy. I Maya też. Muszę myśleć o tym, co dobre dla nich.

Wstaję i zanoszę swoją w połowie pustą miskę do zlewu. Kilka sekund później słyszę, jak Steve odsuwa krzesło, jego kroki zbliżają się do mnie od tyłu.

- Hej, wiem, że ci ciężko. Po prostu martwię się, ile na siebie bierzesz. I co przy okazji poświęcasz. Tak się cieszyłaś, że będziesz prowadzić to seminarium.

Obracam się, żeby spojrzeć mu w twarz, bardzo starając się trzymać w ryzach. Nie chcę, żeby zobaczył, jak spod maski pewności wyziera słabość.

- Dziękuję. Ale podjęłam decyzję i powiedziałam już Adamowi. Nie zmienię zdania.

- Mel, chodzi o to, że nie chcę patrzeć, jak się ranisz. Myślisz, że Adam wraca do domu. Mel, jemu się nie polepszy. (On nie wróci.

- Nie wiesz tego. Nikt tego nie wie.

Próbuję powstrzymać łzy, które z oczu wyciska mi wściekłość. Steve kładzie mi ręce na ramionach.

- Mel, nie chciałem cię zdenerwować. Po prostu musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Adam odszedł. Musisz zacząć się z tym godzić.

Wszyscy musimy.

Już go pogrzebałeś, jak inni. A podobno jesteś jego najlepszym przyjacielem.

- Jestem jego najlepszym przyjacielem. Dlatego próbuję ci pomóc.

Staram się, żebyś nie poraniła się jeszcze bardziej.

Ręce Steve'a nadal spoczywają na moich ramionach. Przez ułamek sekundy czuję, że się załamie; powiem mu, że jestem równie pełna obaw. Ale przypominam sobie, dla kogo to fobię. Dla Adama i Mayi.

Robię krok w tył, a ręce Steve'a zsuwają się z moich ramion.

- Naprawdę wciąż wierzę, że do mnie wróci. I cieszę się z tego. Bo gdybym nie wierzyła, nie miałabym się już na czym oprzeć.

- Właśnie że byś miała. Jestem tu dla ciebie. Próbuję się uśmiechnąć.

- To bardzo miłe z twojej strony, ale nie o to mi chodzi. Steve, on jest moim mężem. Nigdy go nie opuszczę, nieważne, co się wydarzy. Za bardzo go kocham, żeby zrobić coś takiego.

Czuję, jak źle to zabrzmiało, zważywszy na okoliczności. Steve wbija wzrok w podłogę, wygląda na załamanego.

- Posłuchaj, przepraszam. Nie pomyślałam. Nie o to mi chodziło...

- W porządku - mówi Steve. - Nie musisz przepraszać. Wiem, o co ci chodzi. Poza tym masz rację. Ja mam tak, że odchodzę. A w głębi serca wiem, że ty byś nigdy tak nie postąpiła w stosunku do Adama. Chyba zawsze to wiedziałem.

Bierze marynarkę. Przez chwilę stoimy w niezręcznej ciszy.

- Lepiej, jak już pójdę.

Kiwam głową i odprowadzam go do przedpokoju. Otwiera drzwi, po czym staje i odwraca się do mnie.

- Ja tylko próbuję się tobą opiekować, Mel. Wszystko jedno, co sobie myślisz, ale nikt inny tego nie robi. Już nie.

Zamyka za sobą drzwi. Natychmiast czuję pustkę, coś między strachem i cierpieniem. Opadam na dolny schodek i gapię się w sufit.

Zastanawiam się, czy ma rację. I czy się mylę, nadal wierząc.

ROZDZIAŁ 20

Droga Redakcjo *Points of View* - zaczyna Joan. Tak, powinienem być wdzięczny losowi, że moja teściowa nie śpiewa mi już „Wszystkiego co jasne i piękne”. W każdym razie od czasu, kiedy przeniesiono mnie na ten

oddział. Nie doszedłem, czy wstydzi się swojego głosu, czy może pielęgniarki powiedziały jej, że w szpitalu nie wolno śpiewać pieśni religijnych, ale tak czy siak, to niewątpliwie prawdziwe błogosławieństwo. Aczkolwiek tak jak wcześniej bałem się jej śpiewu, teraz równie mocno zaczynam się obawiać, że będzie mi czytała listy do *Points of View*.

- „Chciałabym wiedzieć, ile kosztuje nas, płatników abonamentu, zrobienie takiego namiotu z suwakiem w kształcie dwójki, żeby promować BBC2. Nie jesteśmy idiotami (gdybyśmy byli, to byśmy oglądali ITV), więc wiemy, że oglądamy HBC2, bo wcisnęliśmy guzik «dwa» na pilocie. Więc czemu n licha BBC uważa, że ciągle trzeba nam przypominać, który kanał oglądamy? Nie potrzebujemy, żeby BBC robiła specjalne namioty ani żeby namawiała niepełnosprawnych do grania w koszykówkę (co z pewnością nie jest dla nich dobre, te ciągle skręty i nawroty. I niszczą im się te wózki). A jeśli chodzi o pływające hipopotamy, cóż, to po prostu okrutne,

że się je tresuje, żeby to robiły. Być może gdyby BBC lokowała więcej pieniędzy w ambitnych programach, takich jak *Songs of Praise* albo *Cash in the Attic*, zamiast ładować je w durne akcje reklamowe, ten kraj byłby w innym stanie niż jest teraz.

Z wyrazami szacunku,
Joan Summerskill”

Przynajmniej biedak, który otrzyma ten list, będzie mógł go wyrzucić, przeczytawszy kilka linijek, gdy ja jestem zmuszony wytrzymać do samego gorzkiego końca. Choć może Jeremy Vine wieśa co bardziej bzdurne listy na ścianie, tak jak robiliśmy to w „Yorkshire Post”, gdzie były znane pod nazwą „brygada zielonego atramentu”. Ponieważ osoby, które mają wystarczająco dużo wolnego czasu, żeby pisać o głupotach i narzekać, zawsze bez wyjątku używają zielonego atramentu. Kiedy Joan składa swój list, wkłada go z powrotem do koperty i zakleja, bez powodzenia próbując podejrzeć, jakiego atramentu użyła. Nadal nie jestem pewien, czemu ma służyć to odczytywanie mi listów na głos. Przecież nie mogę zgłosić poprawek redakcyjnych. Ani też ona, czytając, nie zmienia w ich sprawie zdania (nigdy, ani razu żadnego po przeczytaniu nie podarła). Chyba naprawdę uważa, że lubię słuchać, jak je czyta. I pewnie tak jest, na zasadzie „to tak straszne, że aż śmieszne”.

- O, i to powinno przemówić im do rozumu - mówi, chowając list do torebki.

Z pewnością dyrektor generalny BBC drży ze strachu.

- Choć nie spodziewam się, żeby odczytali go na antenie. Wiesz, tam panuje cenzura. Jestem tego pewna. Za kadencji Barry'ego Tooka to by było nie do pomyślenia, ale jak wiesz, od tego czasu standardy uległy pogorszeniu.

Zapowiada się długi poranek. Mel poszła dziś do nowego college'u na szkolenie. Powiedziała mi wczoraj wieczorem.

Próbowała mówić o tym z entuzjazmem, ale przecie mną nigdy nie była w stanie ukryć rozczarowania. Wciąż rozmyśla o seminarium, które miała prowadzić. Wiem, że tak jest. Tęskni za przyjaciółmi z uniwerku. Czuje się jak nowy dzieciak w szkole i pewnie zadaje sobie pytanie, czemu u licha wszystko dla mnie rzuciła.

Męczy mnie rozdarcie: z jednej strony niewiarygodny ze mnie szczęściarz, skoro moja żona jest gotowa tak się dla mnie poświęcać, z drugiej - jestem kłodą, która do niczego się nie nadaje i zmusza Mel do rzucenia kariery zawodowej. Ona powtarza mi, że to jej świadomy wybór, że chce zabrać mnie do domu i opiekować się mną. Ale tak być nie powinno. Nie powinna być zmuszona dokonywać takich wyborów.

Staram się jak mogę, żeby nie czuć złości i rozgoryczenia z powodu tego, co mi się przytrafiło, i na ogół mi się udaje. Natomiast nie udaje mi się nie czuć złości i goryczy z powodu (ego, co przytrafiło się Mel).

W szpitalu robi dla mnie coraz więcej; już nie tylko higiena osobista, którą zawsze się zajmowała, golenie i obcinanie paznokci, ale też codzienne czynności

praktyczne: mycie, zakrapianie oczu, przekręcanie, bym nie dostał odleżyn, a nawet opróżnianie pojemników, kiedy napelnią się sikami. Mówi, że chce się przygotować na mój powrót do domu. Chce nauczyć się wszystkiego, żeby mogła dbać o mnie sama. Ale żadna żona nie powinna sprzątać sików swojego męża. A z pewnością nie wtedy, kiedy oboje są jeszcze przed czterdziestką.

- Ta nasza Melanie to dobra dziewczyna - mówi Joan, Jakby czytała mi w myślach. - Pewnie trochę za dobra. Tyle lat na uniwersytecie, wszystkie te kwalifikacje, a skończy, robiąc to, co kobiety robiły za moich czasów. Siedząc w domu i poświęcając się dla rodziny. Nie jestem pewna, czy sama bym tak postąpiła. Nie, jeśli miałabym jej wykształcenie i możliwości. Nie, gdyby chodziło o Toma.

Teraz słucham z uwagą. Odpowiedzi i docinki, które zazwyczaj mam w tyle głowy, zamilkły. Joan kontynuuje przyciszonym głosem: - Wiesz, nie chodzi o to, że go nie kocham. Tylko że nasz związek nie jest taki, jak Melanie i twój. Cóż, u was trochę inaczej to przebiegło, prawda?

Dorastaliście razem, poznaliście swoje słabości na długo przed ślubem. W naszych czasach to był raczej skok w ciemno, na głęboką wodę. Spotykało się kogoś na potańcówce. Był urodziwy, grzeczny, miał

prezencję. Typ kawalera, którego można przyprowadzić do domu i przedstawić matce. I jeśli ci się nie narzucił, nie pił, nie uprawiał hazardu ani za twoimi plecami nie spotykał się z inną, cóż, to było to. Nim się obejrzałaś, były zaręczyny, potem ślub.

Więc wcale się tej drugiej osoby nie znało.

Milknie na chwilę. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby mówiła w ten sposób. Jestem pewien, że nie powiedziałaaby tego, gdybym siedział

obok niej z filiżanką herbaty i ciasteczkami. To dziwne, że goście w stanie wegetatywnym ludzie mówią rzeczy, których normalnie w najśmielszych snach by nie wyjawili. Pewnie nie spodziewają się, że jesteś w stanie ich słyszeć. Albo jeśli dopuszczają taką możliwość, to myślą, że nigdy nie będziesz mógł ich słów nikomu powtórzyć.

- Rozumiesz, nie chodzi o to, że Tom jest złym człowiekiem. Tylko że gdybyśmy mieli okazję najpierw dobrze się poznać, być może zdalibyśmy sobie sprawę, jak bardzo się różnimy. Że każde z nas oczekuje zupełnie czegoś innego. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek miał ze mną takie życie, jakiego naprawdę pragnął. Chyba mu nie wystarczałam. Myślę, że jego horyzonty wykraczały poza Mytholmroyd. Co doprawdy jest nietypowe jak na chłopaka z Yorkshire.

Gdybym mógł się odezwać, w tym momencie wspomniabym o kapitanie Cooku albo Michaelu Palinie, bo obaj

obalają stereotyp mieszkańca Yorkshire, którego stopa nigdy nie opuści kraju, nie przekroczy wielkiej wody. Ale znów -gdybym był w stanie mówić, nie opowiadałaby mi tego. Poza tym muszę przyznać, że podoba mi się to zupełnie nowe doznanie słuchania Joan, która ma coś ciekawego do powiedzenia.

- W każdym razie dość już tych bzdur. - Pochyla się, żeby wziąć do ręki czasopismo. - Pomyślałam, że przeczytam ci dziś parę opowiadań z „People’s Friend”. Wiesz, są całkiem nowoczesne w porównaniu z tymi, które

publikowali kiedyś. W jednym z nich występuje nawet rozwódka. Ma na imię Maureen. Mamy na stażu w przychodni pielęgniarkę, która ma na imię Maureen, ale nie sądzę, żeby to było o niej. Przede wszystkim ona jest mężatką.

Odstrajam się i próbuję wyłączyć. Jak już wydostanę się z ciała, jeśli kiedykolwiek to nastąpi, jedną z pierwszych rzeczy, które zrobię, będzie rytualne spalenie wszystkich egzemplarzy „People’s Friend”.

*

- Ale Gainsborough to zupełnie inna para kaloszy - mówi Tom po południu tego samego dnia. - Gdybym miał więcej miejsca, choć oczywiście nie mam, bardzo chciałbym zrobić coś w stylu Gainsborough Model Railway. Wiesz, to jeden i z największych w kraju modeli kolejki o rozstawie szyn zero. (‘ałość jest oparta na linii East Coast Mainline z King’s (Iross do Leeds Central. Wyobraź sobie, gdyby mieć wystarczająco dużo miejsca. I wszystkie ich pociągi chodzą według ściśle ustalonego rozkładu. Nie obijają się tam. Tak sobie czasem myślę, że powinni znacjonalizować kolej i oddać zarządzanie w ręce Malcolma i jego kamratów z Gainsborough. Nie wiem, czemu nie mieliby tego zrobić. Na pewno wyszłoby to lepiej niż ten chaos teraz.

Tom siedzi i kontempluje perspektywę rewolucji modelarzy kolejowych, którą najwyraźniej obmyśla. O modelach pociągów wiem dużo więcej niż przed wypadkiem. Tak jakbym skakał po kanałach i natrafiwszy na program *Great Model Railways of the British Iks* na kanale BBC2, zorientował się, że pilot przestał działać i już utknąłem tu po wsze czasy. Oczywiście z wyjątkiem dni, kiedy Joan przełącza mnie na *Points of View*. Dochodzę do wniosku, że Tom i Joan wcale nie są parą. Nie tak jak Mel i ja. A przynajmniej nie tak, jak byliśmy.

Wydaje się, że swobodniej się czują, kiedy są osobno. Tom przestaje być taki poważny. Kiedy jest sam, w jakiś sposób rozprasza się ta rezygnacja, którą nosi w sobie, gdy w pobliżu jest Joan. Niemal można dostrzec w jego oku błysk nadziei. Choć może to tylko światło tak mu się odbija w okularach.

- Malcolm z Gainsborough zaliczył wszystkie te słynne trasy kolejowe, wiesz. Orient Express, Kolej Transsyberyjska, Rocky Mountaineer w Kanadzie, a nawet Blue Train w RPA. Widziałem slajdy. Chociaż to nie to samo, co pojechać. Te dźwięki, zapachy, wiatr we włosach... - Głos Toma się urywa. Na twarzy znów pojawia się wyraz rezygnacji.

- Nie chodzi o to, że nie podobała mi się podróż z Settle do Carlisle.

Była wspaniała. Ale jak już nabierzesz na coś apetytu, cóż, w pewien sposób potem jest trudniej. To znaczy przestać. Wiesz, miałem tyle planów. Tyle marzeń, byłem pełen nadziei. Ale jakoś się z nimi rozminąłem. Kiedy młodzi ludzie rozmawiają o latach sześćdziesiątych, uznają, że wystarczyło wtedy żyć, żeby się załapać.

A tak oczywiście nie było. Jeśli nie studiowałeś - a synowie pracowników młyna nie szli na uniwersytet - i jeśli nie mieszkałeś w dużym mieście, takim jak Londyn czy Liverpool, to cóż, właśnie jakoś się z tym wszystkim mijales. Całe to gadanie o wyspie Wight, o narkotykach i wyzwolonych kobietach. W Mytholmroyd było inaczej.

Trochę sobie pomacałem Doreen z So-

werby Bridge, to jedyne, co mi się trafiło. Doreen to była dzika kotka.

Na pierwszej randce chciała pójść na całość. Wydaje mi się, że mój morris minor nigdy w pełni nie doszedł do siebie po tym, co wtedy wyrabialiśmy na tylnym siedzeniu. No, ja z pewnością nie. Ale wystraszyła mnie porządnie i na dobre. A w następną sobotę, wiesz, poznałem Joan. Była zupełnie inna. I też, wiesz, piękna. Dużo ładniejsza niż Doreen. Tylko nie zdawała sobie z tego sprawy. Pewnie to mi się w niej spodobało, że z niej taki piękny, niezbadany teren.

Doreen wprost emanowała tym, że jest publicznie dostępna. A twoja teściowa miała w sobie tę uroczą niewinność. I na początku wszystko było dobrze, założyliśmy rodzinę i mieliśmy naszą małą stabilizację.

Piąłem się w górę w dziale planowania. Nadal byłem przekonany, że będziemy mieli okazję zrobić to wszystko, co chciałem robić.

Myślałem, że tylko musimy poczekać, zaoszczędzić trochę pieniędzy.

A potem oczywiście pojawił się Martin. I straciłem Joan. Straciłem ją całkowicie. Zamiast żony, miałem mamę Martina. Ale musisz zrozumieć, że nie byłem zazdrosny ani zgorzkniały. Po prostu smutny.

Smutny, że tak prędko ją straciłem. Wiesz, ona wszystko przelała na Martina. Wszystkie swoje nadzieje i marzenia ulokowała w nim.

Próbowałem jej wytłumaczyć, próbowałem ją ostrzec, że któregoś dnia on dorośnie i będzie chciał żyć swoim życiem. Oczywiście mnie nie słuchała. Albo może i słuchała, ale nie chciała usłyszeć. W każdym razie, kiedy się wyprowadził, nie wyszło jej to na dobre. Nie dało rady jej pocieszyć. Wyładowywała się na mnie. A weź pod uwagę, że ja też za nim tęskniłem.

Ale przynajmniej miałem Mel. Wiesz, ona zawsze była moja. Córeczka tatusia.

Czuję potrzebę, żeby odwrócić wzrok, żeby Tom mógł się opanować.

Albo przynajmniej dać mu jakiś sygnał, że słyszę, co mówi. Ale nic nie mogę zrobić. Mogę jedynie słuchać.

- Wiesz, kiedyś ci zazdrościłem - mówi Tom. - Czułem słuszną zazdrość o Mel, którą mi zabrałeś. Zająłeś moje miejsce w jej sercu.

Nie, żeby cię nie lubił. Zawsze byłeś dla niej dobry, nie uszło to mojej uwagi. Nie, to było po prostu tak, że byłem zazdrosny o to, w jaki sposób jesteście razem. Bo Joan i ja nigdy nie doświadczyliśmy czegoś takiego jak ty i Mel. Nigdy nie byliśmy ze sobą tak blisko. Bratnie dusze, jak to teraz mówią, prawda? Cóż, jak zwał, tak zwał, nigdy tego nie przeżyliśmy. A teraz spójrz na siebie, tak mi przykro, wiesz? Źle się z tym czuję, że byłem o ciebie zazdrosny. I tak podle, że nie mogę pomóc Mel przez to przejść. Widzisz, brakuje mi słów. Nie jestem w tym dobry. W sumie na nic jej ktoś taki jak ja. Ona potrzebuje ciebie.

Zawsze potrzebowała i zawsze będzie potrzebować.

Znów milknie. Jestem ciekaw, czy czuje, że wyciągam do niego rękę, żeby uścisnąć mu dłoń. Czy czuje chociaż jej ciepło.

- Adam, patrzę na swoje życie - mówi dalej. - Z żoną, której tak naprawdę nie znam, która oddaliła się ode mnie. I nie widzę przed sobą nic. Na nic nie czekam, jedynie na to, że Maya będzie dorastać. I wiem, że nie powinienem czuć się źle i nie powinienem sobie współczuć, zważywszy na to, że ty tak tu leżysz i Mel wychodzi z siebie, zamartwiając się o ciebie, ale wiesz co, bardzo mi ciężko. Bardzo ciężko nie żałować, że nie dostałem czegoś więcej. Czegoś takiego, co ty miałeś z Mel. - Wzdycha i kręci głową. - Przepraszam, to znaczy masz. Ale ze mnie dureń, co? Stary dureń, który powinien się zamknąć i wrócić do zabawy modelami pociągów.

*

Planowałem to całe wieki. Pytanie nigdy nie brzmiało „czy”, ale „kiedy”. A jak tylko wylądowaliśmy w roku 1999, to już było nie „kiedy”, ale „jak” i „gdzie”? Mel gadała

o sylwestrze milenijnym, odkąd pamiętam. Jeszcze jak byliśmy nastolatkami, zastanawiała się, gdzie wówczas się znajdziemy i co będziemy robić. Wątpliwości nie było jedynie co do tego, że będziemy razem. Ale nigdy nie mogła się tak do końca zdecydować, czy będą to nabrzeża w

Sydney, góry w Lake District albo może Times Square w Nowym Jorku. Chciałbym móc powiedzieć, że wybrałem Lake District, ponieważ wiedziałem, że tam jej się najbardziej spodoba, ale prawda była inna. Tego roku nasz dom okazał się studnią bez dna, a Mel wciąż jeszcze robiła studia podyplomowe z zakresu szkolnictwa wyższego, więc żyliśmy tylko z jednej pensji i Lake District wybrał się w zasadzie sam. Chociaż postarałem się o coś lepszego niż schronisko młodzieżowe. „Llancrigg”, niewielki pensjonat w Grasmere, z widokiem na dolinę Easdale. Udało mi się nawet załatwić pokój z łóżem z baldachimem. Zapakowałem folder i wręczyłem jej na Gwiazdkę, choć żeby się do niego dostać, musiała najpierw otworzyć pół tuzina pudełek. Wtedy już oczywiście wiedziała, że zabieram ją gdzieś na milenijnego sylwestra. Ugiąłem się pod naporem pytań i powiedziałem jej wcześniej, że nie musi się martwić, bo wszystko przygotowałem. I chyba domyśliła się, że paszport nie będzie potrzebny, bo nie wyglądała na rozczarowaną, kiedy odpakowała folder. Wiedziałbym, gdyby była, ponieważ ukrywanie czegoś przed mną zawsze kiepsko jej wychodziło.

- Dziękuję. - Zarzuciła mi ramiona na szyję, a potem skakała po łóżku, jakby była dużym dzieckiem.

- Mamy wykupione trzy noclegi, jest tam łożo z baldachimem, kolacja z pięciu dań w sylwestra, a o północy pokaz N/tlicznych ogni na trawniku przed wejściem. Pasuje ci?

- Idealnie. Wszystko będzie idealnie. Powiedziała to z taką pewnością, że w to uwierzyłem.

Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak się ekscytował kąpielą jak Mel, kiedy zaprowadzono nas do pokoju. Wanna była z białej emalii, wolno stojąca na podeście, ze wszystkich czterech stron otoczona firankami.

Jak tylko ją zobaczyła, złapała mnie za ramię i głośno westchnęła, naprawdę westchnęła z zachwytem.

- To wanna z baldachimem - wyszeptała. - Wykąpię się w wannie z baldachimem.

Okazało się, że wzięła ze sobą świece zapachowe. Tylko kobieta mogła to zrobić. Nie jestem nawet pewien, czy miałem świadomość, że coś takiego istnieje. Myślałem, że dobrze się sprawiłem, bo zapakowałem dezodorant, a co tam dopiero świece zapachowe. W

każdym razie właśnie tak ją zastałem w milenijnego sylwestra, kiedy wyszedłem spod prysznicy. Cień sylwetki, rzucany przez światło świec na

firanki, jej długie włosy upięte na czubku głowy, lśniące nagie ramiona i jeden palec u nogi wystający z wody po drugiej stronie. Przez chwilę żałowałem, że nie spakowałem do walizki jednego z fotoreporterów z pracy, żeby mógł uwiecznić tę chwilę. Potem zdałem sobie sprawę, że to wcale nie byłoby jak zabranie świeczek. Szczerze powiedziawszy, to by było głupie i obleśne. Więc tylko stałem tam i patrzyłem. Obserwowałem kobietę, którą kocham. Kobietę, której niedługo się oświadczę. W tym momencie nie miałem wątpliwości, nawet cienia wątpliwości, że postępuję właściwie. Oczywiście nikomu o tym nie powiedziałem. To znaczy nikomu oprócz Steve'a, a on się nie liczy, bo wiedziałem, jak zareaguje. Powiedział, że zwariowałem. Że jestem dużo za młody na małżeństwo, no że kurwa mam dopiero dwadzieścia trzy lata i w tym tempie będzie mi musiał dać na Gwiazdkę bamboszki.

- Możesz do mnie dołączyć, jeśli masz ochotę. Zdałem sobie sprawę, że Mel zerka na mnie. Uśmiechnąłem się do niej.

- Za bardzo wyglądasz na zrelaksowaną, żebym miał ci przeszkadzać. Poza tym wiesz, że nie znoszę wanny.

- To po prostu chodź i popatrz na mnie.

Udałem, że przedzieram się przez firankę wyimaginowanym mieczem.

- Nie przypominam sobie, żeby Księżę z Bajki chodził w szlafroku. -
Też się uśmiechnęła.

- A ja nie przypominam sobie, żeby Śpiąca Królowna używała świec zapachowych.

Pocałowałem ją w czubek głowy i ukląknąłem przy wannie. Pewnie mogłem to zrobić wtedy, choć musiałbym pobiec na chwilę do walizki, żeby wziąć pierścionek. Ale oświadczenie się nagiej kobiecie w kąpielni nie wydawało mi się szarmanckie. Nie miała gdzie się ukryć, dokąd uciec. Choć ani przez chwilę nie zakładałem, że taka byłaby jej reakcja.

- Ile jeszcze do kolacji?

- Chyba jakieś dwadzieścia minut.

- Dobrze, to daj mi jeszcze z pięć.

Pochyliłem się i pocałowałem ją w ramię. Przy okazji zdmuchnąłem pianę z jej piersi.

- Ej, nie zaczynaj. Nie chcę się spóźnić. Zgarnąłem ręką trochę piany i nałożyłem jej na nos.

- Czemu? Coś ważnego ma się wydarzyć?

Staliśmy na zewnątrz, na trawniku. Mel dygotała z zimna w sukni bez rękawów, z narzuconą lekką kurtką. Niebo zamówiono specjalnie u boga idealnego nieba. Każda z gwiazd była perfekcyjnie wycięta z ciemności. Nie było lamp ulicznych ani samochodów. Panowała idealna cisza. Ktoś wyniósł na zewnątrz radio, żebyśmy słyszeli Big Bena. Gdy zaczęło się odliczanie, oplótłem Mel ramionami. Nie miałem pojęcia, czy spodziewała się, że zrobię to w tym

momencie, ale jeśli tak, to musiała się rozczarować. Co drugi koleś oświadczał się o północy. Podejrzewam, że gdybym się odwrócił, zobaczyłbym co najmniej trzech delikwentów sięgających do kieszeni marynarki, żeby wyciągnąć pierścione. Nie, będzie musiała poczekać.

Chcę wszystko zrobić jak należy. Gdy wybiła północ, pocałowałem Mel. Rozległy się wiwaty (z okazji nowego tysiąclecia, nie pocałunku), a zaraz potem zaczęły się sztuczne ognie. Nagrodziliśmy je standardowymi ochami i achami. Mel trzymała w ręku kieliszek, ale nie mogła się napić, bo cały czas się uśmiechała. Nie były to ani Nowy Jork, ani nabrzeże w Sydney, ale dla nas w sam raz.

Dopiero potem, kiedy odwróciliśmy się, żeby wrócić do hotelu, zdaliśmy sobie sprawę, że zgasły wszystkie światła.

- O kurczę! - ktoś zakrzyknął. - To pewnie przez ten problem roku dwutysięcznego.

- W porządku - powiedziałem. - Nic się nie bójcie. Moja dziewczyna ma świeczki zapachowe.

Rano zajęło mi dużo czasu, nim dobudziłem Mel. Choć trzeba przyznać, że spała tylko cztery godziny i nie spodziewała się pobudki tak wcześnie.

- Która godzina? - spytała, kiedy w końcu otworzyła oczy.

- Piąta.

Jęknęła i przewróciła się na bok.

- Czas wstawać - powiedziałem.

- Chyba żartujesz.

- Nie. Dlatego już się ubrałem.

Mel obróciła się do mnie. Na jej twarzy malowało się całkowite niezrozumienie.

- Adam, dlaczego się ubrałeś?

- Idziemy na spacer przed śniadaniem.

- O piątej rano?

- Tak.

- To jakiś żart?

- Nie. Raz jeden jestem poważny. Idziemy zobaczyć pierwszy wschód słońca nowego tysiąclecia.

Mel usiadła na łóżku.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Już nas spakowałem. Tylko musisz się ubrać.

Uśmiechnęła się do mnie i kilka sekund później wygramoliła się z łóżka.

Pieczołowicie wybrałem miejsce. Upewniłem się, że podejście jest niezbyt strome, mało uciążliwe i z dala od utartych szlaków. Chciałem, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Poranni włóczykije nie byli mile widziani. Staliśmy razem na krawędzi grzbietu, gdy poranek z wolna kręcił pokrętem jasności.

- Myślisz, że to problem roku dwutysięcznego?

W hotelu wciąż nie było prądu. W zasięgu wzroku nie mieliśmy innego budynku ani źródła światła, żeby sprawdzić, czy to tylko my, czy też może cały świat pogrążył się w ciemnościach.

- Wiesz co - powiedziałem. - Tak naprawdę nie obchodzi mnie to.

Chętnie zostanę tu na dobre.

- Ale pamiętaj, to trochę kosztuje. Pewnie za trzy noce zapłaciłeś tyle, ile zarabiasz w tydzień.

- W dwa tygodnie.

Mel zrobiła przerażoną minę.

- W porządku - kontynuowałem. - Nadal stać nas na rachunki.

Oszczędzałem na to, od kiedy zacząłem pracować.

- Adamie Taylorze, jesteś dla mnie za dobry.

- Mam całe nowe tysiąc lat, żeby ci o tym przypominać. Mel uśmiechnęła się dokładnie w tym momencie, kiedy wzeszło słońce. Ściągnąłem jej lewą rękawiczkę i sięgnąłem do kieszeni.

- Hej, jest zimno - powiedziała.

- Przepraszam, ale nie wejdzie na rękawiczkę. Otworzyłem dłoń, w której leżał pierścionek. Wydał mi

się tak maleńki i niepozorny. Wąski pasek złota. Tylko jeden malutki diament. Powiedziałem pani w sklepie jubilerskim, że chcę coś prostego i eleganckiego. I teraz trochę żałowałem, że nie poprosiłem o coś pretensjonalnego i ostentacyjnego.

Mel spojrzała na mnie. Wyglądała na w pełni rozbudzoną. Jej oczy były szeroko otwarte i błyszczące.

- Jest idealny. To wszystko jest idealne.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz?

- Przepraszam. Tak, oczywiście. A właściwie to mnie spytałeś?

- Nie sądziłem, że muszę.

- Nie. - Uśmiechnęła się. - Nie musisz.

- Uff, czyli w porządku. Możemy teraz wrócić na śniadanie? To znaczy, jeśli cokolwiek przygotowali.

Mel cały czas się uśmiechała. Oddałem jej rękawiczkę. Pokręciła głową.

- Nie, dziękuję. W drodze powrotnej będę go pokazywać owcom.

ROZDZIAŁ 2 1

Mel

Przedzieram się przez chmary nastolatków, którzy bez celu snują się po korytarzu. Nie mogę przestać myśleć, że jestem w niewłaściwym miejscu, że tak naprawdę to sama wróciłam do szkoły. W college'u wszyscy wyglądają tak młodo i zdają sobie sprawę, że nawet myślenie w taki sposób robi ze mnie starszą panią. Na uniwersytecie była przynajmniej całkiem spora garstka dorosłych studentów, a dziewiętnastolatka dzielą od szesnastolatka lata świetlne. Jednak to właśnie szesnastolatków uczę, więc muszę spróbować reaktywować w sobie szesnastolatkę, przypomnieć, co myślałam i czułam w tym wieku, żebym mogła nawiązać z nimi kontakt. I spróbować zepchnąć w tył głowy świadomość, że mogłabym być ich matką. Nie chcę zapędzać się w te rejony. W ogóle nie chcę o tym myśleć.

Otwieram drzwi i teraz już naprawdę czuję się, jakbym wróciła do szkoły. Rzędy ławek i odrapanych drewnianych krzesel, a na ścianach plakaty i ogłoszenia na temat bezpieczeństwa i higieny. Jedynie biała tablica świadczy o tym, że nie cofnęłam się w czasie. Jestem nauczycielką. Czyli osobą, która powinna wiedzieć, co robić.

Do klasy wchodzi pierwsza grupka dziewcząt. Na te zajęcia nie zapisał się ani jeden chłopak. I podejrzewam, że będą się schodzić właśnie tak - grupkami. Znam ich imiona, ponieważ mam listę. Emma, Amy i Cara. Rebecca, Charlotte i Haleema. Nie jestem jeszcze pewna, czy przypisałam je do właściwych grupek, ale wkrótce się okaże.

Przedstawiam się z uśmiechem na twarzy, proszę, żeby usiadły, jeśli chcą, wzięły coś do picia z automatu. To sprawia, że się ożywiają.

Ponieważ dla nich najważniejszy w college'u jest fakt, że to nie szkoła.

Z nauczycielami jest się po imieniu, stoi automat z napojami, nie trzeba nosić mundurków. Czują się dojrzałe, wyzwolone, jak gdyby wreszcie wkroczyły w świat dorosłych.

Czekam, aż wszystkie pojawią się w klasie i usiądą na miejscach.

Następnie przedstawiam się oficjalnie, mówię, jaki jest zakres kursu i jego cele, opowiadam, co będą wiedziały po jego zakończeniu. Widzę otwarte, świeże, pełne zapału twarze. Ale też niepewne, znudzone i przesadnie umalowane. Jednak przede wszystkim widzę młode twarze.

- Więc teraz chciałabym dać wam okazję, żebyście się poznały nawzajem, i żebym ja mogła poznać was. Wasze imiona są zapisane na karteczkach w tym pudełku. Chciałabym, żebyście wylosowały jedno, poszły usiąść obok tej osoby, a po dziesięciu minutach żebyście obie znały odpowiedź partnerki na te trzy pytania. Dlaczego zapisała się na te zajęcia, jakie jest jej najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa i kogo najbardziej podziwia.

Dziewczynki wyglądają teraz dla odmiany na przerażone i zdezorientowane. Jeśli chodzi o przełamywanie lodów, to ćwiczenie jest jednym z ciekawszych. Dzięki niemu zaczynają rozmawiać. Mówi nam coś ważnego, a jednocześnie nie sprawia, że czują się sprawdzane.

Na pierwszy ogień idzie wysoka dziewczyna w obcisłych dżinsach, z długimi, rozjaśnionymi włosami.

- Gemma - czyta na głos.

Inna dziewczyna podnosi rękę. Przez chwilę panuje niezręczna cisza.

Wysoka powoli podchodzi do wywołanej.

- Przedstawcie się sobie - mówię, gdy kolejna ręka losuje imię.

Robi się głośno, dziewczynki dobierają się w pary, przechodzą przez jeszcze nieporadne przedstawianie i zaczynają ze sobą rozmawiać.

Komunikować się z sobą.

- Dobrze. - Dziesięć minut później cieszę się, że muszę podnieść głos, by przebić się przez hałas rozmów. - Posłuchajmy odpowiedzi.

Chciałabym, żeby każda z was przedstawiła koleżankę i powiedziała o niej te trzy rzeczy.

Hałas cichnie natychmiast. Dziewczynki znów są zakłopotane. Ale nie aż tak bardzo, jak na początku.

- Gemma i Jess, zaczynacie.

- To jest Gemma. - Jess gestykuje niczym stewardesa. -Zapisała się na te zajęcia, ponieważ chce pracować z dziećmi albo ze zwierzętami, ale na weterynarza trzeba się bardzo długo uczyć. Jej najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa (o jak pije colę, a bąbelki uchodzą jej nosem, a osoba, którą najbardziej podziwia, to Lady Gaga.

Pozostałe dziewczyny wydają pomruk aprobaty. Nie zamierzam im mówić, co właśnie przeleciało mi przez głowę. Ponieważ jestem teraz tutaj i muszę postarać się, żeby wypadło to jak najlepiej. Teraz kolej Gemmy, by przedstawiła koleżankę.

- To jest Jess - mówi ze wzrokiem wbitym w ławkę, nie wykonując żadnych gestów. - Zapisała się na zajęcia, bo na fryzjerstwie nie było już miejsc. Najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa to jak jakiś chłopak próbował udusić ją pod materacem w przedszkolu, a osoba, którą najbardziej podziwia, to Cheryl Cole.

Tym razem pomruk aprobaty jest głośniejszy. Uśmiecham się i dziękuję im. I bardzo się staram nie myśleć, o czym będą dyskutować magistranci na Bradford University.

Dzieci innych rodziców pod koniec dnia wychodzą ze szkoły równie czyściutkie, jak przyszły rano. Maya wylatuje z drzwi wejściowych z rozwianymi włosami (gdzieś w budynku musi być ukryty stos jej „zagubionych” frotek), skarpetki osunęły się do kostek, sweterek jest źle zapięty, a ona sama w ogólnym nieładzie.

- Mamusiu! - krzyczy, w okamgnieniu odpalając we mnie poczucie miłości równie wielkie jak poczucie winy, że nie tak często, jakbym chciała, przychodzę popatrzeć, jak wybiega ze szkoły.

- Witaj, piękna - mówię, zagarniając ją w ramiona.

- Na WF-ie robiliśmy fikołki, pani Hinchcliffe dała mi nalepkę, bo pamiętałam swój numer, a Jake pociągnął mnie za włosy, więc nie zaproszę go na urodziny.

Kiwam głową, postanawiając, że nie będę aż tak surowa w kwestii zadośćuczynienia.

- Może poczekajmy z tym. Do twoich urodzin jeszcze sporo czasu i Jake może oduczy się tak postępować.

Maya robi minę, która oznacza, że Jake nie zostanie zaproszony ani na nadchodzące urodziny, ani na żadne następne.

Dziś zamierzam jej powiedzieć. Postanowiłam. Miałam tak zniechęcające przedpołudnie w college'u, że muszę się jakoś pokrzepić. Czy coś w tym złego? Pewnie tak. Ale i tak już nie dałabym rady dużo dłużej utrzymywać przed nią tajemnicy. Zostanie dostarczone nowe łóżko, zainstalowana aparatura. Urzędniczka w szpitalu ma nadzieję, że do końca miesiąca wszystko uda się załatwić.

A jak już Maya się dowie, nie będzie odwrotu. I zrozumieją to wszyscy, którzy próbowali namówić mnie do zmiany zdania. Korci mnie, żeby powiedzieć jej od razu, ale chcę poczekać, aż wrócimy do domu. Tam będziemy same i wszystko dokładnie jej wytłumaczę.

Zaledwie po tygodniu Maya radzi sobie ze szkolnymi schodami jak stary wyga. Nie chce, żebym jej pomagała. Przechodzimy przez ulicę, a Maya cały czas nawija. W dolinie panuje już kiepska końcówka lata.

Bujna zieleń zdaje się blednąć. Tu i ówdzie liście przybierają wyraźnie żółtawy odcień. Nie minie wiele czasu, a wzgórze pomaże znajoma paleta jesieni. A ja tak bardzo się cieszę, że Adam wróci do domu i będzie mógł oglądać taką dolinę, jaką lubi. Jednocześnie nie przestaje mnie boleć, że będzie jedynie widzem, nie stanie się już uczestnikiem krajobrazu.

Maya zrzuca z nóg szkolne buty i biegnie do kuchni, żeby zobaczyć Roddy'ego i Ritę. O tej porze na ogół wciąż jeszcze działa na wysokich obrotach. W widoczny sposób oklapnie w okolicach szesnastej. Długi szkolny dzień jest szokiem dla jej systemu. Ale dziś nie będzie przysypiać. Nie, kiedy jej powiem.

- Evie z mojej klasy mówi, że szczury są brudne i żyją w kanałach.

- Niektóre tak, ale nie nasze. Roddy i Rita to zwierzątka domowe, więc są inne. Są czystsze, niż ty jesteś przez większość czasu.

Maya chichocze, kiedy łaskoczę ją pod paszkami. Teraz. Teraz jest właściwy moment.

- Kochanie, mam dla ciebie niespodziankę.

- Roddy i Rita będą mieli małe szcurki?

- Nie. - Uśmiecham się, postanawiając odłożyć na inny dzień rozmowę o tym, że dwaj szcurzy chłopcy nie mogą mieć dzieci. - Coś dużo lepszego. Tatuś niedługo wróci do domu.

Pisk, jaki wydobywa się z jej gardła, wystarczyłby, żeby Roddy i Rita czmychnęli do najbliższego kanału.

- Naprawdę? - pyta, zarzucając mi ręce na szyję. - Naprawdę wraca do domu?

- Tak, kochanie. Wraca. To potrwa jeszcze ponad dwa tygodnie, ale pod koniec miesiąca powinien być w domu.

- Będzie się czuł lepiej?

- Nie, kochanie. Nie będzie się czuł lepiej. Tatuś będzie dokładanie w tym samym stanie, ale będziemy się nim opiekować w domu.

- Ale jak tu przyjdzie? Nie może się ruszać.

- Przywiezie go karetka. Będzie na specjalnych noszach.

- I gdzie go położymy?

Staram się ukryć poirytowanie, że mówi o nim, jakby był nowym meblem.

- Będziemy mieć dla niego specjalne łóżko w salonie.

- Ochhh. Chcę, żeby był w kuchni, razem z Roddym i Ritą.

- Kochanie, tam nie ma miejsca. Będzie mu dobrze w salonie.

- Będzie mógł oglądać ze mną *CBeebies*.

- Tak.

- Ale ciągle nie będzie mógł czytać mi historyjek przed zaśnięciem?

- Nie, kochanie. Ale będzie mógł razem z tobą ich słuchać. I będziesz mogła rozmawiać z nim, ile tylko będziesz chciała. On tak lubi, kiedy do niego mówisz.

Maya unosi głowę i posyła mi podejrzliwe spojrzenie.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ wiem, jak bardzo cię kocha.

Maya uśmiecha się i przytula mnie. Przytula mnie długo. Niemal słyszę trybiki w jej głowie, które się kręcą, gdy rozważa wszelkie konsekwencje.

- Gdzie ty będziesz spała?

- Na dole, na kanapie obok Tatusia w piątki i soboty. W inne dni będą przychodzili różni ludzie, żeby siedzieć przy Tatusiu w nocy, więc wtedy będę normalnie spała w sypialni.

- Jacy ludzie? Znam ich?

- Nie, kochanie. Ludzie z organizacji dobroczynnej. Są wolontariuszami, którzy opiekują się osobami takimi jak Tatuś.

- Ale czemu muszą przychodzić? Ja się nim będę opiekowała.

Uśmiecham się do Mayi.

- Wiem, kochanie, ale w nocy musimy spać, bo inaczej będziemy zbyt

zmęczone.

- A ty będziesz zmęczona?

- Może troszeczkę, po nocach, kiedy będę siedziała z Tatusiem.

- Czemu nie możesz położyć się spać?

- Ktoś musi pilnować, żeby wszystko było w porządku. Tak jak pielęgniarki, które robią to teraz w szpitalu.

- Mogę być jego pielęgniarką na jedną noc?

- Kochanie, możesz być jego pielęgniarką w ciągu dnia. Opowiadać mu historyjki i rozśmieszać go. To mu się spodoba.

- Jak poczuje się lepiej, wróci z powrotem do sypialni? Hęde się mogła wśliznąć między was jak kiedyś?

Głaszczę włosy Mayi. Uwielbiam to, że ona wciąż wierzy. I w tej chwili nie chcę jej tej wiary odbierać.

- Oczywiście, że będziesz mogła. To będzie bardzo miłe. Nie mogę się doczekać.

Kiwa głową i odsuwa się, zaglądając do klatki szczurów.

- Mama, patrz. Roddy znowu robi kupkę.

Następnego dnia stoję przy łóżku Adama. Parawan otacza nas ze wszystkich stron. Jest ze mną jedna z pielęgniarek. Ma na imię Michelle. Myślę, że to ulubienica Adama. Jest bardzo miła, dawała mi rady, jak unikać odleżyn i otarć. Tym razem sprawa wygląda inaczej.

Chodzi o coś naprawdę ważnego. Dwie rzeczy, których jak dotąd nie byłam w stanie zrobić. Ani nawet patrzeć, jak ktoś je robi. Ale teraz, jeśli mam się nim zajmować w domu, muszę się tego nauczyć.

- Dobrze, jest pani gotowa? - pyta Michelle.

Kiwam głową. Bardziej gotowa już nie będę. Michelle ma obok siebie urządzenie odsysające do tracheostomii Adama.

- Jest przenośne, taki sam model, jaki dadzą pani do domu. Najpierw musi pani sobie wszystko przygotować, żeby mieć pod ręką: sól fizjologiczną, rękawiczki jednorazowe, wszystkie drobiazgi, a potem podaje mu pani tlen.

Obraca się w stronę Adama.

- Panie Adamie, teraz zaczniemy. Proszę się nie martwić, pana żona tylko się przygląda. Jeszcze jej na pana nie napszczę.

Michelle odwraca się do mnie.

- Dobrze, następny etap to odsłonięcie otworu tracheostomii.

Spoglądając, wbijam sobie paznokcie w dłoń. Jakkolwiek by to nazywali, to po prostu dziura w szyi i skóra mi cierpi na samą myśl o tym.

- Teraz trzeba wprowadzić cewnik zasysający dziesięć do dwunastu centymetrów i włączyć zasysanie, gdy będzie go pani wyciągać, ale uwaga, nie dłużej niż dziesięć sekund.

Postanawiam nie zapytać, co się stanie, jeśli będę to robić dłużej niż dziesięć sekund.

- Następnie pozwala mu pani odpocząć przez pół minuty i powtarza pani wszystko od początku.

Kiwam głową, a ona pokazuje mi wydzieliny, które zostały usunięte.

Zabieg trzeba powtarzać dwa razy dziennie, żeby gardło i płuca Adama były czyste. Już niedługo to ja będę się tym zajmować. Dwa razy dziennie przez... Cóż, tak długo, jak będzie tego potrzebował.

Obserwuję, jak Michelle powtarza wszystko i staram się zapamiętać każdy krok. Powstrzymuję odruch wymiotny, kiedy wyciera go i uszczelnia otwór świeżą gąbką. Po zakończeniu całej operacji sprząta wszystko i idzie umyć ręce.

- Czy to cię nie boli? - pytam Adama. - Mówią mi, że nie, cóż, z pewnością bym tego nie chciała. Będę się starała robić to naprawdę delikatnie, obiecuję.

Wraca Michelle.

- Na pewno chce pani kontynuować? - pyta. Przytakuję i zwracam się do Adama.

- Kochanie, mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że patrzę. Ale, widzisz, muszę się nauczyć. I już teraz cię ostrzegam, że Maya chce patrzeć, jak będę to robić, kiedy wrócisz do domu. Jej obsesja związana z kupą nie minęła.

Michelle delikatnie obraca Adama na bok, tak że nie patrzy on w naszym kierunku. Opuszcza mu dół piżamy i robi swoje. To tak naprawdę całkiem proste. Choć zdecydowanie nie ogląda się tego z przyjemnością.

- I to wszystko - mówi Michelle. - Teraz już pani wie, jak ręcznie opróżnić jelito.

Kiwam głową. Choć nie sądzę, żebym miała umieścić to w swoim CV

- Dobranoc, panie Adamie - żegna się Michelle. - Zostawiam pana z pańską uroczą żoną. Jest pan w dobrych lękach.

Dziękuję jej uśmiechem.

- Cóż. - Siadam obok Adama. - Zawsze powtarzałeś, że nie chcesz,

byśmy mieli przed sobą jakieś tajemnice.

Ściskam jego dłoń, mając nadzieję, że jest jakoś w stanie dojrzeć zabawną stronę tej sytuacji.

Nie zostaję długo. Kiedy wychodziłam z domu, Maya nadal była nakręcona powrotem Adama, wołam więc wrócić, na wypadek, gdyby dawała się rodzicom we znaki. Jestem już niemal na końcu korytarza, kiedy widzę zmierzającego w moją stronę Steve'a.

- Cześć - mówię. - Nie widziałam, że to twoja nocka.

- Bo nie jest - odpowiada. - Pracowałem do późna i po prostu pomyślałem, że wpadnę po drodze do domu. Wszystko w porządku?

Jesteś jakaś blada.

- Uczyłam się, jak oczyszczać tracheostomię i, hmm, innych rzeczy, o których wolałbyś nie słyszeć.

- Musiało być ci ciężko.

- Było. Ale pewnie lepiej się przyzwyczaić. Przez chwilę żadne z nas nic nie mówi.

- Posłuchaj, to, co powiedziałem... Nie próbowałem do ciebie startować. Po prostu martwię się o ciebie. Za dużo na siebie bierzesz.

- W porządku. Dam radę. W domu Adam będzie szczęśliwszy. A Maya jest bardzo podekscytowana.

Steve kiwa powoli głową.

- Więc jej powiedziałaś.

- Tak, dziś po południu. Ledwo była w stanie się opanować.

- Pamiętaj, że jeśli to się okaże ponad twoje siły, zawsze możesz zmienić zdanie. Nikt nie będzie cię za to oceniał.

- Tak jak powiedziałam, dam radę. Znów cisza.

- Nadal uważasz, że źle postępuję, prawda?

- Tak. Ale wiem, że nie zmienisz zdania, skoro powiedziałaś już Adamowi i Mayi. Więc chyba jedyne, co mogę zrobić, to pomagać ci najlepiej, jak potrafię.

- Dziękuję.

Steve patrzy mi prosto w oczy. Jego spojrzenie jest mroczne i intensywne.

- Mel, straszny z niego szczęściarz, że cię ma.

Czuję na swojej twarzy jego oczy. Jestem zaskoczona, że się rumienię.

Idiotyczne. To przecież Steve. Najlepszy przyjaciel mojego męża. Po prostu mówi. Stara się być miły.

- Nie. To ja jestem szczęściarą, że mam jego. Uśmiecham się. Słaby, niepewny uśmiech. Szybko odchodzę korytarzem.

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 22

Piątek, 24 września 2010

Pierwszą rzeczą, jaką widzę, kiedy wyciągają mnie z karetki, są kolory: żółty, każdy jego odcień, mnóstwo żółtego, pomarańczowy i dziwny blask czerwieni. To moja dolina, moje wzgórza. Żyją.

Oddychają. I po raz pierwszy od wieków ja też czuję, że żyję. Sterylne, pozbawione kolorów wnętrza szpitala zostają opatrzone etykietką „przeszłość” i umieszczone w jednej z szuflad mojego umysłu.

Tak wiele razy myślałem, że już nigdy więcej nie zobaczę domu, nie ujrzę tego wspaniałego tła i uśmiechniętych twarzy Mel i Mayi tutaj, gdzie ich miejsce.

- Już jest. Tatuś jest w domu. - Głos Mayi wysyła fale emocji, które rozbijają się o mur więzienia mego ciała. Przez moment wydaje mi się, że to załatwi sprawę. Że powalą go i przenikną do wnętrza. Jednak nikt nie reaguje. Na zewnątrz ewidentnie nic się nie dzieje. Joan, Tom i Louise stoją na schodkach przed wejściem i uśmiechają się do mnie niezręcznie. Przed nimi skacze Maya.

- Kochanie, ale zrób Tatusiowi trochę miejsca - mówi Mel, która jechała ze mną karetką. - Pozwól bezpiecznie wnieść go do środka.

- Chcę, żeby zobaczył transparent - upiera się Maya. - Niech zobaczy mój transparent.

Mel prosi mężczyzn z karetki, żeby na chwilę się zatrzymali i trochę mnie obrócili. Widzę transparent, namalowany fioletową farbą na czymś, co podejrzanie przypomina poszewkę poduszki. „Tatusiu, witaj w domu”. Jestem prze-szczęśliwy że go zrobiła, i wściekły, że nie mogę jej podziękować.

Podnoszą mnie ponownie i idziemy w stronę domu. Widok podskakuje mi z każdym krokiem. To tak, jakby oglądać źle zmontowany amatorski film z mojego powrotu do domu. Mel wyprzedza nas i otwiera szeroko drzwi.

Kiedy kupowaliśmy dom, nie pomyślałem, że bardzo przyda się to ogromne wejście, jeśli kiedyś będę tu przywieziony w stanie wegetatywnym. Wnoszą mnie przez próg, tak jak kiedyś ja wniosłem Mel. Wprawdzie nie na noszach, ale wiecie, o co mi chodzi. Teraz mogę już tylko dać się nosić. Ale jestem w domu. Tu, gdzie chcę być. I dziś jestem szczęśliwy.

Dużo się dzieje, kiedy kładą mnie na łóżku, jest sporo zamieszania i poprawiania. Większość zamieszania robi Joan. Dopiero kiedy jestem już na dobre ułożony w miejscu, które najwyraźniej będzie „moje”, zauważam kolor ścian. Magnolia. Cholerna magnolia - choć może to jakaś wariacja na temat tego odcienia. Kiedyś mieliśmy tu ściany w kolorze terakoty. Podobały mi się. Sam je malowałem. Jakbym chciał

patrzyć na magnolię, mógłbym zostać w szpitalu. Nie wierzę, że Mel zrobiła to, nic mi nie powiedziała. Może to nie Mel. Może to Tom albo nawet Steve. Mel mówiła, że pomagał jej w domu. Skoro już o nim mowa, gdzie on w ogóle jest? Spodziewałbym się, że mój powrót do domu będzie ważną pozycją w jego kalendarzu imprez towarzyskich. Choć chwila, przecież nie jestem pewien, która godzina. Są Mel i Louise, czyli jest już po lekcjach, ale nie zapadł wieczór, więc Steve może być jeszcze w pracy. Pewnie nie dostaje się urlopu okolicznościowego, kiedy najlepszy przy-

jaciel wychodzi ze szpitala. A przynajmniej nie w branży informatycznej.

Faceci z karetki już sobie poszli. Czuję, że powinienem dać im napiwek, ale nie wiem, jak miałbym to zrobić. A swoją drogą, nie wiem też, jaka jest obecnie stawka za dostarczenie warzywa bezpiecznie do domu. Pokój jest ozdobiony balonikami i innymi powitalnymi gadżetami. Na stoliku widzę przekąski. Czuję się trochę, jakbym popsuł imprezę, bo leżę tak i nic nie mówię. Ale doceniam ich starania.

- Cóż, gładko to poszło, lepiej niż przypuszczałam - mówi Joan, jakbym był jakimś fortepianem, który cudem nie ucierpiał podczas przeprowadzki. Pewnie powinienem być wdzięczny, że nie zaśpiewała mi dziś „Wszystkiego co jasne i piękne”. Choć zdaję sobie sprawę, że zwyczaj ten może powrócić, skoro jestem w domu.

- Możemy Tatusiowi włożyć słone paluszki przez rurkę ilo brzuszka?

- pyta Maya.

Joan robi przerażoną minę, ale Mel po prostu się uśmiecha.

- Kochanie, obawiam się, że nie. Nie może jeść takich rzeczy.

- Lodów też nie?

- Niestety.
- Jak to dobrze, że mnie nie trzeba karmić przez rurkę -mówi Maya. Mel kiwa głową. Chyba nie wie, czy zaśmiać się, czy zapłakać.
- Oooch, prawie zapomniałam. Przyniosłam coś dla niego. - Joan zaczyna szperać w stojącej na podłodze torbie na zakupy. Nie widzę, co wyciąga, słyszę jedynie niezbyt entuzjastyczną reakcję Mel.
- Tak, dziękuję, to, hmm, nie do końca w jego stylu, ale spróbujmy. Z głośników zaczyna lecieć nieznana mi piosenka.

Joan podchodzi i staje w nogach łóżka.

- To *Welcome Home*, w wykonaniu Petersa i Lee. - Wygrzebałam ją specjalnie na tę okazję. Wiesz, on był ślepy, Lennie Peters. Ale nie ograniczało go to. Miał uroczą żonę, blondynkę. Oczywiście nie mógł jej zobaczyć.

Kątem oka zauważam, że Mel spuszcza wzrok, próbując się nie zaśmiać. I ja też śmieję się w środku. Sikam ze śmiechu.

- Mogę mu teraz pokazać? Mogę? Proszę.

- Maya, nie jęcz - prosi Tom.

- W porządku - mówi Mel. - Tak długo na to czekała. Chodź, Maya. Przynieśmy je.

Wracają po paru minutach. Maya niesie coś, co wije się jej w rękach.

Mel szepce jej do ucha i Maya robi krok naprzód, stając w nogach łóżka.

- Tatusiu, chciałabym ci przedstawić Roddy'ego i Ritę. Otwiera ręce i moim oczom ukazują się mały czarny szczur i trochę większy biały. Są zaskakująco ładne - oczywiście jak na szczury.

- Mogę je położyć na łóżku?

- Kochanie, lepiej nie. Mogłyby zacząć podgryzać rurki Tatusia.

- To może je pogłaszcze?

- Tak, to możemy zrobić. Daj mi jednego.

Maya przekazuje jej Roddy'ego. Mel przysuwa go bliżej, bierze moją rękę i przejeżdża nią powoli po szczurzym futerku. Jest gładkie i błyszczące. Przynajmniej w mojej głowie. Maya uśmiecha się. Mel również. Uśmiecha się tak, jak dawno nie widziałem, żeby się uśmiechała.

W końcu Joan, Tom i Louise idą do domu. Nadal ani śladu Steve'a.

Przez cały wieczór nikt nie wspomniał o nim ani słowem. Może jutro.

Maya znika z Mel na górce, ale wkrótce schodzi na dół, ubrana w swoją

piżamkę w motyle. Jezu, nigdy bym nie pomyślał, że piżama może dać tak silnego emocjonalnego kopa. Jest domem. Jest wszystkim tym, za czym tęskniłem. Każdym najmniejszym głupstwem, w którym nie uczestniczyłem przez ostatnie siedem miesięcy.

Maya stoi w nogach łóżka i uśmiecha się promiennie.

- Tatusiu, możesz posłuchać mojej historyjki na dobranoc - mówi.

Trzyma książkę, tak żebym mógł ją zobaczyć. To *Tell Me Something Happy Before I Go To Sleep*. Jej ulubiona książka. Moja też. Od teraz już na zawsze. Mel sadza Mayę na łóżku obok mnie. Maya przytula mi się do boku. Ręce aż mnie bolą od prób poruszenia nimi, żeby ją objąć.

Widzę dokładnie, gdzie chciałbym, żeby się znalazły, ale po prostu nie mogę ich tam przemieścić. Słuchamy w pełnej zachwyty ciszy. Oboje.

Dopóki królicza Willa nie zaśnie mocnym snem.

- Chcę spać w łóżku Tatusia - mówi Maya.

- Wiem, kochanie. Dla nas wszystkich to był ważny dzień, ule oboje musicie teraz odpocząć, a nie możemy pozwolić, żebyś w nocy zaplątała się w jakąś rurkę Tatusia, prawda?

Wydaje się, że Maya jest na granicy łez.

- Ale, kochanie, powiem ci, co możesz zrobić - kontynuuje Mel. -

Możesz dać Tatusiowi buziaka na dobranoc.

Twarz Mayi natychmiast się rozpromienia. Pochyla się i niezdarnie całuje mnie mocno w policzek. Czuję ją. Przysiągłbym, że czuję jej usta. Wysyłam jej przez powietrze zwrotnego całusa. Mając nadzieję, że jakoś go złapie.

- Zanim pójdziesz spać, powiedz ci coś radosnego? - pyta Mel.

Maya kiwa głową.

- Kiedy obudzisz się rano, Tatuś wciąż tu będzie. Maya uśmiecha się szeroko.

- Dobranoc, Tatusiu.

Mel zabiera ją na górę. Nie ma jej tylko chwilę. Kiedy wraca do salonu, oddycha z ulgą na mój widok, jakby się bała, że teleportowałem się z powrotem do szpitala.

- Zmywanie może poczekać - mówi. - Dziś mam towarzystwo.

Podchodzi do wieży i nastawia płytę CD.

- Nie obawiaj się. Peters i Lee poszli do domu z mamą. Powietrze wypełnia bogaty, głęboki głos Jamesa Browna.

Uwielbiam faceta, nawet jeśli sprawia, jak twierdzi Mel, że tańczę jak

małpa. Mel przysiada na krawędzi łóżka i bierze mnie za rękę.

- Nie umiem wyrazić, jak wiele dla mnie znaczy, że jesteś z powrotem z nami. Mam nadzieję, że sprawia ci to tyle szczęścia, ile myślę, że sprawia. Proszę, o nic się nie martw. Upłynie trochę czasu, nim przywykniemy, ale damy sobie radę. I nigdy nie myśl, ani przez sekundę, że jesteś ciężarem, ani nic równie niemądrego. Tak bardzo, bardzo się cieszę, że to zrobiłam. Tak się cieszę, że znów cię mam.

Układa swoje ciało na moim. Czuję bicie jej serca. A może swojego.

Nie ma znaczenia czyje to serce. Ważne, że jesteśmy tu razem. Leży tak dłuższą chwilę. Aż kończy się *It's a Man's World*. To piosenka, do której wykonaliśmy pierwszy taniec na naszym weselu (zastanawialiśmy się nad *When a Man Loves a Woman*, ale Mel nie była przekonana ze względu na to, co przytrafiło się Meg Ryan i Andy'emu Garcii w filmie). Wydaje się, że to było tak dawno temu.

Właściwie w poprzednim życiu.

- Wyszukuję cię teraz do spania, żebyś mógł trochę pospać - mówi Mel. - Ja będę na kanapie obok. Nie martw się. Nie przysnę. Nawet nie zmrużę oka. Będę cię pilnowała całą noc. I nie przejmuj się mną, bo zapewniam cię, że tak samo by było, gdybym nie musiała tego robić.

Niemożliwe, żebym dziś zasnęła, patrząc na ciebie.

Uśmiecha się i idzie do drugiego końca pokoju, żeby przynieść urządzenie do odsysania. A ja wiem, że James Brown miał rację. Bez niej byłbym niczym.

- Uzgodnili dziś wszystko. Dom jest sprzedany. Mel usiadła obok mnie. Objęła mnie ramieniem.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Dziwnie. Jakby moja młodość oficjalnie się skończyła. Tata nie żyje, równie dobrze matka może nie żyć, dom rodzinny został sprzedany. Zostałem tylko ja.

- Ale nie jesteś sam.

- Wiem - powiedziałem, głaszcząc jej ramię, gdy się do mnie tuliła.

Nigdy nie czułem się sam. Od czasu, kiedy jestem z Mel. Ale mocno poczułem, że moje korzenie zniknęły. Więzy rodzinne zostały przecięte i zacząłem dryfować. Ode mnie zależało, czy chcę, żeby mnie gdzieś zniosło, czy może wolę zapuścić nowe korzenie.

- Wiem, co chcę zrobić z pieniędzmi.

- Czekaj, nie mów. Pojechać na wyprawę do dżungli amazońskiej, na spływ tratwami górską rzeką w Nowej Zelandii, skakać na bungee z Wodospadów Wiktorii.

- Nie. Chcę kupić z tobą dom. Tutaj. To znaczy nie dosłownie tutaj, ale w Calder Valley.

W tamtym czasie wynajmowaliśmy mieszkanie w Leeds. Jednak nie był to dom i nigdy by nim się nie stał.

- Jesteś pewien? - spytała Mel. - To znaczy, czy nie chodzi w tym o to, że straciłeś tatę?

- Nie. Nigdy w życiu niczego nie byłem bardziej pewien. Na twarz Mel wpełzł uśmiech. Popatrzyła na mnie, a jej ciemne oczy stały się wilgotne.

- Dobrze. Bo ja też tego chcę.

- Wiesz, wszyscy powiedzą, że jesteśmy za młodzi. Będą myśleli, że postradaliśmy zmysły.

- Nie dbam o to. Oboje tego chcemy. Będzie fantastycznie. Nasz własny dom. Dom z prawdziwego zdarzenia.

Entuzjazm aż z niej buchał. Bardzo mi się to spodobało. Wydawało się wtedy, że znów ma jakieś piętnaście lat.

- Dobrze. Załatwione - powiedziałem z uśmiechem. - W takim razie zacznijmy szukać.

Dotarliśmy do domu przed meblowozem. Nie był to właściwie meblowóz, po prostu facet z vanem, którego polecił ktoś z pracy. I bardzo dobrze. To wszystko, czego potrzebowaliśmy. Nie mieliśmy zbyt wielu rzeczy. Zatrzymałem samochód przed domem i odwróciłem się do Mel. Przygryzała dolną wargę.

- W porządku?

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę jest nasz.

- Jest.

Wyciągnąłem z kieszeni klucze i zacząłem podzwaniać jej przed nosem. Wyrwała mi je.

- No, chodź - powiedziała. - Chodźmy pobawić się w dorosłych.

Wysiedliśmy z samochodu i staliśmy na chodniku, wpatrując się w duży kamienny budynek naprzeciwko.

- Nie pamiętam, żeby miał aż tyle okien - oznajmiła Mel.

- Cholera. Może kupiłem nie ten?

Mel zaśmiała się i żartobliwie wytargała mnie za uszy.

- Oczywiście, że ten. Uwielbiam go. Chcę tu mieszkać do końca życia. Chcę, żebyś ganiał mnie po schodach, kiedy będziemy mieć po osiemdziesiąt dwa lata.

- Nie ma szans. Chyba że zamontujesz mi elektryczną rampę.

Zaśmiała się ponownie, a ja ją tuliłem, moje ramiona oplatały się wokół najcenniejszej dla mnie rzeczy na świecie. Wpatrywałem się w drzewa na wzgórzu za domem. Milion odcieni zieleni. To miejsce miało płuca.

Oddychało. Żyło. Pochyliłem się i wziąłem Mel na rękę.

- Hej, co ty wyprawiasz? - krzyknęła.

- Chcę zrobić to tak, jak należy. Przenoszę cię przez próg.

- Myślałam, że to się robi po ślubie.

- Oj, tam. Nic mnie nie powstrzyma.

Wnosiłem ją po schodkach, oboje się śmialiśmy. Pozwoliłem jej włożyć klucz i otworzyć drzwi.

- Mel Summerskill, oto twój nowy dom.

Krzyknęła z radości. A ja ją pocałowałem. Długo i mocno.

Zarzuciłem kotwicę. Morze było znów spokojne i nieruchome. Koniec dryfowania. Teraz miałem własną rodzinę.

ROZDZIAŁ 23

Mel

Cześć, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - mówi Louise.

Wpuszczam ją do przedpokoju, a jednocześnie robię, co mogę, żeby się uśmiechnąć. To nie jest radosny dzień. Dziwne to urodziny i, prawdę mówiąc, jestem w rozsypce. Radość z powodu obecności Adama wciąż się utrzymuje, ale utemperowała ją rzeczywistość naszego codziennego życia. Pierwszy raz od dwudziestu lat nie przysłał mi kartki z życzeniami urodzinowymi. Oczywiście wiedziałam, że tego nie zrobi i właściwie to odetchnęłam z ulgą, że moja matka nie wpadła na genialny pomysł, żeby wysłać ją w jego imieniu (albo jeśli wpadła, to się powstrzymała). Ale brak kartki od Adama na kominku jest faktem. Nie byłam w stanie postawić tam kartki od kogoś innego. To by było tak, jakby ledwie parę godzin po śmierci ukochanej osoby pozwolić komuś usiąść na jej ulubionym krześle. Z taką różnicą, że Adam nie umarł. Jest z nami w domu. Tylko nie może już wysyłać kartek.

- To jest od... - Louise urywa w ostatniej chwili.
- Ode mnie.
- Dziękuję - odpowiadam, obejmując ją i ściskając.

Jej twarz wygląda blado i mizernie. Nadal jest jej ciężko. Nie sprawdził się zamysł Steve'a, że złagodzi cios, jeśli pozwoli jej przywyknąć do życia w pojedynkę.

Otwieram prezent. To kupon na masaż aromaterapeutyczny w Hebden Bridge.

- O, dziękuję. Świetny pomysł.
- Jak się zdecydujesz w dowolny weekend, popilnuję Adama i Mayi. Po prostu powiedz mi, kiedy będziesz gotowa.

- Dziękuję. Na pewno tak zrobię. Choć pewnie dopiero za jakiś czas.

Wyjście dziś wieczorem to duża wyprawa, mimo że to tylko na drugą stronę ulicy.

- Na pewno jesteś na to gotowa? Jeśli wolisz, możemy zostać tutaj.

- Nie. Mama już jest. Przy Adamie wszystko zrobione, a Maya śpi. Jak nie teraz, to już może nigdy.

Louise kiwa głową i bierze mnie pod rękę.

- Chodź - mówi. - Zróbmy to razem.

Na zewnątrz mży. Taki rodzaj deszczu, który zmoczy cię i nawet tego nie zauważysz. Otwieram parasolkę, pod którą zaczynamy się tłoczyć.

- To jak wam idzie? - pyta Louise, gdy ruszamy ulicą.

- Myślę, że w porządku. Maya bardzo się cieszy, że Tatuś jest w domu.

Obie się cieszymy. Tylko nie potrafię przestać się cały czas o niego martwić. Zwłaszcza w pracy. Ciągle myślę, a jeśli coś się stanie?

Co, jeśli mnie tam nie będzie?

- Równie dobrze mogło mu się stać coś w szpitalu.

- Tak, ale nie stało się. A jeśli coś by się stało tutaj, to byłaby to moja wina. To ja nalegałam, żeby wrócił do domu. Czasami martwię się, że to było samolubne z mojej strony.

Louise parska śmiechem.

- Mel, trudno sobie wyobrazić coś mniej samolubnego. Zrobiłaś to, ponieważ uważałaś, że tak będzie najlepiej dla niego i Mayi.

- Wiem. Ale ja też chciałam, żeby wrócił do domu. Chciałam mojego męża z powrotem. Chciałam w jakimś śmiesznie małym stopniu znów

poczuć, że jesteśmy parą.

Louise nic nie mówi. Zerkam na nią. Widzę, jak bardzo mocno stara się nie płakać. Zdaję sobie sprawę, że upłynęły cztery miesiące. Mógł jej powiedzieć.

- Wszystko w porządku?

- Przepraszam - mówi Louise. - Nie chciałam zepsuć ci urodzin, mówiąc o tym od razu.

- Mówiąc o czym?

- Steve chce się rozwieść.

- Och, Louise. Przykro mi.

Stoimy pod parasolką. Jedną ręką obejmuję Louise. Jej ciało zgina się, opierając na moim, nad nami bębni deszcz. Źle mi z tym, że jej nie ostrzegłam. Próbowałam subtelnie zasugerować, że Steve zdaje się dobrze radzić sobie w pojedynkę, ale to nie to samo. Przede wszystkim źle mi z tym, że Steve mi powiedział. Tłumaczę sobie, że jedynie zastę-

powalam Adama, ale nie jestem tego taka pewna. W tej chwili niczego nie jestem pewna.

- Przepraszam. - Louise pociąga nosem. - Miałyśmy uczcić twoje urodziny.

- Nie bądź niemądra. Posłuchaj, jeśli nie chcesz iść do pubu, zrozumiem.

- Nie. W porządku. Nie mogę snuć się po domu w nieskończoność, prawda? Poza tym to twoje urodziny.

- Jeśli jesteś pewna.

- Tak, jestem.

W „Robin Hoodzie” jest cicho. Przy barze stoi kilku oldboyów. Przy stolikach siedzi też parę młodszych par. Nie widzę nikogo znajomego.

Chociaż to nie znaczy, że oni nie znają mnie. To ja jestem tą kobietą, która trzyma w salonie męża w stanie wegetatywnym. To mała miejscina. Ludzie

gadają. I choć zawsze widzę sporo uśmiechów pełnych współczucia, nadal przykro mi, że Adam stał się obiektem lokalnych plotek.

Louise nalega, żebyśmy wypily drinka. Siadam przy stoliku w rogu.

Na ścianach wiszą pejzaże namalowane przez tutejszą artystkę.

Amanda jakaś tam, nie daję rady odcyfrować nazwiska. Ładne obrazy.

Niektóre miejsca wyglądają znajomo, na pewno Adamowi wydałyby się znajome jeszcze bardziej. Zaczynam wyobrażać go sobie na obrazach -

maleńka postać, która biegnie po wzgórzach. W biegu, zawsze w biegu. Nigdy się nie zatrzymuje.

Louise stawia drinki na stoliku. Stoją tak uroczyście. Wyraźnie żadna z nas nie jest w nastroju, żeby wznieść toast.

- Kiedy ci powiedział? - pytam.

- Wczoraj. Przyszedł po pracy. Wygłosił mowę o tym, że ocenił swoje życie, zdał sobie sprawę, że nie był dla mnie dobrym mężem, że jego zdaniem nie byłoby uczciwie, gdybyśmy trwali tak dalej. Oraz że nie sądzi, aby mógł się zmienić.

Kiwam głową. Cieszę się, że Steve mnie posłuchał i nie powiedział nic więcej.

- Pewnie gdzieś tam w środku spodziewałam się, że to nastąpi -

kontynuuje Louise. - Przecież nie próbował się ze mną spotykać ani niczego wyjaśniać. Czuję jedynie dezorientowanie i złość, że wciąż nie wiem do końca, o co w tym wszystkim chodziło. Jeśli ktoś mnie zapyta, dlaczego się rozwodzę, będę musiała przyznać, że nie wiem.

Czuję się jak cholerna idiotka.

- To nie twoja wina, jeśli ci nie powie.

- Częściowo tak. Z jakiegoś powodu nie jestem osobą, przed którą byłby w stanie się otworzyć.

- Louise, nie wolno ci się obwiniać.

- A kogo mam winić?

- Steve'a? Louise kręci głową.

- Próbowałam. Próbowałam patrzeć na jego zdjęcia i nazywać go łajdakiem. Nie działa. Nie sądzę, żeby był łajdakiem, naprawdę.

Niedojrzałym emocjonalnie dupkiem, być może, ale to wszystko. W głębi serca nadal go kocham. Gdyby poprosił, w mgnieniu oka przyjąłabym go z powrotem. To właśnie jest problem. On to skończył, nie ja. Nie chcę rozwodu.

- Powiedziałaś mu to?

- Próbowałam. Ale powtarzał tylko, że to nie ma sensu. Ze zasługuję na kogoś lepszego niż on.

- I co zrobisz?

- A co mogę zrobić? Jest już jasne, że zdecydował. To koniec.

- Tak mi przykro.

- To nie twoja wina.

- Nadal uważam, że gdyby nie wypadek Adama, to by się nie wydarzyło.
- Może. A może wydarzyłoby się, tyle że później. Przecież między nami nie było dobrze. To pewnie tylko przyspieszyło sprawę. Boże, przepraszam. Zobacz, jak nawijam. Miałyśmy przecież uczyć twoje urodziny.

- W porządku. I tak nie czuję się w nastroju do uczczenia czegokolwiek. Przynajmniej teraz możemy razem się załamywać.

Louise uśmiecha się.

- Kiedy Królowa wspomniała o swoim tragicznym roku, nie miała pojęcia, o czym mówi, prawda?

- Nie miała zielonego pojęcia.

- Więc pomyślmy, w jaki sposób uczą się bardzo małe dzieci. Kto zacznie?

Próbuję. Naprawdę próbuję, żeby to jakoś szło, choć czasem czuję się, jakbym brodziła w kisielu.

- Telewizja - mówi Jess. - Uczą się, jak oglądają telewizję. Moja siostrzenica Destiny umie liczyć do trzech po hiszpańsku, bo oglądała *Dora the Explorer*.

- Tak, to świetnie, że dzieci mogą podłapać języki obce z programów telewizyjnych, ale pamiętajcie, że mówimy teraz o dzieciach poniżej roku.

- No przecież wiem. Destiny ogląda telewizję od urodzenia. Jedną butelkę mleka pija, jak leciał *The Jeremy Kyle Show*, drugą podczas *Loose Women*, a kolejną w czasie *Najślabszego ogniwa*. Dzięki temu moja siostra pamiętała, kiedy ją trzeba karmić.

Parę dziewczynek kiwa głowami, jakby właśnie usłyszały przydatną w wychowywaniu dzieci metodę i starały się ją zapamiętać.

Oczywiście to nie ich wina. Nie wiedzą, że można inaczej. Doskonale zdają sobie sprawę, że wzorce rodzicielskie w ich domach nie są bynajmniej książkowe.

- Dobrze, odłóżmy telewizję na bok - mówię. - Pomyślmy, jak jeszcze inaczej uczą się małe dzieci.

- Można im zabrać chipsy - proponuje Becky. - Albo postraszyć, że da im się mleko zamiast coli. To by je nauczyło, żeby czegoś nie robić.

Wydają wewnętrzny jęk. Coraz mi trudniej wyrażać się dobrze o ich sugestiach. A czasami po prostu muszę je skrytykować.

- Dziękuję, że się włączyłaś, ale pamiętaj, że w tym wieku dzieci nie powinny naprawdę dostawać chipsów ani coli. Ale posłuchajcie, Becky

zastanawiała się, jak możemy uczyć dzieci, żeby czegoś nie robiły. A mnie chodzi o to, jak dzieci uczą się coś robić.

- Obserwując nas - mówi Cara. - Uczą się, patrząc i powtarzając po nas.

Uśmiecham się z entuzjazmem, czując ulgę, że padła pierwsza tego ranka poprawna odpowiedź. Lubię Carę. Powiedziała, że osoba, którą najbardziej podziwia, to Angelina Jolie, ale bardziej za to, że jest ambasadorką UNICEF-u, a nie dlatego że oszałamiająco wygląda i jest żoną Brada Pitta.

- Świetnie, Cara. Obserwacja jest jednym z kluczowych sposobów, w jaki uczą się małe dzieci. Dlatego tak ważne jest, żebyśmy jadły razem z nimi. Wspólne jedzenie posiłku jest konieczne, żeby małe dzieci nauczyły się podstawowych umiejętności.

- Albo mogą oglądać, jak dzieci jedzą w telewizji - zastanawia się Jess. - W reklamach na przykład.

Próbuję z całych sił uśmiechnąć się do niej. Zdaję sobie sprawę, że czeka mnie droga pod górkę.

Dopiero kiedy pakuję się po zakończeniu lekcji, zauważam, że Cara wciąż siedzi w klasie z głową w podręczniku.

- Cieszy mnie twoja pilność, Cara, ale możesz już iść. Podnosi wzrok. Wygląda na przestraszoną.

- Jeśli mogę, wolałabym tu zostać jeszcze trochę.

- Jasne. Oczywiście, że możesz. Wiem, że w domu czasem trudno jest znaleźć czas albo miejsce, gdzie jest cicho.

- Moja mama na ogół jest wkurzona, jak wracam do domu. Muszę latać z herbatą i takie tam. Upewnić się, że bracia nie idą za późno spać.

Teraz rozumiem, dlaczego wydaje się starsza niż pozostałe dziewczynki.

- To znaczy, że taty nie ma z wami?

- Nie, zmył się już dawno temu. Wtedy mama zaczęła popijać.

- Ktoś jej pomaga? Nie wiem, ktoś z opieki społecznej?

- Nie. Ona nie chce, żeby ktoś się wcinał. Ja zawsze pilnuję, żeby bracia szli do szkoły w czystych ciuchach i żeby byli na czas. Dlatego nikt się nas nie czepia.

- Szczęściarze z nich, że mają taką dużą siostrę. - Jak tylko wypowiadam te słowa, zdaję sobie sprawę, że brzmię staro i protekcyjnie.

Cara wzrusza ramionami.

- Ktoś musi to robić. To nie wina mamy. Dużo musiała znieść. Nie jest

łatwo radzić sobie samej.

Potwierdzam.

- Muszę lecieć, żeby odebrać córeczkę z przedszkola, ale ty zostań tu tak długo, jak zechcesz.

- Dobrze, proszę pani.

Odwracam się, żeby wyjść z klasy, ale zatrzymuję się.

- Cara, jakbyś chciała porozmawiać, zawsze tu jestem, dobrze?

Kiwa głową i znów zagłębia się w podręczniku.

Kiedy schodzę po schodach, położywszy Mayę spać, słyszę pukanie do drzwi. Wprawdzie jest czwartek, ale nie spodziewałam się Steve'a.

W zeszłym tygodniu nie przyszedł. Przysłał SMS, że coś mu wypadło w pracy (choć nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że bardziej chodzi o obecność Adama w domu). Ponadto nie myślałam, że pojawi się tak szybko po tym, jak poprosił Louise o rozwód.

- Cześć - mówi, kiedy otwieram drzwi. - Nie byłem pewien, czy nadal chcesz, żebym przyszedł.

Wygląda jak zawstydzony nastolatek, który obawia się, że przyjaciele odwrócą się od niego za to, że rzucił dziewczynę.

- Wejdz. Choć kusi mnie, żeby zatrzaskać ci drzwi przed nosem, nie zrobię tego.

- Czyli Louise ci powiedziała.

- Tak, wczoraj.

- Jak ona się czuje?

- Jest w siódmym niebie, naprawdę. Przypomina mi to zdjęcie Nicole Kidman, kiedy rozwiodła się z Tomem Cruise'em.

- Myślałem, że sarkazm jest specjalnością Adama.

- To było w jego imieniu.

Steve wchodzi do przedpokoju. Rozgląda się niezręcznie.

- Adam jest w salonie. Jeszcze mu nie powiedziałam. Może lepiej chodź do kuchni.

Rusza za mną. A za nim cisza.

- Ale Louise czuje się w porządku? - mówi w końcu.

- Da sobie radę, jeśli o to pytasz. Jest blisko ze swoją rodziną. Ma wielu dobrych przyjaciół.

- Myślisz, że jestem skończonym łajdakiem, prawda?

- Niedojrzały emocjonalnie dupek. Takiego stwierdzenia użyła Louise,

ale cóż, jest uprzejmiejsza ode mnie.

Steve kiwa głową. Podchodzi do kuchenki, żeby się ogrzać.

- Chciałabyś, żeby był z tobą ktoś, kto tak naprawdę cię nie kocha?

- Pewnie nie. I doceniam, że jej tego nie powiedziałeś. Choć nadal nie rozumiem, dlaczego jej nie kochasz. Jest najsympatyczniejszą osobą, jaką znam.

- Tak jak powiedziałem, to skomplikowane. I jeśli cię to pocieszy, nienawidzę się za to, że ją zraniłem. Myślę jednak, że ostatecznie wyjdzie jej to na dobre.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Napelniam czajnik i włączam go.

- No dobrze, a jak ty się miewasz? Wyglądasz na zmęczoną.

- Dzięki.

- Mel, martwię się o ciebie.

- Nie musisz. Bardzo się cieszę, że mam go w domu.

- Czuwasz przy nim nocami?

- Tylko w piątki i soboty. W inne dni mamy opiekuna.

- Nie możesz tak w nieskończoność. Wykończysz się.

- Może z czasem nabiorę wystarczającej pewności, żeby spać na kanapie.

Ale nie teraz. Jeszcze za wcześnie.

Steve dziękuje za kawę, którą mu podaję.

- A jak praca? - pyta.

- W porządku.

- Nie znosisz jej, prawda?

- Muszę się po prostu przyzwyczaić. Pracuję z uczniami, a oni są na zupełnie innym poziomie niż studenci, do których przywykłam. Ale ta praca ma potencjał, by dać mi sporo satysfakcji. Widzę to już.

- Zmieniasz się w jedną z tych osób, które zostają nominowane do nagrody dla cichego bohatera Wielkiej Brytanii.

Nim zdołam się powstrzymać, na mojej twarzy pojawia się uśmiech.

- Więc lepiej na mnie zagłosuj. Może wygram parę stówek.

- Posłuchaj, jeśli masz problem z pieniędzmi...

- Żartowałam, Steve. Na razie dajemy radę. Uniwerek płaci mi do końca okresu wypowiedzenia, co jest bardzo miłe z ich strony. I mamy szczęście, że nasz kredyt hipoteczny jest niewielki.

- Dobrze, ale pamiętaj, że jeśli kiedykolwiek będziesz czegokolwiek potrzebowała, wystarczy, że powiesz.

- Dzięki - mówię. - Doceniam to.

- To co dziś jest do zrobienia?

Wysilam mózg, starając się coś znaleźć. Nic oczywistego nic przychodzi mi do głowy.

- Jest jedna rzecz - odpowiadam. - Chociaż nie wymaga narzędzi.

- Co?

- Chcę, żebyś powiedział Adamowi. To znaczy o rozwodzie. Kiedyś i tak się musi dowiedzieć i myślę, że lepiej, jeśli dowie się od ciebie.

Może potrafisz wytłumaczyć mu to tak, żeby zrozumiał.

Steve bierze łyk kawy, która musi być jeszcze za gorąca, by dało się ją pić, nawet jego azbestowymi ustami.

- Szczerze mówiąc, wolałbym, żebyś znalazła mi ciekący kran.

- Steve, on ma prawo wiedzieć, co się dzieje. Nie cierpię, kiedy muszę coś przed nim ukrywać. Nie chcę traktować go jak dziecko.

- Dobrze, postaram się. Kiedy przychodzi opiekunka?

- Około jedenastej.

- Może połów się wcześniej. Zostanę z nim do tego czasu.

- Na pewno?

- Tak. Wyglądasz, jakbyś potrzebowała odpocząć.

Aż trudno mi uwierzyć, że to ten sam Steve, o którym mówi Louise.

- Najpierw muszę zrobić odsysanie. Przygotować go na noc. To zajmie tylko parę minut. Powiem mu, że przyjedziesz, jak skończę.

- OK.

, Idę do salonu i zamykam za sobą drzwi.

- Przepraszam, kochanie - mówię, głaszcząc go po głowie. - To znowu ten moment.

Przygotowuję sobie wszystko, czego będę potrzebowała. Teraz czuję się już jak zawodowiec. Nawet nie muszę korzystać ze ściągawki.

Nasza pielęgniarka mówi, że mam do tego dryg. Może dlatego, że jestem jego żoną.

Skończywszy wszystko, przysiadam na brzegu łóżka.

- Mam nadzieję, że nie poszło najgorzej. Kochanie, położę się wcześniej. Później będzie opiekunka. A teraz przyszedł Steve i do tego czasu posiedzi z tobą. Ma ci coś do powie-

dzenia o sobie i Louise. Obawiam się, że to nic dobrego i sama tak

naprawdę tego nie rozumiem, ale może to męska sprawa. Nie martw się, Louise daje radę. Opiekuję się nią. I wpadnie w weekend, żeby się z tobą zobaczyć. Całuję go w czoło.

- Dobranoc, kochanie.

Wracam do Steve'a, który czeka w kuchni. Trzyma coś w ręce.

- To dla ciebie. - Robi krok do przodu, żeby pocałować mnie w policzek, i wręcza mi ładnie zapakowany prezent i kopertę. -

Wszystkiego najlepszego z okazji wczorajszych urodzin.

Wpatruję się w niego. Mężczyźni nie obchodzą urodzin kobiet, które nie są ich żonami, dziewczynami albo matkami. Wiem to na sto procent. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Zerkam niezręcznie na Steve'a.

- Nie dałem ci wcześniej, bo bałem się, że ciśniesz mi to w twarz - mówi.

- Nie zrobiłabym tego. A na pewno sprawdziłabym, co to za prezent.

Steve uśmiecha się z wahaniem. Najpierw otwieram kopertę. Kartka jest gustowna i nie zawiera nic niewłaściwego. Chyba, jak wszyscy inni, w tym roku nie chciał ryzykować czegoś żartobliwego. Odklejam taśmę samoprzylepną na jednym z brzegów ozdobnego srebrnego papieru i wysuwam kwadratowe płaskie pudełko. Otwieram pokrywkę.

Wewnątrz jest srebrny łańcuszek z czarnym wisiorkiem z onyksu. Jest piękny. Nie wiem, co powiedzieć. Czy mam być zachwycona, czy zawstydzona.

- Dziękuję. Naprawdę nie spodziewałam się czegoś takiego.

- Kupiłem go w Element w Hebden. Pamiętam, jak Louise wspominała, że lubisz rzeczy od nich. Zachowałem paragon, jakbyś chciała wymienić.

- Nie. Nie, jest śliczny. Naprawdę. Ale nie powinieneś.

- Nie chcę, żebyś sobie pomyślała, że próbuję... Chodzi mi o to, że Adam kupiłby ci coś wyjątkowego. Wiem, że to nie jest od Adama, ale chciałem, żeby było wyjątkowe.

- I jest. Dziękuję.

Zamykam wieczko i spoglądam na pudełko. Powtarzam sobie w myślach, że on tylko próbuje zachować się w porządku wobec Adama.

Próbuje opiekować się mną, tak jak powinien to robić najlepszy kumpel męża.

- No, dobrze, hmm, pójdę zobaczyć się z Adamem. A ty idź spać.

- Dobrze. Dziękuję. W takim razie dobranoc.

- Dobranoc, Mel. Do zobaczenia za tydzień. Wspinam się powoli na górę, trzymając poręcz. Kiedy wchodzę do swojej sypialni, naszej sypialni, wkładam pudełko do komody. Żeby nie patrzeć na nie i nie myśleć.

ROZDZIAŁ 24

Steve wchodzi do salonu. Chyba nigdy nie widziałem, żeby był tak zawstydzony. Ze słów Mel próbowałem wywnioskować, co się stało.

Myślę, że Louise przyłapała go na zdradzie. W takim razie jest jeszcze większym durniem, niż myślałem.

- Cześć, stary - mówi. - Fajnie, że znów jesteś w domu. Przysuwa sobie krzesło. Przeczesuje ręką włosy. Bawi się paskiem zegarka.

- Mel chce, żebym powiedział ci, co się dzieje. Wcześniej nic nie mówiłem, bo, hmm, nie chciałem obarczać cię moim głównym, gdy i tak ci nie brakuje swojego.

Znów robi pauzę i przez chwilę rozgląda się po pokoju. Widać, że mu ciężko.

- Prawda jest taka, że od czterech miesięcy nie mieszkam już z Louise. Chciałem próbnej separacji. A niedawno poprosiłem ją o rozwód.

Ożeż, kurwa. Co za bydlak. W co on się do diabła wplątał? Na pewno bzyka jakąś inną. Ale kogo? Chcę zadać ze sto pytań, wszystkie naraz.

Moje usta zdają się otwierać i zamykać jak pyszczyk złotej rybki, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

- Wiem, co myślisz, i jeśli cię to w jakikolwiek sposób pocieszy, czuję się jak ostatni łajdak, że robię to Louise, ale przez te wszystkie lata żyłem w kłamstwie i byłoby nie w porządku wobec niej, gdyby miało to trwać dalej. Widzisz... Ja jej nie kocham. Nie tak jak... - Przez sekundę waha się, nim kontynuuje: - Nie tak, jak powinienem.

Jezu, zmieniłem się w jakąś poradnię dla par. Jak poleżę tu jeszcze trochę, wyjdzie na jaw, że w kraju nie zostało się żadne udane małżeństwo. Winą za to obarczam Martina Bashira i księżnę Dianę.

Oni zapoczątkowali tę modę na ckliwą wiwisekcję małżeństwa i uzewnętrznianie się przed kamerami, i zobaczcie, jak to się skończyło.

- Mel próbowała nakłonić mnie do zmiany zdania. Powiedziała, że puściłbyś mi niezłą wiązanekę, gdybyś... No, wiesz, był w stanie. Ale obawiam się, że nie ma już odwrotu. Znalazłem sobie małe mieszkanie w

Rishworth. Pewnie będziemy musieli sprzedać dom, pensja Louise nie wystarczy, żeby go utrzymać.

Pieprzyć kwestie mieszkaniowe. Chcę wiedzieć, dlaczego to robi.

Chcę znać prawdziwy powód, a nie te głodne kawałki, które mi wciska.

Na pewno chodzi o coś więcej. Jestem o tym przekonany. Bo czemuż by to robił?

Na chwilę skrywa twarz w dłoniach, po czym spogląda w sufit. Twoje milczenie zachęca innych do dalszego uzewnętrzniania się - to jedyna dobra strona tego, że nie można się odezwać.

- Może pewnego dnia będę tego żałował, jeśli skończę jako samotny stary zgreb. Ale czasem jesteśmy to sobie winni, żeby spróbować. Pół

życia stawiałem na pierwszym miejscu uczucia innych. Dłużej już nie mogę. Przykro mi, OK? Z powodu tego, co się tobie stało. I z powodu tego, co teraz zamierzam zrobić.

O czym, do diabła, on mówi? Nie rozumiem. To nie ma najmniejszego sensu. Co ja mam z tym wspólnego? To znaczy,

oprócz tego, że jestem jego najlepszym kumplem. Głowa mnie boli od myślenia. Ale więcej się od niego nie dowiem. Nie dziś. Teraz już się zamknął. Powiedział, co miał powiedzieć. Będę musiał poczekać do następnego razu. To telenowela gorsza niż *EastEnders*. W zasadzie nie.

Nic nie jest gorsze niż *EastEnders*.

*

- Gdyby pani mogła ogarnąć przed wyjściem jeszcze ten pokój - prosi Mel, wchodząc następnego ranka do salonu. Za nią podąża, wymachując odkurzaczem, kobieta w średnim wieku. Podchodzą do nóg łóżka. Mel uśmiecha się do mnie.

- Adam, to jest pani Denise, nasza wspaniała pomoc domowa, która ratuje mi życie. Pani Denise, to jest Adam.

- Witaj, skarbie - mówi Denise. - A niech to, wpadłeś jak śliwka w kompot, co?

Powiew świeżego powietrza uderza mnie prosto między oczy. Nawet Mel się śmieje. Serce mi rośnie na samą myśl, że oto jest ktoś, kto nie będzie chodził wokół mnie na paluszkach, nie będzie wygłaszał

politycznie poprawnych uwag ani jak ognia unikał wzmianki, że jestem w stanie wegetatywnym.

- Mój chłop to leń patentowany, ale nawet jego by swędziało, żeby wyleźć z wyra po pięciu miesiącach.

W myślach zwijam się ze śmiechu. Denise wygląda przeciętnie. Nie chcę być złośliwy, ale tak po prostu jest. Przeciętne włosy w mysim kolorze, przeciętne ciuchy, odrobinę bulwiasty, czerwony nos. Ale gdybym mógł, wyskoczyłbym z łóżka i zatańczył wokół salonu z tą cudownie przeciętną kobietą.

- Nie przejmuj się, skarbie. - Denise mruga do mnie. -Przelecę tu odkurzaczem i potem zostawię cię w spokoju.

- Dziękuję pani. Lepiej wrócę do tego faceta od gazu -mówi Mel. - Zerknę, jak mu idzie naprawa.

- Pani mu powie, żeby podciągnął te cholerne portki. Co ja rowa w życiu nie widziałam?

Mel uśmiecha się do Denise, kiwa głową w moją stronę, jakby wiedziała, co myślę, i wychodzi z salonu.

- Jeśli, Boże uchroni, w następnym życiu będę facetem - kontynuuje Denise, jak już zostajemy sami - pierwsza rzecz to pójdę i sprawię sobie cholerny pasek do spodni.

Włącza odkuracz i zaczyna wolno krążyć po pokoju, przebijając się śpiewem przez hałas. Przypomina mi się Freddy Mercury w teledysku do *I Want to Break Free*. Hałas, cudownie głośny, krzykliwy hałas. Tak mile widziany po nocy spowitej ciszą. Po samotności myśli. Po wszystkim, co powiedział Steve, a co kołatało mi w głowie. I po byciu cały czas pilnowanym przez życzliwie wyglądającą panią z organizacji dobroczynnej, która siedzi i uśmiecha się. Nie może przynieść ze sobą książki? Nie wolno im robić na drutach? Szkoda, że nie robi na drutach. Myślę, że hipnotyzujący klekot drutów mógłby być właśnie tym, czego potrzebuję, żeby zasnąć. Zastanawiam się, jak bardzo musi być samotna. Och, wiem, powinienem myśleć, że robi to z dobrego serca, i jestem wdzięczny, ogromnie wdzięczny, że tak pomaga Mel.

Ale jakże okropnie samotne życie musi prowadzić, skoro zgłasza się na ochotnika, żeby patrzeć, jak ktoś śpi w nocy. Mel robiła sobie z tego żarty, kiedy byliśmy nastolatkami. Śmiała się, że starannie omija starszych chłopców i specjalnie zadaje się z kimś młodszym od siebie o kilka miesięcy, żeby spędzić mniej czasu jako jedna z tych smutnych, wiekowych wdów, które nieustannie przestawiają kwiaty na parapecie okna, żeby mogły patrzeć, co się dzieje na świecie. Wówczas wydawało mi się to śmieszne. Teraz oczywiście już nie. Teraz Mel z pewnością żałuje, że nie zakochała się w

kimś zupełnie

innym. Rysuje się przed nią bardzo długa przyszłość, którą będzie mogła spędzić na przestawianiu kwiatów. Odkurzacze cichnie.

- Dobrze, skarbie. Zostawię cię w spokoju - mówi Denise. - Chociaż sądzę, że za wiele go dziś nie zaznasz z tym facetem od gazu. W

każdym razie miło było w końcu cię poznać. Ta twoja Mel tyle mi o tobie opowiadała. To takie typowe, prawda? Trafia się jej jeden z tych porządnych i zdarza się coś takiego. Ale ona nie spisała cię straty. Więc proszę dalej walczyć. Następnym razem, jak przyjdę, chcę zobaczyć, jak wstajesz z tego łóżka i wywijasz koziółki po całym pokoju.

Wychodzi. Chcę zapytać Mel, czy możemy zapłacić Denise, żeby nie tylko sprzątała, ale też siedziała ze mną. Chybaby mi się to podobało.

- Adam, przepraszam. - Mel wchodzi do salonu z łysiejącym mężczyzną w średnim wieku. - Pan Hopwood w ramach konserwacji musi spuścić wodę ze wszystkich kaloryferów. To nie powinno potrwać długo. Proszę krzyczeć, jeśli będzie pan czegoś potrzebował -

zwraca się do niego. -A ja zrobię panu herbatę, o którą pan prosił.

Mel znika, z pewnością poszukiwać w kuchni cukru. Nigdy jeszcze nie spotkałem majstra, który by nie słodził. Pan Hopwood gapi się na mnie, po czym sięga do tylnej kieszeni i wyciąga telefon komórkowy.

Przez moment myślę, że chce zrobić mi zdjęcie, które następnie wrzuci na Facebooka do jakiejś galerii dziwolągów. Ale nie. Wybiera numer.

- Słuchaj, Dan. Nigdy nie zgadniesz, kto jest ze mną w pokoju. Jebany truposz. Znaczący się nie do końca. Chyba oddycha, ale równie dobrze może i nie żyje. Na górze nie pali się światło i nikogo nie ma w domu. I leży tak w cholernym salonie tej baby, a ona zachowuje się, jakby to było zupełnie normalne.

Chcę go walnąć. I kopnąć w jaja. Co on może wiedzieć? Jak śmie przyłazić tu i wygadywać takie rzeczy. Płacę mu, a przynajmniej robi to Mel. Nienawidzę takich akcji. Wystarczająco źle było już w szpitalu, kiedy ludzie gapili się, przechodząc. Ale coś takiego w moim własnym domu? To już za dużo. Słyszę kroki w korytarzu. Hopwood odkłada telefon i natychmiast kuca przy kaloryferze. Chciałbym, żeby Mel chlusnęła mu herbatą w pierdoloną twarz. Oczywiście nie robi tego.

Nawet uśmiecha się, podając mu filiżankę. Czasami, dla swojego dobra, nie powinna być aż tak ufna. Założę się też, że nieźle z niej zedrze.

Nienawidzę siebie za to, że jestem tak żaloszny. Ze nie mogę zwlec się z tego cholernego łóżka i go pogonić. Fakty są jednak takie, jakie są, co najwyżej mogę się pocieszać, że choć może i jestem warzywem, to przynajmniej tyłek mi nie wystaje ze spodni.

- Tamta dziewczyna ciągle na ciebie patrzy - powiedział Steve.

Byliśmy na imprezie w mieszkaniu jakichś studentów uniwersytetu Bradford. Przed Bożym Narodzeniem 1995. Wczesne godziny poranne. Mel nie było. Mocno się przeziębiła. Kiedy łapała przeziębienie, z oczu lało jej się strumieniami. Miała już dość, że ludzie dopytują się, czy wszystko w porządku. Więc postanowiła sobie odpuścić. Chciała położyć się wcześniej spać.

- No i?

- No, a ty co? Facet jesteś czy myszka?

- Steve, może przez ostatnie pięć lat nie zauważyłeś, ale ja mam dziewczynę.

- Ta. Ale nie tutaj.

- Aha, czyli to by było w porządku?

- By było, jeśli laska wygląda tak jak ona.

Spojrzałem na dziewczynę. Była wysoka, miała ciemne włosy, nawet ciemniejsze niż Mel, głęboko wycięty top, który odsłaniał pępek, obcisłe dżinsy i kozaki do kolan. Słowo „zgrabna” mogło być wymyślone specjalnie dla niej.

- Steve, widzę, co ty widzisz, ale nadal nie jestem zainteresowany.

- Jezu, przestań się zachowywać, jakbyś był żonaty. Masz osiemnaście lat, do kurwy nędzy.

- Posłuchaj, skoro tak bardzo cię ona kręci, czemu sam jej nie poderwiesz?

- To nie na mnie gapi się cały wieczór.

- Cóż, jest twoja, jeśli chcesz spróbować.

- Dzięki, ale raczej nie. Nie kręci mnie opcja „jeśli nie mogę go mieć, zadowolę się jego kumplem”.

Steve poszedł do kuchni, pewnie po kolejną butelkę. Nie spytał, czy ja też chcę. Choć, prawdę powiedziawszy, obaj wypiliśmy już za dużo.

Parę sekund po tym, jak odszedł, dziewczyna ruszyła w moim kierunku. Kurwa. No i masz.

- Cześć - powiedziała. - Mam na imię Suzanne.

- Cześć. Adam.

- Studiujesz dziennikarstwo, prawda? Znam cię z widzenia. Ja studiuje to samo, ale na drugim roku.

- Racja, tak. Wiedziałem, że skądś cię znam. Próbowałem utrzymać wzrok na jej twarzy. Miała czerwoną szminkę. W jednym kąciку ust lekko rozmazaną. Trzymała w ręce butelkę cydru, ale nie wyglądała na nawaloną. Wydawało się, że w przeciwieństwie do mnie doskonale wie, co robi.

- Twój kolega chyba trochę przedobrzył?

- O, tak. Chyba tak.

Nie byłem przyzwyczajony do tego, że podrywają mnie kobiety.

Pewnie to minus chodzenia od pięciu lat z tą samą dziewczyną. Nie, żeby kiedykolwiek mnie to martwiło. Ale

nagle zdałem sobie sprawę, że albo muszę zrobić jakiś ruch, albo się wycofać.

- I tak to główniana impreza. Miałam już sobie pójść - powiedziała. Pokiwałem głową. Chociaż jak dotąd, bawiłem się całkiem dobrze. Teraz miałem wybór. Zostać albo pójść z nią.

- Gdzie mieszkasz? - usłyszałem swój głos, zadający pytanie.

- Przy Sherborne, parę przecznic przed Great Horton.

- Odprowadzę cię do domu. To po drodze do akademika.

- Świetnie. Dzięki. Wezmę kurtkę.

Uśmiechnęła się do mnie, po czym zniknęła na piętrze. Nie miałem pojęcia, czemu to powiedziałem. Oprócz przekonania, że niegrzecznie byłoby zaproponować, że ją odprowadzę. Mama Mel wyskoczyła z opowieściami o Rozpruwaczu z Yorkshire, jak tylko jej córka została przyjęta na Bradford. Pomyślałem, żeby znaleźć Steve'a i powiedzieć mu, że wychodzę, ale odpuściłem. Nic złego się nie stanie, kiedy wróci i zauważy, że Suzanne i ja wyszliśmy. Przynajmniej nie będzie zwracał mi głowy.

Suzanne wróciła, ubrana w skórzaną kurtkę. Swoją, dzinsową, zgarnąłem z przedpokoju.

- No, chodź. - Uśmiechnęła się. - idziemy. Wyszedłem za nią. Zdając sobie sprawę, że ludzie patrzą.

Ze będą gadać. Wciąż nie wiedziałem, czemu to robię, ale było już za późno, żeby się wycofać.

- Jak ci się mieszka w akademiku? - spytała Suzanne po drodze.

- Chyba w porządku. Chociaż myślę, że latem będę gotowy, by wynająć

na spółkę mieszkanie. Czasami robi się już przeginka. Zero prywatności.

- To mnie też wkurzało. Od razu chciałam się stamtąd wynieść. W tym roku jest o niebo lepiej.

- Jak wygląda twoje mieszkanie? - Jak tylko to powiedziałem, zdałem sobie sprawę, że zabrzmiało to, jakbym się wpraszał.

- Dobrze, hmm, w porównaniu z paroma innymi, które widziałam.

Mam swój pokój na poddaszu. Wynajmuję razem z dwiema najlepszymi przyjaciółkami, więc jest sympatycznie.

Kiwnąłem głową. Wyobraziłem sobie, jak we trzy jedzą jutro rano tosty na śniadanie i plotkują na temat wczorajszego wieczoru.

- Nie przyszły na imprezę? - spytałem.

- Nie, obie pojechały na weekend do domu.

Nie powiedziała, że ma wolną chatę, ale tak naprawdę nie musiała.

Skręciliśmy w ulicę Sherborne, jej obcasy stukały po chodniku, jej oddech sugestywnie zawisał w powietrzu. Minęliśmy kilka domów, po czym zatrzymała się przy furtce.

- To co, wchodzisz?

Nawet nie próbowała owijać w bawełnę, proponując kawę.

Powiedziała to tonem osoby, która nie przywykła do tego, że jej się odmawia.

- Posłuchaj - zacząłem. - Nie chodzi o to, że nie mam ochoty.

- Tylko mi nie mów, że jesteś gejem, bo wiem, że nie jesteś.

- Mam dziewczynę.

- Rozumiem.

- Już długo jesteśmy ze sobą.

- Aha. Nikomu nie powiem, jeśli się tym przejmujesz. Jej ciemne oczy wpatrywały się we mnie. Szminka nie była już rozmazana, pewnie poprawiła ją, kiedy poszła po kurtkę. Czułem na policzku jej oddech, tak blisko mnie stała. Zapach jej perfum wtapiał się w pory mojej skóry.

- Naprawdę nie gryzę.

Trudno powiedzieć, jak to się stało. Chyba pochyliła się w moją stronę, ale nie jestem pewien, czy nie było odwrotnie. Chwilę później całowaliśmy się. Całowaliśmy się na poważnie, jakby od tego zależało nasze życie.

Smakowała dobrze. Bardzo dobrze. Ale nie była Mel.

- Przepraszam - powiedziałem, odsuwając się.

- O co chodzi?
- O to samo, co wcześniej.
- Nie musimy, no wiesz. Nie, jeśli tego nie chcesz.
- Bardzo cię przepraszam. Nie chodzi o ciebie. Jeśli cię to w jakikolwiek sposób pocieszy, nigdy nawet nie całowałem innej dziewczyny. Zabrnąłem już za daleko. Muszę iść, zanim będzie za późno.

Ruszyłem ulicą. Czuję się jednocześnie dobrze i źle, miałem wyrzuty sumienia. I ani razu się nie odwróciłem.

ROZDZIAŁ 25

Mel

Interpretacja roli myszki przez Mayę w klasowym przedstawieniu *Gruffalo* jest niewątpliwie nowatorska. Oczywiście należała, żeby włożyć kalosze z kreskówki *Dora the Explorer*, więc tupie, zamiast przemykać się po szkolnym korytarzu na paluszkach. Uśmiecha się szeroko, na głowie ma mysie uszy, które stopniowo się zsuwają, na palcach krążki ziemniaczane Hula-Hoops (nie wiedzieć czemu) i głośno czka. Staram się nie poruszać kamerą, co nie jest łatwe, ponieważ trzęsę się ze śmiechu. Poprosiłam o zgodę na filmowanie spotkania z rodzicami, żeby później mogła pokazać je Adamowi. To nie to samo co być tu, ale nic lepszego nie mogłam zrobić. A Maya będzie zachwycona. Tym, że będzie mogła opowiedzieć mu po kolei, co się działo, i znów zaśpiewa, najgłośniej jak potrafi, piosenkę *Gruffalo*. I będziemy mieli poczucie, w jakimś niewielkim stopniu, że Adam był częścią tego występu.

Czkawka nie odpuszcza do końca przedstawienia, ale i tak Mayi udaje się wypowiedzieć swoje dwie kwestie. Niektóre mamy uśmiechają się do mnie, gdy po zakończeniu czekamy na zewnątrz, żeby odebrać dzieci. To uśmiechy szczere, a nie, jak zazwyczaj, pełne współczucia.

- Maya była zdecydowanie gwiazdą - mówi mama Megan.

- Dziękuję. Z pewnością nie przeszła niezauważona. Niektóre z mam wyrażają żal, że ich mężom nie udało

się wyrwać wcześniej z pracy, by tu przyjść. Odchodzę na bok, nim zdadzą sobie sprawę, że mój mąż nie miał nawet szansy o to poprosić.

- Pani Taylor, mogę panią prosić na słówko?

To pani Hinchcliffe; macha do mnie sprzed głównego wejścia.

- Tak, oczywiście.

- Chodźmy do pokoju nauczycielskiego, tam będzie cicho, czego nie można powiedzieć w tej chwili o klasie pierwszaków. Co za ulga, że zostawiam na posterunku panią Smythe.

Kiwam głową i podążam za nią korytarzem do pokoju nauczycielskiego. Zastanawiam się, czy może Maya urządziła scenę, kiedy uparła się na kaloszki. Czy za chwilę usłyszę, że muszę zacząć ją trochę temperować?

- Proszę usiąść - zaprasza pani Hinchcliffe, która w czer-wono-czarnym kostiumie jak zwykle wygląda stylowo.

Przysiadam na krawędzi powlekanego winylem fotela klubowego.

Pani Hinchcliffe siada naprzeciwko mnie. Ma typową minę zatroskanej nauczycielki. W ręce trzyma zeszyt ćwiczeń i zrolowaną kartkę papieru.

- Nie chcę pani niepokoić, ale musimy chwilę porozmawiać o Mayi.
- Przepraszam, jeśli wyklócała się o kalosze. Potrafi być bardzo uparta.
- Nie chodzi o kalosze, pani Taylor. Tylko o to, co rysuje i maluje.

Ton jej głosu sprawia, że czuję się nieswojo. Raczej się nie spodziewam usłyszeć, że w domu rośnie mi geniusz malarstwa. Pani Hinchcliffe rozwija kartkę papieru.

- To Maya namalowała dzisiaj.

Pokazuje mi rysunek. Na kartce dominuje wielki dinozaur, pewnie *Tyrannosaurus rex*. A niżej, powalony na podłodze, leży człowiek.

Wszystko jest namalowane czarną farbą. Nie ma napisu „świętej pamięci”, ale równie dobrze mógłby się tu znaleźć. Spoglądam w sufit, przymykając oczy i przygryzając wargę.

- Przykro mi - mówi pani Hinchcliffe. - Nie chciałam pani denerwować. Po prostu pomyślałam, że powinna pani wiedzieć.

Właściwie nikomu w szkole nie powiedziałam, w jaki sposób Adam odniósł obrażenia, ale oczywiście czytają lokalne gazety, a poczta pantoflowa roznosi wszystko, podobnie jak i u nas w miasteczku.

Inaczej pani Hinchcliffe tak by się nie przejęła.

- W porządku. Cieszę się, że pani mi to pokazała. Nie miałam pojęcia.

W domu nic podobnego nigdy nie zrobiła.

- W jej zeszycie jest kilka rysunków przedstawiających ojca leżącego w łóżku. Wcześniej nie informowałam pani, ponieważ wiedziałam, że jest w szpitalu i wydawało się, że Maya po prostu to opisuje. Ale w ciągu ostatnich paru tygodni charakter tych rysunków się zmienił.

Wszystkie kolory są bardzo ciemne i pojawiły się dinozaury. Zechce pani rzucić okiem.

Wręcza mi zeszyt ćwiczeń. Przerzucam strony. Praktycznie na każdej jest rysunek leżącego Adama. Na jednym z nich pani Hinchcliffe pomogła jej napisać „Tatuś w szpitalu”. Ale na ostatnich stronicach łóżko stoi z pewnością w naszym domu. W pokoju jest coś, co wygląda jak telewizor i kanapa. Na kilku rysunkach również są dinozaury - za duże na zabawki, nawet biorąc pod uwagę dziecięcy brak wyczucia proporcji.

- Często rozmawia o nim w szkole? - pytam.

- Nie częściej niż inne dzieci. Oczywiście powiedziała nam, że tatuś wraca do domu. Była tym bardzo podekscytowana. Ale od tego czasu niewiele o nim wspomina.

A co, jeśli wszystko zrobiłam nie tak? A jeśli dla niej nie jest dobrze, żeby był w domu? Kiedy leżał w szpitalu, przynajmniej miała od tego chwilę wytchnienia. W domu sytuacja robi się bezwzględna. Może to dla niej za dużo, żeby sobie z tym poradzić. Powinnam się zorientować. Więcej z nią o tym rozmawiać. Nie powinnam brać za pewnik, że Maya dobrze przyjmie jego obecność w domu.

- Dziękuję, że mi pani powiedziała. Mogę wziąć je do domu, żeby z nią o tym porozmawiać?

- Naturalnie. I oczywiście chcielibyśmy pomóc, jak to tylko możliwe.

Szkolny psycholog jest do dyspozycji, gdyby chciała się pani umówić na spotkanie. Może zechce pani to przemyśleć i niedługo znów porozmawiamy.

- Tak zrobię. Dziękuję.

Pani Hinchcliffe uśmiecha się ciepło.

- Może to jest tylko coś, co Maya potrzebuje z siebie wyrzucić.

Pewnie za parę tygodni wróci do malowania motyli.

Kiwam głową i też się uśmiecham, choć podejrzewam, że tak się nie stanie.

- Może pomogłoby, gdyby umówiła ją pani na wspólną zabawę z jej koleżankami i kolegami z klasy - dodaje pani Hinchcliffe. -

Zauważyłam, że przez większość czasu bawi się sama.

Ponownie kiwam głową, jednocześnie czując wyrzuty sumienia, że jeszcze nie zaprosiłam do nas żadnej z jej koleżanek czy kolegów. Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł, żeby jej przyjaciele zobaczyli Adama. Nie chcę, żeby potem miała z tego powodu jakieś przykrości, a dzieci potrafią być okrutne, nawet w tym wieku.

- Tak. Tak, oczywiście - mówię, podczas gdy obie wstajemy.

- Proszę się nie martwić. Będę ją miała na oku - uspokaja pani Hinchcliffe.

Za bardzo mnie zatkało, żebym była w stanie coś powiedzieć.

Wychodzę, żeby poczekać z pozostałymi rodzicami. Zauważam mamę Jessiki. Nawet nie wiem, jak ma na imię. Wiem jednak, że Maya całkiem sporo opowiada o Jessice.

- Cześć, jestem Mel, mama Mayi. Zastanawiałam się, czy może Jessica

chciałaby wpaść do nas po szkole któregoś dnia, żeby się pobawić.

Przez chwilę wydaje się zaskoczona.

- A tak, to bardzo miło z twojej strony. Po szkole to będzie teraz trochę trudno, Jess jest taka zmęczona, sama wiesz, jak to jest.

- Tak, rozumiem. Maya była wykończona przez pierwsze dwa tygodnie. Może w przyszłym semestrze, jak przywykną już trochę bardziej?

- Tak, hmm, zobaczymy, jak to pójdzie, dobrze? Kiwam głową. Choć wiem, że Jess nie wpadnie do nas

w przyszłym semestrze. Ani w następnym.

Z rozmową z Mayą czekam do wieczora, kiedy kładę ją spać. Na ogół przechodzi krótki okres uspokojenia między ostatnią szaloną półgodziną a snem.

- Kochanie, pani Hinchcliffe pokazała mi dziś twoje rysunki. Chciała, żebym zobaczyła, jak dobrze sobie radzisz z wyrażaniem uczuć.

Często malujesz Tatusia, prawda skarbie?

- Tatusia łatwo namalować, bo zawsze leży. Nigdy nic nie robi.

- I jak się z tym czujesz, kochanie? - pytam, odgarniając jej włosy z twarzy.

- Smutno mi. Mój drugi tatuś bawił się ze mną.

Z trudem przełykam ślinę, starając się nie reagować na wyrażenie, którego właśnie użyła.

- A bardziej ci się podoba teraz, kiedy Tatuś jest w domu, czy lepiej było, kiedy odwiedzałaś go w szpitalu?

Maya myśli przez chwilę.

- Nie chciałam, żeby ten tatuś wracał, chciałam mojego dawnego Tatusia. Przyciągam ją do siebie, a w oczach pojawiają mi się łzy.

- Już dobrze, kochanie. Wyrzuć to wszystko z siebie. Już dobrze.

Kiedy Maya przestaje łkać i zasypia, spieszę na dół, bo nie było mnie dłuższą chwilę. Otwieram drzwi salonu i rozglądam się, nie chcąc podchodzić od razu, żeby Adam nie widział mnie w tym stanie.

Oczywiście wszystko z nim w porządku. To znaczy nie w porządku, ale tak samo jak zwykle. Wymykam się z pokoju i opadam na dolny schodek, starając się opanować. Żałuję, że nie mam zaczarowanego ołówka, którym mogłabym narysować na jej twarzy uśmiech. Ale nie potrafię tego zrobić. To tak, jakby ktoś chwycił naszą rodzinę, wyszarpał z miłego, bezpiecznego życia i rzucił w otchłań. Z której żadne z nas nie zdoła uciec. W której będzie

już tylko gorzej.

Słyszę znajome pukanie do drzwi. Nawet nie wiem, jaki dziś dzień. W pierwszej chwili chcę pukającego zignorować, mając nadzieję, że sobie pójdzie. Ale wiem, że tego nie zrobi. Na pewno zadzwoni na komórkę.

Na bank upewni się, czy wszystko w porządku. I choć jakaś część mnie jest zła na to najście, inna część czuje ulgę, że będę miała z kim porozmawiać.

Otwieram drzwi. Nadzieja, że Steve nie zauważy, okazuje się płonna.

- Hej. Co się stało?

- Wszystko jest nie tak. Absolutnie wszystko.

Twarz znów mi się wykrzywia. Steve obejmuje mnie ramieniem i prowadzi do kuchni, sadza na krześle, a sam kuca naprzeciwko.

- Powiedz mi. Powiedz, co się stało. Głośno pociągam nosem.

- Maya maluje, jak dinozaury mordują Adama. Wszystkie jej rysunki są czarne. Jakby był jakimś żywym trupem. Jej nauczycielka mówi, że to się zaczęło mniej więcej wtedy, kiedy Adam wrócił do domu. Myślę, że w ogóle sobie z tym nie radzi. I czuję się okropnie, że sama nie zauważyłam, co się dzieje z moją własną córką.

Pochyliam głowę. Steve przyciąga mnie do swojej klatki piersiowej.

Jego ramiona zamykają się wokół mnie, a ja zdaję sobie sprawę, jak bardzo tęsknię za kontaktem fizycznym. Jak dobrze poczuć, że ktoś mnie obejmuje. Szlocham, dopóki nie poczuję na policzku, że jego polar wilgotnieje.

- Przepraszam - mówię, gdy podaje mi chusteczkę ze stojącego na stole pudełka.

- Nie bądź niemądra. Kto ma prawo się rozklejać, jak nie ty.

Wydmuchuję nos.

- Myślałam, że sytuacja się poprawi, kiedy sprowadzę go do domu.

Myślałam, że jakoś na powrót staniemy się szczęśliwą rodziną. Nie mogę uwierzyć, że byłam tak głupia.

- Wierzyłaś w to, w co chciałaś wierzyć. To zrozumiałe. I)ła wszystkich.

- Wszyscy myślicie, że jestem stuknięta. Uparta jak osioł, obłąkana kobieta.

- Pełna determinacji, a nie uparta jak osioł. Kiedy zawieźmiesz się na coś, nic nie jest w stanie cię powstrzymać. Zawsze taka byłaś. Od kiedy cię znam.

Spuszczam wzrok. Czasami o tym zapominam. Jak długo już się znamy?

- I zawsze stawiasz innych na pierwszym miejscu. Zawsze - dodaje Steve.

- Daj spokój, robisz ze mnie jakąś męczennicę. Głos Steve'a łagodnieje.

- Mam ogromny szacunek do tego, co robisz dla Adama, ale to nie musi być aż takim ciężarem dla ciebie i Mayi.

- Co masz na myśli?

- Wiem, że nie chcesz umieszczać Adama w domu opieki na dobre, ale może pomagaliby ci okresowo? Od czasu do czasu mógłby się przenieść do takiego domu na tydzień albo dwa, żebyście mogły mieć z Mayą zasłużony odpoczynek.

- Nie... Nie wiem. Tak naprawdę nie myślałam o tym.

- Jeśli Maya źle to znosi, może powinnaś to zrobić dla niej. Adam by zrozumiał. Ostatnie, czego by chciał, to patrzeć, jak ty albo ona cierpicie. Dobrze o tym wiesz.

Ma rację. Wiem o tym. Ale pomyśl, żeby odesłać Adama, nawet na krótko, gdy przecież tak ciężko walczyłam, żeby ściągnąć go do domu, wydaje się niedorzeczny.

Wzruszam ramionami.

- To jakoś jednak jest niewłaściwe.

- Nie wysyłasz go do komory gazowej. Mówimy o domu opieki. O miejscu, w którym dobrze się nim zajmą. A ty i Maya będziecie miały szansę na jakieś życie w przerwach między wizytami u niego.

Steve trzyma mnie za rękę. Czuję, że chce, żebym to zrobiła. I muszę przyznać, że ma sporo racji. Mogłabym zaprosić przyjaciół Mayi. Dać ich mamom znać, że Adama nie będzie. Ale mimo wszystko coś mnie powstrzymuje. Coś w głębi serca.

- Ale nie będzie czuł się kochany. Po prostu będzie kolejnym pacjentem. W głębi serca czuję, że nikt inny nie będzie się nim opiekował tak jak ja.

- Może i nie, ale otrzyma profesjonalną opiekę dwadzieścia cztery godziny na dobę. I nie będzie go tylko parę tygodni.

- Nie wiem. To nadal brzmi źle. Wciąż myślę o wszystkim, przez co przeszedł. Nie zasługuje na to, żeby go zapakować i odesłać jak paczkę.

Steve puszcza mnie i wstaje gwałtownie. Czuję jego rozdrażnienie i chcę postąpić właściwie. Po prostu nie mam już pewności, co będzie właściwe.

- On by tak z tobą zrobił - mówi Steve.

- Słucham?

- Gdyby było odwrotnie, gdybyś to ty tam leżała. Adam umieściłby cię w domu opieki. Na dobre.

- Nie zrobiłby tego.

- Oczywiście, że tak. Nie obrabiam mu tyłka. Mówię tylko, że ty jesteś jedna na milion. Nikt inny, kogo znam, nie zrobił tego, co ty, wliczając w to mnie i Adama.

- Czemu to mówisz?

- Bo to prawda. Po prostu jestem szczery. To tak, jak ktoś umiera i wszyscy opowiadają, jaki był cudowny. Nikt nie ośmieli się powiedzieć niczego złego. Ani nawet niczego, co sprawiłoby, że ta osoba wydałaby się zwyczajna. Ale nie chcę patrzeć, jak się wykańczasz, nie skorzystawszy z okresowej opieki, bo myślisz, że on jest jakimś świętym. Mel, uwielbiam go, to mój najlepszy przyjaciel.

Ale nie jest tak, że nigdy nie zrobił nic złego.

Widzę, jak szczęka mu się zaciska ze zgrzytem, a usta zamykają. Ale jest już za późno. Powiedział coś, czego nie powinien powiedzieć.

Widzę to po jego oczach.

- Co masz na myśli?

- Nic.

- Właśnie, że coś. Jeśli wiesz o czymś, czego ja nie wiem, to chcę o tym usłyszeć.

- Są pewne rzeczy, których lepiej nie wiedzieć.

- O nie. Tak się nie wywiniesz. Zacząłeś, więc masz mi powiedzieć, co wiesz.

Steve przewraca oczami i patrzy w sufit.

- Posłuchaj, nie powinienem nic mówić.

- Ale powiedziałeś, więc już za późno.

Odwraca się do ściany. Czuję skurcz żołądka. Co może być tak straszne, że nie jest nawet w stanie spojrzeć mi w oczy?

- Steve, naprawdę. Chcę wiedzieć.

- Ale to było dawno temu.

- Co?

Steve wzdycha.

- Jego chwila zapomnienia.

- O czym ty mówisz?

- Na pierwszym roku studiów. Była impreza. Tak naprawdę nikt nas nie

zaprosił. Nawet nie pamiętam, jak tam wylądowaliśmy.

Wysilam mózg, próbując sobie przypomnieć. Starając się dojść, czemu mnie tam nie było.

- Mów dalej.

- Cóż, była tam laska. Z drugiego roku. Cały wieczór gapiała się na niego. Poszedłem po drinki i jak wróciłem, już ich nie było.

- Więc?

- To nie był zbieg okoliczności. Ktoś powiedział, że wyszli razem.

- To nie znaczy, że do czegoś doszło.

- Mel, przykro mi, ale następnego dnia go spytałem. Nawet nie zaprzeczył.

Potrząsam głową.

- Nie. Nie wierzę. Nie zrobiłby mi tego.

- Posłuchaj. Nie twierdzę, że to znaczyło coś więcej. Mówię tylko, że się zdarzyło.

- Nie. Mówił mi, że nigdy nie był z nikim innym.

- Oczywiście, że ci tak mówił. Przecież by się nie przyznał. Pewnie myślał, że jak nie będziesz o tym wiedziała, to cię to nie zrani.

Kręcę głową. Teraz żałuję, że spytałam. Wolałabym żyć dalej w błogiej nieświadomości. Nadal nie wierzę, że Adam mógł to zrobić.

Ale nie wiem też, czemu Steve miałby coś takiego zmyślać.

Spuszczam wzrok, usilnie próbując mruganiem odgonić łzy.

- Chodź.

Stawia mnie na nogi i obejmuje. Jego ręce są opiekuńcze, przytrzymują mnie, próbują odgonić ból. Potrzebuję tego bardziej niż czegokolwiek. Ale nie są to ręce Adama. Odsuwam je.

- Myślę, że powinieneś już iść.

Steve spogląda na mnie, jego ciemne oczy palą intensywnie. Wygląda na dotkniętego.

- Ale miałem posiedzieć z Adamem, pozwolić ci położyć się wcześniej.

- Dzięki, ale nie. Muszę pobyć z Adamem. Sama.

- Posłuchaj, przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak wyszło. Ale wiem, że Adam wolałby nie patrzeć, jak ty i Maya cierpicie.

- Rozumiem.

- Pomyśl o tym, co powiedziałem, dobrze? I jeśli czegokolwiek będziesz potrzebowała, zadzwoń do mnie. Wszystko jedno kiedy. W

dzień czy w nocy.

Bierze kurtkę i wychodzi. Odczekuję chwilę. Nim pójde zobaczyć się z Adamem, staram się znów przybrać promienny, energiczny wyraz twarzy. Dopiero kiedy wchodzę do przedpokoju, zauważam, że drzwi do salonu cały czas były otwarte.

ROZDZIAŁ 26

Widzę to po minie Mel. Ma świadomość, że mogłem wszystko słyszeć. Zastanawia się, czy jakoś to skomentować, czy też może przemilczeć. Chce mi się krzyczeć: „To gnojek! To pierdolony, kłamliwy gnojek! Nie wierz w ani jedno jego słowo”. Ale jednocześnie sam chcę się kopnąć za to, że byłem tak głupi. Steve miał rację, nie zaprzeczyłem. Miałem dziewiętnaście lat. Chciałem, żeby się odczepił.

Powiedziałem mu, że może sobie wierzyć, w co chce. Że mało mnie to obchodzi. Jednak mimo wszystko myślałem, że rozpozna nonszalancję z mojej strony, bo przecież wiedział, jak bardzo kocham Mel.

Wiedział, że nigdy nie mógłbym zrobić jej czegoś takiego. Że wystarczająco źle bym się czuł, pocałowawszy inną dziewczynę.

Mel, uśmiechając się, podchodzi do łóżka. Wiem, że to uśmiech wymuszony. Widzę, że płakała. Zawsze potrafiłem to dostrzec.

Wygląda też na strasznie steraną. Widzę, jak przelżyka ślinę. Ale wciąż nic nie mówi. Zaczyna wieczorne przygotowania, jakby leciała na autopilocie. Gromadzi wokół siebie potrzebne rzeczy. Trochę czasu zajęło jej, nim rozeznała się w odsysaniu, ale teraz radzi sobie równie dobrze jak pielęgniarki. Naprawdę nie widzę różnicy. Kiedy skończy,

bierze elektryczną szczoteczkę i zaczyna myć mi zęby. Może mu uwierzyła. Może odkaża mnie od środka. Za minutę opróżni worek z sikami, który leży mi na nodze, i wyciągnie ze mnie kupę. Nie mamy już przed sobą żadnych tajemnic.

Nie usłyszałem wszystkiego. Słyszałem, jak Steve spytał, co się stało, a Mel odpowiedziała, że wszystko jest nie tak. Potem pewnie na chwilę odpłynąłem, dochodził do mnie tylko szmer rozmowy. Ale ich głosy zaczęły narastać. Wróciłem w okolicach „Co masz na myśli?”. Resztę usłyszałem. Słuch mi się wyostrzył. Może aż za bardzo.

Mel wraca, umywszy ręce, usuwa pustą saszetkę z pokarmem, która znajduje się na końcu rurki, i podcina saszetkę z wodą. Nocą jestem nawadniany i dobrze się składa, bo teraz chyba nie zdołałbym przełknąć tego

substytutu jedzenia, który wpompowuje się we mnie rurką.

Dlaczego? Cały czas pytam się o to samo. Dlaczego Steve mi to robi?

Czyżby nie słyszał powiedzenia: „Nie kopie się leżącego”? W moim przypadku gorzej niż leżącego. Sparaliżowanego i niemego, na miłość boską. Możliwość sprostowania jest tak bardzo poza moim zasięgiem, że nawet nie widać jej na horyzoncie.

Mel już skończyła. Przynajmniej obowiązki pielęgniarki. Ale posiedzi ze mną jeszcze trochę. Będzie mnie pilnować, dopóki nie przyjdzie opiekunka. Chyba wspomniała, że dziś będzie to Margaret.

Kiedy Mel zawisa nade mną, próbuję przejrzeć jej spojrzenie.

Spróbować dostrzec jakiś przebłysk tego, co dzieje się w jej głowie.

- Kocham cię - szeptem, głaszcząc mnie po policzku. - I nic nigdy tego nie zmieni.

Wiem, że ona nie chce w to wszystko wierzyć. Ale wciąż nie mam pojęcia, czy przypadkiem nie uwierzyła.

*

Zabawne, ilu chłopców przyszło na pokaz gimnastyczny. Zazwyczaj nic nie było w stanie zatrzymać nas w szkole ani skusić do pojawienia się w niej po lekcjach. Ale doroczny pokaz gimnastyczny to coś zupełnie innego. Oznaczał możliwość oglądania dziewczyn w trykotach. Dziewczyn, które rozkwitały, stając się kobietami.

Dziewczyn, które nie nosiły jeszcze psujących zabawę sportowych staników. O tym oczywiście nie wspominaliśmy rodzicom.

Udawaliśmy, że interesuje nas oglądanie kolegów z klubu gimnastycznego, wykonujących skoki przez skrzynię. Tymczasem ta konkurencja była najmniej interesującym punktem wieczoru. Trzeba ją było przeczekać, żeby zobaczyć, jak dziewczyny, na przykład Mel Summerskill, robią szpagat w powietrzu, skacząc na trampolinie. Była śliczna. Najładniejsza dziewczyna z naszego rocznika. Włosy miała upięte w kucyk, z dwoma pasemkami obramowującymi twarz w kształcie serca. Przypominała mi porcelanową laleczkę, która ożyła.

Mała, ale o idealnych proporcjach. Zwłaszcza w stroju gimnastycznym.

- Dobra. - Steve zdołał się jakoś przepchać i znalazł trochę wolnego miejsca na macie obok mnie. Tak naprawdę to powinien zostać z tyłu, bo był najwyższy z naszego rocznika. Ale oczywiście chciał siedzieć tuż przy ringu.

- Ta - powiedziałem. - Dobra to będzie, jak się zacnie.

- Będę przyznawał im oceny do dziesięciu, za wrażenie artystyczne -

odparł.

Uśmiechnąłem się do niego szeroko i poniosłem wzrok, ponieważ zaczęła grać muzyka. Członkowie klubu gimnastycznego wypełnili halę, stopy mieli ściągnięte, ich ramiona kołysały się w rytm muzyki.

- Jest twój tata? - spytał Steve.

To naprawdę było głupie, skoro wiedział, że moja mama parę miesięcy temu nawiała do Australii z jakimś faciem o imieniu Graeme.

- Ta. Gdzieś tam jest. - Wskazałem gestem rzędy krzeseł po prawej.

Steve kiwnął głową.

- Mój stary ogląda mecz. Przyproceedziła mnie mama.

Podczas rozmowy oczy cały czas mieliśmy utkwione w głównej scenie, żeby niczego nie przegapić. Najpierw, jak zawsze, prezentowali się chłopcy. Neil Kirby z czwartej klasy zrobił salto przez konia, nawet go nie dotknąwszy. Jakaś część mnie chciała, żebym też tak potrafił.

Może i dałbym radę, gdybym spróbował. Ale wolałem biegać na powietrzu, grać w rugby albo piłkę, cokolwiek, byle nie być uwięzionym w zamkniętym pomieszczeniu.

Dziewczynki ustawiły się w szeregu, czekając na swoją kolej. Mel Summerskill szykowała się do występu na trampolinie, która była najbliżej nas. Miała wystąpić jako trzecia. Obserwowałem, jak się rozgrzewa, porusza ramionami niczym sprinter, przyciska mocno nogi do podłogi, a ćwiczeniom tym towarzyszyły interesujące wstawki, kiedy trzęsła się jak oszaląła. Idealnie wylądowała na macie, nogi złączone, wygięte plecy, ręce wyciągnięte, obróciła się i przeszła tuż obok nas. Wówczas zobaczyłem, że patrzy na nią Steve. Nie ślinił się na jej widok, jak to było z paroma innymi dziewczynami, ale wpatrywał się w nią tak intensywnie, że bałem się, by lada chwila nie stanął w płomieniach. Już miałem coś powiedzieć, ale nim to zrobiłem, na trampolinie podskakiwała Karen James. Karen była duża. Robiła w trampolinie spore wgniecenia. Steve zaczął się śmiać, a ja wiedziałem, że ten moment już minął i jeśli teraz coś mu powiem, wyprze się wszystkiego.

Problemy pojawiły się następnego ranka przed lekcjami. Robert Hopwood, zwany Hoppo, powinien mieć słowo „kłopoty” wytatuowane na czole.

- Patrzcie, idą szkolne pedały - powiedział, kiedy Steve i ja weszliśmy na

plac zabaw.

Słyszeliśmy to już wcześniej. Ponieważ Hoppo nie miał najlepszego przyjaciela, odgrywał się na tych, którzy mieli. Nie zwracaliśmy na niego uwagi. Nauczyliśmy się, że tak jest najlepiej. Jednak tym razem nie działało.

- Taylor, widziałem was wczoraj. Gapiliście się na tyłek Neila Kirby'ego.

Paru innych chłopaków zaczęło się śmiać. Tego tylko mu było trzeba.

- Lepiej uważaj, Dawson, twój przyjaciel może szykuje się, żeby wymienić cię na starszy model.

- Odwał się - warknął Steve.

To też był błąd. Nie wolno było pokazać mu, że cię wkurzył.

- Ooo, jacy dzisiaj jesteśmy drażliwi, co? Nie chciał ci wczoraj obciągnąć?

- Coś ci się pomyliło, Hoppo - powiedziałem.

- Naprawdę? Udowodnij.

- O czym ty mówisz?

- Udowodnij, że nie jesteś ciotą.

- A jak niby mam to zrobić?

- Olej Dawsona i umów się z jakąś dziewczyną.

- To niczego nie udowodni.

- Widzisz? Nie jesteś w stanie tego zrobić.

Hoppo podszedł bliżej. Nie był tak wysoki jak Steve, ale był duży i miał wredną, kwadratową twarz. Wokół nas zebrał się tłumek chłopaków, którzy bez dwóch zdań odczuwali ulgę, że to nie na nich dziś się wyżywa.

- Hoppo, przestań się zachowywać jak przygłup. - Steve miał przykry zwyczaj pogarszania tego typu sytuacji.

- Coś nie tak? - odparł szyderczo Hoppo. - Boisz się, że go stracisz?

- Przestań - powiedziałem.

- Tylko jeśli zrobisz, co mówię.

Tłumek pęczniał. Miałem nadzieję, że któryś z nauczycieli to zobaczy i wyjdzie, żeby przerwać, ale nie było śladu nikogo dorosłego.

- Może być ona. - Wskazał palcem na drugi kraniec placu zabaw, gdzie Mel siedziała na murku z kilkoma koleżankami. Paru chłopaków zaczęło się śmiać.

- A co, jeśli tego nie zrobię?

- To wszyscy będą wiedzieli, że to prawda. Że jesteście z Dawsonem ciotami. I w takim razie spuścimy wam po lekcjach łomot.

Nie brzmiało to zachęcająco. Hoppo był pod tym względem recydywistą. Dopiero co wrócił po zawieszeniu za poprzednią bójkę.

Zerknąłem na Steve'a. Wydawało się, że nie jest w stanie nic powiedzieć. Szczękę miał zaciśniętą, cały był usztywniony. Nie bardzo widziałem, żebym miał wybór. To był jedyny sposób, żeby to szybko zakończyć. Poprosiłbym ją, ona odpowiedziałaby „nie” i do następnej przerwy wszyscy zapomnieliby o sprawie.

- Dobrze - oznajmiłem. - Żebyś się tylko zamknął. Obróciłem się i zobaczyłem, że Steve się we mnie wpatruje.

Jakby nie wierzył w to, co właśnie powiedziałem. Przedarłem się przez krąg chłopaków i ruszyłem ku odległemu krańcowi placu zabaw.

Mel podniosła wzrok. Pewnie zastanawiała się, co u licha się dzieje.

Czemu pół szkoły się na nią gapi.

- Cześć - powiedziałem. - Wczoraj naprawdę świetnie ci poszło.

Jej przyjaciółki zaczęły chichotać, ale były na tyle łaskawe, że odeszły na parę kroków.

- Ojej, dziękuję. - Spuściła wzrok.

- Zastanawiałem się. Czy, hmm... Czy może chciałabyś się kiedyś ze mną umówić. Może do kina albo coś.

Podniosła oczy. Twarz jej się rozpromieniła.

- Tak - odpowiedziała bez wahania. - Bardzo chętnie. Kiwnąłem głową. Byłem tak zdumiony jej odpowiedzią, że nie miałem pojęcia, co teraz.

- Aha. Świetnie. W takim razie do zobaczenia później. Odwróciłem się i uroczystym krokiem wróciłem do Hoppo i pozostałych chłopaków, z trudem powstrzymując uśmiech.

- Spławiła cię? - spytał Hoppo.

- Nie. Właśnie, że nie. Zgodziła się.

- Złamas - powiedział Hoppo.

Splunął na ziemię i odszedł. Pozostali chłopacy też się rozeszli.

Zostałem tylko ja i Steve. Myślałem, że może podziękuję mi, że uchroniłem go przed pobiciem. Ale nie zrobił tego. Stał z taką miną, jakby lepszym wyjściem było dać się zlać.

Moja świadomość wraca do salonu. Czyli o to chodzi. On nadal się w niej kocha. Steve jest zakochany w mojej żonie. Nigdy nie przestał jej kochać. Dlatego rozstał się z Louise. Jak to powiedział? „Przez te wszystkie lata żyłem w kłamstwie i byłoby nie w porządku, gdyby miało to trwać dalej”.

Ożeż, kurwa. Dzięki mojemu wypadkowi nadarzyła mu się sposobność. Próbuje startować do Mel. To dlatego tak pieprzył o tym, że będzie przychodził pomagać jej w domu. Czekał

na to, czekał, aż wypadnę z gry. Dlatego powiedział jej o tej dziewczynie z uniwerku. Wie, że z nią nie spałem. Specjalnie o tym powiedział. Próbuje sprawić, żeby Mel przestała mnie kochać. Próbuje nas rozdzielić. Bo chce jej dla siebie.

Mel nadal siedzi obok mnie. Czyta książkę. Nie ma pojęcia. Błędgo pojęcia. Muszę jej jakoś o tym powiedzieć.

ROZDZIAŁ 27

Mel

Jak tylko dziewczynki wchodzi do klasy, zdaję sobie sprawę, że wyglądam jak śmierć na chorągwi. Każda z nich ma jędrną skórę, błyszczące oczy i ślicznie umalowaną twarz, a ja pod oczami mam ciemne pręgi i dobrze wiem, że pomimo pospiesznego maźnięcia ust szminką i rzęs tuszem robię kiepskie wrażenie.

- Fajna impreza wczoraj była, co? - Gemma uśmiecha się szeroko.

Zazwyczaj lubię sobie trochę z nimi pożartować, ale dziś nie jestem w nastroju. Prawie nie zmrużyłam oka, w głowie kołatały mi słowa Steve'a. Nie wierzę mu. Nie wierzę, że Adam by mi to zrobił, nawet dawno temu. Jednak nadal też nie rozumiem, czemu Steve miałby to wymyślać. Jedyne odpowiedź, która się nasuwa, jest tak głupia, tak niedorzeczna. Nie chcę nawet o tym myśleć. Ale fakt pozostaje faktem, że zasiał we mnie podejrzliwość, która nie daje mi spokoju.

- Obawiam się, Gemmo, że nie. Kiedy zakłada się rodzinę, nie ma już zbyt wielu okazji do szampańskiej zabawy.

- Moja siostra i jej chłopak ciągle wieczorami gdzieś wychodzą.

Córeczkę zostawiają na głowie mojej mamy.

- Ale nie każdy ma taką możliwość. Czasami życie rodzinne jest bardziej skomplikowane. - Mówiąc to, łapię spojrzenie Cary. Spuszcza wzrok. Nie chciałam, żeby pomyślała, że mówię o niej.

- Jak pani chce, mogę popilnować pani dziecka - deklaruje Lauren.

Uśmiecham się. Tak bardzo żałuję, że nie mogę skorzystać z jej propozycji.

- Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony.

- Wszystkie możemy popilnować na zmianę - dodaje Haleema. - Żeby pani z mężem mogła częściej wyjść na miasto. Możemy? To by było dla nas jak doświadczenie zawodowe. I założę się, że pani córeczka jest naprawdę słodka.

Pozostałe dziewczynki wyrażają aprobatę dla tego pomysłu. Na ich twarzach maluje się oczekiwanie. Muszę im powiedzieć. Tylko w ten sposób nie zranię ich uczuć.

- To bardzo miłe z waszej strony, ale niestety muszę się opiekować nie tylko moją córeczką. Zajmuję się też moim mężem.

- Dlaczego? Co z nim nie tak? - pyta Haleema. Biorę głęboki oddech.

- W maju miał wypadek w pracy. Przez jakiś czas był w śpiączce.

Teraz otworzył oczy, ale nadal jest w stanie, który nazywa się wegetatywny.

W sali zapada cisza. Dziewczynki wyraźnie nie miały o tym pojęcia.

- To znaczy, że co? Nie może się ruszyć? - pyta Gemma.

- Nie. Ani mówić.

- To dlaczego nie leży w szpitalu? - chce wiedzieć Lauren.

- Przez długi czas leżał. Ale już nic więcej nie mogą dla niego zrobić.

Dlatego zabrałam go do domu.

- A nie można go wysłać do jakiegoś domu opieki?

- Haleema, można, ale chciałam *zabrać* go do domu, żebym mogła sama się nim opiekować.

Salę znów wypełnia cisza.

- To musi być naprawdę ciężka robota — mówi Cara.

- Na pewno, ale nie żałuję, że to robię. Ani przez chwilę. Parę dziewczynek kiwa głową. Kilka innych uśmiecha się wspierająco.

- W każdym razie - chcę już zmienić temat - weźmy się do roboty.

Dzisiaj przyjrzymy się kolejnym etapom rozwoju dziecka.

Po lekcji Cara czeka, aż pozostałe dziewczynki wyjdą z sali, po czym podchodzi do mojego biurka.

- Dlatego rzuciła pani pracę na uniwersytecie, prawda? Bo musi się pani opiekować mężem.

- Tak. To prawda.

- Cokolwiek się zdarzy, myślę, że robi pani świetną rzecz. Stawiając go na pierwszym miejscu i poświęcając się tak.

- Dziękuję, ty też nie masz chyba zbyt wielu wolnych wieczorów.

- Nie, ale tale już jest, prawda? Znaczy, jak się kogoś kocha. Próbuję coś powiedzieć, ale nie jestem w stanie wydobyć słowa, więc tylko kiwam głową.

Do domu wracam akurat na czas, by zwolnić opiekunkę, która przychodzi w piątki rano. Łapię tost i zabieram go ze sobą do salonu.

Nie lubię jeść na oczach Adama. Obawiam się, że to może być jak lizanie lodów w obecności kogoś, kto jest na diecie.

- W porządku - mówię. - Posmarowałam go masłem orzechowym.

Adam nie cierpi masła orzechowego. Mam nadzieję, że gdzieś tam w środku zdoła się uśmiechnąć.

- Kurde, kochana - mówi Denise, kiedy niedługo później otwieram jej drzwi. - Ma pani większe wory pod oczami niż ja, a rzadko się zdarza, że mogę to komuś powiedzieć. Znowu siedziała pani w nocy przy Adamie?

- Nie, właściwie to będę siedziała dziś w nocy i jutro.

- Wykończy się pani, naprawdę. - Stawia w przedpokoju swój ekwipunek do sprzątnia.

Próbuję się uśmiechnąć, ale okazuje się, że tylko drży mi dolna warga. Idę szybko do kuchni, bo nie chcę, żeby Adam znów usłyszał, jak szlocham. Ani żeby Denise musiała zbierać mnie z podłogi razem z resztą śmieci. Podąża za mną, trzymając w ręce mop.

- Niektórzy myślą, że jak sprzątaczką, to na pewno bystra jak gówno w klozecie. Wiem, że pani tak nie uważa i wiem, że zdaje sobie pani sprawę, jak niewiele mi umyka. Więc nie musi pani zgrywać chojraka.

Uśmiecham się łzawo i mrugam, żeby rozproszyć łzy.

- No, dawaj, kochana, niech panią uściskam. Się pani nie martwi, mam czyste ubranie - mówi Denise.

Parę sekund później ściskam jej silną sylwetkę, na której można się oprzeć. Czuję się przy tym słaba i żalosna.

- Przepraszam - mówię. - Nie powinna pani wycierać po mnie łez, to nie należy do pani obowiązków.

- Zdziwiłaby się pani, jak często muszę to robić. Zwłaszcza, wie pani, niektóre starsze klientki są okropnie samotne. Niektóre z nich wcale nie potrzebują sprzątaczkę, same utrzymują porządek, widzę to. Chcą tylko mieć jakieś towarzystwo. Smutne, prawda? Starsi ludzie, którzy muszą płacić, żeby mieć z kimś porozmawiać. Ale jednocześnie są zbyt dumni, żeby się do

tego przyznać.

- Wiem, że również Adamowi poprawia pani humor. Żałuję tylko, że nie może nic pani odpowiedzieć. Mielibyście niezłą zabawę.

- Tęskni pani za nim.

Kiwam głową, siadając przy kuchennym stole.

- Tak bardzo za nim tęsknię, że czasami ciężko mi w ogóle funkcjonować. Problem w tym, że nie wiem, jak długo jeszcze dam radę. Najlepszy przyjaciel Adama zaproponował, żebym załatwiła tymczasową opiekę, tylko na parę tygodni. Ale nie wiem. Jakoś nie wydaje mi się to właściwe pozbyć się go z domu, żebym mogła zrobić sobie przerwę.

- Ale jaki dla niego pożytek z pani, jeśli cały czas jest pani wykończona? Wiem, że nigdy nie miałam okazji normalnie sobie z pani Adamem porozmawiać, ale jestem pewna, że nie jest typem faceta, który chciałby, żeby pani tak się czuła.

- Więc nie sądzi pani, że będę okropną osobą, jeśli załatwię tymczasową opiekę?

- Oczywiście, że nie. Pewnie dobija go, jak tak na panią patrzy.

Założę się, że chciałby, żeby trochę pani odpoczęła. Pani wie, że niczego nie musi pani udowadniać. Każdy widzi, jak bardzo pani go kocha. I przecież nie przestanie go pani kochać tylko dlatego, że przez parę tygodni nie będzie go w domu. I on też nie przestanie pani kochać.

Kiwam głową.

- Powinam pani płacić nie tylko za sprzątanie, ale i za terapię.

- Wszystko wliczone w usługę - odpowiada. - A teraz pytanie. Czy świat się zawali, jeśli w tym tygodniu nie posprzątam pani domu?

Zaprzeczam.

- Więc niech pani pozwoli mi posiedzieć z Adamem, a pani niech na parę godzin uderzy w kimono.

- Jest pani pewna?

- Czego? Ze wolę posiedzieć z filiżanką herbaty i popap-lać, zamiast sprzątać bałagan? A jak pani sądzi?

Uśmiecham się.

- Nie musi pani nic robić. Dopiero co podałam mu więcej jedzenia.

Będzie dobrze.

- Wiem, że tak. Opowiem mu jakieś historie o tym, co widzę, jak

sprzątam ludziom w domach. To go rozbawi. A pani niech idzie i się kładzie.

Wykonuję jej polecenie. Z każdym schodkiem, na który się wspinam, czuję, że ciężar staje się odrobinę lżejszy, do tego stopnia, że na górze postrzegam wszystko choć trochę jaśniej, niż się spodziewałam.

Ostatnie, co słyszę, zanim odpłynę, to jak się Adam śmieje, słuchając opowieści Denise. Oczywiście wyobrażam to sobie, ale mimo wszystko mam w uszach jego śmiech. W ten sposób zawsze słyszę, co się dzieje w jego głowie.

Decyduję się tego samego dnia po południu, po wyjściu Denise.

Wiem, że jeśli będę zwlekać choć chwilę dłużej, wystraszę się i wycofam. Postanawiam wybrać ten, który jest na górze sterty folderów przekazanych mi przez doktora McKee. Z jakiegoś powodu wciąż pamiętam nazwę: Dom Opieki Hazelwood House w Littleborough.

Kiedy spoglądam na mapę w internecie, odkrywam, że Adam mijał go każdego dnia, jadąc do pracy i wracając. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

Telefon od razu odbiera kobieta o energicznym głosie. Przedstawiam się i mówię, że mój mąż jest w stanie wegetatywnym i chciałabym zapytać o tymczasową opiekę. Tylko na tydzień, dwa. Mój głos, kiedy to mówię, brzmi obco, a jeszcze bardziej opis Adama, który jej podaję.

Kobieta zadaje mi kilka pytań. Wyobrażam sobie po drugiej stronie słuchawki rodzaj kwestionariusza, w którym odhacza kolejne pozycje.

Wydaje się, że Adam przeszedł test. Kobieta pyta mnie, kiedy chciałabym przyjechać, żeby się rozejrzeć. I tak,

parę minut później, kończę rozmowę, ustalwszy termin wizyty na jutro.

Pod pewnymi względami następna rozmowa telefoniczna jest jeszcze trudniejsza niż ta pierwsza.

- Cześć, tu Mel - mówię, kiedy Mama odbiera.

- Dzień dobry. Wszystko w porządku?

Jestem pewna, że zorientowała się po tonie mojego głosu.

- Tak, dziękuję. Zastanawiałam się, czy moglibyście z Tatą wyświadczyć mi jutro ogromną przysługę i popilnować Adama i Mayi.

Wiem, że dzwonię w ostatniej chwili, ale muszę gdzieś pojechać.

- Tak, myślę, że damy radę. Ojciec do południa uwinie się z pociągami.

- Dziękuję. Naprawdę jestem wam wdzięczna. Tylko na dwie godzinki.

- A gdzie się wybierasz?

Upewniam się, że drzwi do kuchni są zamknięte, ale i tak ściszam głos.

- Pojadę do domu opieki w Littleborough...

- Jak się cieszę, że poszłaś po rozum do głowy. Melanie, tak będzie najlepiej, jestem tego pewna.

- Nie. Chodzi o opiekę tymczasową. Tylko na tydzień. Nie wyślę go do żadnego domu. Myślałam, że już to sobie wyjaśniłyśmy.

- Aha, rozumiem. Miałam nadzieję... Cóż, nieważne. Może mimo wszystko, jak już tam będzie, zmienisz zdanie.

Odsuwam telefon od ucha. Pewnie wszyscy tak myślą. Ze odpuściłam. I jak Adam raz się tam znajdzie, to już pewnie nigdy nie wróci.

- Bądź grzeczna dla Dziadka - mówię, całując Mayę na pożegnanie. - I obejrzyj sobie *Zakochanego wilczka*.

- Na pewno nie ma tam żadnych dinozaurów?

Nie chce oglądać *Toy Story* na DVD, ponieważ występuje tam Rex, dinozaur zabawka.

- Jestem pewna. Kochanie, to film o parce wilczków. W porządku? Kiwa głową.

- Udanych zakupów z Luiz.

Mama spogląda na mnie. Nie mogłam wyjawic Mayi prawdziwego powodu. Choć teraz jest jej ciężko, wiem, że nie chciałaby, by Adam zniknął. Nawet na kilka dni. Przez okno widzę, że podjechała Louise.

Pora na mnie.

- Cześć. Dzięki - mówię, wsiadając do auta. - Nie sądzę, że bym dała radę pojechać tam sama.

- Nie ma problemu. Jak się czujesz?

- Nieźle roztrzęsiona. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak bym się czuła, gdybym myślała o umieszczeniu go w domu opieki na dobre.

- Mel, to tylko tydzień i będzie miał profesjonalną opiekę dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Steve powiedział dokładnie to samo.

- Aha. Czyli mu powiedziałaś.

- Właściwie to on to zaproponował. Z początku nie byłam pewna. I nie chcę, by Steve myślał, że zdecydowałam się, bo mi to powiedział.

- Co powiedział?

Zamykam oczy i odwracam się do okna.

- Ze Adam zdradził mnie, jak byliśmy jeszcze na uniwerku. Słowa te brzmią, jakby były wypowiedziane w obcym języku. Nie poznaję ich.

- Och, Mel. To okropne, że powiedział coś takiego.

- To nieprawda. Wiem, że to nieprawda.
- Oczywiście, że nie. Adam nigdy by ci tego nie zrobił. On cię ubóstwiał.
- Widzi, że się wzdrygam, więc natych-

miast się poprawia. - To znaczy ubóstwia cię, zawsze tak było.

- Powiedział, że to zdarzyło się tylko raz. Ze Adam wrócił do domu z jakiejś imprezy z dziewczyną.. Ze następnego dnia nie zaprzeczył.

- Przecież Adam tak by nie zrobił, prawda? - mówi Louise. - To nie w jego stylu. Nawet w czasach, kiedy wszyscy spali z kim popadnie, nigdy nie widziałam, żeby nawet obejrzał się za inną. Pamiętasz, jak ludzie sobie z tego żartowali? Ze byliście jak papużki nierozłączki.

- Wiem. Właśnie to staram się sobie przypominać.

- Nie rozumiem, dlaczego Steve ci to powiedział. Jakby próbował rozmontować życie wszystkim naokoło, porozrywać wszystko, co znajome i bezpieczne.

- Stwierdził, że nie chce, bym się biczowała za to, co robię. Chciał mi pokazać, że Adam nie był święty.

- Mel, przykro mi. Naprawdę nie wiem, co w niego wstąpiło.

- Nie musisz za niego przepraszać.

- Nadal jeszcze jest moim mężem.

- Tak, ale nie ponosisz odpowiedzialności za to, co mówi. Po prostu wiedz, że ta wizyta nie ma nic wspólnego z tym, co powiedział. Tak jak wspomniałam przez telefon, chodzi o Mayę i wpływ, jaki to ma na nią, dlatego zaczęłam się nad tym zastanawiać.

- Oczywiście, rozumiem. To jak, gotowa?

Kiwam głową. Louise rusza. A ja próbuję się pozbyć poczucia, że knuję za plecami Adama coś perfidnego.

Hazelwood House jest dużym budynkiem z lat pięćdziesiątych, nijakim i bezbarwnym. Sama wielokrotnie tędy przejeżdżałam i nigdy nie zwróciłam na niego uwagi. Louise

spogląda na mnie, gdy wysiadamy na wysypany żwirem parking.

- No jak? - pyta.

W porządku. Idę przodem w kierunku drzwi wejściowych, żeby nacisnąć domofon.

- Dzień dobry, tu Mel Taylor, przyjechałam się rozejrzeć.

Rozmawiałam wczoraj z panią Hammond o tymczasowej opiece dla

mojego męża.

Drzwi otwierają się z brzęczeniem. Proszą nas, żebyśmy poczekały na recepcji, w której królują meble udające ogrodowe i masa sztucznych roślin doniczkowych. Naprawdę próbuję nie uprzedzać się tak od razu.

Pojawia się przesadnie radosna kobieta po pięćdziesiątce.

- Dzień dobry - mówi. - Dorothy Hammond, właścicielka. Witam w Hazelwood House.

Czuję, że musi powstrzymać się, by nie powiedzieć: „Mam nadzieję, że pani mąż będzie u nas szczęśliwy”. To trochę jak prosić dużą firmę produkującą okna, żeby przyszła oszklnić mały lufcik. Wypróbuję na mnie sztuczki marketingowe, dopóki nie zgodzę się oddać jej Adama na zawsze. Podejrzewam, że gdzieś przy sobie ma odpowiedni formularz. I długopis w gotowości, tak na wszelki wypadek.

Przedstawiam Louise. Dorothy zadaje pytania o Adama, które wydają się w dobrej wierze. Również we właściwych momentach wzdycha ze współczuciem. Przypomina mi Sybil z *Hotelu Zacisze*. Jestem pewna, że Adam miałby z niej ubaw. Próbuję odgonić tę myśl, bojąc się, że będzie nie na miejscu, jeśli wybuchnę śmiechem. Dorothy opowiada o strukturze zarządzania, szkoleniach załogi i nagrodzie Investors in People. Cały czas myślę, że nie wyglądam, jakbym była pod wystarczająco dużym wrażeniem.

- W każdym razie - ćwierka radośnie - może się rozejrzemy? Dzięki temu lepiej pani poczuje atmosferę naszego domu.

Zerkam na Louise. Robi dla mnie swoją minę „jestem na tak”.

Podążamy korytarzem za Dorothy, mijamy na ścianach nadruki słoneczników i maków, i nadjeżdżający z naprzeciwka wózek z lekarstwami.

- Najpierw pokażę paniom któryś z naszych pokoi. Rozumiem, że dla wielu osób to jeden z najważniejszych czynników przy podejmowaniu decyzji. Naszą dumą jest czystość, ale także, jak panie zobaczą, te małe drobiazgi, które sprawiają, że można poczuć się jak w domu, co czyni naszą placówkę wyjątkową.

Otwiera drzwi i prowadzi nas do pomalowanego na biało pokoju na planie kwadratu, z nadrukami słoneczników na ścianach, beżowym dywanem i zasłonami z kwiatowym motywem, które ozdabiają wychodzące na parking małe okno.

- Jak panie widzą, miejsca jest zaskakująco sporo, bez dodatkowych opłat zapewniamy powierzchnię powyżej standardowego minimum. I oczywiście

wszystkie pokoje są z łazienką.

Próbuję wyobrazić sobie Adama, który leży w tym łóżku i jedyne, co przychodzi mi do głowy, to jak bardzo nie podobałyby mu się zasłony.

- Oczywiście na tę chwilę pokój jest pusty. W poniedziałek spodziewamy się nowej pacjentki, która przyniesie swoje rzeczy, a wówczas pokój będzie naprawdę jej.

- Adam nie musiałby tego robić. Przebywałby tu tylko tydzień.

- Tak, moja droga, oczywiście.

Mówi to tak protekcyjnie, że zastanawiam się, czy widziała już niezliczoną ilość razy, jak ktoś zaczyna od tego, że chodzi jedynie o tymczasową opiekę, po czym Dorothy rzuca na tę osobę zły urok.

Zdaję sobie sprawę, że robię z niej w myślach jakąś straszną wiedźmę, co pewnie nie jest sprawiedliwe.

Dorothy prowadzi nas dalej. Na ścianach korytarza wiszą certyfikaty z odbytych szkoleń i nagrody zaświadczające o wysokiej jakości opieki. Nie wątpię w kompetencje personelu. Martwię się tylko o to, na co nie można otrzymać certyfikatu - o miłość.

- A tu jest świetlica dla naszych pacjentów - mówi Dorothy, wprowadzając nas do dużego pomieszczenia. Na jego drugim końcu przeszklone drzwi otwierają się na mały ogród. Wzdłuż ścian rozsiane są rozmaite sofy i fotele, na niektórych siedzą starsi ludzie. Jedna ze staruszek podnosi wzrok.

- Przyszłyście mnie uczesać?

- Nie, Elsie, kochanie. Panie tylko się rozglądają. - Dorothy poklepuje staruszkę po rękę.

Elsie kiwa głową. W odległym rogu ryczy telewizor, sobotnia popołudniowa gonitwa na wyścigach konnych. Kilka osób usadzono tak, żeby mogły patrzeć. Ale nikt tak naprawdę nie ogląda tego, co na ekranie.

- Czy są tu jacyś młodszy pacjenci? - pytam Dorothy.

- Różnie z tym bywa. W zeszłym roku mieliśmy pana po czterdziestce, ale niestety, nie ma go już z nami.

Nie chcę pytać, czy to znaczy, że nie ma go w Hazelwood House, czy na tym świecie.

- Pani, która pojawi się w poniedziałek, jest na pewno młodsza, myślę, że po pięćdziesiątce - dodaje Dorothy.

Idziemy do gabinetu.

- Czy ma pani jakieś pytania? - zaczyna.
- Zastanawiam się, jakie doświadczenie ma pani personel w opiece nad osobą w stanie wegetatywnym.
- Och, mamy spore doświadczenie. Oczywiście w większości ze starszymi osobami po udarach.
Powoli kiwam głową. Widzę, że Louise potakuje z większym entuzjazmem.

- W domu z Adamem wykonujemy nasz własny zestaw czynności. Jeśli przekażę pani listę, czy będą państwo w stanie ją uwzględnić? Dorothy uśmiecha się. Gdyby była wystarczająco blisko, myślę, że poklepałaby mnie po ręce.

- Na ogół wszyscy się przekonują, że gdy powierzają nam swoich bliskich, ci szybko przestawiają się na nasz sposób działania. Po prostu trzeba się przyzwyczaić, zrozumieć, że nasi profesjonaliści doskonale wiedzą, co robić.

Tak. Nie mam więcej pytań.

Louise i ja chrzęścimy w ciszy, idąc przez wysypany żwirem parking.

Wsiadamy do samochodu. Broszurki, które dała mi Dorothy, kładę na tylne siedzenie.

- Dokładnie wiem, co powiesz - mówi Louise. - Ale proszę cię, nie skreślaj ich od razu.

- Nienawidziłby tego miejsca. To byłoby jakby zestarzeć się przed czasem.

- Ale byłby w swoim pokoju, a nie z tymi wszystkimi staruszkami. I tylko na tydzień. Tydzień, który tobie i Mayi wyszedłby na dobre.

- Jeśli bym kiedykolwiek to zrobiła, to tylko dla Mayi. Z żadnego innego powodu. A jeśli Steve, moja mama czy ktokolwiek inny myśli, że ma szansę przekonać mnie, bym go tam zostawiła, to grubo się myli.

ROZDZIAŁ 28

Droga Redakcjo *Points of View* - zaczyna Joan. -Czemuż to, czemu musicie wydawać tysiące funtów z pieniędzy płacących abonament, żeby nakręcić głupkowatą uwspółcześnioną wersję *Jasełek*? Bez wątplenia będzie ona obfitować w sceny niczym nieuzasadnionego seksu, przemocy i wulgaryzmów, w żalostnej próbie podbicia wyników oglądalności”.

To wcale nie taki zły pomysł. Teraz to chętnie bym ją obejrzał.

- „Dlaczego BBC jest zdania, że może jakoś poprawić historię opowiedzianą w Biblii, tego po prostu nie jestem w stanie pojąć. -

Odchrząkuje i czyta dalej: - A fakt, że o napisanie tej wersji poproszono kogoś, kto tworzył scenariusz *EastEnders*, w zasadzie świetnie podsumowuje stan, w jakim znajduje się dziś telewizja”.

Oczywiście nie obruszałaby się, gdyby najęto scenarzystę *Coronation Street*. Tego serialu, jakimś dziwnym trafem, w tym zabawnym małym świecie zamieszkiwanym przez Joan krytyka się nie ima.

- „A przeszliście już samych siebie, umieszczając artykuł o tym w «Radio Times» z nagłówkiem «Wiara w Święta». To najgorszy możliwy przypadek zidiocenia”.

W tym momencie odkłada list i przytrzymuje mi otwarty egzemplarz „Radio Times”, żeby móc zobaczyć ów obraźliwy artykuł. Wysilam wzrok, żeby dostrzec dużą czcionkę. Autorem *Jasełek* jest Tony Jordan. Scenarzysta *Life on Mars* i *Przekrętu*, które uwielbiam.

Podejrzewam, że *Jaselka* będą genialne. Zastanawiam się, czy Mel mi je włączy.

- „Zapewniam państwa, że ja na pewno podczas przygotowań do Bożego Narodzenia nie usiądę przed telewizorem, żeby tracić czas na waszą wersję z udziałem celebrytów. Będę wspierała działania w moim lokalnym kościele”.

Mówi to takim tonem, jakby była jakąś gorliwą chrześcijanką. A prawda jest taka, że kiedy na czele Kościoła stał wielbny Westwood, bojkotowała go, ponieważ nie mogła zdzierżyć, że nosił krawaty z postaciami z komediowych kreskówek. Dopiero przybycie pełnego powagi wielbnego Williamsa sprawiło, że znów dołączyła do trzódki.

- „Z poważaniem, Joan Summerskill” - kończy czytać z zawadiackim zaśpiewem.

Bez wątpienia ktoś w BBC będzie miał niezły ubaw, czytając ten list.

Teraz doszło już do tego, że próbuję odgadnąć, czego będą dotyczyć jej skargi. Piszę sobie w głowie jej kolejny list z zażaleniami. Zawsze wydaje mi się, że przesadziłem i trochę go tonuję. Czas najwyższy, bym zrozumiał, że raczej nigdy nie przebiję Joan.

Dzisiaj jestem z nią sam na sam. Mel gdzieś wyszła. Tom zabrał Mayę do kina. Normalnie się to nie zdarza. Coś się dzieje. Mel cały ranek była jakaś cicha. Prawie się do mnie nie odzywała. Może zaczyna wierzyć w to, co powiedział Steve, a może dołuje ją fakt, że musi się mną opiekować. Może

jedno i drugie. Wygląda na wymęczoną. Jestem jak wielki kamień uwiązany wokół jej szyi. Nienawidzę się za (o).

Żałuję, że nie mogę się uwolnić, a przy okazji uwolnić jej. Tak mocno próbuję się poderwać. Napinam się i wysilam,

chcąc odnaleźć to połączenie, żeby moje palce u rąk czy nóg robiły to, co im każę. Żeby zmusić ten potok słów w mojej głowie do wydostania się przez usta. Choć obawiam się, że jeśli mi się to uda, wszystkie wypłyną naraz, wszystkie słowa, które chciałem powiedzieć w ciągu ostatnich pięciu miesięcy, chlusną i nikt nie będzie w stanie mnie zrozumieć. Jak w tej scenie z *Toy Story 3*, kiedy Buzz Astral zostaje przełączony na hiszpański. Będą musieli znaleźć mój przycisk z domyślnymi ustawieniami, żebyśmy mogli zacząć jeszcze raz od początku.

- Cieszę się, że nasza Melanie trochę odpocznie - mówi Joan, wzdychając.

Nie zauważyłem, że tak siedzi, bawiąc się rękoma, najwyraźniej pogrążona w myślach.

- Tak ciężko patrzeć, jak zмага się z tym sama. I to nie w porządku wobec Mayi, że musi tak żyć w domu, który bardziej przypomina oddział szpitalny. To nie jest normalne, prawda? Nie dla dziecka w jej wieku. Jestem pewna, że to zrozumiesz. Z pewnością zgodzisz się, że tak będzie najlepiej.

Będę umieszczony w domu opieki. To właśnie się dzieje. Mel w końcu ugięła się pod moim ciężarem. Być może to, co powiedział

Steve, pomogło jej podjąć decyzję. Kurwa, właśnie dlatego to powiedział. Właśnie to próbował osiągnąć. Pozbyć się mnie raz na zawsze, żeby mógł do niej wystartować. Nie winię Mel. W ogóle jej nie winię. Przede wszystkim, tak jak powiedział Steve, sprowadzając mnie tutaj, zachowała się jak prawdziwa święta. I jakaś część mnie poczułaby ulgę, gdyby Mel mogła odzyskać dawne życie. Ale inna część, ta całkowicie samolubna, nie chce stąd odchodzić. Chce przykuć się do barierki na zewnątrz i rozpocząć kampanię pod hasłem „Zostawcie warzywo w Cragg Vale”. Jestem za młody, żebym szedł w odstawkę. Jeśli umieszczą mnie

w domu opieki, umrę tam. Otoczony przez starców, nie będę mógł widzieć, jak Maya dorasta. Powoli zwiędnę i umrę. To strasznie samolubne. Ale pewnie taka jest prawda.

- Tatusiu.

Głos Mayi rozbrzmiewa z przedpokoju. Sekundę później drzwi salonu

otwierają się z hukiem i stają w nich ona: skacze, tańczy dokoła pokoju i coś trąkocze.

- Film był naprawdę dobry i były tam dwa wilczki, i one nie powinny się zaprzyjaźnić, ale się przyjaźniły i jeden z nich chodził jeździć na kłodzie, i został postrzelony, ale nie przez złych i one potem zostały zabrane w różne miejsca, i musiały odnaleźć drogę do domu, i były tam takie śmieszne ptaszki, które im pomagały, i była siostra wilczycy, która była ładna, wyszła za mąż za wilka, który jak zwykł do księżycy, to ptaki spadały na ziemię i to było najśmieszniejsze.

Uff. Brakuje mi tchu od samego myślenia o tym. Takie recenzje powinni puszczać w telewizji. Byłyby dużo lepsze niż przeintelektualizowane roztrząsanie, co reżyser chciał przekazać, i doszukiwanie się ukrytych subtelności i niuansów.

- Moim skromnym zdaniem to był *Tupot małych stóp* dla ubogich - mówi cicho Tom, wchodząc i stając w nogach łóżka. - Według mnie nie da się przebić stepujących pingwinów.

Joan przewraca oczami, a ja uśmiecham się do siebie.

- Chodź, Tatusiu, powyj ze mną do księżycy! - woła Maya, która zaczęła wyć.

Wyje jak opętana. Próbuję. Próbuję naprawdę z całych sił. I coś się ze mnie wydobywa. Nie wycie, ale jakiś dźwięk. Wiem, bo cała trójka odwraca się, żeby na mnie popatrzeć.

- Udało ci się, udało. Zrób to jeszcze raz, Tatusiu, proszę - mówi Maya, podskakując obok mnie.

Próbuję. Próbuję w ten sam sposób zrobić to samo, ale tym razem nic się nie dzieje.

- Och - mówi Maya.

- To pewnie tylko wiatry - ocenia Joan.

I tyle. Mój moment triumfu, choć niewielkiego, zostaje zignorowany jako puszczenie bąka. Nie uda mi się. Nie dam rady dokonać przełomu w samą porę, żeby to powstrzymać. A muszę to powstrzymać. Bo wiem, jak to jest stracić rodzica. Wiem, co to znaczy, gdy zabierają ci jeden z dwóch filarów twojego życia. Które potem stają się tak niepewne. Nawet jeśli drugi filar pozostanie stabilny.

Mama weszła do mojego pokoju, żeby mi powiedzieć, trzy dni po moich trzynastych urodzinach. Wówczas nie zdawałem sobie sprawy, jak wielkie to

miało znaczenie ani nie zastanawiałem się, jak dużo wcześniej postanowiła, że opuści nas, kiedy stanę się nastolatkiem. W

wieku trzynastu lat nie ma się głowy do takich spraw. Myśli się tylko o sobie i o chwili teraźniejszej. Nawet już nie wyglądała jak moja matka.

Jakiś czas przed Bożym Narodzeniem ufarbowała włosy na blond.

Wyglądała nie tak. Jak postać z tych gier, w których można dobrać jakiejś osobie inne włosy, żeby zobaczyć, jak się zmieni.

Przynajmniej zapukała. Ściszyłem trochę muzykę, chyba to było Joy Division. Zawisła mi nad łóżkiem, jak Archanioł Gabriel, tyle że zapomniała aureoli i skrzydeł.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała. Wówczas się zorientowałem. Na ogół nie wchodziła do mojego pokoju, ale kiedy to już się zdarzało, to po to, by na mnie nakrzyczeć, a nie ze mną porozmawiać. Usiadła na krawędzi łóżka, na kołdrze z logo Leeds United. Nie patrzyła mi w oczy. Wpatrywała się w przeciwległą ścianę.

- Od jakiegoś czasu nie układało nam się z twoim ojcem. Wiesz, nie mamy ze sobą zbyt wiele wspólnego. Nie lubimy robić tych samych rzeczy.

Nie wiem, czemu rodzice tak postępują. Próbują cię przygotować, mówiąc ci całą masę rzeczy, o których już wiesz. To tak, jakby uważała, że jestem przygłupem czy coś.

- Oczywiście staraliśmy się, żeby jakoś to wyszło, dla twojego dobra.

Ale mimo że naprawdę próbowaliśmy, nic się nie poprawiło. Szczerze mówiąc, jest jeszcze gorzej. Adam, postanowiłam odejść. To nie ma nic wspólnego z tobą. Ważne, żebyś o tym wiedział. Może byłam zbyt młoda, kiedy wyszłam za mąż za twojego ojca. Prawda jest taka, że jeszcze nie czuję, bym przeżyła życie. Chcę podróżować, zobaczyć świat, poznawać ludzi.

Próbowałem nie słuchać dalej. Wpatrywałem się w plakat Leeds United na ścianie, na Gordona Strachana i chłopaków. Mieli duże szanse na awans. Cieszyłem się myślą o tym. A przynajmniej do tej chwili.

- Gdzie pojedziesz? - spytałem.

- Do Leeds - odparła. - Tylko na miesiąc, góra dwa. Potem do Sydney w Australii.

Powiedziała to tak, jakby to był przystanek autobusowy na trasie z Leeds.

- Może, jak będziesz trochę starszy, przyjedziesz mnie odwiedzić. To by była dla ciebie prawdziwa przygoda -dodała.

Wiedziałem, że to się nie zdarzy. Wiedziałem, że nigdy więcej jej nie zobaczę.

- Z kim jedziesz?

Westchnęła i zamknęła na chwilę oczy. Okazało się, że nie jestem tak głupi, jak przypuszczała.

- Z Graeme'em z pracy. Założymy tam firmę zajmującą się PR. To będzie nasz nowy początek.

- A co z Tata? - spytałem, starając się, żeby mój głos nie zabrzmiał piskliwie.

- Będzie kontynuował wielkie dzieło opieki nad tobą - powiedziała. -

Chłopiec w twoim wieku powinien być z ojcem. Adam, to dobry człowiek. Twój ojciec.

Jak mogła to powiedzieć? Skoro był tak cholernie dobry, czemu go zostawiła? Gordon Strachan trochę się rozmazał. Musiałem wyjść.

Natychmiast. Zeskoczyłem z łóżka i popędziłem do drzwi. Zbiegając po schodach, słyszałem, jak za mną woła. Minąłem Tatę, który siedział

w kuchni, skrywając twarz w dłoniach, i wybiegłem tylnymi drzwiami.

Przeskoczyłem przez bramę i poszedłem ścieżką na pola z tyłu domu.

Łzy lały mi się po twarzy, smarki spływały na górną wargę. Było widać wszystko w odległości wielu kilometrów. Nic, tylko pola, drzewa i kamienne murki. Mogłem biec, gdzie dusza zapragnie. Tak długo i daleko, jak tylko chciałem. Biec, dopóki ból nie przyćmi mi rany, którą czułem wewnątrz.

ROZDZIAŁ 29

Mel

Przynajmniej tym razem bezsenna noc przypada wówczas, kiedy i tak nie powinnam spać. Siedzę obok Adama, zastanawiając się, co sobie o mnie pomyśli, kiedy mu powiem. Trochę szczęśliwym zbiegiem okoliczności podczas ślubu nie użyliśmy zdania „w zdrowiu i w chorobie”, bo z całą pewnością nie ma w nim klauzuli pozwalającej na tymczasowe wysłanie męża do domu opieki, jeśli zajmowanie się nim nas przytłoczy. Dobrze się składa, że żadne z nas nie chciało ślubu kościelnego. Męczyłabym się ze zdaniem „na dobre i na złe”. Nie miałabym problemu z obiecaniem tego Adamowi, ale jak mogłam oczekiwać, że on mi to powie, skoro znał mnie tylko od tej lepszej strony? I jeśli świadomie zataiłam przed nim najgorsze.

I tak oto siedzę, grzęznąc po kolana w poczuciu winy. A jednak za każdym razem, kiedy dochodzę do wniosku, że nie jestem w stanie tego zrobić, nie mogę odesłać męża, nawet tylko na tydzień, patrzę na rysunki Mayi i wiem, że i muszę dać jej szansę ucieczki przed spowijającym ją mrokiem. Pozwolić jej znów widzieć kolory, i Byłoby mi łatwiej, gdyby naprawdę spodobało mi się w Halzelwood House.

Gdybym w Dorothy odnalazła bratnią duszę,
a nie nastawioną na zysk bizneswoman. Kiedy byłam mała, nasz kot Ringo każdego roku na czas naszego wyjazdu na wakacje musiał iść do hotelu dla zwierząt. To było okropne miejsce, szare, ciemne, z niekończącymi się rzędami bezdusznych klatek. Kiedy zabieraliśmy go z powrotem, wyglądał, jakby nie jadł od tygodnia. Futerko traciło blask, mrugał, wychodząc na słońce. Ale nic nie mogliśmy na to poradzić, bo wszystkie hotele dla zwierząt wyglądały tak samo. Potem pewnego roku otwarto nowe miejsce. Nazywało się Koty w Clover, zarządzała nim gruba, wesoła kobieta o imieniu Marjorie, która mieszkała w rozpadającym się domku z wielkim ogrodem. Jedna z tych kobiet, które zbierają wszystko związane z kotami. Które kochają koty.

Naprawdę je kochają. I kiedy wróciliśmy, Ringo spał sobie na słońcu w ogrodzie, a Marjorie głaskała jego duży brzusek. Tego właśnie bym chciała dla Adama. Mężowie w Clover, szczególne miejsce, w którym byłby kochany, naprawdę kochany. Gdzie mogłabym go zostawić bez wyrzutów sumienia. Ale takie miejsce nie istnieje. Sprawdziłam w internecie. Hazelwood House jest jedynym domem opieki w promieniu siedemdziesięciu pięciu kilometrów, który oferuje tymczasową opiekę dla pacjentów w stanie

wegetatywnym. Tam albo nigdzie. I zdaję sobie sprawę, że to już nie jest alternatywa.

Kiedy pokój znów zaczyna wypełniać się światłem, wiem, że podjęłam decyzję. Później zadzwonię do Hazelwood House. Zapytam, czy Adam może zostać pod ich opieką. Ale tylko przez tydzień. Mayi mogę powiedzieć, że Tatusz jedzie na wakacje. Myślę, że to kupi. A ja będę miała okazję, żeby spędzić z nią beztrudnie trochę czasu. Będę mogła zaprosić jej przyjaciół ze szkoły, nie ryzykując, że spotkam się z odmową, albo że uciekną z salonu z krzykiem. Choć przez kilka dni Maya będzie jak inne dzieci.

Zerkam na Adama. On wie, jestem tego pewna. Wszystko jedno, wie czy nie, powinnam mu powiedzieć. Choć jeszcze nie teraz. Za chwilę obudzi się Maya. I muszę umyć Adama i przygotować na nadchodzący dzień, zrobić Mayi śniadanie, ubrać ją i spakować torbę na basen.

Zabieram ją tam dzisiaj. Zazwyczaj robi to Tata, podczas gdy Mama siedzi z Adamem, a ja ucinam sobie krótką drzemkę. Ale dziś chcę zabrać ją sama. W zeszłym tygodniu dostała certyfikat. Potrafi zrobić sześć rzeczy, których nigdy nie widziałam. Adam też nie widział, jak je robi. On nic nie może na to poradzić. Ale ja tak.

- Dzień dobry, kochanie - mówię do Adama. Odczekuję chwilę, zupełnie jakbym dawała mu okazję,

żeby w myślach odpowiedział mi dzień dobry. Czasami wydaje mi się, że naprawdę słyszę, jak to mówi. Ze tylko inni ludzie nie mogą go usłyszeć.

- Mamusiu, Tatusiu! - Okrzyk nadchodzi z góry, a potem słychać tupot stóp po schodach.

Zawsze żartowaliśmy, że brzmi to, jakbyśmy mieli stonogę w oficerkach, a nie córeczkę. Zastanawiam się, czy Adam, słysząc to, nadal się uśmiecha. Maya wpada do pokoju. Ma na sobie piżamkę w motyle, a na nogach kalosze z programu *Dora the Explorer*, kombinacja o tyle ujmująca, ile niekonwencjonalna.

- Ciii - mówię, kładąc palec na usta. - Tatusz dopiero co się obudził.

- Na pewno nie ma nic przeciwko - odpowiada Maya. - Mogę wejść mu na łóżko?

- Ale najpierw, kochanie, musisz zdjąć kalosze. Wydaje z siebie jęk, który brzmi, jakby przedwcześnie

stała się nastolatką, kopnięciem zrzuca kalosze i wspina się na łóżko, obok Adama.

- Dzień dobry, Tatusiu - mówi Maya. - Dobrze ci się spało?

Urywa, marszczy czoło i odwraca się, żeby na mnie popatrzeć.

- Kiedy Tatuś śpi, a ty go pilnujesz, widzisz jego sny? -pyta.

- To uroczy pomysł, kochanie. Chciałabym móc je zobaczyć, ale nie, obawiam się, że nie widzę.

- Myślę, że Tatusiowi śniły się wilki, jak mi. Wczoraj, kiedy wyłam do księżycy jak wilk, on też zawył.

- Naprawdę?

- Tak. Ale drugi raz już nie mógł i Babcia powiedziała, że to tylko wiatry.

Spoglądam na Adama, żałując, że nie mogłam tego usłyszeć. Mama nie wierzy. A jeśli się nie wierzy, umysł jest głuchy na to, że coś może się zdarzyć. Coś rzeczywistego, a nie jedynie w wyobraźni.

- Muszę przygotować Tacie śniadanie. Ty idź do kuchni, zobacz co tam u Roddy'ego i Rity, a ja za chwilę do ciebie przyjdę.

Ześlizguje się z łóżka w kalosze i wymaszerowuje z pokoju.

- Pamiętasz nasze wylegiwanie się w niedzielne poranki? - pytam Adama.

- Gazeta, croissanty, kawa. Wydaje się, jakby to było bardzo dawno temu, prawda?

Kiedy parę minut później idę do kuchni, widzę, jak Maya, stojąc na krześle, wylewa do zlewu swój syrop z czarnego bzu na wzmocnienie odporności.

- Maya, przestań. Co robisz?

- Dbam o zdrowie szczurów w kanałach - odpowiada. Naprawdę trudno wymyślić na to ripostę.

- Dałam też trochę Roddy'emu, ale Rita nie chciał. Spieszę do klatki, obawiając się, że Roddy mógł przedawkować, mimo że wciąż trzyma się na nogach.

- Kochanie, ile mu dałaś?

- Tylko parę kropli. Chyba mu nie smakuje, chociaż jest taki pyszny.

- Skarbie, to dlatego, że on jest szczurem. One jedzą co innego niż my i są też dużo mniejsze, prawda? Jeśli damy im nasze jedzenie, mogą się bardzo pochorować.

Oczy Mayi otwierają się szeroko, a dolna warga zaczyna drżeć.

- Ale nie umrze, prawda?

- Nie, kochanie - mówię, ściskając ją. - Nic mu nie będzie. Ale już więcej

mu nie dawaj, dobrze?

Kiwa głową.

- Możemy dać trochę Tatusiowi, żeby pomóc jego mózgowi urosnąć z powrotem?

Kręcę głową i przyciągam ją do siebie.

- Żałuję, ale nie możemy. To nie pomaga na mózg.

- A jest jakieś lekarstwo, co pomaga?

- Nie ma. Nawet takiego naprawdę paskudnego. Ale mózg Tatusia będzie pracował z całych sił, żeby się naprawić. Po prostu potrzebuje czasu.

Słychać pukanie do drzwi.

- To pewnie Dziadek - mówię. - Idź go wpuścić, a ja przygotuję śniadanie.

Maya leci do drzwi, a ja zaczynam błagać Roddy'ego, żeby nie umierał.

*

Przez szybę tarasu widokowego patrzę, jak Maya pływa. To dziwne uczucie widzieć ją, ale słyszeć jedynie przytłumione dźwięki i nawet nie czuć chloru z basenu. Zastanawiam się, czy tak właśnie czuje się Adam. Zawsze za szybą. Wszystko widzi, ale nie jest uczestnikiem zdarzeń. Nie doświadcza ich w taki sposób, jak ludzie po drugiej stronie.

Maya podniosła okulary pływackie. Porusza ustami, próbując mi coś powiedzieć, i pokazuje palcem. Uśmiecham się i unoszę kciuk. Kręci głową i znów porusza ustami. Dopiero po chwili zaczynam rozumieć, że chce do toalety. Spieszę na drugą stronę.

- Czemu nie przyszedłeś od razu? - pyta Maya, kiedy łapię ją za rączkę przy wejściu do basenu.

W jej głosie wyczuwam frustrację. Mnożę ją w głowie. Przez dziesięć. Przez sto. Tysiąc. A i tak uważam, że wynik nie jest nawet zbliżony do tego, co Adam musi odczuwać w każdej przytomnej chwili każdego dnia.

- Przepraszam, kochanie - mówię. - To trochę trudne, kiedy między nami jest szyba. Następnym razem będę wiedziała.

Przytrzymuję otwarte drzwi do toalety, a Maya obejmuje mnie za nogi, nim przecisnę się do środka. Nie przeszkadza mi, że będę miała mokre dżinsy. W ogóle mi to nie przeszkadza.

*

Później tego dnia, kiedy wstawiam do zmywarki naczynia po podwieczorku, Maya wchodzi do kuchni, trzymając broszurkę Hazelwood

House.

- Co to? - pyta. - I czemu tyle tu staruszków? Musiałam zostawić ją wczoraj wieczorem. Zapomniałam schować do szuflady. A kłamstwa mnie już męczą. Zamykam zmywarke i kucam obok Mayi.

- Kochanie, to takie miejsce niedaleko stąd. Specjalne miejsce dla ludzi, którzy źle się czują. Wielu z nich jest starszych, ale nie wszyscy.

Maya spogląda na mnie surowym wzrokiem.

- Czy Tatuś tam pójdzie? - pyta.

Rozumie dużo więcej, niżbym się spodziewała.

- Tylko na krótkie wakacje. Tydzień, to wszystko. Kochanie, Mamusia jest bardzo zmęczona. A Tatuś będzie tam pod bardzo dobrą opieką.

- Nie chcę, żeby go zabrali.

- Kochanie, będziesz mogła go odwiedzać. Tak jak wtedy, kiedy był w szpitalu.

- Ale ja chcę, żeby był w domu.

- Wróci, zanim się zorientujesz. I będzie mu bardzo miło, jeśli pojedzie na krótkie wakacje.

Przytrzymuję Mayę za ramiona. Teraz może jeszcze pójść w każdą stronę. Chcę, żeby poszła we właściwą. Taką, która sprawi, że będzie mi łatwiej.

- Nie chcę, żeby jechał na wakacje. Nie beze mnie. Zawsze jeździliśmy na wakacje razem.

Twarz jej się marszczy, pojawiają się łzy. Straciłam ją. Kiedy już podejmie jakąś decyzję, bardzo trudno sprawić, by zmieniła zdanie.

Adam zawsze powtarzał, że ma to po mnie.

- Wiem, kochanie, ale Tatuś nie może już tego zrobić. My będziemy mieć swoje krótkie wakacje, a Tatuś swoje. Pojedziemy na parę dni i będziemy spędzać dużo czasu razem.

- Nie chcę. Nienawidzę cię.

Te słowa tną mnie na wylot. Muszę wytłumaczyć jej, dlaczego to robię. Otwieram usta, żeby powiedzieć coś o jej rysunkach, ale zamykam je z powrotem. Wiem, że zaprzeczy i nie przyzna się, że to dla niej problem. A nie chcę, żeby nabawiła się kompleksów, żeby przestała rysować. Ważne, żeby mogła dać ujście emocjom.

Jakiegokolwiek ujście.

- Chodź - mówię, próbując przyciągnąć ją bliżej. - Mamusia bardzo cię kocha.

- A ja kocham Tatusia bardziej niż ciebie. Kocham Tatusia jak stąd do Księżycy i z powrotem. A ciebie tylko jak stąd do Hebden Bridge i z powrotem.

Wyrywa mi się, odwraca i wybiega z kuchni. Wiem, że Adam śmiałyby się z tego. Ja też próbuję się śmiać. Próbuję z całych sił. Ale przeszkadzają mi łyzy.

Dobrze wiem, gdzie pobiegła Maya. Albo raczej do kogo. Daję jej minutę czy dwie i podążam za nią do salonu, gdzie znajduję ją stojącą przy łóżku, z głową opartą o klatkę piersiową Adama, otaczającą go rękami, jak gdyby próbowała uchronić go przed jakąś złą mocą. W tym wypadku przede mną.

- Nie pozwolę, żebyś go zabrała! - krzyczy.

- Maya, proszę, uspokój się. To nie w porządku tak denerwować Tatusia.

- Mama chce cię odesłać. - Maya odwraca się do mnie plecami, żeby mówić do Adama.

- Maya, to tylko na wakacje. Kochanie, Tatuś potrzebuje wakacji.

Wszyscy ich potrzebujemy.

Maya znów zaczyna płakać. Wyczuwam, że tym razem pozwoli mi się przytulić. Obejmuję ją ramionami, kładę ręce na jej plecach.

- Rodzinne przytulanie - mówi przez łyzy. - Na kanapkę. A ja jestem w środku.

Udaję, że ją podgryzam. Maya chichocze. Uwielbiam to w dzieciach: że potrafią przejść od czarnej rozpaczki do śmiechu do rozpuku dokładnie w dziesięć sekund.

- Maya, Mamusia i Tatuś kochają cię najbardziej na świecie. Musisz mi zaufać, że zrobię to, co dla nas najlepsze, dobrze? Przecież nie chciałabyś, żeby Tatuś nie pojechał na wakacje?

Chichot urywa się równie raptownie, jak się zaczął.

- Chcę, żebyśmy mieli prawdziwe wakacje razem. Chcę, żeby Tatuś robił ze mną zamki z piasku. Tylko ja w całej klasie nie pojechałam na wakacje latem. I tylko ja w całej klasie nie mam braciszka ani siostrzyczki. A oni wszyscy mają tatusiów, żeby się z nimi bawili. To nie w porządku.

Obracam ją i przyciskam do siebie, żeby jej łyzy mogły mieszać się z moimi. Nie jestem w stanie powiedzieć jej, że ze wszystkich słów

wypowiedzianych tego ranka, które mnie zraniły, te o braciszku czy siostrzyczce zaboląły najbardziej.

- To nie w porządku, kochanie. Ani trochę. Ale najbardziej nie w porządku wobec Tatusia. I musimy być dla niego silne, i zrobić to, co najlepsze dla naszej rodziny. Ponieważ, Mayu, jesteśmy rodziną. Może jesteśmy inni niż wszystkie inne rodziny twoich kolegów i koleżanek z klasy, ale mimo to jesteśmy rodziną i bardzo ważne, żebyś o tym pamiętała.

Maya obraca się, żeby spojrzeć na Adama.

- Patrz, Mamusiu, on też płacze.

W kąciaku lewego oka Adama jest maleńka łza. Zdarzyło się to już parę razy wcześniej. Mama twierdzi, że jego oczy po prostu się nawilżają. Ale wiem, że to nie to. Nie tym razem.

- Mówiłam ci, że Tatuś bardzo cię kocha, prawda? Maya kiwa głową.

- Czy jak będę na wakacjach tutaj, to będę mogła jeść lody?

Uśmiecham się do niej.

- Oczywiście, że tak. Może nawet pojedziemy na cały dzień do Blackpool. Bez lodów nie ma wakacji, prawda?

Maya tuli się do mnie. Zastanawiam się, czy teraz kocha mnie choć odrobinę bardziej. Może tak jak stąd do Blackpool i z powrotem.

- Przepraszam - mówię do Adama, jak tylko wracam, położywszy Mayę spać. - Nie chciałam, żebyś dowiedział się w ten sposób. Rano nie miałam okazji albo za bardzo się cykałam, żeby ci powiedzieć.

Przysiadam na brzegu łóżka i biorę go za rękę.

- To tymczasowa opieka. Tylko na tydzień. Miejsce nazywa się Hazelwood House w Littleborough. Przejeżdżałeś obok, ale nie sądzę, żebyś je zapamiętał. Ja nie zapamiętałam. Polecili mi je w szpitalu.

Opieka pielęgniarska dwadzieścia cztery godziny na dobę. Prawdziwe pielęgniarki, a nie ja odgrywająca Florence Nightingale. Właścicielka jest zabawna. Zabawna w dziwny sposób. Na imię ma Dorothy, ale po prostu wyobraź sobie Sybil z *Hotelu Zacisze*, mówiącą z akcentem z Lancashire. W każdym razie nie będziesz się nudził. Po prostu pomyśl sobie o niej, że to taka kobieta kapral.

Głaszczę mu rękę, mój kciuk rytmicznie przesuwam się po wnętrzu jego dłoni.

- To przez rysunki Mayi w szkole. W czarnych kolorach. Rysunki, na których jesteś nieżywy i stoją nad tobą dinozaury. Najwyraźniej zaczęła tak

malować, od kiedy jesteś w domu. Myślę, że ona potrzebuje trochę czasu, żeby zaakceptować to, co się stało, a ja powinnam więcej z nią przebywać. Dać jej wsparcie, którego potrzebuje. I sprawić, żeby poczuła się dobrze. Tak bardzo cię kocha i próbuje być dzielna, ale jest jej ciężko. Tęskni za tobą. Wszyscy tęsknimy.

Przerywam na chwilę i osuszam chusteczką łzę, która pojawiła się w kąci oka Adama. Niełatwo osiągnąć równowagę między tym, że tłumaczę mu, czemu to robię, i tym, że nie chcę, by poczuł się źle z powodu tego, jak jego obecność tutaj na nas wpływa.

- Chcę, żebyś wiedział, że nie żałuję decyzji o zabraniu cię do domu.

Ani przez chwilę nie żałowałam. Gdyby cofnąć czas, zrobiłabym znów dokładnie to samo. Ale muszę myśleć o tym, co będzie dobre dla Mayi.

Może się zdarzyć, że będzie potrzebowała takiej przerwy co miesiąc czy dwa. Być może ja również. Wiem, że to zrozumiesz. Proszę cię, żebyś mnie za to nie nienawidził, proszę cię, nie myśl, że cię porzucam

i proszę, nie myśl, że to ma jakikolwiek związek z tym, co powiedział Steve, dobrze?

Ściskam mocno jego rękę. W ten sposób będzie wiedział, że mówię prawdę. W głowie ciągle kołaczą mi słowa Mayi. Te o braku braciszka lub siostrzyczki. Nigdy wcześniej o tym nie wspominała. Tak jakby jakoś głęboko w podświadomości czuła, że to by było dla mnie zbyt wiele. Choć wszelkie znaki na niebie i ziemi na to wskazywały. Po prostu wolałam ich nie zauważać. I stopować Adama, kiedy do nich nawiązywał. Tego dnia w muzeum, kiedy Maya mówiła o tym, że Monty jest samotny.

Narasta we mnie poczucie, że czas powiedzieć Adamowi. Przestaję się opierać. Milczałam już zbyt długo. Adam ma prawo wiedzieć.

- Ale jednej rzeczy żałuję. - Ściszam głos niemal do szeptu. - Czegoś, co zrobiłam dawno temu. Czegoś, co ukrywałam przed tobą, bo bałam się, że cię stracę.

Milknę, ale nie dlatego, że nie mogę znaleźć odpowiednich słów. Nie ma odpowiednich słów. Jedynie zimna i brutalna prawda.

- Maya jest naszym drugim dzieckiem. Pierwszy raz zaszłam w ciążę tuż przed szesnastymi urodzinami. Po tym, cóż, wiesz po czym. Nie było tak, że mieliśmy to w zwyczaju. Byłam zszokowana. Chyba nie mogłam w to uwierzyć. Tylko że mama znalazła test w koszu na śmieci w łazience.

Powinnam wiedzieć, że jest wścibska, ale nie myślałam wtedy racjonalnie.

Odwracam wzrok od Adama, wpatrując się w sufit. Staram się opanować,

nim będę mówić dalej.

- Dostała szau. Kazała mi poddać się aborcji. Powiedziała, że jeśli to zrobię, nie powie tacie ani twojemu tacie, i będziemy mogli dalej się spotykać. Ale jeśli odmówię, zawiadomi policję i może wyślą cię do więzienia za seks z nieletnią.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że mam wybór. Teraz oczywiście to wiem, ale wtedy...

Głos mi się załamuje. Wierzchem dłoni ocieram spływające po twarzy łzy. Tej drugiej dłoni. Tej, która nie łapie się kurczowo Adama, desperacko próbując utrzymać go przy sobie, podczas gdy dokładam mu jeszcze cierpienia.

- Załatwiono to szybko. W ciągu paru dni. Byłam dopiero w szóstym tygodniu. Wiem, że to niczego nie zmienia. To było podczas ferii.

Mama zabrała mnie do gabinetu w Manchesterze. Powiedziałam ci, że idę na zakupy z Lisą i Julie. Bardzo nie chciałam cię okłamywać, ale nie chciałam też, żebyś miał kłopoty. A potem tak bardzo chciałam ci powiedzieć, ale było już po wszystkim i tak się bałam, że jeśli ci powiem, wszystko między nami będzie skończone i mnie rzucisz. A nie mogłabym znieść tego, gdybym cię straciła, nie zaraz po tym, jak straciłam...

Zaciskam mocno powieki, ale łzy i tak znajdują ujście. Siłą wydostają się z ciemności.

- Przepraszam, kochanie, tak bardzo cię przepraszam. -Kładę głowę na jego piersi, zupełnie jak Maya kilka godzin temu. Zastanawiam się, czy Adam chce ją pogłaskać, jak na pewno pogłaskałby główkę Mayi.

Albo może nie jest w stanie znieść tego, że moje ciało dotyka jego ciała. Upływa wiele czasu, nim znów zbiorę się na odwagę, żeby mówić.

- Nie było nic, co można by zobaczyć czy pochować, czy cokolwiek.

Po prostu to zabrali. Mama nigdy więcej o tym nie wspominała. Nawet kiedy wracałyśmy do domu. Naprawdę nie wiem, jak sobie z tym poradziłam. Oczywiście to była dla mnie trauma, ale po prostu schowałam ją gdzieś głęboko w sobie. I to właśnie mnie gryzło przez te wszystkie lata. Dlatego tak się martwiłam podczas ciąży z Mayą, że mogę ją stracić, i dlatego nie chciałam, żebyśmy próbowali mieć kolejne. Wiem, jak bardzo tego chciałeś i jak Maya też

bardzo tego pragnie. To było samolubne z mojej strony. Teraz to widzę. Powoli podnoszę głowę, otwieram oczy i spoglądam na Adama.

- Jeśli mnie znienawidzisz, całkowicie to zrozumiem. Nie proszę o wybaczenie ani go nie oczekuję. Po prostu czułam, że powinieneś wiedzieć. Przez te wszystkie lata, które razem spędziliśmy, to jedyne, czego żałuję. Ze się zgodziłam, że ci wtedy nie powiedziałam, a potem pozwoliłam, żeby to tak gniło, psując nasze szczęście. A kiedy miałeś wypadek, kiedy pierwszy raz zobaczyłam cię leżącego w szpitalu, jedyne o czym myślałam, to jaka byłam głupia i samolubna. I jak żałuję, że nie zgodziłam się starać o drugie dziecko. Żałowałam, że nie wzrasta we mnie mała cząstka ciebie, bym mogła coś dać Mayi, gdyby cokolwiek się stało. Dać jej coś, co uśmierzy trochę jej ból.

Przez chwilę siedzę w ciszy. Czekam, aż łzy ustąpią. Zastanawiając się, co teraz dzieje się w głowie Adama. Może żałuje, że nie idzie do domu opieki na dobre. Może ucieszyłoby go, gdyby się mnie pozbył.

Wcale nie czuję się oczyszczona. Znowu czuję się zbrukana. A gdy mocno zacisnę powieki, widzę siedemnastolatka, który śpi w wolnym pokoju na piętrze. Chłopiec, zawsze wyobrażam go sobie jako chłopca.

Chłopca, który z każdym kolejnym dniem jest coraz bardziej podobny do Adama.

ROZDZIAŁ 30

Myślałem, że powie mi, że przespała się ze Steve'em.

Spodziewałem się, że to będzie jej sekret. Tajemnica, którą musi wyznać. I okropne jest nie tylko to, że w nią zwątpiłem, ale że przez krótką chwilę, gdy mi powiedziała, czułem ulgę, że chodzi o coś innego. Jakie to smutne. W jak złym świetle mnie to stawia.

Dziecko. Mieliśmy dziecko. Dużo wcześniej niż Mayę. Gdy Mel leży tak na mnie, czuję, jak wypływa z niej ból. Sączy się przez pory jej skóry. Boli mnie to, naprawdę boli. Ale to nic w porównaniu z tym, co ona czuje. Cały ten czas nie miałem pojęcia, bladego, kurwa, pojęcia.

Czy piętnastoletni chłopcy naprawdę mogą być aż tak nieświadomi tego, co się wokół nich dzieje? Pewnie tak. Jedyne, co pamiętam, to że była bardziej wyciszona, być może trochę nieobecna. I że byłem poirytowany, kiedy powiedziała, że chce poczekać i kolejny raz będziemy uprawiać seks, kiedy skończy szesnaście lat. Seks to był mój pomysł. Nie zmuszałem jej ani nic w tym stylu, ale to ja zacząłem, to mnie poniosło, to ja zapytałem, czy możemy, ten jeden raz, proszę, zapomnij o czekaniu. Ależ był ze mnie cholerny, obsesyjnie samolubny idiota. Pomyśleć, że musiała przejść przez to

sama, a ja martwiłem się jedynie o to, że Leeds United odpadło z Ligi Mistrzów.

Nie winię Mel za to, co zrobiła. W ogóle jej nie winię. Winę jej matkę, za to, że była taką krową, że bardziej się przejmowała, co ludzie powiedzą, a nie tym, jak się czuje Mel. Ale, choć z trudem przychodzi mi to przyznać, miała też trochę racji. Pewnie nie mogliśmy mieć wtedy dziecka. Przed nami było całe życie. Mel nie zdałaby matury, nie poszła na uniwersytet ani nic. A ja nie byłbym w stanie jej utrzymać. Chyba że zawiesiłbym studia na kołku i znalazł głównianą robotę w fast foodzie. A gdzie byśmy mieszkali? Czy wprowadziłbym się do domu Mel? To byłoby szaleństwo. Ale jednocześnie to było nasze dziecko. I kiedy patrzę na Mayę, wyobrażam sobie, że mogliśmy mieć też teraz nastolatka, i byłby starszy niż my wówczas. To cholernie przerażające, ale nie mogę przestać myśleć o tym dziecku. Czy byłoby chłopcem, czy dziewczynką. Może miałoby teraz chłopaka albo dziewczynę. Jezus. To zdecydowanie za dużo, żeby przyswoić.

Tak wiele chciałbym wiedzieć, o tyle rzeczy zapytać. A jednak moja cisza, jakkolwiek byłaby dla mnie frustrująca, dla Mel musi być koszmarem. Bo nie mogę jej pocieszyć, nie mam możliwości powiedzieć jej, że wszystko dobrze. Nie nienawidzę jej. Nigdy nie mógłbym jej nienawidzić, nawet za milion lat. Nie po tym wszystkim, co mi dała. A poza tym przeszła przez to, żeby mnie chronić. Jak mógłbym ją za to nienawidzić?

Znów próbuję. Próbuje poruszyć ramionami, rękami, choćby palcami.

Wyciągnąć do niej rękę, objąć ją, zdjąć z niej ból. Nadal nic. Ale się nie poddam. Będę próbował. Przez całą noc, jeśli to konieczne. Znajdę sposób, żeby dokonać przełomu. Pokażę jej, że być może kiedyś ją zawiodłem, ale więcej tego nie zrobię.

Przytomnieję niespodziewanie. Wydaję z siebie dźwięk. Rodzaj burknięcia. Na głos, nie w myślach. Wysiłam oczy

w ciemności, próbując poruszyć nimi, żeby spojrzeć z ukosa, starając się wypatrzeć Mel, by upewnić się, że usłyszała. Ale to nie Mel. To Cynthia. Jedna z opiekunek. Ta z cholernym aparatem słuchowym.

Akurat przy nim majstruje. Pewnie myśli, że to on jest odpowiedzialny za ten dźwięk. Albo że źle działa. Może niczego nie usłyszała.

Wzdycham w myślach. Będę musiał poczekać do rana, żeby znów spróbować.

Czuję rączki Mayi na palcach u nóg. Naprawdę je czuję. Malutkie rączki.

Łaskoczące rączki. Sięgające pod kołdrę, żeby pobawić się w naszą ulubioną poranną zabawę. Cynthii już nie ma. Mel musiała już tu wejść, a potem poszła do kuchni po swoje rzeczy.

- Jedna mała świnka poszła na targ, druga mała świnka została w domu.

Czuję każdy palec z osobna. Czuję, jak jej paluszki ściskają i ciągną je po kolei.

- Ta mała świnka jadła pieczeń wołową, ta mała świnka nie zjadła nic.

A ta mała świnka poszła chrum, chrum, chrum, aż do samiuskiego domu.

- Maya odgina mi duży palec u nogi. Mocno w dół. Aż boli.

Twarz wykrzywia mi grymas bólu. Zaskoczona Maya puszcza moją stopę.

- Przepraszam, Tatusiu - mówi.

I nagle urywa. Jakby zdała sobie sprawę, że od miesięcy nie widziała, żeby moja twarz zmieniła tak wyraz. Udało się. Dokonałem przełomu.

Czekam, aż zacznie wołać. Żeby już zawołała. Już teraz, w tej chwili.

- Mamusiu!

Mel wpada do salonu, oczy ma szeroko otwarte. Spogląda na mnie, potem na Mayę, potem znów na mnie.

- Co się dzieje? - pyta. - O co chodzi?

- Tatuś się skrzywił.

- Jak skrzywił?

- O tak. - Na twarzy Mayi pojawia się potężny grymas. Mel spogląda na mnie. Próbuje znów to zrobić, ale nie mogę. Maya musi mi pomóc. Musi jej pokazać.

- Co mu robiłaś?

- Małe świnki. Tak jak zawsze.

Znów bierze się do mojej stopy. Zaczyna wszystko od początku.

Żałuję, że nie mogę tego przewinąć do ekscytującego finału. Modłę się, żebym znów się skrzywił, kiedy już do niego dojdziemy. Nie mam pojęcia, czy mi się uda. Tym razem Maya ciągnie mój paluch jeszcze mocniej, jakby za wszelką cenę chciała udowodnić Mel, że mówiła prawdę. Znów się krzywię. Nie mam pojęcia jak, ale zrobiłem to. Na twarzy Mel powoli rozkwita uśmiech. Robi się tak wielki i szeroki, że boję się, że z niej spadnie.

- Udało ci się. - Śmieje się do mnie. - Naprawdę ci się udało. Jesteś z powrotem z nami. Właściwie to cały czas byłeś. Wiedziałam. Zawsze wiedziałam, że do nas wrócisz.

Pospiesznie podchodzi do mnie i ściska moje nieruchome ciało tak mocno, jak tylko potrafi, i zasypuje mnie pocałunkami. Maya dołącza się, piszcząc z podniecenia, włączając na mnie, jak jakiś szalony piłkarz po zdobyciu gola. I gdzieś pod spodem jestem ja, przepelniony euforią.

Nigdy dla nikogo tak mały, nieistotny drobiazg nie znaczył tak wiele. Czuję ból. Fizyczny ból. Wobec tego znów jestem człowiekiem. Żyję. Obie wpatrują się we mnie, jakbym był nowo narodzonym dzieckiem. Są pełne zdumienia i radości. Czuję presję, żeby coś zrobić; wydać dźwięk, poruszyć się, cokolwiek, żeby udowodnić, że to nie był szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Zacznie teraz mówić? - pyta w końcu Maya.

- Nie od razu, kochanie. Nie.

- Wieczorem?

- Skarbie, to zabiera dużo więcej czasu. - Mel uśmiecha się. - Ale miejmy nadzieję, że skoro się zaczyna, z każdym dniem będzie się czuł odrobinę lepiej.

- Czy Tatuś wciąż jedzie na te swoje krótkie wakacje?

- Nie, kochanie - mówi Mel. Mówi to bez wahania. - A w każdym razie nie do tego miejsca z broszurki. Jeśli gdzieś pojedzie, to w miejsce, gdzie będą mu pomagać, żeby poczuł się lepiej. To właśnie będziemy teraz robić. Tak szybko, jak tylko możliwe, będziemy pomagały mu wydobrzcć.

Jeszcze przez jakiś czas siedzą i patrzą na mnie. Tulą się do siebie.

Twarze ich obu obmyte są łzami, ale skąpane w radości. I choć może nie są w stanie zobaczyć ani usłyszeć, ja też w środku płaczę. Płaczę jak dziecko.

Po południu przychodzi rejonowa pielęgniarka. Mel zadzwoniła do niej przed pójściem do pracy. Zadzwoniła też do Louise. Słyszałem, mimo że była w kuchni. Była jak duże dziecko, które dostało wymarzony prezent urodzinowy.

Nadal promienieje, wprowadzając pielęgniarkę Dawn do salonu. Nie mogąc się doczekać, żeby zademonstrować, co potrafi jej nowa zabawka.

- Nie miałam okazji, żeby spróbować czegoś więcej - mówi. - Chce pani, żebym pokazała, co zrobiła moja córeczka?

Dawn kiwa głową. Mel łapie mnie za palce u nóg.

- Przepraszam, kochanie - zwraca się do mnie. - Pewnie masz już tego po dziurki w nosie.

Właśnie, że nie mam. Jestem tak samo podekscytowany jak ona. Mel

przynajmniej daje sobie spokój z wierszykiem i przechodzi od razu do zaginania palucha. Twarz znów mi się krzywi. Mel spogląda triumfalnie na Dawn.

- Tak, ma pani rację. - Dawn uśmiecha się. - To ogromny krok naprzód.

- Więc co teraz?

- Sprawdziła pani, czy może się komunikować? Mel kręci głową.

Dawn podchodzi bliżej łóżka.

- Panie Adamie, zadam panu pytanie. Proszę spróbować mrugnąć raz na tak, dwa razy na nie. Czy dobrze się pan dziś czuje?

Napieram na powieki, ciągnę je od dołu, popycham od góry. Po minie Mel widzę, że się nie poruszają.

- Nie szkodzi - mówi Dawn. - To przyjdzie z czasem.

- Chcę, żeby ktoś go zobaczył - denerwuje się Mel. - Jakiś specjalista, ktoś, z kim jeszcze nie mieliśmy do czynienia. Chcę, żeby przeprowadził porządne badania i testy. Takie, o których czytałam.

- Zrobię, co mogę - mówi Dawn. - Pójdę zadzwonić do lekarza rodzinnego. Poproszę, żeby od razu zadzwonił do szpitala. Czy tak będzie dobrze?

Mel kiwa głową. Nadal nie może mówić, bo się uśmiecha.

ROZDZIAŁ 3 1

Mel

Tym razem powrót do szpitala wzbudza zupełnie inne odczucia.

Przede wszystkim to szpital w Leeds. Coś nowego, coś nieskażonego tym, co już było. Coś pełnego nadziei. Prawdziwej nadziei. Nie myślę o przeszłości, a jedynie o przyszłości. Lekarze cały czas się mylili. A ja miałam rację. Jeśli kiedykolwiek jeszcze ich spotkam, małeńka cząstka małego dziecka we mnie będzie miała ochotę powiedzieć: „Zygu, zygu, marchewka” - i pokazać palcem w ich stronę. Choć, oczywiście, nie zrobiłabym tego. Po pierwsze, bo mam trzydzieści cztery lata, po drugie, bo nie chodzi o zdobywanie punktów w rywalizacji: ja kontra lekarze. Chodzi o Adama. I tylko o niego. Udało mu się doczołgać do punktu, w którym w końcu mogą zobaczyć to, co wiedziałam od początku. Ze cały czas jest z nami, w każdym znaczeniu tego słowa. I powiem więcej, wróci do nas.

Postęp przez ostatnie dwa dni był boleśnie powolny, ale to niewątpliwie

progres. Choć biedny Adam po tym, jak doświadczył tych wszystkich ukłuć i szturchnięć, musi czuć się jak ludzki odpowiednik poduszczeni na igły. Fakt jest taki, że reaguje na wszystko. Nie werbalnie, ale fizycznie.

W odpowiedzi na ból cofał kończyny i palce. Stopniowo odhacza kolejne punkty programu, robi wszystko, czego oczekują lekarze.

Dziś rano zrobili mu badanie EEG, żeby sprawdzić elektryczną aktywność mózgu. A w tej chwili jest poddawany rezonansowi magnetycznemu. Siedzę przy końcu urządzenia, trzymając go za nogi.

Radzili mi, żebym ze względu na hałas poczekała na zewnątrz, ale odmówiłam. Chcę, żeby Adam wiedział, że jestem tu dla niego, że nie jest sam. Skoro zaczyna podróż powrotną do nas, będę mu towarzyszyć na każdym jej etapie. Mam na uszach słuchawki, podobnie jak Adam wewnątrz urządzenia. Mimo to słyszę sporadyczne głośne chrzęszczenie i warkot dochodzący ze środka. Sprawdzają ciemne obszary jego mózgu. W sali za szybą ktoś patrzy na obrazy na ekranie komputera. Zagląda do wnętrza mózgu Adama. Myślałam o chilijskich górnikach, którzy przez wiele dni byli uwięzieni w ciemnościach i o tym, jak musieli się czuć, kiedy pomoc w końcu nadeszła. Kiedy wydobyto ich na powierzchnię. Kiedy znów zobaczyli światło.

- W porządku - mówię do niego. - Wiedzą, że tu jesteś. I znajdziemy sposób, żeby cię wydostać.

Jest już po czwartej, kiedy doktor Stephenson może mnie przyjąć. Jest młody, ma krótko obcięte blond włosy. Od razu go polubiłam, bo wierzy. To on przygotował wszystkie badania. Chciał sprawdzić, co mózg Adama jest w stanie robić, a nie, czego zrobić nie może.

- Pani Taylor, przepraszam, że musiała pani czekać. - Siada za biurkiem. - Chciałem przed rozmową z panią móc przejrzeć wyniki.

Nie mogę się doczekać, kiedy przejdzie do sedna i powie to, co chcę usłyszeć.

- Wyniki są zachęcające - mówi. - Ustalenia neurologiczne i behawioralne świadczą o tym, że pani mąż nie spełnia diagnostycznych kryteriów stanu wegetatywnego.

To właśnie chciałam usłyszeć.

- Nie możemy powiedzieć z pewnością, czy w przypadku pana Adama

było tak przez cały czas, czy też przeszedł stopniowo przez śpiączkę, stan wegetatywny aż do obecnej sytuacji.

- A jaka jest obecna sytuacja?

- Uważam, że jest minimalnie świadomy. W odróżnieniu od stanu wegetatywnego zachowuje częściową przytomność.

- To znaczy, że wie, co się wokół dzieje?

- Rozumiem, że tak pani to odbiera. Z czysto neurologicznego punktu widzenia mówimy o pojedynczych obszarach aktywności w jego mózgu.

Kiwam powoli głową. Przesiewam informacje, które przeczytałam przez ostatnie parę miesięcy, składając razem elementy układanki.

- Czytałam o badaniach przeprowadzanych w Addenbrooke's Hospital. W czasie których proszono pacjentów, żeby wyobrażali sobie, że grają w tenisa, a wtedy uaktywniały się odpowiadające za to obszary mózgu.

- Tak, to dobry przykład. Oczywiście u pana Adama nie przeprowadziliśmy tak skomplikowanych eksperymentów, ale po tym, co widzieliśmy, wydaje się możliwe, że jego mózg przetwarza informacje właśnie w ten sposób.

- Więc jak możemy mu pomóc? Będzie desperacko próbował, żebyśmy go zrozumieli. Żeby mógł się komunikować.

- To następny krok. Dla niektórych pacjentów może to być komunikacja głosowa, inni używają tabliczki z literami albo po prostu mrugają. W bardzo krótkim czasie mogę pani pokazać parę rzeczy, które może próbować z nim pani robić w domu. Mogę też umówić pani wizytę logopedy. Ale to, co

naprawdę chciałbym zrobić, to zapisać go na rehabilitację mózgu z prawdziwego zdarzenia.

- Gdzie by to było?

- Jest ośrodek w Goole, w którym zajmują się pacjentami po tak poważnych urazach. Prowadzi go Brain Injuries Rehabilitation Trust.

Jeśli chce pani, żebym skierował tam pana Adama, myślę, że przyniesie to ogromnie pozytywne efekty.

- Nie ma nic bliżej? Goole jest dobrą godzinę i kwadrans drogi od naszego domu.

- Nie. Ale oni mają wspaniały program rehabilitacji. Wprost nie mogę wyjść z zachwyty.

- W porządku - zgadzam się bez wahania. - Cokolwiek będzie trzeba, żeby zwrócić nam Adama.

W uśmiechu doktora Stephensona wyczuwa się wahanie.

- Wiem, że to dla pani dzień dobrych wiadomości po wielu z pewnością bardzo ciężkich miesiącach, ale jestem zmuszony wprowadzić nutę ostrożności. To naprawdę ważne, żeby podchodziła pani realistycznie do tego, co nastąpi. Kiedy pan Adam wyjdzie ze stanu minimalnej świadomości, przejdzie przez coś, co nazywamy amnezją pourazową. Będzie się to ciągnąć długo, mówimy tu o tygodniach. Będzie zdezorientowany, pozbawiony oporów, może nawet agresywny. Dla bliskich to bardzo trudny okres, ale musi pani pamiętać, że on nie będzie się w stanie kontrolować i nie będzie odpowiedzialny za to, co będzie mówił czy robił.

- Ale potem będzie już z nim dobrze, prawda? Kiedy ta amnezja się skończy. Będzie w stanie wrócić do normy.

Doktor Stephenson kręci głową, jego twarz przybiera teraz zdecydowanie poważny wyraz.

- Proces rehabilitacji jest długi, powolny i często bolesny. Nie chodzi o to, czy pani mąż wróci do normy, tylko raczej o dostosowanie się do tej nowej osoby, która się wyłoni.

Wydaję z siebie głębokie westchnienie. Emocjonalna huśtawka trwa.

- Co pan chce powiedzieć? Ze to nie będzie Adam?

- Nie Adam, którego pani знаła, nie. Gdyby w wypadku stracił nogę, nie byłby tym samym Adamem, prawda? To samo tyczy się uszkodzeń mózgu, tyle że nie widać ich, bo są ukryte. Ale kiedy minie amnezja pourazowa, zmiany staną się bardzo widoczne. Poważny uraz płata czołowego, taki jak w przypadku pana Adama, skutkuje zmianą osobowości, zachowania i emocji. Bardzo mi przykro, ale naprawdę nie będzie tą samą osobą.

Jestem zdeterminowana, żeby nie dać się znów zwieść złym prognozom.

- Nie, myli się pan. Lekarze od początku byli w błędzie. Adam udowodnił, że wszyscy się pomylili. Wszyscy, którzy w niego nie wierzyli.

Doktor Stephenson wstaje i obchodzi biurko, żeby przysiąc na jego krawędzi. Spogląda długo i nieruchomo. Jego głos jest spokojny.

- Proszę posłuchać, po tak poważnym urazie mózgu jego powrót do stanu,

w
którym
się

teraz
znajduje,
zakrawał

na

nieprawdopodobieństwo. Ale proszę uwierzyć, kiedy mówię, że w tym miejscu cud się kończy. Zawsze istnieje niewielki procent pacjentów, którzy wbrew przewidywaniom lekarzy wychodzą z długotrwałych stanów braku świadomości, tak wiele jeszcze nie wiemy o tych sprawach. Ale sporo wiemy o tym, jak pacjenci reagują, kiedy już znajdują się z powrotem po tej stronie. I choć trudno się z tym pogodzić, im szybciej pani zaakceptuje, że nie będzie tą samą osobą co wcześniej, tym łatwiej pani z tym będzie.

Chce mi się krzyczeć na niego, żeby przestał. Próbuje przekłuć bańkę mydlaną, w której żyję. Wciąż tego nie rozumie. Nie zdaje sobie sprawy, do czego Adam jest zdolny.

Chcę mu powiedzieć o wszystkim, co działo się w głowie Adama od czasu wypadku. Ale nie mogę tego zrobić. Jeśli to uczynię, po prostu oskarży mnie, że sobie to wszystko zmyśliłam.

- Nie, Adam jest inny - mówię stanowczo. - Odzyskam go. Bo on tak naprawdę nigdy nie zniknął.

Doktor Stephenson dzwoni następnego dnia. Rozmawia ze mną uprzejmie, mimo że byłam dla niego niemiła. Mówi mi, że za tydzień, licząc od jutra, zarezerwował dla Adama tymczasowe miejsce na oddziale rehabilitacji neurologicznej. Czuję ostre ukłucie bólu na myśl o tym, że Adam wyjedzie tak szybko. Ale wystarczy, że pomyślę, o ile gorzej bym się czuła, gdybym wysłała go do Hazelwood House, i ból od razu znika. Tu nie chodzi o to, żeby poszedł w odstawkę. Chodzi o to, żeby poczuł się lepiej. Odzyskam go. On wróci do mnie. Wiem, że tak.

Jak tylko odkładałam słuchawkę, idę prosto do Adama, żeby mu o tym powiedzieć. Już wie, że takie są plany. Rozmawiał z nim o tym doktor Stephenson i ja także. Jedziemy na tym wózku razem. Nie ma już między nami tajemnic.

- Kochanie, dostałeś to miejsce w Goole. - Ściskam go za rękę. -
Zaczynasz z końcem przyszłego tygodnia. Pomogą ci poczuć się lepiej.
Wszystko będzie dobrze.

Odwzajemnia uścisk dłoni. To tak tycie ściśnięcie, tak delikatne, że większość ludzi pewnie nawet by nie zauważyła. Ale ja je czuję.

- Poczulałam. - Wyprostowuję się gwałtownie i uśmiecham do niego szeroko. - Naprawdę. Zrób to jeszcze raz, jeśli dasz radę.

Czekam. Nic się nie dzieje.

- Przepraszam, kochanie. Tym razem nie poczułam, ale, hej, na początek raz wystarczy.

Kładę mu głowę na piersi, czując dziecięce zdumienie tym, co się dzieje. To tak, jakby wolno, bardzo powoli, wracał do życia.

- Wiem, że ciężko ci będzie wyjechać, ale będą cię tam leczyli w najlepszy możliwy sposób. Za każdym razem, kiedy cię odwiedzę, będziesz robił coś nowego. Idziemy do przodu. Po tych wszystkich miesiącach wreszcie do czegoś dochodzimy. Wiesz, jesteś niesamowity. Tak mocno walczysz. Bardzo cię kocham.

Pochyliłam się i całuję go w usta. I możliwe, tylko możliwe, że odwzajemnia pocałunek.

Kiedy wieczorem, włączywszy zmywarę, wracam do salonu, zastaję Mayę szczelnie owiniętą w jedną z zasłon.

- Kochanie, co robisz?

- Zrobiłam kokon. Próbuję zmienić się w motyla. Śmieję się w głos. W tym samym czasie Adam wydaje z siebie dźwięk. Nie jest to słowo, bardziej coś jak „hmmmpf”, ale znaczący jest moment, w którym to robi.

- Tatuś się śmieje. - Maya wysuępuje się z zasłony i biegnie do jego łóżka.

- Tak, myślę, że tak. Chyba go rozśmieszyłaś.

- Zrobię to jeszcze raz - mówi. - Opowiem mu kawał. Puk, puk.

- Kto tam? - wyręczam Adama.

- Mikołaj.

- Jaki Mikołaj?

- Nie bądź niemądra, Mikołaj jest tylko jeden. Uśmiecham się, bo dowcipy jeszcze nie do końca jej wychodzą.

- Kochanie, sama go wymyśliłaś?

- Tak. Śmieszny?

- Bardzo śmieszny.

- To czemu Tatuś się nie śmieje?

- Bo wszystkiego uczy się od nowa. To trochę tak, jak ty uczysz się zapisywać litery i dźwięki. Czasami wychodzi tak, jak chciałaś, a czasami nie. Ale za każdym razem bardzo mocno próbujesz.

Maya kiwa głową. Czuję, że to właściwy moment. Biorę ją za rękę i

prorowadzę do kuchni, nie chcąc denerwować Adama bardziej niż potrzeba.

- Pamiętasz, jak mówiłyśmy o tym, że Tatuś pojedzie do miejsca, gdzie pomogą mu poczuć się lepiej? Nie do tego miejsca z broszurki, którą widziałas, ale innego, gdzie pomogą mu nauczyć się, żeby znów robił wszystko sam?

- Tak. Ale nie wyjedzie przed Gwiazdką, prawda?

- Obawiam się, kochanie, że tak. Pojedzie tam za tydzień. Ale im szybciej tam się znajdzie, tym szybciej poczuje się lepiej i wróci do nas do domu.

Patrzę, jak ocenia tę nową informację, podejmuje decyzję, jak zareagować.

- W porządku - mówi. - Jeśli tylko poczuje się lepiej na moje urodziny.

- Dziękuję, skarbie. - Przytulam ją. - Tatuś będzie naprawdę dumny z ciebie, jak się dowie, że tak dobrze zareagowałaś.

- A kiedy wróci do domu, będzie znów jak Tatuś, prawda? Głaszczę ją po głowie, tak bardzo bym chciała ukoić jej ból, ale po rozmowie z doktorem Stephensonem wiem też, że to by było nieuczciwe z mojej strony, gdybym była tak niefrasobliwa.

- Kochanie, nie będzie dokładnie taki sam. Z niektórymi rzeczami będzie mu nadal trudno, ale tak, powinien być w stanie robić z tobą o wiele więcej rzeczy.

- Na przykład czytać mi bajeczki na dobranoc?

- Być może, kochanie. Będziemy musiały poczekać i zobaczyć.

Wciąż tulimy się do Adama, czytając bajeczki na dobranoc, kiedy słyszę pukanie do drzwi. Marszczę czoło, kiedy odgaduję kto to. Steve nie odzywał się od zeszłego czwartku. Nie byłam pewna, czy znów się pojawi po tym, co powiedział. Przyszedł też wcześniej. Zastanawiam się, czy zrobił to specjalnie, wiedząc, że w obecności Mayi nie zamknę mu drzwi przed nosem.

- Kto to? - pyta Maya.

- To może być Steve. Przyszedł odwiedzić Tatusia.

- Przyjdzie z nim Luł-jiz?

- Nie, kochanie. Tylko Steve.

Idę do drzwi, a Maya kręci mi się pod nogami jak rozochocony szczeniaczek.

- Cześć - mówi Steve. - Wiem, że jestem wcześniej. Nie było dziś korków.

Ta wymówka mnie nie przekonuje, ale i tak otwieram szeroko drzwi.

- Wchodź.

- To dla Tatusia? - pyta Maya, zauważywszy bukiet kwiatów, który Steve skrywa za plecami.

- Yyy, raczej dla twojej mamusi.

- Po co jej kwiaty? - Maya świetnie się spisuje, zadając za mnie wszystkie te pytania.

Steve zerka na mnie, potem znów na Mayę. Z pewnością zdaje sobie sprawę, że nie wchodzi w grę odpowiedź: „W ramach przeprosin za to, co powiedziałem twojej mamusi, że Tatuś przespał się z inną”.

- No, bo... Wykonuje kawał dobrej roboty, opiekując się Tata, prawda?

Maya kiwa głową. Steve wręcza mi kwiaty. To porządny bukiet z drogiej kwiaciarni, nie ze stacji benzynowej, jak było z Louise. W żołądku znów pojawia mi się to niemiłe uczucie.

- Dziękuję - mówię, gdy Steve zdejmuje buty. - Możesz iść do kuchni, rozgrzać się trochę, jeśli chcesz. Ja skończę czytać Mayi na dobranoc.

- Tatuś czuje się już lepiej - relacjonuje Maya. - Krzywi się, jak mu naciągnę palec u nogi.

Steve spogląda na mnie, marszcząc czoło. Czekają, aż powiem mu, że Maya to zmyśliła.

- To prawda.

Steve marszczy czoło jeszcze bardziej.

- Ale jak? Nie rozumiem.

- W ciągu tygodnia wiele może się wydarzyć.

- Tatuś nie jedzie już na wakacje do domu staruszków, tam gdzie Mama była z Luiz. Jedzie tam, gdzie poczuje się lepiej.

Steve wpatruje się we mnie z uniesionymi brwiami. Teraz Maya zdradza mu raczej zbyt wiele.

- Posłuchaj, pozwól, że położę Mayę spać, a potem wszystko ci opowiem.

Steve potyka się na schodku prowadzącym do kuchni. Wygląda na dezorientowanego. Wracam do salonu, żeby skończyć czytać bajeczkę. Maya mówi Adamowi dobranoc, całując go w policzek.

Jeszcze nie powiedziałam jej, że Adam ścisnął mnie za rękę. Chcę poczekać, aż będzie w stanie to powtórzyć, żeby nie była rozczarowana.

- Czemu Steve nie przychodzi już z Luiz? - pyta Maya, przebierając się w piżamkę.

Dobre pytanie i kiedyś będę musiała wytłumaczyć jej, czym jest rozwód, ale nie jestem pewna, czy teraz jest właściwy moment.

Decyduję się na półśrodek. Postanawiam wyłożyć jej podstawy i zobaczyć, jak to przyjmie.

- Steve i Louise nie mieszkają teraz razem. Steve ma własne małe mieszkanie. Chciał dla siebie trochę miejsca i czasu, żeby uporządkować pewne sprawy.

- Jakie, takie jak ubrania i inne rzeczy?

- W pewnym sensie, kochanie. - Uśmiecham się.

- Czemu Luiz nie może mu w tym pomóc?

- Steve chce to zrobić sam. Potrzebuje trochę czasu tylko dla siebie.

- Ale przecież odwiedza Tatusia, prawda? I ma czas, żeby kupić ci kwiaty.

- Tak, kochanie. - Całuję ją w czołko. - A teraz wśliznij się pod kołderkę ze swoim termoforem. Mamusia i Tatus bardzo cię kochają.

- Mamusiu - mówi Maya, gdy wyłączam światło. - A Luiz nie jest trochę samotna?

- Tak, kochanie. Myślę, że jest. Miałam zapytać cię, co sądzisz o tym, żebyśmy ją zaprosili na świąteczny obiad w tym roku.

- Tak. Chciałabym. A przyniesie prezenty?

- Podejrzewam, że tak, kochanie. Uśmiecham się.

- A teraz śpij, dobrze? - dodaję.

Po drodze do kuchni sprawdzam, co u Adama. Leży cicho i nieruchomo. Pewnie usłyszał, kiedy przyszedł Steve. Nie muszę go o tym informować. Ale nie chcę przy nim rozmawiać ze Steve'em. Nie dziś.

- Niedługo wrócę. - Głaszczę go po ramieniu, nim wyjdę z pokoju i starannie zamknę za sobą drzwi.

Przechodzę do kuchni. Steve siedzi przy stole. Zaparzył już kawę dla nas obojga. Kwiaty wstawił do zlewu.

- Przepraszam - mówi. - Nie mogłem znaleźć wazonu.

Siadam naprzeciwko. Nie znoszę tego niezręcznego milczenia.

Zauważam, że nie nosi już obrączki. Nie mam pojęcia, jak dawno temu ją zdjął.

- To najlepiej będzie, jak opowiesz mi, co się działo.

- Tak. Cóż, Adam nie jest w stanie wegetatywnym, to na początek.

- Kto tak powiedział?
- Lekarz. Poszliśmy do innego. Okazuje się, że Adam jest w stanie minimalnej świadomości.
- Jaka to różnica?
- Ogromna, sądząc po tym, co powiedział lekarz.
- Jaki lekarz? Do kogo poszliście? To przypadkiem nie jakiś konował? Jestem zaskoczona tonem jego głosu. Nie rozumiem, czemu jest taki na nie, skoro to dobre wieści.
- Steve, proszę, poczekaj chwilę i daj mi wyjaśnić. Steve wzrusza ramionami i wypija łyk kawy.
- W sobotę Adam skrzywił się, kiedy Maya pociągnęła go za palec u nogi. Zrobił to kilka razy. Pielęgniarka rejonowa załatwiła mu wizytę u neurologa w szpitalu w Leeds. Zbadali go na różne sposoby, niektóre z tych badań zrobili mu po raz pierwszy i okazało się, że w jego mózgu są aktywne ośrodki.
- Co to oznacza?
- Wydaje się, że ma świadomość siebie samego i otoczenia. Steve odstawia kawę tak szybkim ruchem, że wylewa trochę na stół.
- To znaczy, że słyszy i rozumie, co się mówi?
- No, tak. Ale przecież zawsze to wiedzieliśmy. Steve ma niepewną minę.
- Co jeszcze może?
- Ścisnął mi rękę i wyartykułował dźwięk, kiedy Maya powiedziała coś zabawnego.
- Ale to mógł być tylko przypadek.
- Nie, już nie. Zbyt wiele było tego typu zdarzeń. Steve kiwa powoli głową i bawi się uchem kubka.
- Rozumiem. I, hmm, co teraz?

- Za tydzień jedzie do centrum neurorehabilitacji w Goole. Twierdzą, że wychodzi ze stanu minimalnej świadomości. Lekarze tak twierdzą, Steve, nie tylko ja.
- Więc co Maya mówiła o domu, do którego pojechałaś z Louise? Teraz moja kolej, żeby niezręcznie wiercić się na krześle.
- Myślałam o tym, co mówiłaś, to znaczy o tymczasowej opiece, nie o tym drugim. Uznałam, że to ma sens, dlatego pojechałam obejrzeć dom opieki.
- Kiedy?

- W zeszłą sobotę. Dzień, zanim to wszystko się wydarzyło. Steve ma minę zbitego psa.

- Przecież bym cię zawiózł. Wystarczyło poprosić.

- Myślałam, że jesteś zajęty. Poza tym Louise się zaoferowała.

Steve spogląda na mnie twardo, jak gdyby wyczuwał, że nie jestem z nim całkowicie szczerą. Unikamy prawdziwego tematu, ale on nie zniknie.

- Posłuchaj, nie poprosiłam cię, bo nie chciałam, żebyś pomyślał, że zmieniałam zdanie z powodu tego, co powiedziałeś o Adamie.

Steve kiwa głową i przeczesuje ręką włosy.

- To pewnie bez znaczenia, ale nie pomyślałbym tak. Za dobrze cię znam. Skrywa twarz w rękach i głęboko wzdycha.

- O co chodzi?

- To po prostu za dużo naraz. Jak długo potrwa ta rehabilitacja?

- Nie wiem dokładnie. Ostrzegli mnie, że to będzie długotrwały proces. Ten lekarz uważa, że Adam nigdy nie będzie taki, jak przed wypadkiem.

- Może ma rację - mówi Steve. - Może wszyscy musimy zacząć się z tym oswajać.

- Nie. Adam udowodni im, że się mylą. Tak jak robi to przez cały czas. Wiesz, jaki on jest. Nigdy nie przestanie walczyć.

- Co nie znaczy, że wygra.

- Po czyjej jesteś stronie?

- Twojej. Po prostu staram się cię chronić.

Przez chwilę siedzimy w ciszy. Łagodność w głosie Steve'a osłabia moje rozczarowanie, że nie chce wierzyć w Adama tak mocno jak ja.

- Więc co będzie? - pyta w końcu Steve. - Jak już na dobre oprzytomnieje.

- To nie będzie tak jak w filmach. Ze nagle, pstryk, i obudzi się.

Będzie przechodził amnezję pourazową, która jest naprawdę straszna.

- Będzie pamiętał cokolwiek z tego, co się zdarzyło? To znaczy, kiedy był nieprzytomny.

- Nie wiem. Nie powiedzieli.

Steve kiwa głową. Przysuwa kubek do ust, po czym znów go odstawia.

- Powiedzieli, kiedy znów zaczniesz mówić?

- Nie. Raczej nie. Dostanie logopedę i wszystko inne. Może wcześniej będzie w stanie komunikować się za pomocą tabliczki z literami.

- Rozumiem.

Steve'owi trzęsie się ręka. Jednym haustem wypija resztę kawy i idzie odstawić kubek do zlewu. Kubek wyslizguje mu się z rąk. Na szczęście woda, którą wlał kwiatom, amortyzuje upadek.

- Posłuchaj - mówi, odwracając się. - Chciałem przeprosić cię za zeszły tydzień. Dlatego przyniosłem kwiaty. Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. Nigdy nie chciałem cię zranić.

- Więc czemu to powiedziałeś?

- Czasem trzeba powiedzieć prawdę. Nawet jeśli wiesz, że druga osoba nie chce jej usłyszeć.

- Dlaczego?

Waha się z odpowiedzią.

- To już bez znaczenia, prawda?

Znów mówi enigmatycznie. Rozumiem, czemu doprowadzał Louise do szału.

- Oczywiście, że ma znaczenie. Chcę wiedzieć. Steve podchodzi do mnie.

- Dobrze, powiedziałem ci, bo nie mogłem patrzeć, jak się biczujesz z powodu wysłania Adama na tydzień do domu opieki. I może dlatego że ciągle jestem zły na Adama za to, co ci zrobił.

- Ale ja nie wierzę, że on to zrobił. - Wstaję, chcąc zanieść swój kubek do zlewu, ale Steve stoi mi na drodze i nie wygląda, jakby miał mnie przepuścić.

- Wiem, że będziesz go bronić do upadłego, ale chcę, żebyś wiedziała, że ja bym nigdy ci tego nie zrobił. Nigdy bym cię tak nie skrzywdził.

Intensywność jego spojrzenia zaczyna wytrącać mnie z równowagi.

Czuję nagłą potrzebę zaatakowania.

- Jak możesz to mówić, skoro tak bardzo zraniłeś Louise?

- To co innego.

- Dlaczego?

- Bo ona nie jest kimś, kogo od zawsze kocham. Nie jest kimś, o kim marzę, żeby z nim być.

- A kto jest tym kimś?

Zapada milczenie. Steve nie odrywa ode mnie wzroku. Podchodzi bliżej, bierze moją twarz w swoje ręce i całuje mnie mocno w usta.

Przez krótką chwilę nie jestem w stanie nic powiedzieć ani się ruszyć.

Tak jakby na pilocie wcisnął przycisk pauzy. Czuję ciepło jego oddechu, drapanie zarostu, a w jego dotyku czystą desperację. W końcu udaje mi się wyrwać pilot z jego rąk i wcisnąć „play”. Wyswobadzam się i oszołomiona

cofam krok czy dwa.

- Co ty do cholery robisz?

Twarz Steve'a jest czerwona, oczy wychodzą mu z orbit.

- Myślałem, że to zrozumiałaś. Myślałem... Kręcę głową.

- Wynoś się. - Mój głos jest minimalnie głośniejszy niż szept. Całe ciało mi się trzęsie, gdy wskazuję palcem drzwi. -I nigdy, nigdy więcej nie wracaj.

Steve bierze kurtkę przewieszoną przez kuchenne krzesło i szybkimi, długimi krokami kieruje się prosto do drzwi. Serce bije mi tak szybko, że nie czuję już osobnych uderzeń. Tylko ciągłe dudnienie. Liczę sekundy, aż nie usłyszę, jak zamykają się za nim drzwi wejściowe.

Opadam na podłogę, trzymając się rękami za głowę, nie mogąc uwierzyć, że byłam tak naiwna. Tak cholernie, cholernie głupia.

Steve kłamał, mówiąc, że nie ma innej. Owszem ma. Mnie.

CZEŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ 32

Adam

Piątek, 3 grudnia 2010

Nie mam czasu na ćwiczenia. Muszę dorwać się do komputera. Mam artykuł do napisania. Muszę zdążyć na czas.

- Będziesz miał mnóstwo czasu, Adam. To nie potrwa długo.

Tracey jest fizjoterapeutką. Tak jest napisane na drzwiach. Nie rozumie, że dziennikarzowi nie wolno przegapić terminu. Nie można po prostu leżeć sobie i podnosić, i opuszczać nogi.

- Adam, świetnie. Twój zakres ruchowy bardzo się poprawił.

- Czemu nie mogę sam nauczyć się znów chodzić? Dlaczego potrzebuję ciebie?

- Bo obszar twojego mózgu odpowiedzialny za chodzenie został uszkodzony w wypadku. A moja praca polega na pomocy osobom takim jak ty.

Wszyscy mówią o „wypadku”. Tyle razy mi o tym opowiadano, że wiem, co się zdarzyło. Mówią, że w muzeum, w którym pracowałem, spadła mi na głowę czaszka dinozaura. Pamiętam szkielet dinozaura, ale nie przypominam

sobie momentu, kiedy spadła mi na głowę czaszka. Na początku myślałem, że zmyślili to sobie, ale już tak nie sędzę, bo za często mi o tym opowiadają.

- OK. To teraz spróbujmy cię posadzić.

Tracey uśmiecha się do mnie promiennie, gdy siadam na łóżku. Nie wiem, czemu robi tyle hałasu o to, że potrafię siadać. Tak jakbym był dzieckiem. A nie jestem. Nazywam się Adam Taylor. Mam trzydzieści trzy lata. Mieszkam w Cragg Vale w West Yorkshire, ale w tej chwili nie ma mnie tam. Z powodu wypadku przebywam tutaj, w Goole. To tak jakbym wrócił do szkoły. Każą mi się uczyć wszystkiego od nowa.

Nie zdają sobie sprawy, że wszystko ze mną w porządku. Nic mi nie jest.

- Niedługo zaczyna się konferencja prasowa. Muszę na niej być.

- Adam, nie będę cię długo zatrzymywać - mówi Tracey. - Naprawdę dobrze ci idzie. Chcę tylko, żebyś stanął.

Pomaga mi usiąść na wózku i popycha mnie w kierunku dwóch drążków

przy ścianie sali, umieszcza pomiędzy nimi i pomaga stanąć.

Jedną ręką łapie jeden drążek, a drugą drugi. Nogi wydają się odłączone od ciała. Ciężko zmusić je do ruszania.

- Świetnie, Adam. Próbuje dalej.

- Kiedy będę mógł zacząć znów biegać? - pytam. Uwielbiam biegać.

Pamiętam, że biegałem. Na zewnątrz,

po pagórkach. Po wierzchołkach. Wiatr i zimny deszcz, i błoto.

Wszystko to na moim ciele. Moje nogi, które po prostu cały czas się poruszają.

- Wszystko we właściwym czasie - tłumaczy Tracey. - Krok po kroku, pamiętasz? Nikt by nie uwierzył, że kiedy przyjechałeś tu dwa miesiące temu, ledwo mogłeś się ruszać, nie mówiąc już o chodzeniu.

- Jak się nauczyłem?

- Ćwiczyłeś. Tutaj, ze mną, każdego dnia. Tak samo jak ćwiczyłeś, by od nowa mówić i jeść.

- To gdzie szło jedzenie, kiedy nie mogłem jeść?

- Przez rurkę do twojego żołądka. Pamiętasz, jak w zeszłym tygodniu oglądaliśmy bliznę w miejscu, gdzie była ta rurka?

Myślę, że pamiętam, ale nie mam pewności. Na głowie też mam bliznę. Jest pod włosami, ale wiem, że tam jest. Podnoszę rękę, żeby spróbować ją poczuć. Kiedy to robię, potykam się i muszę złapać drążek obiema rękami. Walę pięścią w powietrze. Nienawidzę, kiedy to się zdarza.

- Adam, w porządku. Myślę, że dziś zatrzymamy się tutaj. - Tracey bierze wózek i obraca mnie, żebym mógł usiąść. - Radziłeś sobie bardzo dobrze. Widzimy się o tej samej porze jutro.

Często to słyszę. „O tej samej porze jutro”. Jest plan zajęć, tak samo jak miałem w szkole. Teraz przerwa na lunch. Popycham swój wózek korytarzem na stołówkę. Siadam w tym samym miejscu co zwykle.

Mężczyźnie, który siedzi naprzeciwko, pomaga kobieta w kitlu. Jest młody, młodszy ode mnie.

- Tak, proszę usiąść tu ze mną i z Garym - mówi kobieta.

- Ile masz lat? - pytam go. Mężczyzna zerka na kobietę.

- Dwadzieścia jeden, prawda? - odpowiada kobieta. - A przynajmniej wszyscy tak mówią.

Kobieta śmieje się, jakby to było zabawne. Gary przewraca swoją wodę, która leje mu się na spodnie. Wygląda, jakby się zmoczył.

Zaczynam się śmiać. Gary też się śmieje.

- Zasikałem spodnie - oświadcza Gary.

Kilka innych osób też się śmieje. Kobieta w kitlu wyciera wodę mopem i przynosi mu nową. Nie wygląda przy tym, jakby uważała, że to śmieszne.

Kończę jeść zapiekany ziemniak. Inna kobieta przynosi mi kawałek biszkopta. Każdy dostaje biszkopt. Nie wiem, czy zawsze dostajemy biszkopt. Nie pamiętam, co było wczoraj. Nie pamiętam, co było na śniadanie.

- Nie chcę tego. Chcę budyń. Gary zrzuca biszkopt na podłogę.

- Nie robimy tak z jedzeniem, prawda, Gary? - pyta kobieta.

- Chcę budyń - mówi Gary.

- On chce budyń - powtarzam.

Wydaje się, że kobieta tego nie rozumie. Sprząta i przynosi mu znów biszkopt. Tym razem Gary go zjada.

- Myślałem, że chcesz budyń? - dziwię się. Kobieta spogląda na mnie.

Wciąż się nie śmieje.

Mel przychodzi po lunchu. Zawsze wtedy przychodzi.

- Cześć, kochanie. - Nachyla się, żeby pocałować mnie w usta.

Mel to bezpieczeństwo, Mel to dobroć, Mel to zawsze.

- Tracey powiedziała mi, że naprawdę dobrze ci dziś szło chodzenie - dodaje.

- Kiedy widziałas Tracey?

- Przed chwilą. Po drodze tutaj.

- Myślałem, że przyszłaś prosto z pracy.

- Tak. Po prostu minęłam ją na korytarzu. Rozmawiałyśmy chwilę.

- Jak długo zajmuje ci dojazd z uniwersytetu tutaj?

- Adam, nie pracuję teraz na uniwersytecie. Pracuję w Calderdale College w Halifax.

- Czemu mi tego nie powiedziałaś?

- Powiedziałam. Ale nie zawsze pamiętasz, co ci się mówi, i to nie twoja wina.

- Czemu nie pracujesz na uniwersytecie?

- Nie dało się tego pogodzić z opieką nad tobą i Mayą. Chciałam być bliżej domu i pracować mniej.

- Jest tu Maya?

- Nie, kochanie. Jest w szkole. Przyjdzie jutro. Zawsze przychodzi w weekend.

- Chcę zobaczyć Mayę.

- Wiem, kochanie. I ona też bardzo chce się z tobą zobaczyć.

Przyjedzie jutro.

- Czemu nie może przyjść dzisiaj?

- Jest w szkole.

Mel wstaje, podchodzi do okna mojej sali i poprawia kwiaty w wazonie. Robi to długo. Kiedy odwraca się, żeby spojrzeć na mnie ponownie, ma zabawną minę. Trochę jakby wesołą i trochę smutną.

- Dziś znów dostała wyróżnienie na akademii.

- Kto?

- Maya. Tata poszedł na akademię, żeby miała komu pomachać.

- Z pociągu? Twój tata machał do niej z pociągu?

- Nie. Nie było żadnego pociągu. Był na szkolnej akademii u Mayi.

- Pociągi w Gainsborough zawsze przychodzą o czasie. Pauza.

- Tata ci to powiedział? - Mel robi wrażenie, jakby naprawdę chciała się dowiedzieć.

Wzruszam ramionami. Nie mam pojęcia, skąd to wiem.

Mel uśmiecha się i kiwa głową. Kiedyś często się uśmiechała. Kiedy myślę o niej, kiedy przypominam sobie jej twarz, zawsze widzę ją uśmiechniętą.

- Mam dla ciebie jeszcze jeden kawał - mówię. Opowiadam dowcipy, które zapamiętałem jako dziecko.

Kiedyś znałem ich całe mnóstwo.

- Puk, puk.

- Kto tam?

- Apacz.

- Jaki Apacz?

- A patrz przez wizjer, zamiast pytać.

Mel znów się uśmiecha. Nie jest to zbyt dobry uśmiech.

- Wiesz, chodzi o to, żeby popatrzeć przez wizjer.

- Tak. W porządku, zrozumiałam.

- Patrz, czyli ktoś ci już opowiedział?

- Patrz. A to było śmieszne.

- Ale co?

Mel mówi, że nieważne i znów zaczyna układać kwiaty.

Zawsze byłem z Mel. To pamiętam. Mówi, że mnie kocha. Wiem, że jest dla mnie naprawdę dobra. Ale nie pamiętam, co miała na sobie, kiedy była tu poprzednio ani co mi powiedziała w zeszły piątek.

Nienawidzę tego. Nienawidzę tego, że nie jestem w stanie poskładać wszystkiego do kupy. Moja pięść mocno uderza w stolik przy łóżku.

- Hej, w porządku. - Mel podchodzi pospiesznie i kuca przy mnie. -

To już nie potrwa długo. Ich zdaniem wkrótce będziesz w stanie pamiętać dużo więcej. Najgorsze minęło.

Mel włącza muzykę. Wszystkie moje ulubione kawałki wciąż są na moim i-Podzie, więc żadnego nie straciłem. Nadal pamiętam słowa każdej piosenki, jaką kiedykolwiek wykonał James Brown. Zaczyna lecieć *It's a Man's World*.

- Puściłam ją pierwszego dnia, kiedy wróciłeś ze szpitala - wspomina Mel. - Leżałam z głową na twojej piersi i słuchaliśmy jej razem.

Mel patrzy na mnie. Nie pamiętam tego. Pamiętam jednak coś innego.

- Grali ją nam na weselu - mówię. - I kapela wykona ją podczas naszej rocznicowej imprezy. To niespodzianka dla ciebie. Kiedy będzie nasza impreza?

Mel uśmiecha się i ściska mi dłoń.

- Kochanie, musieliśmy ją przełożyć. Może urządzimy ją innym razem.

- W przyszłym roku. Możemy ją urządzić w przyszłym roku. Żeby tylko twoja mama nie przyszła. Bo zaczęłaby śpiewać. Strasznie fałszuje.

- Skąd to wiesz?

Zastanawiam się przez chwilę. Czasami po prostu coś wiem. Nie wiem skąd.

- Pamiętam z naszego ślubu. I chrztu Mayi. Mel znów ściska moją dłoń.

- No, dobrze - mówię. - A gdzie Maya?

ROZDZIAŁ 3 3

Mel

Jak się pani miewa? - pyta doktor Daines.

Jest wysoka i elegancka, i zadziwiająco przyjacielska jak na konsultanta z zakresu rehabilitacji neurologicznej.

- W porządku - odpowiadam.

- Nie, ale naprawdę. Jak się pani miewa? Uśmiecham się lekko w podziękowaniu za determinację,

żeby nie zrażać jej moją zdawkową odpowiedzią.

- Jest ciężko. Myślałam, że nie zdarzy się już nic gorszego niż pierwszy tydzień. Ale kiedy to się ciągnie i ciągnie, zaczynam mieć wrażenie, że to *Dzień świstaka*. Wiem, że brzmi to okropnie, ale czasami boję się go odwiedzać. Z pewnością boję się przyprowadzać Mayę, na wypadek gdyby Adam powiedział coś nieodpowiedniego.

- To wcale nie brzmi okropnie. Bardzo wiele osób tak się czuje. Z tego, co widziałam i słyszałam, radzi sobie pani zdumiewająco dobrze. Tak wiele osób okazuje frustrację, przez co pacjenci robią się jeszcze bardziej podminowani.

- Chodzi o to, że w kółko pyta o to samo.

- Wiem, ale postępuje pani dokładnie tak, jak panią prosiłam.

Pozostaje pani spokojna, nie powtarza mu pani, że już mu to pani mówiła. Nie kłóci się z nim pani, kiedy on mówi, że musi iść na konferencję prasową.

Udaje mi się utrzymać słaby uśmiech. Zawsze wiedziałam, że Adam tęskni za dziennikarstwem. W dziwny sposób to jeden pozytyw tej sytuacji. Przynajmniej chwilowo myśli, że odzyskał dawną pracę.

Ale z całą resztą jest ciężko, niewiarygodnie ciężko. Adam zachowuje się tak od tygodni. Chociaż nie, to nieprawda. Było dużo gorzej niż teraz. Nie mogę powiedzieć, że mnie nie ostrzegali, ale jak się widzi męża, który krzyczy na ludzi i klnie albo gdy ma się świadomość, że onanizuje się pod kołdrą, kiedy się do niego mówi, trudno pamiętać o tym, że nie potrafi się powstrzymać, bo doświadczył urazu mózgu, a nie bo jest zboczeńcem.

I choć doktor Daines oraz reszta personelu zapewniali mnie, że to zupełnie normalne i mnóstwo innych pacjentów przechodzi przez tę fazę podczas amnezji pourazowej, mimo wszystko nie dawało mi spokoju, że mój mąż to robi.

Mówię „mój mąż”, ale prawda jest taka, że mężczyzna, którego odwiedzam od kilku tygodni, jedynie z wyglądu przypomina Adama.

Mój prawdziwy mąż jest gdzieś tam pod skórą, nadal czekając, żeby mi się ujawnić. Było ciężko, niesłuchanie ciężko nie stracić wiary, gdy to wszystko się działo. I były chwile, mroczne, samotne chwile podczas długich bezsennych nocy, kiedy myślałam, że może lekarze mają rację.

Może dawny Adam nigdy do mnie nie wróci. Ale za dnia takie myślenie

się nie oplaca. Muszę wierzyć. Muszę wyglądać tak, jakbym wierzyła i muszę być silna dla Adama, żeby dał radę do mnie wrócić.

- Jak długo pani zdaniem to potrwa? - pytam. - Aż całkiem wyjdzie z amnezji pourazowej?

- Myślę, że mniej więcej tydzień. Jego odpowiedzi na moje pytania stają się coraz bardziej spójne. Pani może się

tak nie wydawać, ale udaje mu się zapamiętać dużo więcej informacji.

- I co wtedy? Zacznie sobie przypominać?

- Będzie mógł tworzyć nowe wspomnienia, ale obawiam się, że nie będzie w stanie pamiętać niczego, co miało miejsce w czasie amnezji pourazowej ani kiedy był w stanie minimalnej świadomości, ani oczywiście z okresu śpiączki.

Mówi to tak rzeczowym tonem. Z pewnością nie zdaje sobie sprawy, co to dla mnie znaczy. Jak muszę kurczowo trzymać się przekonania, że Adam przez cały czas był ze mną. Że wszystkiego był świadomy.

- Czasami mówi coś i nie pamięta, gdzie to usłyszał ani od kogo. Dziś wspomniał o tym, że moja mama fałszuje i coś, co mój tata powiedział o pociągach. Rzeczy, o których wie z okresu, kiedy był w stanie minimalnej świadomości.

Doktor Daines uśmiecha się, wyrażając współczucie i wsparcie, ale jest to uśmiech osoby, która nie wierzy.

- Mogę sobie tylko wyobrazić, jak trudno pani zaakceptować, że nie będzie miał wspomnień, ale w żaden sposób nie umniejsza to tego, co pani i jej rodzina oraz przyjaciele zrobiliście dla Adama i jak wiele w owym czasie dla niego to znaczyło.

- Ale z pewnością niektórzy ludzie to pamiętają? Kręci głową.

- Właśnie nie. Bardzo sporadycznie zdarza się, że pacjent może przywołać coś, co wydaje mu się, że pamięta z tego okresu. Okruch informacji, zrozumienie jakiejś sytuacji, którego nie da się inaczej wyjaśnić. Ale nawet wówczas nie można tego udowodnić. I tak jak powiedziałam, to nadzwyczaj rzadkie. Musi się pani przygotować na to, że Adam niczego nie będzie pamiętał.

Muszę o to zapytać, choć podejrzewam, że już wiem, jaka będzie odpowiedź.

- Powiedziałam mu coś, kiedy był w stanie minimalnej świadomości.

Coś ważnego, co zdarzyło się w przeszłości, o czym nie wiedział. Czyli

uważa pani, że nie będzie tego pamiętał?

- Nie. - Zdecydowanie kręci głową. - Ani trochę.

- Czy mądrze byłoby mu znów o tym powiedzieć? To znaczy, kiedy skończy się ta amnezja?

- Czy to coś, co mogłoby go zdenerwować?

- Tak.

- A czy jest jakiś powód, że powinien o tym wiedzieć?

- Nie. Chyba nie.

- Więc lepiej mu tego nie mówić. Będzie potrzebował poczucia stabilności, bezpieczeństwa, tego co znajome. Powiedzenie mu czegoś, co go zdenerwuje, sprawiłoby więcej złego niż dobrego.

Kiwam głową. Wiem, że pewnie ma rację. Ale wiem też, że zawsze będę się zastanawiała, czy przypadkiem nie pamięta o tym, tylko mi nie mówi.

- A jak szybko będzie robił postępy? To znaczy, kiedy już wyjdzie z amnezji. Ile potrwa, nim znów pojawi się prawdziwy Adam?

Doktor Daines robi przez chwilę poważną minę. Waha się, nim odpowie.

- Wiem, że już o tym rozmawialiśmy, ale odpowiedź jest wciąż ta sama. Postępy Adama w tak wielu obszarach są zdumiewające, ale ważne, żeby pani zrozumiała, że Adam, którego pani pamięta sprzed wypadku, nie będzie tą samą osobą, którą w końcu zabierze pani do domu.

Lubię doktor Daines i nauczyłam się już, że w tych sprawach nie warto kłócić się z lekarzami. Po prostu poczekam, aż Adam udowodni im, że są w błędzie.

- Mam też jednak dobre wieści - kontynuuje doktor Daines. -

Rozmawiałam z oddziałem rehabilitacji neurologicznej w Leeds, tym dla pacjentów, którzy są już gotowi na bardziej zaawansowaną rehabilitację, i mają miejsce dla Adama.

Uśmiecham się. To kolejny krok naprzód. Leeds brzmi dobrze. Jest bliżej domu. Mayi będzie łatwiej go odwiedzać, wszystkim nam będzie łatwiej. A co najważniejsze, znaczy to, że Adam robi postępy.

Prawdziwe postępy.

- Kiedy go przyjmą?

- Jak tylko minie amnezja pourazowa. To powinno być tuż przed Bożym Narodzeniem. Czy to pani odpowiada?

Nadal nie podoba mi się, że Adam spędzi Święta poza domem, ale miałam już dużo czasu, żeby się przyzwyczaić. No i wiem, że będzie pod najlepszą możliwą opieką.

- Tak. To wspaniale.

- Dobrze. Jak pani mówiłam, oni mają dwunastotygodniowy program oceny. To będzie prawdziwy maraton, ale taki jest dla niego kolejny krok. Czuję, że cały czas zbliżamy się do Adama. To tak, jakby był skamieliną. Im dłużej kopiemy, im dalej się posuwamy, coraz większa część Adama się odsłania.

Stoję na progu domu Louise, jestem zdenerwowana i czuję się idiotycznie niezręcznie. Nie przychodziłam od czasu, kiedy Steve mnie pocałował. W zasadzie prawie jej nie widuję. Przestałam chodzić na zajęcia z flamenco, kładąc to na karb zbytniego zmęczenia związanego z dojazdami do Goole. Ale choć to prawda, powód jest inny. Taki, że nie potrafię spojrzeć swojej najlepszej przyjaciółce w oczy. Choć ona o tym nie wie, to ja jestem przyczyną rozpadu jej małżeństwa.

Na analizowaniu tego spędziłam więcej bezsennych nocy, niż mogłabym zliczyć. Ale zawsze dochodzę do tego samego wniosku. To moja wina.

W jakiś sposób musiałam dać mu do zrozumienia, że jestem zainteresowana, że był dla mnie czymś więcej niż ramieniem, na którym mogłam się wyplakać. Nawet nie próbuję tłumaczyć swej naiwności. Wracam myślą do wszystkich chwil, kiedy wydawało mi się, że mówi coś enigmatycznie, i oczywiście wcale tak nie mówił, tylko ja byłam bezdennie niedomyślna. Na miłość boską, dał mi na urodziny naszyjnik. I - owszem - poczułam się wówczas niezręcznie, ale tylko dlatego, że wydało mi się to niestosowne, ale jakoś przekonałam samą siebie, że Steve po prostu próbuje zachować się właściwie wobec Adama. Nie zdałam sobie sprawy, że próbował go zastąpić.

Mam świadomość, że jeśli postoję tu jeszcze dłużej, któryś z gorliwych sąsiadów Louise zadzwoni na policję. Naciskam dzwonek.

Bukiet kwiatów, który trzymam, nagle wydaje mi się dość żalonym podarunkiem za zniszczenie małżeństwa. Choć Louise przecież nadal nie wie, co zrobiłam. Ilekroć, kiedy leżałam w łóżku, postanawiałam powiedzieć jej prawdę, następnego ranka nie byłam w stanie zebrać się na odwagę. Nędzna wymówka, która przychodziła mi do głowy, była taka, że nic dobrego by z tego nie wynikło, dodałoby jej tylko cierpienia. Tej samej wymówki używałam przez te wszystkie lata, żeby nie powiedzieć Adamowi o aborcji. Choć w tym wypadku próba uchronienia się przed stratą kogoś, kogo się kocha, z pewnością odgrywała większą rolę, niż chciałabym

przyznać.

- Cześć - mówi Louise, otwierając drzwi. - Tak dobrze cię widzieć.

Wyciskuje mnie. Paraliżuje mnie poczucie winy. Tak bardzo, że Louise kilkakrotnie spogląda to na mnie, to na kwiaty, nim w końcu znów się ozywiam.

- To dla ciebie.

- Dziękuję. Wspaniale. Nie musiałaś.

Krzywię się w myślach. Myślę jedynie o kwiatkach, które dał mi Steve.

O tych, które wyrzuciłam następnego dnia do śmieci, mówiąc Mayi, że były na nich mszyce.

- Strasznie długo się nie widziałyśmy, prawda?

- Za długo. Nieważne, wchodź, bo zmarzniesz. Wchodzę do przedpokoju. Louise wygląda świetnie; ma na sobie top z dużym dekoltem, sweterek i obcisłe spodnie. Jej twarz nigdy nie potrzebowała dużego makijażu; na ogół ogranicza się do różowej szminki i tuszu do rzęs. Przez krótką chwilę myślę, że użyła różu, ale po prostu ma lekko zaróżowione policzki.

- Świetnie wyglądasz - mówię, gdy idziemy do kuchni. To wciąż dziwne pomyśleć, że to nie jest jej małżeńskie gniazdko. Ze to tylko dom Louise.

- Dzięki - odpowiada, odwracając się do mnie z niebywale szerokim uśmiechem. - Wszystko zdaje się zmierzać w dobrym kierunku.

- Poznałaś kogoś? - pytam. Louise śmieje się.

- A któż miałby to być? Przedszkolanki nie za bardzo mają okazję spotykać samotnych mężczyzn.

Uświadamiam to sobie od razu. A sama myśl mnie mrozi.

- Rozmawiałaś ze Steve'em, prawda?

Czerwieni się i spogląda w dół, na swoje stopy. Co jest absurdalne, zważywszy na to, że on wciąż jest jej mężem.

- Wysłałam mu życzenia świąteczne. Wiesz, że zawsze lubiałam robić to wcześniej. Dał mi adres, na jaki mam przysyłać jego korespondencję. Szczerze mówiąc, nie wiem, czemu to zrobiłam.

Może wynikało to z desperacji albo była to jakaś smutna próba ogłoszenia świątecznego zawieszenia broni. W każdym razie wysłał mi dziś e-mail. Przeprosił za to, że w tym roku nie będzie wysyłał kartek świątecznych, skoro zawsze ja je wypisywałam.

Uderza mnie czarne poczucie humoru Steve'a. Za bardzo próbuję

rozgryźć, w co on gra.

- I co jeszcze ci powiedział?

- Zaproponował, żebyśmy spotkali się na drinka przed świętami.

Siadam przy stole. Louise bawi się obrączką ślubną. W

przeciwieństwie do Steve'a nigdy jej nie zdjęła.

- Nie wiem, czy cokolwiek z tego będzie - mówi. - Ale wiem, że jeśli chodzi o rozwód, wszystko ucichło. Mój adwokat nie miał żadnych wiadomości od jego adwokata od początku października.

Nie bardzo wiem, co powiedzieć.

- Nie wyglądasz na zadowoloną - zauważa Louise.

- Po prostu nie chcę, żebyś znów dała się zranić. Karmiła się nadzieją, jeśli nie wiesz dokładnie, czego on chce.

- Pewnie niedługo się dowiem.

- Przyjęłabyś go z powrotem?

- A jak myślisz? Przecież moje nowe życie nie jest usłane różami.

- Byłaś w wielu nowych miejscach. I naprawdę ci się podobało na tych wakacjach dla singli. Masz wielu nowych znajomych.

- Och, starałam się być zajęta. Ale to nie to samo, co być szczęśliwą, prawda? Wynajdowanie sobie zajęć pomaga zamaskować to, jak się czujesz. Udawać przed samą sobą, że wszystko w porządku. Tylko jak kładziesz się do łóżka, to przestaje się sprawdzać. Albo rano, kiedy się budzisz.

- Więc co zamierzasz?

- Chyba po prostu poczekam i zobaczę, co powie. Piłeczka jest po jego stronie. Zawsze była. Wszystko zależy od tego, czy ją odbije.

Kiwam głową, bo nie jestem w stanie powiedzieć nic pozytywnego.

- Mel, wiem, co myślisz. Pewnie w odwrotnej sytuacji myślałabym to samo. Ale nie mogę tak po prostu przekreślić małżeństwa, nie, jeśli jest nawet najmniejszy cień szansy, że da się na nowo tchnąć w nie życie.

Uśmiecham się do niej. Nie mogę jej powiedzieć, choć bardzo bym chciała. Nie w sytuacji, kiedy jest w niej nadal tyle nadziei. Będę musiała wynagrodzić jej to w jakiś inny sposób.

Mam wyrzuty sumienia, że wychodzę drugi wieczór z rzędu, ale Tata nie ma nic przeciwko, żeby znów posiedzieć z Mayą. Uwielbia to.

Oboje to uwielbiają. To tak, jakby miał z powrotem swoją małą dziewczynkę. Powiedziałam mu, że chcę znów zobaczyć się z Louise.

Ze się o nią martwię. Przynajmniej częściowo jest to prawda.

Adres Steve'a wzięłam od Louise. Powiedziałam, że chcę mu wysłać życzenia świąteczne. Nie wie, że nie widziałam się z nim od początku października. Ani do niego nie dzwoniłam. Wysłałam mu jeden SMS.

Informując go o tym, że Adam został przeniesiony do Goole i tylko rodzina będzie go odwiedzać. Odpisał, że dziękuje za informację.

Więcej się z nim nie kontaktowałam.

Nie jestem do końca pewna, czy postępuję właściwie, jadąc do niego tak bez uprzedzenia. Ale mam pytania, które wymagają odpowiedzi. I nie mogłabym znieść, gdyby znów skrzywdził Louise.

Mieszkanie znajduje się w nowym, niskim, dwupiętrowym bloku, wciśniętym między osiedlowy sklepik i rząd nowo wybudowanych segmentów. Dzwonię domofonem. Aż do teraz nie pomyślałam, że może mnie nie wpuścić. Choć jestem prawie pewna, że zwycięży w nim ciekawość.

- Cześć, tu Mel - mówię, kiedy odbiera.

Dopiero po chwili słycać brzęczenie otwieranych drzwi.

- Pierwsze piętro.

Kiedy wchodzę po schodach, stoi tam przed otwartymi drzwiami.

Usilnie stara się przybrać właściwy wyraz twarzy.

- Cześć - mówi. - Miło cię widzieć.

- Musimy porozmawiać.

- Coś się stało?

Czuję ukłucie winy, że pozwoliłam mu się zamartwiać.

- Nie. Z Adamem wszystko w porządku.

- Dobrze. To może lepiej wejdz.

Idę za nim do kwadratowego przedpokoju. Drzwi do salonu i kuchni są otwarte, dwoje pozostałych zamknięto.

- Chcesz kawy?

- Nie, dziękuję.

- Pozwól, że wezmę twój płaszcz.

Zdejmuję i mu podaję. Wiesz go na wieszaku, który stoi obok.

Nawet to sprawia, że czuję się niezręcznie. Idę za nim do salonu i przysiadam na krawędzi beżowego fotela.

- To jak się miewa Adam? - pyta, niepewnie zawisając nade mną.

- Naprawdę dobrze. Już prawie wyszedł z amnezji pourazowej. Mniej więcej za tydzień zostanie przeniesiony do innego ośrodka rehabilitacji. Miejsce nazywa się Shaw House w Leeds. Dobrze będzie mieć go bliżej

domu.

- Świetnie. Mówi już?

- Tak. Całkiem sporo.

- O czym?

Nagle dociera do mnie, czemu tak się o to dopytuje.

- Powiedziałeś mu?

- Co?

- Że jest ktoś. Że to ja.

Steve gapi się na mnie. Oczy mu pociemniały i intensywnie próbują znaleźć w mojej twarzy wskazówkę, jak ma odpowiedzieć.

- Nie dosłownie. Bardziej dałem mu to do zrozumienia.

- Dlaczego?

Steve wzrusza ramionami.

- Jest moim najlepszym kumpel, prawda? Uważałem, że powinien wiedzieć.

Kręcę głową.

- Ależ z ciebie kumpel.

Steve wbija wzrok w sufit, zaciskając usta.

- Mel, wiem, że źle postąpiłem. I przykro mi, że to cię irytuje, ale nic nie poradzę, że tak czuję. Ze zawsze tak czułem. I może w ciągu kilku ostatnich miesięcy kiepski był ze mnie kumpel, ale przez ostatnie dwadzieścia parę lat byłem cholernie dobrym jego przyjacielem.

Pozwoliłem mu odejść z dziewczyną, którą kocham, z lojalności wobec niego poświęciłem własne szczęście. To spora cena.

Nie wiem, gdzie patrzeć ani co powiedzieć. Podobnie chyba Steve.

Nie miałam pojęcia, że to się ciągnie od tak dawna. Ze pocałunek z czasu, kiedy miałam jedenaście lat, wciąż błąka mu się po ustach.

Czuję się okropnie. Kiedy byliśmy nastolatkami, Adam i ja tyle razy wychodziliśmy gdzieś, ciągnąc Steve'a ze sobą. Dla niego musiał to być koszmar, coś jakby publicznie wrywać komuś ząb bez znieczulenia i przy założeniu, że nie wolno mu krzyczeć.

- Przepraszam - mówię. - Nie miałam pojęcia. Tak mi głupio.

Czuję, że się czerwienię.

- W porządku. Nie miałaś wiedzieć. Zawsze trzymałem karty przy orderach.

- Nigdy nie powiedziałaś Adamowi?

- Nie. Nie rozmawialiśmy o takich sprawach. Chłopaki tego nie robią. Choć wydaje mi się, że się domyślał.
- Czemu tak uważasz?
- Wyglądał na zawstydzonego, kiedy zaprosił cię na randkę. Jak gdyby wiedział, że mnie wykiwał.

- Więc czemu mu nie powiedziałaś?
- Myślałem, że to potrwa parę tygodni. Z pewnością nie oczekiwałem, że całe życie.

Mój umysł przyspiesza. Łączy kropki z całego naszego życia.

Tworzy obraz.

- Dlatego umówiłeś się z Louise? Bo była moją najlepszą przyjaciółką? Steve siada naprzeciwko mnie i podpira twarz dłońmi.

- Był to jakiś czynnik, tak.

- Jezus. I uważasz, że to w porządku wobec niej?

- Oczywiście, że tak nie uważam. Dlatego przez te wszystkie lata przechodziłem przez prawdziwe piekło, wyrzucając to sobie. Próbując kochać ją tak, jak myślałem, że powinienem. Kochać ją tak, jak...

Drży, głos mu się urywa. Ale sama w myślach kończę to zdanie.

Myślę jedynie o tym, czy jakoś jestem odpowiedzialna. Czy może go zwodziłam, flirtowałam z nim bezwiednie. I wtedy przypominam sobie Hannah. Młodą dziewczynę, która pracowała z Adamem. Pamiętam, jak na niego patrzyła, kiedy przyszedłam do muzeum z Mayą. Jestem pewna, że Adam nie zrobił nic, żeby coś do niego poczuła. Czasami nie trzeba nic robić. Czasami wystarczy po prostu być.

- Steve, proszę cię. Nie. - Na sekundę zamykam oczy. - Posłuchaj, przepraszam, jeśli kiedykolwiek dałam ci do zrozumienia, że jestem zainteresowana.

- Nie dałaś. Ale pewnie po prostu nie byłem w stanie tego zaakceptować. Przez te wszystkie lata trzymałem swoje uczucia tylko dla siebie, ale zżerało mnie to od środka. Dlatego z Louise było tak trudno. A potem, kiedy Adam miał wypadek...

- Uznałeś, że nadarza się okazja - mówię.

- Nie. To nie było tak.

- No, ale to była wygodna okoliczność. Zgłosiłeś się, żeby mi pomagać w domu.

- Chciałem pomóc. Ale czułem się niepotrzebny. Nie mogłem patrzeć, jak cierpisz.

- Ale nie poprzestałeś na pomocy, prawda? Przekroczyłeś granicę.

Sięgam do torebki i wyjmuję pudełko ze srebrnym naszyjnikiem, które kładę na stoliku między nami.

- Zwracam go. Wcale nie był od Adama. Był od ciebie. Wbija wzrok w pudełko. Bawi się paskiem zegarka.

- Trudno było nie dać się ponieść. Wtedy przez chwilę naprawdę wyobrażałem sobie naszą przyszłość razem.

- Dlatego to zmyśliłeś. O Adamie i tamtej dziewczynie z uniwerku.

- Niczego nie zmyśliłem. Było, jak powiedziałem. Nie zaprzeczył.

- Och, a Adam zawsze gra z tobą w otwarte karty. Nigdy nie wkręcacie się nawzajem, nie używacie sarkazmu.

Steve wzrusza ramionami.

- Uwierzyłeś mu, bo tak ci pasowało. Dało ci to jakiś rodzaj moralnej wyższości, jeśli mogłeś sobie ubzdurać, że mnie zdradził. Ale że przyszedłeś i mi to powiedziałeś, podczas gdy w głębi serca wiedziałeś, że to nieprawda.

- Mel, cierpiałaś. Nie mogłem na to patrzeć. Patrzeć, jak marnujesz sobie życie i robisz z siebie męczennicę.

- Opiekowałam się mężem.

- Karałaś samą siebie, bo z jakiegoś powodu myślałaś, że to twoja wina. A nie była, wiesz? Takie rzeczy się zdarzają. A ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłby Adam, byłoby, żebyś się wykończyła z jego powodu.

- Nie zaczynaj tej gadki „robiłem to dla Adama”. Chciałeś, żeby go wysłać do domu opieki. Chciałeś, żeby zniknął ze sceny, żebyś mógł się podsunąć, jak już będziesz po rozwodzie.

- Dobrze, przyznaję. Może i tak było. Ale czy możesz mnie winić? I czy możesz mi zarzucić, że przez te wszystkie lata nie byłem lojalny wobec Adama? Ukradł mi dziewczynę. Zwinął mi ją sprzed nosa. I nigdy się z nim o to nie pobiliśmy. Nigdy nie narzekałem. Nigdy nie powiedziałem, że to, kurwa, niesprawiedliwe.

Jestem zaskoczona tonem jego głosu i bólem, który wyrzył mu się na twarzy. To autentyczne. Jego miłość do mnie. Musi być, skoro trwa tyle lat. Współczuję mu. Naprawdę. I nic nie poradzę, że w jakiś sposób mnie to obciąża.

- Posłuchaj, Steve, jeśli cię to pocieszy, nie jestem twoją dziewczyną.

Nigdy nie byłam i nie będę. Proszę, spróbuj to zaakceptować, również dla swojego dobra.

Siedzimy przez chwilę, żadne z nas nic nie mówi. Żadne z nas nie jest w stanie spojrzeć drugiemu w oczy.

- Powiesz Louise? - pyta w końcu Steve. Wzruszam ramionami i podchodzę do okna. Myślę, że

ma prawo wiedzieć. Ale myślę też, że pęknie jej serce. Dla nikogo nie jest dobre, żeby dowiedział się, że zawsze był na drugim miejscu. Ona zasługuje na wiele więcej.

- Jesteś gotów, żeby z nią znów spróbować? - pytam.

- Tak. Dlatego jestem z nią w kontakcie. I dlatego wstrzymałem procedurę rozwodową. Myślę, że teraz będzie łatwiej, kiedy to w końcu zostało powiedziane. Jak już wiesz.

- A ty teraz wiesz, że nic nigdy się nie wydarzy. I nie wydarzyłoby się.

Nawet gdyby Adam się nie obudził. - Odwracam się i widzę, że pochyla głowę.

Jego strzelista sylwetka nagle wydaje się mniejsza.

- Ale będziesz musiał z nią wyjechać - dodaję. - Tutaj to nie wyjdzie.

Nie, kiedy ja będę w pobliżu.

- I nie będziesz tęsknić za Louise?

- Owszem. Będę bardzo za nią tęsknić. Ale chcę, żeby była szczęśliwa. A ona myśli, że szczęśliwa może być tylko z tobą.

Steve kiwa głową.

- A co z tobą i Adamem?

- Mamy siebie nawzajem. Wszystko będzie dobrze.

- Ale nie masz go. Nie naprawdę. Louise powiedziała, że jest kimś zupełnie innym. Ze ciężko ci z tym.

- Ma rację. Jest mi ciężko. Ale trzy miesiące temu nie był w stanie mówić ani poruszyć żadnym mięśniem. Kto może przewidzieć, w jakim będzie stanie za kolejne trzy miesiące?

- A jeśli nie będzie jak przed wypadkiem?

- Steve, on wciąż będzie moim mężem. A ja nadal go kocham. Nic nigdy tego nie zmieni.

Biorę torebkę. Steve podrywa się i idzie do przedpokoju, żeby podać mi płaszcz.

- Tylko bądź dobry dla Louise - mówię. - Żebyś był mężem, na jakiego

zasługuje. Takim, który pozwala jej zbliżyć się do siebie.

Takim, który nigdy, przenigdy jej znów nie zrani.

Kiwa głową.

- Postaram się.

Przytrzymuje mi drzwi. Tym razem nie próbuje mnie pocałować.

- Do widzenia, Mel.

- Pa.

Uśmiecham się do niego. Słabym uśmiechem, ale wystarczającym, żeby wiedział, że wciąż się nim przejmuję. Tak naprawdę bardzo się przejmuję. Staję na wycieraczce, po czym odwracam się do niego.

- Mógłbyś zacząć od tego, że dasz jej na święta kwiaty -mówię. - Ale przyzwoity bukiet. Nie taki ze stacji benzynowej.

ROZDZIAŁ 34

Adam

Zatrzymujemy się na obrzeżach Leeds przed nowym niskim budynkiem z czerwonej cegły.

- Czyli jesteśmy na miejscu - mówi Mel. - Podejdę z twojej strony, żeby ci pomóc.

Przyjechaliśmy moim samochodem. Ale Mel siedzi za kółkiem. Nie pozwalają mi prowadzić, mimo że umiem. Wózka potrzebuję teraz tylko na dłuższych dystansach. Większość czasu chodzę, podpierając się laską albo balkonikiem.

Mel otwiera drzwi, pomaga mi obrócić się i wystawić nogi, a potem wstać, trzymając mnie pod pachami.

Powłócząc nogami, wchodzę na recepcję przystrojoną bożonarodzeniowymi dekoracjami z jaskrawą choinkę. Podchodzi kobieta o imieniu Sheila, która przedstawia się jako menedżer do spraw usług.

- Dzień dobry, panie Adamie. Witam w Shaw House. Mam nadzieję, że będzie pan u nas bardzo szczęśliwy.

Spogląda na mnie z uśmiechem. Mel też na mnie patrzy, ale nie wiem, co mam odpowiedzieć.

- Dziękujemy - mówi po chwili Mel do Sheili. - Jesteśmy naprawdę wdzięczni, że państwo nas przyjęli.

Ruszamy za nią korytarzem. Na ścianach wiszą obrazki. Ale nie te same

co w Goole.

Sala, którą nam pokazuje, jest jasna i czysta. Mam tu więcej miejsca niż w Goole. Jest okno i mały telewizor na biurku, mam własny prysznic i toaletę. Siadam na łóżku.

- Nieźle sprężynuje - mówię. - Mel, chodź i zobacz. Mel siada obok mnie i obejmuje mnie ramieniem.

- Może już pani iść - zwracam się do Sheili. - Poradzimy sobie. Wie pani, jesteśmy po ślubie.

Sheila uśmiecha się.

- Wobec tego pozwolę państwu się rozgościć - mówi, skinąwszy Mel głową.

- Wiem, że nie chciałeś, ale to było trochę niegrzeczne -karci mnie Mel. - Ona tylko próbowała się upewnić, że wszystko jest w porządku.

- A, OK.

Wstaję i włączam telewizor, bawię się pilotem, skacząc po kanałach.

- Super, spójrz. Mają *CBeebies*. Jest *Mr Tumble*.

Śmieję się, widząc, jak kuca, żeby uniknąć trafienia tortem, po czym ślizga się na skórcie od banana.

- Mr Tumble jest świetny, prawda? Mel kiwa głową.

- Maya się ucieszy - mówi.

- Kiedy przyjedzie?

- Prosto po szkole. Z rodzicami. Powinnam cię ostrzec, że jest dość podekscytowana tą małą uroczystością.

Za cztery dni są urodziny Mayi. Skończy pięć lat. A może za pięć dni skończy cztery lata. W każdym razie za dziesięć dni jest Boże Narodzenie, tyle pamiętam. W którymś momencie chcieliśmy nazwać ją Holly*. Maya przyszła mi do

*** Nawiązanie do słowa *hofy*, po ang. „święty” (przyp tłum.).**

głowy, kiedy jadłem czekoladę Green and Black's Maya Gold.

Chociaż Mel nie lubi, kiedy mówię o tym ludziom. Nie wiem czemu.

Przecież nie nazwaliśmy jej Snickers.

- Czemu nie będzie mieć imprezy z prawdziwego zdarzenia?

- Będzie. Jutro w Upsy Daisy's w Mytholmroyd. Przyjdzie mnóstwo kolegów i koleżanek ze szkoły. Pamiętasz? Powiedziałam, że nagram ci wszystko kamerą, żebyś mógł obejrzeć.

- To po co urządzamy jej tu dziś przyjęcie?

- To nie przyjęcie, tylko rodzinna uroczystość. Chciałam, żeby przy tobie otworzyła prezenty od nas. Jest za daleko, żeby mogła tu przyjechać w dniu urodzin. Wciąż jeszcze po powrocie ze szkoły jest wymęczona.

- Nie mam dla niej prezentu.

- W porządku. Ja mam dla niej prezent od nas.

- Coś związanego z dinozaurami?

- Nie, kochanie. Trochę przestała się interesować dinozaurami.

Kupiłam jej piękny kostium motyla i wielką kukiełkę szczura, którą na pewno będzie uwielbiać. Wygląda zupełnie jak Roddy.

- Jaki Roddy?

Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to Roddy Frame z zespołu Aztec Camera. A nie wydaje mi się, żeby choć trochę przypominał szczura.

- Przepraszam. Jej zwierzątko, szczur Roddy. Poznałeś go, kiedy byłeś w domu.

Próbuję wyobrazić sobie Roddy'ego, ale jedyny szczur, którego pamiętam, to kukiełka Roland.

- Następnym razem przyniosę ci jego zdjęcie - mówi Mel. Często przynosi mi zdjęcia. Znanych nam ludzi, miejsc, w których byliśmy. Steve'a i Louise, i wakacji w Cornwall. Wydaje się bardzo zadowolona, kiedy coś sobie przypominam.

A przypominam sobie. Jedyne te najnowsze zdjęcia przywołują pustkę. Te zrobione po wypadku.

- Czemu nie lubi już dinozaurów? Mel waha się.

- Wiesz, jakie dzieci są w tym wieku. Przechodzą różne fazy. W każdym razie potrzebuję, żebyś mi pomógł z innym prezentem. Muszę wymyślić, co dać Mamie i Tacie na Gwiazdkę. Chciałabym dać im coś wyjątkowego, w ramach podziękowania za wszystko, co zrobili dla nas od wypadku.

Myślę przez chwilę. Tylko jedna rzecz przychodzi mi do głowy. Ale jest to coś, co wydaje się tak oczywiste, że nie ma sensu dalej myśleć.

- Bilet na pociąg - mówię.

- Przepraszam?

- Na jedną z tych słynnych tras kolejowych.

- Czemu tak?

- Twój Tata zawsze chciał pojechać w taką podróż.

- Naprawdę? Nigdy mi nic nie mówił. Wzruszam ramionami.

- A co z Mamą?

- Kup bilety na Orient Express. Mają tam bardzo miłych kelnerów.

Bardzo uprzejmych, którzy przed niczym się nie uchylą. Spodoba jej się.

Słysząc pukanie do drzwi. Mel otwiera. Sheila pyta, czy jesteśmy gotowi, żeby obejrzeć Shaw House. Ruszamy korytarzem. Naprzeciw nas idzie mężczyzna w garniturze, gwizdząc *Here Comes the Sun*. Co jest trochę dziwne w sytuacji, gdy na zewnątrz leje, ale może właśnie dlatego to gwizdże.

- Hej, ty pewnie jesteś Adam. - Wyciąga rękę. Puszczam na chwilę łaskę, żeby uściskać mu dłoń.

- Słyszałem o tobie same pozytywne rzeczy od naszych przyjaciół w Goole - mówi dalej. - Wygląda na to, że cholernie ciężko pracowałeś.

- Nie będę musiał zostać tu na długo. Czuję się dobrze. Wkrótce będę gotów wrócić do domu.

- Zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby ci pomóc, ale musisz być cierpliwy. Naszym zdaniem niczego nie należy przyspieszać. Wolimy upewnić się, czy dana osoba jest w pełni gotowa na to, co ją czeka. To się odnosi również do rodzin naszych pacjentów - mówi, zwracając się do Mel. - O cokolwiek chciałaby pani zapytać, moje drzwi stoją otworem.

- Dziękuję - odpowiada Mel.

Mężczyzna klepie mnie dwa razy po ramieniu, kłania się Mel i pospiesznie odchodzi, nadal pogwizdując.

- Jest bardzo zajęty - tłumaczy Sheila. - Ale zawsze znajduje czas dla każdego. Dobrze, następny przystanek. Gabinet fizykoterapii.

Fizykoterapeuta jest mężczyzną. Ma na imię Danny.

- W Goole była kobieta, miała na imię Tracey - mówię mu. - Nie była gruba jak ty.

- Ach - odpowiada. - Ale założę się, że nie miała też tak bogatej osobowości jak ja.

Danny uśmiecha się. Spoglądam na Mel. Mel się nie uśmiecha.

- Chodźmy dalej - mówi Sheila. - Musicie poznać jeszcze masę osób.

Mel wchodzi ze mną na stołówkę, żeby zjeść lunch. Paru innych facetów patrzy na nią. Mel jest milcząca. Bardziej niż zwykle. Głowę ma spuszczoną. Dostajemy zupę pomidorową i bułkę.

- Wygląda nieźle. - Macza bułkę w zupie.

- Tak.

- Więc co sądzisz o tym miejscu?
- Jest w porządku. Ale nie będę tu długo, bo wkrótce wrócę do domu.

- Pamiętaj, co powiedział doktor Andrews. To może potrwać troszkę dłużej, niż myślisz.

- Nie, nie potrwa. Nic mi nie jest. W porównaniu z innymi. Popatrz, on nawet nie potrafi sam jeść. - Pokazuję jej ryżego chłopaka przy stoliku obok.

- Kochanie, staraj się mówić ciszej - mówi Mel. - I trochę nieładnie pokazywać palcem.

Wzruszam ramionami. Kończymy jeść w ciszy, po czym wstajemy i wychodzimy. Mężczyzna przy innym stoliku, ale nie ten ryży, gwiżdże z zachwytem. Obracam się i rzucam się w jego kierunku. W tym momencie stopa usuwa się spod mnie i zaczynam się chwiać. Mel łapie mnie w ostatniej chwili. Paru pracowników podbiega i pomaga mi usiąść. Mel zaczyna płakać.

- W porządku - mówię. - Nic mi nie jest.

Później tego dnia, kiedy siedzimy z powrotem w moim pokoju, przychodzi Maya. Wbiega, rozkładając ramiona.

- Tatusiu! - krzyczy, ściskając mnie z całych sił. Uwielbiam poczuć na twarzy jej włosy i jej małe paluszki na plecach. Przez chwilę nie jestem w stanie nic powiedzieć. Jestem przerażony, że znów zapomniałem, jak to się robi. A potem coś przecyzsza mi się w gardle i słowa znajdują ujście.

- Witaj, skarbie.

Kocham Mayę. Naprawdę. Wyciska ze mnie smutek. Napełnia mnie radością.

Dopiero kiedy otwieram oczy i podnoszę wzrok, przypominam sobie, że są też Joan i Tom.

- Witaj, Adamie. - Tom podchodzi, żeby uścisnąć mi rękę. - Wygląda na to, że wylądowałeś tu na cztery łapy. Bardzo elegancko. Jak w hotelu.

- Z pewnością lepiej niż ten hotel w Cleethorpes, w którym zatrzymaliśmy się w zeszłym roku - mówi Joan. - W łazience nie mieli nawet normalnego mydła. Tylko to idiotyczne coś w płynie.

Nachyla się, żeby pocałować mnie w policzek.

- W każdym razie miło cię widzieć - dodaje.

- Widzieć cię miło. - Uśmiecham się szeroko. Mel spogląda na mnie bez zrozumienia.

- No wiecie, tak mówi Bruce Forsythe.

Mel kiwa głową. Joan i Tom siadają na dwóch krzesłach, które są w sali. Obok mnie na łóżku skacze Maya.

- Mogę już dostać prezenty? - piszczy. Spoglądam na Mel.

- Pewnie, że tak - godzi się Mel. - I mamy prezent dla Tatusia na nowe mieszkanie, więc może najpierw mu wręczymy.

Mel sięga po dużą torbę, którą musiała wcisnąć za łóżko, kiedy nie patrzyłem, i wyciąga z niej płaski, prostokątny pakunek, który podaje Mayi.

- To ode mnie i Mamusi - mówi Maya, wręczając mi go. - Zrobiłyśmy go specjalnie dla ciebie. Musiałyśmy iść do studia i taki pan próbował mnie rozśmieszyć i na koniec dawał mi cukierki za to, że byłam grzeczna. Pomóc ci otworzyć?

Nie czekając na odpowiedź, zaczyna rozdzierać papier. Chwilę później patrzę na oprawione zdjęcie Mel i Mayi. Maya oplata rękami szyję Mel i obie się śmieją. Mel ma na sobie niebieską suknię, którą kupiłem jej na naszą rocznicę. A Maya też ma na sobie tę fioletowosrebrną sukienkę. Dziś również się w nią ubrała.

- Masz na sobie swoją wyjściową sukienkę - zauważam. - Obie wyglądacie bardzo ładnie.

- Dziękuję - mówi Mel, uśmiechając się promiennie.

- Podoba ci się? - pyta Maya.

- Tak. Podoba mi się.

- Ma podpórkę. - Mel na chwilę bierze ode mnie zdjęcie.

- Pomyślałyśmy, że może będziesz chciał postawić je na szafce nocnej. Poczujesz się bardziej jak w domu.

Stawia je, tak żeby było zwrócone w moją stronę. Kiwam głową.

- Tatusiu, zapomniałeś podziękować - szepce mi do ucha Maya.

- A, racja. Dziękuję.

- Zrobiłam ci też kartkę z życzeniami - mówi Maya, podbiegając do Mel i wyciągając złożoną fioletową kartkę. - Narysowałam ci Roddy'ego i Ritę.

Spoglądam na dwie plamy, białą i czarną.

- W ogóle nie przypominają szczurów.

- Adam - mówi Mel.

Uderza mnie jej ostry ton. Podnoszę wzrok, widzę Mayę, która patrzy na mnie z taką miną, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

- Kochanie, Tatuś tylko żartował. Ślicznie narysowałaś. Spoglądam na

Mel. Wygląda, jakby była zła. Już mam powiedzieć, że wcale nie żartowałem, kiedy kładzie palec na ustach.

- Dobrze, panna. Pewnie teraz chcesz dostać swoje prezenty?

Maya piszczy i znów zaczyna podskakiwać na łóżku. Mel podaje mi prezent.

- Proszę, kochanie. - Możesz jej dać.

Podaję Mayi pakunek. Natychmiast zrywa papier. Naszym oczom ukazuje się fioletoworóżowy kostium motyla. Maya piszczy tak głośno, że Mel musi ją uciszyć. Parę chwil później tańczy wokół sali, machając skrzydłami i śpiewając piosenkę o motylu.

- Chyba możemy uznać, że to był strzał w dziesiątkę. - Tom uśmiecha się.

- Dziękuję, Tatusiu - mówi Maya. - To najlepszy prezent w historii.

- Cóż, masz dużo szczęścia, bo dostaniesz jeszcze jeden - mówi Mel, wręczając jej następny pakunek.

Maya rozrywa papier, a oczy niemal wychodzą jej z orbit.

- To kukielka Roddy'ego - piszczy, skacząc. - Patrz, Tatusiu, jest zupełnie jak Roddy. Teraz mogę go przynieść, jak przyjdę z wizytą, żebyś go zobaczył.

- Jeśli przepisy BHP na to pozwolą - parska Joan.

- Co Babcia ma na myśli? - pyta Maya.

- Nic. Tylko żartowała - odpowiada Mel.

- Ludzie coś dziś mówią nieśmieszne żarty - ocenia Maya.

- Ja ci opowiem śmieszny - mówię. - Puk, puk.

- Kto tam? - pyta Maya.

- Sąsiadki - mówię i zaraz odpowiadam: - Nie, nie ma siatek.

Maya wybuchła śmiechem. Wszyscy pozostali tylko jakoś tak się uśmiechają.

ROZDZIAŁ 35

Mel

Zatrzymuję się przed Shaw House. Dziś pierwszą rzeczą, jaką zrobię, nie będą odwiedziny u Adama. Mam spotkanie z doktorem Andrewsem. Liczę, że powie mi to, co chcę usłyszeć. Pukam do drzwi.

- Proszę! - woła doktor Andrews.

Mówi z lekkim szkockim akcentem, myślę, że z Edynburga, ale chyba to

stara naleciałość.

- Dzień dobry, panie doktorze. Dziękuję, że tak szybko mnie pan przyjął.

- Nie ma sprawy i proszę mówić mi James.

- W porządku. Jeśli będziesz mówił mi Mel. Uśmiecha się i gestem wskazuje, żebym usiadła. Na czymś

wygodnym, choć wyglądającym podejrzanie, co chyba kiedyś widziałam w IKEA. Ściany gabinetu są pokryte oprawionymi certyfikatami i okładkami płyt. Głównie Beatlesów, ale jest też kilka Roda Stewarta i jedna Simple Minds. Na półkach rzędem stoją książki dotyczące psychologii i kilka tomów ze słowem „mózg” w tytule. Jest też spory dział powieści Iana Rankina.

- Widzę, że jesteś fanem inspektora Rebusa. - Uśmiecham się.

- Niestety tak. Jestem jednym z tych neuropsychologów, którzy łudzą się, że są w stanie rozwikłać zagadkę kryminalną przed nim. Obawiam się, że to płonne nadzieje. Ale nie przeszkadza mi to próbować, poza tym zawsze miło, jak coś przypomina nam dom rodzinny. Nieważne, dosyć o mnie. Przyszłaś dowiedzieć się, gdzie się podział twój mąż, prawda?

Przez chwilę myślę, że trafiłam w złe miejsce. Ze tak naprawdę na drzwiach była plakietka „Profesor Marvel” i że wpatruje się on w kryształową kulę, a nie w kubek z kawą.

- Skąd wiesz?

- Bo to najczęstsza rozmowa, jaką odbywam z bliskimi pacjentów. To oraz „kiedy będzie gotowy, żeby wrócić do domu?”.

- Przepraszam, musimy być bardzo irytujący.

- Wcale nie. To zupełnie zrozumiałe. Chcecie odzyskać swoich bliskich. W każdym znaczeniu tego słowa.

- Kiedyś myślałam, że jak minie amnezja pourazowa, dawny Adam stopniowo wróci. Widzisz, on gdzieś tam wciąż jest. Wiem, że tam jest.

Doktor Andrews wstaje zza biurka i podchodzi do okna, przez które widać niewielki dziedziniec.

- Adam mówił mi, że wykładasz rozwój dziecka. I że również studiowałaś psychologię.

Potwierdzam.

- Założę się, że zebrałaś sporo informacji - mówi. - Wygooglowałaś internet do sucha.

Uśmiecham się. Tak naprawdę jest skrzyżowaniem inspektora Rebusa i profesora Marvela.

- Chciałam wszystko wiedzieć. Poznać wszystkie możliwości.
- Więc czytałaś o badaniach doktora Owena w Addenbrooke's Hospital, o grze w tenisa?

Kiwam głową.

- I profesora Laureysa z Uniwersytetu w Liege, przypadek Houbena?
Ponownie kiwam głową.

- Interesujące, prawda? Sprawia, że myśli się o rozmaitych możliwościach.

- Lekarze Adama utrzymywali, że jest w trwałym stanie wegetatywnym. Potem powiedzieli, że jest w stanie minimalnej świadomości. Skąd mam wiedzieć, czy to było prawdą?

Doktor Andrews znów robi przerwę.

- Miałem do czynienia z wieloma ludźmi, którzy byli przekonani, że ich bliski jest wszystkiego świadomy.

- Ale badania wskazują, że mózg może przetwarzać informacje, kiedy pacjent jest w stanie minimalnej świadomości.

- Ktoś może nadal przetwarzać informacje, ale mimo to nie mieć świadomości. Bardzo duża część procesów w mózgu przebiega bez udziału świadomości, nawet kiedy jesteśmy przebudzeni.

Wzdycham. Myślałam, że on wierzy, ale jednak nie. Jest taki sam jak cała reszta. N

- Myślisz, że jestem stukniętą, prawda?

- Mel, wszyscy potrafimy się zwodzić, zwłaszcza gdy przechodzimy przez niebywale traumatyczne chwile. Wybieramy informacje, które nam pasują, a całą resztę odrzucamy.

- Więc uważasz, że nie odzyskam Adama?

- Masz męża, który robi niebywale postępy, który w oczywisty sposób jest inteligentnym mężczyzną o silnej woli. Czy nadal, kiedy pójdziesz się z nim zobaczyć, będzie opowiadał dowcipy w stylu „puk, puk”? Tak. Czy będzie robił niestosowne i zawstydzające uwagi?

Znów: tak. Czy znajdzie chwilę, by zapytać, jak sobie radzisz? Pewnie nie. Możemy

nad tym pracować, ale jeśli to masz na myśli, mówiąc, że chcesz z powrotem dawnego Adama, obawiam się, że nie mam żadnego cudu w zanadrzu.

- Pewnie uważasz, że powinnam być wdzięczna za to, co mam?

- Nie. Myślę, że pomogłoby ci, gdybyś pozwoliła dawnemu Adamowi odejść i skupiła się na tym, co ten Adam może osiągnąć.

Kiwam głową. Choć nie mam pojęcia, czy potrafiłabym to zrobić, nawet gdybym chciała.

- Lauren, to było świetne - mówię, oddając jej esej następnego ranka.

- Udało ci się sporo zapamiętać z tego, co było na ostatniej lekcji. I Cara, fantastycznie. Naprawdę, głęboko przemyślane, bardzo mi się podobało, jak zastosowałaś w praktyce niektóre z elementów nowego podejścia, o którym się uczyliśmy.

Cara uśmiecha się do mnie promiennie. Jej pewność siebie tak bardzo wzrosła, od kiedy zaczęła uczęszczać na moje zajęcia. Zaczyna wierzyć w siebie. Wierzyć, że jest w stanie wznieść się ponad wszystko i być osobą, jaką wiem, że może być. Będę za nią tęsknić, kiedy odejdę.

Będę tęsknić za nimi wszystkimi. Co jest zabawne, bo gdyby ktoś powiedział mi to trzy miesiące temu, pewnie zaśmiałabym mu się w twarz.

- Dobrze, dziewczyny, czyli to wszystko. Pozostaje mi tylko życzyć wam wesołych świąt. Będziecie miały ze mną jeszcze jeden semestr, a potem wasza nowa nauczycielka, Carole, wróci z urlopu macierzyńskiego. Uczenie was w tym semestrze było przyjemnością i nie mogę się doczekać, kiedy znów was wszystkie zobaczę w styczniu.

Rozglądam się po klasie. Dziewczynki przed chwilą wyglądały na rozbrajająco szczęśliwe, teraz są dziwnie ciche.

Cara wstaje, bierze dużą papierową torbę, stojącą przy jej ławce, i podchodzi do mnie.

- Wesołych świąt, proszę pani. To dla pani od nas wszystkich. Nie wiedziałyśmy, co pani kupić, ale myślę, że to w porządku.

Już mnie zatkało, tego się nie spodziewałam. Nie od grupy siedemnastolatek. Nie, kiedy uczę je zaledwie od paru miesięcy.

- Dziękuję - biorę od niej torbę - ale wiecie, że nie powinniście.

- Proszę nie mówić, nawet jeszcze pani nie otworzyła - mówi Haleema. - Może w ogóle się pani nie spodoba.

- Jestem pewna, że mi się spodoba - mówię, wyjmując z torby pękaty prezent. - Chcecie, żebym otworzyła teraz?

- No, tak, inaczej to by było jak oglądanie *X-Factora* bez ogłoszenia wyników, kiedy wszyscy płaczą - mówi Gemma.

Uśmiecham się i odrywam taśmę samoprzylepną, a następnie ściągam papier. Wewnątrz jest para papużek nierozłączek, delikatnie wyrzeźbionych i pomalowanych w jaskrawe kolory. Mija chwila albo dwie, nim jestem znów w stanie coś powiedzieć.

- Dziękuję. - Rozglądam się po morzu pełnych oczekiwania twarzy. - Są piękne.

- Pomyślałyśmy, że są jak pani i pani mąż - mówi Haleema. - Wie pani, jak papużki nierozłączki.

Zdaję sobie sprawę, że zaczęłam płakać. Ale nie wydaje mi się, że im to przeszkadza. Większość z nich też płacze.

- Widzicie? Teraz jest jak w *X-Factorze* - mówi Gemma.

- Kiepska ze mnie Cheryl Cole, prawda? - Śmieję się.

- Nie, proszę pani. Myślałam bardziej o Susan Boyle. - Gemma uśmiecha się, mówiąc to. I ociera łzy.

Cara trzyma się z tyłu, gdy pozostałe dziewczynki ściskają mnie świątecznie. Czeka, aż wyjdą, po czym podchodzi do mojego biurka.

- Cara, to ty wybrałaś prezent? - pytam. Kiwa głową.

- Dziękuję ci. Naprawdę bardzo mi się podoba.

- Będę naprawdę za panią tęsknić, kiedy pani odejdzie - mówi. - Nie pozwolą pani zostać? Może znajdą pani inną pracę tutaj?

- Nie wiem. W tej chwili nic nie mają. Teraz nie jest najlepszy moment, żeby szukać wakatu. W obecnej sytuacji ludzie raczej trzymają się stanowisk.

- Więc wróci pani na uniwersytet?

- Zależy, czy będą mieli cokolwiek, co będzie mi odpowiadało godzinowo.

Cara wygląda na zaniepokojoną.

- Nie martw się. Dam sobie radę. Coś znajdę. A co z tobą? Co planujesz po zakończeniu tych zajęć?

- Chcę pójść na drugi poziom krajowych kursów zawodowych w zakresie opieki nad dziećmi. Jeśli pani uważa, że dam sobie radę.

- Oczywiście, że tak. Miałam nadzieję, że to powiesz. Czy coś już sobie znalazłaś w ramach letnich praktyk?

- Nie. Ostatnio było trochę trudności w domu. Po Wielkanocy spróbuję znaleźć czas, żeby usiąść i napisać parę listów.

- A może szepnę o tobie dobre słówko w Arce? To blisko, w Cragg Vale. Mogłabyś dojeżdżać autobusem. Moja córeczka tam chodziła.

Znam panią, która tam zarządza.

- Naprawdę zrobiłaby to pani?

- Z przyjemnością.

Cara uśmiecha się tak szeroko, że nie jest w stanie nic powiedzieć.

- No, dobrze - mówię. - To uściskasz mnie świątecznie czy nie?

Cara właściwie rzuca mi się na szyję i szlocha w moją koszulę.

- Może kiedyś odwiedzisz mnie, żeby popilnować mojej córeczki?

Myślę, że byście się dogadały

- Chętnie - mówi Cara.

- Świetnie. W takim razie coś ustalimy po Nowym Roku. Chcesz zostać jeszcze trochę w klasie?

Kiwa głową. Ściskam ją za ramię, chowam papużki z powrotem do torby i biorę teczkę.

- Wiem, że święta muszą być dla ciebie ciężkie, ale mam nadzieję, że jednak okażą się wesołe - mówię.

- Dziękuję - odpowiada Cara. - Też pani tego życzę.

Po drodze z pracy do domu zaglądam do rodziców. Prezent gwiazdkowy muszę dać im wcześniej. Zarezerwowałam im bilety na Orient Express na luty, a w biurze paszportowym powiedzieli, żeby postarać się złożyć podanie przed Bożym Narodzeniem. Żadne z nich nie miało nigdy paszportu -nie trzeba go przecież, kiedy jedzie się do Cleethorpes.

- Cześć - mówię, kiedy Mama otwiera mi drzwi. - Mikołaj w tym roku zrobił specjalną wcześniejszą dostawę prezentów.

Wręczam jej bilety, które zapakowałam razem z planem podróży, broszurką i podaniami o paszport.

- Co to? - pyta Mama, patrząc na prezent.

- Otwórz i zobacz.

Zsuwam buty i idę za nią do salonu, w którym Tata siedzi w fotelu, czytając „Inside Track”.

- Witaj, kochanie. - Podnosi wzrok. - Wszystko w porządku?

- Nasza Melanie przyniosła nam prezent na Gwiazdkę -mówi Mama.

- Musicie otworzyć go teraz - dodaję. - Za chwilę zobaczycie dlaczego.

Mama wzdryga się i podaje go Tacie.

- Masz. Lepiej ty otwórz.

Tata kiwa głową i grzecznie czeka, aż Mama przyniesie nożyczki, żeby

przeciąć taśmę samoprzylepną. W tym domu nie pochwała się rozrywania papieru, a Tata jest, delikatnie mówiąc, świetnie wytresowany. Przecina taśmę i wysuwa zawartość. Przez sekundę ma twarz pozbawioną wyrazu, potem marszczy czoło, czytając, a następnie rozjaśnia się w szerokim uśmiechu.

- To bilety na Orient Express. - Spogląda na mnie, potem na Mamę i znów na mnie. - Siedem dni, Paryż i Wenecja. Odjazd czternastego lutego.

- To w Walentynki - przypomina Mama. - Zazwyczaj nic nie robimy na Walentynki.

- Ale teraz zrobicie. Chciałam podziękować za wszystko, w czym nam w tym roku pomogliście. Bez was nie dałabym sobie rady, naprawdę.

- Nie mogę w to uwierzyć. Dziękuję. - Twarz Taty wciąż rozświetla uśmiech. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Dobrze. Adam powiedział, że ci się spodoba.

- Adam?

- Tak. To był jego pomysł.

Tata kiwa głową i znów marszczy brwi. Mama wciąż ma zdezorientowaną minę.

- Pomyślał, że tobie też się spodoba - zwracam się do niej. - Wiesz, kelnerzy są nad wyraz uprzejmi. Przed niczym się nie uchylą. I myślę, że będzie tam wyłącznie wyrafinowane towarzystwo.

Mówiąc to, uśmiecham się. Tata też nadal się uśmiecha.

- Dziękuję - mówi Mama. - Niepotrzebnie tak się wy-kosztowałaś, ale to bardzo miłe z twojej strony. Jestem pewna, że będzie bardzo sympatycznie.

To właściwie maksimum tego, na co ją stać. Zostają jeszcze chwilę, akurat, żeby wypełnić z Tatą podanie o paszport i żeby Mama zdała mi najświeższą relację o problemach pani Cooper z woreczkiem żółciowym. Kiedy zbieram się do wyjścia, Tata odkłada broszurkę o Wielkich Podróżach Kolejowych, którą czytał z zapalem, i idzie za mną.

- Gdzie zaparkowałaś? - pyta.

- Tam - mówię, wskazując samochód Adama, który stoi w pewnej odległości.

- Czemu nie przyjechałaś polo?

- A, sprzedałam go. Teraz właściwie nie potrzebujemy dwóch.

Tata spogląda na mnie. Na chwilę robi się poważny.

- Naprawdę nie powinnaś tak się dla nas wykosztowywać, kochanie.

- Czemu nie? - Całuję go w policzek. - Nie każda kobieta ma tyle szczęścia, żeby mieć takiego tatę jak ty.

Później wieczorem, chwilę po położeniu Mayi do łóżka, słyszę pukanie do drzwi. Odruchowo myślę, że to Steve, ale przypominam sobie, że to piątek - poza tym przecież już nas nie odwiedza. Otwieram i widzę Tatę.

- Witaj ponownie. Coś zostawiłam?

Tata kręci głową. Minę ma poważną. Tak poważną, że zaczynam się bać.

- Mogę wejść? - mówi. - Muszę z tobą porozmawiać.

- Oczywiście.

Wchodzi do środka i idzie za mną do kuchni, nic nie mówiąc.

Proponuję, żeby usiadł, ale kręci głową. Cokolwiek ma do powiedzenia, chce to zrobić na stojąco.

- Sprzedałaś swój samochód, żeby kupić dla nas bilety na Orient Express?

Otwieram usta, żeby zaprzeczyć, ale uznaję, że lepiej tego nie robić.

Uderza mnie poczucie, że Tata jest w nastroju na szczerą rozmowę.

- Tak jak powiedziałam. Nie potrzebowaliśmy dwóch. Tata kręci głową i spogląda w sufit.

- Wiesz, naprawdę nie powinnaś. Pomagaliśmy wam, jak każdy rodzic w takiej sytuacji i ostatnie, czego nam trzeba, to żebyś dodatkowo się dla nas poświęcała.

Sięga do kieszeni kurtki, wyciąga bilety i kładzie je na kuchennym blacie.

- Hej, nie chcę ich z powrotem. Mama cię nakłoniła?

- Twoja matka nic o tym nie wie. Powiedziałem jej, że jadę do sklepu po mleko.

- Chcę, żebyś wziął je z powrotem.

- Mel, nie zasługuję na nie. Czuję się, jakbym je wyłudził.

- Co masz na myśli?

Następuje długa pauza, podczas której Tata tak mocno ścisną dłonie, że niemal spodziewam się, że uda mu się wyżyć z nich wodę.

- To nie twoja matka - mówi w końcu.

- Ale co? Waha się.

- To nie ona nalegała, żebyś miała aborcję.

To słowo w jego ustach brzmi zimno i twardo. Nigdy bym go nie powiązała z kimś tak ciepłym i dobrotliwie wyglądającym.

- Skąd o tym wiesz?

Wzdycha i wbija wzrok w podłogę.

- To ja uważałem, że powinnaś usunąć ciążę. Wpatruję się w niego, nie mogąc zrozumieć, co mówi.

- Twoja matka mi powiedziała. To znaczy, to też nie do końca prawda. Wszedłem do łazienki i zastałem ją całą we łzach. W rękę wciąż trzymała test.

- Ale powiedziała, że ty nic nie wiesz. Że jeśli się na to zgodzę, nic ci nie powie.

- To był jej pomysł. Chyba myślała, że lepiej, jeśli wyjdzie to od niej. Bo nie była z tobą równie blisko. Powiedziała, że jeśli masz kogoś zniechęcić, lepiej, żebyś zniechęciła ją. Że to by przerosło twoje siły, gdybyś straciła mnie razem z...

Głos mu się załamuje. Siadam ciężko na krześle. Mój umysł desperacko próbuje porównać historię, którą właśnie usłyszałam, z tą, którą zawsze uważałam za prawdziwą.

- Chciałeś, żebym usunęła ciążę? Zwiesza głowę jak pies skarcony przez pana.

- Widzisz, nie potrafiłem tego znieść. Byłaś moją małą dziewczynką.

- Miałam prawie szesnaście lat.

- Nie dla mnie. Dla mnie nadal byłaś oczkiem w głowie. Jedynym promieniem słońca w moim ponurym i monotonnym życiu. Było mi już wystarczająco źle z tym, że chodziłaś z Adamem, że zastąpił mnie w twoim sercu. Ale myśl, że zaszłaś z nim w ciążę...

Kręci głową i wbija wzrok w podłogę.

- Chciałeś nas rozdzielić, prawda?

- Powiedziałem twojej matce, że pozwolę ci się nadal z nim widywać, jedynie jeśli to usuniesz.

- Tato, to było moje dziecko. Nie „to”.

- Wiem. I okropnie się z tym czuję. Od lat mnie to zżera. Ale wiem też, że gdybyś urodziła to dziecko, sprawy być może potoczyłyby się inaczej. Presja mogła być zbyt duża, mogło się zdarzyć, że ty i Adam byście się rozstali. Być może nigdy nie miałybyś Mayi.

Spoglądam na swoje zaciśnięte ręce leżące na stole. Wszystkie emocje bulgocząc, uniosły się na powierzchnię i wściekle wirują we mnie, rozpychają się, żeby znaleźć sobie ujście.

Może ma rację. Być może nie przetrwalibyśmy tego. Możliwe, że

wszystko potoczyłoby się inaczej.

- To nie zmienia faktu, że postąpiłeś źle. Nie dając mi wyboru.

- Jako rodzice odgrywamy rolę Boga, prawda? Nieustannie podejmujemy decyzje, które naszym zdaniem są najlepsze dla dzieci.

A kiedy patrzyłem, jak idziesz na studia, zostajesz magistrem, zaczynasz wykładać na uniwersytecie, twoje małżeństwo jest tak mocne i jesteś wspaniałą mamą dla Mayi, nie mogłoby być drugiego ojca tak dumnego jak ja. I chyba, szczerze mówiąc, pomyślałem, że usprawiedliwia to, co zrobiłem.

Siedzę przez chwilę. Rozmyślając. Próbując to wszystko przyswoić.

- Więc czemu mówisz mi o tym teraz?

- Jestem ci bardzo wdzięczny za prezent, ale nie uważam, że zasługuję na to, by zajmować specjalne miejsce w twoim sercu. Twoja matka poświęciła wiele. Między innymi twoje uczucie. Wciąż jeszcze nie przeboleła tego, że Martin przeprowadził się do Belgii. Chciałem, żeby miała szansę odbudowania jakos relacji z tobą.

Kiwam powoli głową. Jako matka zdaję sobie sprawę, jak niewiarygodnie altruistycznie się zachowała, biorąc na siebie winę. I wiem, że bez niej wszystko naprawdę mogło się potoczyć inaczej.

- Dziękuję. To znaczy za to, że mi powiedziałeś. Mam nadzieję, że pewnego dnia będę w stanie wytłumaczyć Mayi wszystkie decyzje, jakie podejmuję jako jej rodzic.

Tata podchodzi i całuje mnie w czubek głowy. Jak miał w zwyczaju, kiedy byłem dzieckiem.

- Czy twoje życie naprawdę było takie nudne i monotonne? - pytam go. Wzrusza ramionami.

- Kochanie, miałem marzenia. Jak my wszyscy. Któregoś razu powiedziałem o nich Adamowi, kiedy leżał w szpitalu.

- O podróżach koleją, które zawsze chciałeś odbyć?

- Tak. Chyba tak.

- A kiedykolwiek wcześniej mu o tym wspominałeś?

- Kochanie, nie jestem pewien. Może wspominałem. W każdym razie lepiej, jak już wrócę. Twoja matka będzie zachodzić w głowę, gdzie polazłem.

Wstaje i rusza do drzwi.

- Nie zapomniałeś czegoś?

- Czego? - Odwraca się do mnie.

Biorę kopertę z biletami i wciskam mu w rękę.

- Nie, kochanie. Mówiłem ci, to nie w porządku.

- Już mi się przyznałeś - mówię. - Ode mnie zależy, czy nadal chcę ci je dać. I jeśli o mnie chodzi, nie ma powodu, żebym zmieniła zdanie.

Postąpiłeś tak, jak myślałeś jako rodzic, że będzie najlepiej. Nie mogę cię za to winić.

- Kochanie, jesteś pewna?

- Tato, chcę, żebyś je wziął. Chcę, żebyście oboje pojechali. I chcę, żebyście spędzili miło czas.

- Dziękuję. - Tata chowa bilety z powrotem do kieszeni, a głos mu się trzęsie. - Tak właśnie będzie, tak będzie.

ROZDZIAŁ 3 6

Adam

Wchodzę do gabinetu doktora Andrews'a i siadam. Już nawet nie potrzebuję laski. Mogę to robić samodzielnie.

- Hej, spójrzcie na niego - mówi doktor. - Adam, robisz niesłychane postępy.

Uśmiecham się szeroko. Lubię doktora Andrews'a. Rozmawia ze mną jak z dorosłym. Nie uważa, że jestem głupi.

- Niedługo znów zacznę biegać - oświadczam.

- Cóż, skoncentrujmy się na razie na chodzeniu, dobrze?

- Lubię przebywać na powietrzu, obcować z przyrodą.

- Niedługo będziesz mógł chodzić na długie spacery. Nic tak nie podnosi na duchu jak aktywność fizyczna. A ogólnie jak się czujesz?

To znaczy, co myślisz o swoich postępach?

- Chcę znów zacząć biegać. Chcę wrócić do pracy.

- To zrozumiałe, że jesteś sfrustrowany. Ale widzisz też, że zrobiłeś fantastyczny postęp, prawda?

- Chyba tak.

Doktor Andrews powoli kiwa głową.

- Może wyznaczę ci nowy cel? Coś w twoim zasięgu, do czego będziesz mógł dążyć.

- OK.

- Co lubisz robić, od kiedy tu przyjechałeś? Na co najbardziej nie możesz

się doczekać?

- Na wizyty Mayi.

Doktor Andrews wstaje i obchodzi biurko, żeby na nim przysiąc naprzeciwko mnie.

- Jak byś się czuł, zajmując się nią? Gdybyś był jej opiekunem?

- Co, jak wrócę do domu?

- Tak, myślę, że mógłbyś. Musielibyśmy popracować trochę nad twoim procesem podejmowania decyzji, upewnić się, że wszystko będzie w porządku, jeśli chodzi o bezpieczeństwo. Ale mieliśmy już pacjentów tutaj, którzy byli w stanie przejąć obowiązki głównego opiekuna dziecka. Może to coś, do czego chciałbyś dążyć?

- Ale wracam do pracy.

- To może opiekowanie się Mayą będzie na początek. Zobaczysz, jak ci idzie.

Marszczę brwi. Nie jestem pewien.

- Nie wiem. Mel radzi sobie z Mayą bardzo dobrze. Jest cierpliwsza ode mnie.

- Ale jako ekspert od wychowywania dzieci będzie idealną osobą, żeby pomagać ci się uczyć.

- Tak. Pewnie by mi pomogła.

- I może gdybyś pomagał jej z Mayą, miałyby więcej czasu, żeby prowadzić zajęcia? Może nawet dałaby radę wrócić na uniwersytet?

- Może. Wiesz, jest bardzo dobra w tym, co robi.

- Świetnie. Wygląda na to, że to cel, do którego mógłbyś dążyć.

- Mogę jej powiedzieć? Przyjdzie później.

- Oczywiście, że tak. Ale nie mów jej, tylko ją spytaj. Pamiętasz, co mówiliśmy o sprawdzaniu, jak inni ludzie

będą reagować na to, co chcesz, żeby zrobili? I powiedz jej, żeby przyszła do mnie, jeśli będzie miała jakieś obiekcje.

Wpatruję się w okładki płyt na ścianie za doktorem Andrewsem.

- Jak dostałeś autograf Roda Stewarta? - pytam.

- A - odpowiada. - To długa historia.

Mel przychodzi po lunchu. Przyjeżdża moim samochodem. Swoją sprzedała. Nie wiem, czemu nie sprzedała mojego. Przecież nie potrzebujemy go już, żeby przewozić wózek.

- Cześć, kochanie. - Nachyla się, żeby mnie pocałować. -Przyniosłam ci pocztę.

Wręcza mi białą kopertę.

- Od kogo?

- Nie wiem, kochanie. Może otwórz i zobacz.

Robię, co mi mówi i wyciągam kartkę świąteczną z wielokolorowym reniferem. Otwieram ją i czytam: „Dla Adama i jego rodziny, tak dobrze usłyszeć, że wstałeś z łóżka. Życzę Ci Wesołych Świąt i dalszej poprawy zdrowia w Nowym Roku. Buziak, Hannah”.

- To od Hannah z muzeum. - Podaję kartkę Mel.

- To miło z jej strony. Wiesz, teraz mieszka w Cardiff.

- Naprawdę?

- Tak, dostała nową pracę, kiedy byłeś w szpitalu. Nim wyjechała, kilka razy cię odwiedziła i myślę, że od ludzi w muzeum dowiaduje się o twoich postępach.

- Była miła ta Hannah - mówię.

- Tak, sporo o tobie myślała. No dobrze, a jak ci mija dzień?

Wzruszam ramionami.

- Doktor Andrews mówi, że może będę mógł ci pomagać opiekować się Mayą, kiedy wrócę do domu. Jeśli nie masz nic przeciwko.

Twarz Mel zapala się.

- Przeciwno? Oczywiście, że nie mam nic przeciwko. Będę zachwycona.

- Dobrze. Jego zdaniem będę w stanie to robić.

- Nie przychodzi mi do głowy nikt, kogo chętniej widziałabym w roli opiekuna Mayi. I nawet gdybyś na początku popełniał jakieś błędy, to byłoby bez znaczenia, prawda? Ja też popełniałam błędy. Poza tym Maya jest już teraz wystarczająco duża, żeby sama mogła ci pokazać, co i jak.

- Ale to dopiero za jakiś czas. Nie dopóki nie wrócę do domu.

- Oczywiście. To da nam wystarczająco dużo czasu, żeby się przygotować.

- Dostaniesz z powrotem pracę na uniwersytecie?

- Nie wiem, Adam. W tej chwili sytuacja jest trudna. Zaczynają spadać na nas wszystkie te cięcia, które są sprawką twojego przyjaciela, pana Camerona.

- To nie jest mój przyjaciel. Nigdy go nie lubiłem.

- Nie, wiem. Przepraszam. Próbowałam być... Nieważne.

- Co Brown robi w tej sprawie?

- Nie jest już szefem laburzystów. Jest nim Miliband.

- Jego też nigdy nie lubiłem.
- Nie, nie ten. Jego brat, Ed. Marszczę brwi i kręcę głową.
- Rany, sporo mnie ominęło, co? Mel uśmiecha się.
- Wszystko nadrobisz. W swoim czasie.
- Ale ja chcę już.

Przysuwa się bliżej, żeby usiąść na łóżku obok mnie. Kładzie mi rękę na kolanie.

- Musisz pamiętać tylko o tym, że Maya i ja cię kochamy i będziemy czekać, jak długo trzeba.

- Szczęściarz ze mnie, że was mam, prawda?

- Nie pytaj mnie - odpowiada. - Powiedz mi. Obejmuje mnie rękami i długo tak mnie trzyma. Kiedy

w końcu podnosi wzrok, uśmiecha się i całuje mnie w usta.

- Pocałowałem kiedyś inną dziewczynę - mówię. - Jak byliśmy na studiach.

- Och.

Uśmiech znika z twarzy Mel. Wygląda na zmartwioną.

- Do niczego nie doszło. To znaczy oprócz pocałunku. Olałem ją, bo nie była tobą.

- Rozumiem. - Wydaje z siebie długie westchnienie.

- Jesteś wściekła?

- Nie. W ogóle. Bardzo się cieszę, że powiedziałeś mi prawdę. Adam, wszyscy popełniamy błędy. Ja pozwoliłam komuś za bardzo zbliżyć się do siebie po twoim wypadku.

- Komu?

- Steve'owi.

- Steve'owi, mojemu najlepszemu kumplowi?

- Tak. Widzisz, nie zdawałam sobie sprawy z jego uczuć.

Zapomniałam, że znajomość naszej trójki ciągnie się tak długo.

- Lecił na ciebie w szkole.

- Wiem, powiedział mi. Nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy. A powinnam, bo pocałował mnie na gwiazdkowej dyskotecie w podstawówce. Trochę mi z tym głupio.

Adam wzrusza ramionami.

- Mogę powiedzieć Mayi?

- O czym?

- Ze będę się nią opiekował.
- Tak - mówi z uśmiechem. - Możesz powiedzieć jej w Boże Narodzenie, kiedy przyjdzie z wizytą.

Steve przyjeżdża po podwieczorku tego samego dnia. Zadzwoił do nich wcześniej, żeby się upewnić, czy może. Powiedzieli mi, że odwiedzi mnie przyjaciel. Dopóki nie wszedł, nie miałem pojęcia, kogo mają na myśli.

- Cześć, stary - mówi. - Kopę lat.
- Odwiedzałeś mnie, kiedy byłem w szpitalu i w domu.
- Skąd wiesz?
- Mel mi powiedziała.
- Aha.
- Gdzie Louise?
- Poszła na tańce z Mel. No, wiesz, to ich flamenco.
- Nadal to robią?
- Ta. Na jakiś czas przerwały, ale znów zaczęły.

Steve wchodzi w głąb sali. Jest wysoki i ma ciemne włosy, tak jak zapamiętałem. Z wyjątkiem kilku siwych pasm.

- Siwiejesz?
- Tak, wiem. To pewnie przez zmartwienia.
- Jakie zmartwienia? Przez chwilę nie odpowiada.
- Dinozaur nieźle urządził mojego najlepszego przyjaciela, pewnie dlatego - mówi w końcu.

Uśmiecha się. Nie wiem czemu.

- W ogóle tego nie pamiętam.
- Tak. Może to i lepiej. Wskazuje na krzesło.
- Mogę usiąść?
- Tak, jasne.
- Miejsce wydaje się w porządku.
- Ta, chyba tak.

Steve spogląda na fotografię Mel i Mayi na szafce nocnej.

- Mel była u mnie wcześniej. Powiedziała, że ją pocałowałeś.
- Naprawdę?

- W podstawówce, kiedy byliście dziećmi.
- A, rozumiem. Coś jeszcze mówiła?
- Tylko, że głupio się czuje z tym, że nie zdawała sobie sprawy, że kiedyś

na nią leciałeś.

Wbija wzrok w podłogę.

- Przyjechałem powiedzieć ci, że wyjeżdżam.

- Ale dopiero co przyszedłeś.

- Nie, to znaczy wyjeżdżam stąd. Wyprowadzam się.

- Dokąd?

- Do Padstow. W Cornwall.

- Tam, gdzie pojechaliśmy wtedy na wakacje? W czwórkę?

- Tak. Zawsze powtarzałem, że mi się tam podoba.

- Podobała ci się ta restauracja. Ricka Steina.

- Tak. Podobała mi się, prawda?

- Jedzie z tobą Louise?

- Nie wiem. Spytałem i powiedziała, że to przemyśli.

- Nie chce jechać?

- To skomplikowane.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- W styczniu. Jak tylko skończy mi się okres wypowiedzenia.

- Masz już tam pracę?

- Jeszcze nie.

- Teraz jest ciężko za sprawką twojego przyjaciela Camerona, tak powiedziała Mel.

Steve uśmiecha się.

- Jak nic nie znajdę, założę własny biznes. Będę prowadził konsultacje informatyczne jako wolny strzelec. Tam jest dużo ludzi, którzy prowadzą własną działalność, pewnie jest na to zapotrzebowanie.

- Pewnie będziesz biegał po plaży.

- Tak, pewnie tak. A co mówią lekarze, będziesz znów mógł biegać?

- Nie wiem. Nikt nie chce ze mną o tym rozmawiać. Ciągłe powtarzają, że muszę wszystko robić krok po kroku.

Steve długo milczy.

- Nie byłem dla ciebie tak dobrym przyjacielem, jakim powinienem być.

- Chodzi ci o ten album z naklejkami? Mel pokazała mi, że go oddałeś.

Steve chowa twarz w rękach.

- Nie tylko o to. Też w innych sprawach. W każdym razie, chcę, żebyś wiedział, że żałuję. To już przeszłość. Mam zamiar zacząć wszystko od nowa.

- Dobrze - mówię.

Choć tak naprawdę nie wiem, o czym on mówi. Wiem tylko, że jego przeprowadzka mnie nie rusza. Siedzimy jeszcze chwilę w ciszy.

- Dobrze. To będę leciał. - Wstaje. - Mam sporo do załatwienia.

Udanych świąt. Fakt, że znów z nami jesteś, to najlepszy prezent, jaki Mel kiedykolwiek mogła dostać.

Przystaje w drzwiach, wydaje się czymś zdenerwowany. Nie wiem, czemu sobie po prostu nie pójdzie.

- No dobra. Do zobaczenia.

- Tak. Będę w kontakcie. Może przyjedziesz kiedyś na wakacje, jak już stąd wyjdiesz?

Kiwam głową. Choć nie sędzę, żebym kiedykolwiek to zrobił.

ROZDZIAŁ 37

Mel

Ale jesteś pewien, że on da sobie z tym radę? Opieka nad dzieckiem oznacza sporo obowiązków. W obecności Adama nie chciałam zdradzać wątpliwości, nie, kiedy tak bardzo się zapalił do tego pomysłu i gdy odciągnął on jego myśli od wszystkich innych rzeczy, których nie jest w stanie zrobić, złagodził cios, jakim była niemożność powrotu do pracy. Ale musiałam zobaczyć się jeszcze z doktorem Andrewsem.

Lekarz odchyła się na krzesło i wyciąga z ust końcówkę długopisu.

- Wiem, ale jeśli, tak jak mówisz, będziesz w domu przynajmniej wiosną i latem, będziesz miała świetną okazję, żeby ocenić, jak sobie radzi, nim zdecydujesz, czy możesz wrócić do pracy. Po prostu wprowadzaj to stopniowo, żeby miał szansę poczuć się pewniej i złapać równowagę. I musisz też pozwalać mu na samodzielność. Jeśli tylko będziesz w pobliżu, żeby służyć mu radą i wsparciem, kiedy będzie tego potrzebował. Jeśli pozwolisz mu uczyć się na błędach.

Oczywiście jeśli nie narazi to Mayi na żadne ryzyko.

Bardzo mi się podoba ten pomysł. Maya będzie zachwycona.

Wygląda na to, że bardzo się uspokoiła, od kiedy Adam rozpoczął rehabilitację. Naprawdę dobrze znosi jego nieobecność w domu. I myślę, że dało to jej szansę na złapanie oddechu, żeby poczuła się znów jak normalna mała dziewczynka. Znów maluje w szkole motyle.

Motyle i szczury.

- I nadal uważasz, że będzie mógł wrócić do domu w okolicach maja?

- Jak wiesz, nigdy nie możemy czegoś takiego zagwarantować. Ale mam nadzieję, że pod koniec dwunastotygodniowego okresu oceny będzie gotów przeprowadzić się do specjalnego domku, żeby uczyć się jak znów żyć samodzielnie. I zrobimy tak, o ile się zgodzisz, że Maya spędzi z nim jedno popołudnie, byśmy mogli sfilmować ich razem, popatrzeć na ewentualne zagrożenia bezpieczeństwa, które następnie będziemy mogli omówić z Adamem.

- Tak, to brzmi w porządku. Myślę, że to dobrze zrobi Adamowi i jego pewności siebie, a mnie uspokoi.

- Zanim wróci do domu na dobre, parę razy was odwiedzi. Będziemy działać stopniowo, by upewnić się, że wszystko gra.

Uśmiecham się do doktora Andrews.

- Dobrze wiedzieć - mówię. - Jestem naprawdę wdzięczna za wasze wsparcie.

- Nie ma za co. I pamiętaj, że kiedy Adam wróci do domu, to wsparcie nadal będzie aktualne.

- Dziękuję.

- A ty? Jak się czujesz? Wzruszam ramionami.

- Są dobre i złe dni. Trochę jak u Adama. To dziwna mieszanka nadziei przyprawionej rozczarowaniem.

- Dla rodzin to właśnie jest najtrudniejsze. Myślałaś o tym, żeby zwrócić się o pomoc?

- Jaką pomoc?

- Przeszłaś przez niebywałą traumę. W Huddersfield działa pewna kobieta. Hipnoterapeutka.

- Och, no, nie wiem.

- Nie, profesjonalna kliniczna hipnoterapeutka. Nie polecałbym ci jej, gdyby nie była najlepsza w branży. Zajmuje się terapią EMDR. To oznacza desensytyzację i przetwarzanie doznań emocjonalnych. W

skrócie - pomaga to twojemu mózgowi uporać się z traumą i pozwala ci iść dalej.

Bierze z biurka biało-fioletową wizytówkę.

- Wypróbuj ją. Nigdy nic nie wiadomo, może pomóc ci pokonać tę ostatnią przeszkodę.

- Dziękuję. - Wsuwam wizytówkę do kieszeni.

Louise wysłała mi SMS z pytaniem, czy może przyjść, kiedy już położę Mayę spać. Wówczas zdaję sobie sprawę, że coś się stało. Nie umawiasz się na spotkanie z najlepszą przyjaciółką, żeby pogadać, co tam u niej słychać. Jedynie jeśli musicie porozmawiać poważnie.

Kiedy wpuszczam ją do środka, nawet jej uśmiech wydaje się cienki jak bibułka. A ciepło jej uścisku przypomina dawno wygasły piec kaflowy.

- Idź do salonu. Wydaje mi się, że przyda nam się wygodne siedzenie.

- Ja zrobię kawę.

- Dziwne - mówi Louise parę minut później, kiedy wracam. - Nadal w jakiś sposób wyczuwam obecność Adama w tym pokoju.

- Wiem, co masz na myśli. Czasem zdarza mi się wejść z myślą, że go tu znajdę.

- Mają w ogóle pojęcie, kiedy wróci do domu?

- W okolicach maja, miejmy nadzieję. Lekarz wciąż jeszcze mu nie powiedział, że nie będzie w stanie wrócić do

dawnej pracy. Uważa, że na razie to za dużo jak na jego głowę. Ale zasugerował, że Adam może zajmować się Mayą, więc od września będę mogła znów pracować w większym wymiarze godzin.

- Och, Mel, to świetnie. Spróbujesz wrócić na uniwersytet?

- Jeszcze nie wiem. Po pierwsze nie wiem, czy będą cokolwiek mieli.

- Jestem pewna, że Margaret znajdzie coś dla ciebie. A Maya będzie wniebowzięta, że zaopiekuje się nią Tatus.

- Wiem. Powie jej na Gwiazdkę. Myślę, że to zostawi wszystkie inne prezenty w tyle.

Louise uśmiecha się.

- Nadal nie mogę uwierzyć, jak daleką drogę przeszedł od października.

Kiwam głową. Za każdym razem, kiedy ogarnia mnie frustracja z powodu tego, czego Adam nie jest w stanie zrobić albo powiedzieć, muszę przypominać sobie, jak trzy miesiące temu dałabym wszystko, żeby tylko usłyszeć, jak mówi choć jedno słowo.

- Wciąż za nim tęsknisz, prawda? To znaczy za tym dawnym Adamem.

- Tak, tęsknię. Chociaż to brzmi okropnie niewdziecznie.

- Nie bądź niemądra. To zupełnie naturalne, że chcesz, by wrócił. To nie znaczy, że nie doceniasz tego, co masz.

- Dzięki - mówię. - Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która powiedziałaby coś takiego.

Przez chwilę siedzimy w ciszy, popijając kawę. Wyczuwam, że Louise zbiera się w sobie, by coś powiedzieć. Coś, co tłumaczy jej dzisiejszy brak świątecznego nastroju. Normalnie Louise jest uzależniona od Bożego Narodzenia; odlicza dni, podśpiewuje kolędy.

A tymczasem nawet nie skomentowała choinki, która stoi w rogu.

- Wczoraj spotkałam się ze Steve'em - wydusza w końcu. W mgnieniu oka pojęłam, że to wszystko nie będzie takie proste, jak myślałam.

- O, i jak?

- Nie tak, jak myślałam.

- Czemu?

- Cóż. Po raz pierwszy naprawdę otworzył się przede mną.

Powiedział o różnych sprawach.

Jest coś zastanawiającego w pauzie, którą zrobiła przed ostatnim zdaniem, i w zmienionym tonie głosu. Kiedy łapię jej spojrzenie, wiem na sto procent. Od razu znów wbijam wzrok w podłogę.

- W porządku - mówi Louise. - Szczerze mówiąc, nie był to dla mnie szok. Zna cię dłużej niż mnie czy kogokolwiek innego, z wyjątkiem swojej rodziny. Zawsze wiedziałam, że zajmujesz szczególne miejsce w jego sercu. Pewnie tylko nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo szczególne. A może zdawałam sobie sprawę, tylko nie chciałam w to wierzyć.

- Tak mi przykro. Nawet nie próbuję cię przekonać, jak okropnie się z tym czuję. Powiedziałabym ci od razu, ale byłaś wtedy tak zdołowana, że nie chciałam cię jeszcze dodatkowo ranić.

- Mel, to nie twoja wina. Przecież nie zrobiłaś nic, żeby go zachęcić.

W zasadzie to wręcz przeciwnie. Od kiedy cię znam, jesteś tak totalnie zakochana w Adamie. Każdy to widział. Cóż, wychodzi na to, że każdy, z wyjątkiem Steve'a.

- On cię kocha - mówię. - Wydaje mi się, że po prostu dużo czasu mu zajęło, nim zdał sobie sprawę, jak bardzo. To, co czuł do mnie, to nie miłość. W ogóle nie. Uważał, że Adam mu mnie ukradł, ale ja nigdy nie byłam jego, żeby można mnie było podkraść.

Louise kiwa głową, choć kompletnie bez przekonania.

- Chce, żebyśmy wrócili do siebie. Poprosił, żebym się z nim przeprowadziła. Powiedział, że tak będzie najlepiej dla nas wszystkich.

- Racja. Dokąd?

- Do Cornwall.

Brzmi jak koniec świata, ale ponieważ nigdy nie sprecyzowałam, dokąd powinien się przenieść, chyba nie mogę narzekać.

- Kiedy wyjeżdżacie?

- Ja nie wyjeżdżam.

- Słucham?

- On przeprowadza się tam w styczniu. Ale ja z nim nie jadę.

Już przedtem czułam się źle, teraz czuję się tragicznie. Własnoręcznie zrujnowałam małżeństwo najlepszej przyjaciółki.

- Ale go kochasz. Bez niego było ci beznadziejnie, sama mówiłaś.

- Wiem, ale jestem to sobie winna, żeby nie jechać. Za długo byłam nagrodą pocieszenia. Nie chcę tak spędzić reszty życia. Zawsze czując, że nie jestem do końca tym, czego on chce. Próbując być kiepską imitacją ciebie.

Obejmuję ją ramieniem, przyciągam do siebie, gdy zaczynają się łąć dwa strumienie łez.

- Louise, nie jesteś kiepską imitacją nikogo. Jesteś sobą i jesteś wspaniała.

- Ale nie mogę do niego wrócić. Nawet jeśli bardzo bym tego chciała.

Zmarnowałam z nim już za dużą część swego życia. Muszę zacząć od nowa.

Kręcę głową. Ocieram jej z twarzy łzy.

- Nie mogę uwierzyć, że przysporzyłam ci tak wiele cierpienia. To tyle, jeśli chodzi o bycie twoją najlepszą przyjaciółką. Masz święte prawo mnie nienawidzić.

- Nie, nie mam. Nie ponosisz za nic odpowiedzialności. To Steve mnie zawiódł. Zawiódł nas wszystkich.

- Wiem, że cię zranił, ale wiem też, że nigdy nie miał takiego zamiaru.

I wiem, że okropnie się czuje z tym, jak cię potraktował. Wiesz, naprawdę chciał, żeby wam wyszło.

- Rozmawiałaś z nim o tym? Kiwam głową.

- Pojechałam do niego parę tygodni temu. Przepraszam, powinnam ci powiedzieć. Próbowałam chronić cię przed prawdą, bo wiedziałam, jak bardzo by cię zraniła.

- Czasami kłamstwa ranią równie mocno.

- Uwierz mi, wiem o tym.

Louise siedzi przez chwilę cicho, jakby próbowała wszystko to

przyswoić.

- Pewnie ty zasugerowałaś, żeby kupił kwiaty.

- Tak. Ale nie sugerowałam, żeby powiedział ci o mnie. To był jego pomysł.

Louise wyciąga chusteczkę z torebki i osusza kąciki oczu.

- Jeszcze mu nie powiedziałam. Zajrzę do niego jutro, zanim pojedzie do rodziców. Chociaż czuję się trochę jak świnia, że robię to w Wigilię.

- Nie ma prawa narzekać, prawda? Sam sobie jest winien.

Nawet gdy to mówię, zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę w to nie wierzę. I z miny Louise wyczytuję, że ona również.

- Choćbym nie wiem jak chciała, nie umiem go nienawidzić. Szczerze powiedziawszy, współczuję mu. To szlachetne z jego strony, że powiedział mi, choć nie musiał. A utrata trzech osób, które kocha najbardziej na świecie, to dość wysoka cena, jaką przyszło mu zapłacić.

Ma rację. Ale próbuję nie myśleć o Stevie. Teraz liczy się to, jak mogę pomóc Louise.

- Rozumiem cię, ale jeśli taka jest twoja decyzja i jesteś jej pewna, to od teraz musisz myśleć o sobie. Zaslugujesz na tak wiele więcej.

- Może w nowym roku spotkam gorącego tancerza flamenco.

Mówiąc to, uśmiecha się. Obie wiemy, że to się nie zdarzy.

- Posłuchaj, zrozumiem, jeśli nie będziesz chciała, ale zaproszenie na świąteczny obiad jest nadal aktualne.

- Dziękuję - odpowiada. - Z chęcią.

Nachylałam się, żeby ją uścisnąć. Jestem wdzięczna za to, że nadal możemy się przyjaźnić, choć podejrzewam, że już nigdy nie będzie tak samo jak kiedyś.

- Powinnam cię ostrzec, że Mikołaj przyniesie Mayi pacynkę Rity, do kompletu z pacynką Roddy'ego.

- W porządku. - Uśmiecha się Louise. - Nic mi nie będzie, jeśli ich pierwowzory pozostaną w klatce.

Spogląda na mnie, oczy ma wciąż pełne łez.

- Mam nadzieję, że ty też dostaniesz na Gwiazdkę to, czego pragniesz - dodaje.

- Dziękuję - mówię. - Miejmy nadzieję, że nowy rok dla nas obu będzie szczęśliwszy.

EPILOG

Piątek, 6 maja 2011

W naszą jedenastą rocznicę ślubu wstaję wcześnie rano. Moja niebieska suknia wisi w szafie. Włożę ją na imprezę. Tak jak zawsze powtarzałam, że zrobię. I dziś Adam będzie dzielił ze mną łóżko. Dziś Adam wraca do domu. Na dobre.

Wstaję i wciągam stare džinsy i polar, który lepsze czasy ma już za sobą. Po drodze zaglądam do pokoju Mayi. Wciąż śpi, tuląc się do pacynki Roddy'ego i Rity. Jej fioletowo-srebrna sukienka jest przewieszona przez krzesło, wyprana i wyprasowana, czeka w gotowości.

Cichutko schodzę na dół, parzę sobie filiżankę herbaty i idę do salonu. Ściany są świeżo pomalowane na kolor terakoty. Kiedy Adam pierwszy raz przyjechał do domu na weekend, powiedział, że nie podoba mu się magnolia. Na stoliku do kawy wciąż stoi mój laptop, a w skrzynce odbiorczej na samej górze nadal jest e-mail od Margaret, w którym proponuje mi od września pełen etat wykładowcy seminarium magisterskiego z zakresu wczesnego rozwoju dziecka. W komputerze jest też płyta DVD, którą wczoraj oglądałam. Materiał z udziałem Adama, który nakręcili w Shaw House. Widać na nim, jak bawi się z Mayą, pokazuje jej, jak rozbić

jajko, nie rozlewając go, jak używa rękawic do wyciągania ciasta z piekarnika i jak dmucha na jego kawałek, żeby ostygł, nim da jej spróbować - i to nie tak wielki kawałek, jaki chciała. Bez wątpienia udowodnił, że jest gotów. I ja też, w końcu, jestem na to gotowa.

Słychać delikatne pukanie do drzwi.

- Mamo, dziękuję, że przysłaś - mówię, wpuszczając ją do środka.

- W porządku. To nawet miło wstać rano w tak piękny dzień. Ojciec niedługo wyruszy po Adama. Może coś ci trzeba pomóc z lunchem?

- Tak naprawdę to nie. Prawie wszystko jest już gotowe i czeka w lodówce. A kiedy przyjdzie Louise, przyniesie jeszcze parę rzeczy.

- Maya dobrze się czuje?

- Tak. Wszystko w porządku. Tylko odrobinę podekscytowana.

Zostawiłam jej mnóstwo przyborów do kolorowania. Chce zrobić kartkę dla Adama. Z dinozaurem.

Mama uśmiecha się i kiwa głową.

- A ty? - pyta. - Jak się czujesz?

Spoglądałam na nią, nie mogąc uwierzyć, że mówi to moja matka, ale jednocześnie jestem mile zaskoczona.

- Zdenerwowana, podekscytowana, smutna, szczęśliwa, wyczerpana, czująca ulgę. Wszystko naraz, naprawdę.

- Melanie, nie musisz udawać. Wiem, że było ci ciężko.

- Ale mi nie współczuj, proszę. Bo gdybyś powiedziała mi rok temu, kiedy Adam był w śpiączce, że będzie w miejscu, w którym jest dzisiaj, byłabym zachwycona, naprawdę.

- Ale nadal nie odzyskałaś z powrotem swojego męża.

- Wiem, ale w przeciwieństwie do Louise nadal mam męża i, co najważniejsze, Maya ma ojca. Ojca, który tak dobrze będzie się nią opiekował.

Mama uśmiecha się i kiwa głową.

- Melanie, jestem z ciebie tak dumna. Jesteś lepszą żoną i matką, niż jak kiedykolwiek byłam.

Spoglądałam na nią. Nagle wydaje się taka malutka i krucha. Wiem, że czas jej powiedzieć.

- To nieprawda. Zrobiłaś dla mnie i dla Taty coś niewiarygodnie altruistycznego. Coś, co bardzo wiele cię kosztowało. Swoje szczęście postawiłaś na końcu. Stałaś na linii ognia, żeby chronić córkę i męża.

I nigdy nawet słowem o tym nie wspomniałaś.

Wpatruje się we mnie, a jej dolna warga drży.

- Powiedział ci?

- Tak. Po tym, jak dałam wam bilety na Orient Express. Czuł, że nie zasługuje na nie i powiedziałam mu wtedy to samo, co powiem teraz tobie. Ze zrobiliście to, co uważaliście wtedy za najlepsze dla waszego dziecka. I jestem ostatnią osobą, która mogłaby mieć wam to za złe.

Udaje jej się uśmiechnąć przez łzy.

- Melanie, podróż pociągiem była wspaniała. Twój ojciec ciągle ją wspomina. A kelnerzy naprawdę byli tak niezwykle uczynni.

Uśmiecham się i całuję ją w policzek.

- Och, prawie zapomniałam - mówi Mama, sięgając do torebki i wyciągając kopertę.

- Co to? - pytam.

- Wycinek z „Halifax Courier”. Wykorzystali notatkę prasową, którą napisał Adam, o dniu otwartym w muzeum modeli kolejowych. Twój ojciec

jest dumny jak paw.

- Dziękuję. - Kładę ją na półce nad kaloryferem. - Adam też będzie.

Mama podążyła do kuchni. Idę na wszelki wypadek włożyć płaszcz przeciwdeszczowy, ale rezygnuję. Nie ma potrzeby. Nie zapowiadają deszczu.

Wiem dokładnie, gdzie chcę pójść. Byłam tam już kilka razy na spacerze. Zawsze zastanawiało mnie, jak tak opuszczone miejsce może być równie piękne. Chwilę mi zajmuje, żeby się wspiąć. Pagórek jest miejscami stromy, grunt pod nogami błotnisty.

Stanąwszy na szczycie, zatrzymuję się na moment. Częściowo, żeby odzyskać oddech, ale częściowo, żeby sprawdzić widok. Upewnić się, że to tutaj. Spoglądam w dół na dolinę. Naszą dolinę. Z pagórka Adama. Można stąd nawet dostrzec nasz dom, skąpany w porannym słońcu. Z pewnością odrobiłam pracę domową. Nie pozostała we mnie żadna wątpliwość. Absolutnie żadna.

Najłatwiej znaleźć kamienie, to na początek. Jeśli krajobraz zaśmiecają murki, zawsze znajdzie się jakiś luźny kamyczek albo dwa.

Jeden czy dwa, które wypadły i leżą przy drodze. Działam szybko i wydajnie, wyszukując kamyki i układając je w dwa stosy odpowiedniej wielkości. Zebrawszy tyle, ile potrzebuję, zabieram się do pracy nad tym mniejszym. Upewniam się, że każdy kamyk jest odpowiednio ułożony, choć widok coraz bardziej mi się rozmazuje.

Kiedy ostatni kamyk jest już na swoim miejscu, waham się, nim zacznę układać ten większy. Przez chwilę jestem przestraszona, że to w jakiś sposób nieojalne, jakoś niewdzięczne. Ale przeszłam już przez to wszystko z Karen, która przeprowadzała ze mną terapię EMDR.

Zrozumiałam, że nie miałam szansy, żeby przeżyć smutek. Z powodu dziecka i z powodu Adama. A bez tego jest prawie niemożliwe, żeby iść naprzód.

Stawiam pierwszy kamyk na ziemi. Potem szybko następny i kolejny.

Robiąc to, rozmontowuję w głowie maszynę podtrzymującą czynności życiowe. Tę, która cały czas trzymała go przy życiu. Żebym ja też mogła przetrwać. Żebym miała dość siły, byśmy z Mayą przez to przeszły. Kiedy układam

ostatni kamyk, razem z nim wymyka się ostatnie tchnienie. Teraz jest już

cicho. Odnalazł spokój.

Robię kilka kroków w tył, żeby na nie popatrzeć. Duży kamienny krzyż i obok niego drugi, dużo mniejszy. Już zlewają się z krajobrazem. Stają się częścią tła mojego życia. Z plecaka wyciągam kwiaty, kładę żółtą różę u stóp mniejszego krzyża i staję, trzymając różę czerwoną, u stóp większego.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, czemu muszę to zrobić -mówię. - Nie chodzi o poddanie się, ale o to, żeby pozwolić odejść. Widzisz, uczepiłam się ciebie. Po wypadku utrzymywałam cię żywego w mojej głowie, wyobrażałam sobie, co myślisz i czujesz. W głowie słyszałam twój głos, komentujący wszystko wokół. Pomagałam ci porządkować wspomnienia, żebyś znalazł te pozytywne, których mogłeś się ucześcić.

Karen powiedziała, że dużo osób cierpiących na zespół stresu pourazowego postępuje podobnie. Zwodzą się, żeby przetrwać. Tylko że teraz muszę zrobić coś więcej niż przetrwać. Muszę być silna dla Mayi i dla nowego Adama. A nie będę w stanie tego zrobić, jeśli nie pozwolę ci odejść...

Przerywam, ponieważ głos mi się łamie, gdy spływające po policzkach łzy delikatnie spadają na różę.

- Nie odpuszczam cię, jakaś część mnie zawsze będzie miała nadzieję, że do mnie wrócisz, ale nie mogę stać się zgorzkniała i pokręcona.

Muszę żyć tu i teraz. Nie w przeszłości ani w przyszłości. Więc to nie jest pożegnanie, Adam, chyba bardziej „do zobaczenia”.

Kładę różę na krzyżu i widzę twarz Adama, który uśmiecha się do mnie szeroko, jego głos w mojej głowie naśladuje głos Jima z *Royle Family*. „Do zobaczenia mnie w dupę!”

Stoję tak długo, uśmiechając się, wspominając, pozwalając, żeby wiatr osuszył mi oczy. A potem ruszam z powrotem w dół pagórka. Do Mayi. Do Adama. Naszego nowego

wspólnego życia. Życia, które już nie napawa mnie lękiem. Ponieważ tak jak te kamienie przetrzymałam wszystko, co zostało na mnie zrzucone. Smagał mnie wiatr i deszcz, ale wciąż stoję na nogach. Nadal jestem silna. A mojej miłości nie można złamać.

Kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, miałam jedenaście lat, ale i tak już wiedziałam. Ta ciemność w oczach i sposób, w jaki marszczyła mu się twarz, gdy się uśmiechał. Oczywiście nic mu nie powiedziałam.

Nawet wtedy zdawałam sobie sprawę, że tak to nie działa. Musiałam

poczekać, aż on się zorientuje. Dwa lata to zajęło, dla mnie prawie całą wieczność. Mimo wszystko warto było czekać. Wiedziałam wówczas, wiem i teraz. Dwadzieścia jeden lat później.

O KSIĄŻCE

UWAGA: Poniżej znajdują się informacje o przebiegu akcji!

Jako reporterka na stażu w „Enfield Gazette” w 1989 roku przeprowadziłam wywiad z Timern i Valerie Bartonami, których piętnastoletnia córka Joanne zapadła w śpiączkę, gdy na przejściu dla pieszych potrącił ją motocyklista przejeżdżający na czerwonym świetle. Rozmowa z tak uroczymi rodzicami i poznanie Joanne, która niestety zmarła niedługo po swoich szesnastych urodzinach, uświadomiło mi, jak życie całej rodziny może w jednej chwili się zawalić.

Ledwie parę miesięcy później czterdziestoczteroletni John Dennis miał atak serca podczas sporu personelu karettek pogotowia w grudniu 1989 roku. Zespół wojskowych, który się nim zajmował, podczas jazdy do szpitala w Coventry skręcił w złym miejscu, a w czasie transportu John nie otrzymał odpowiedniej opieki. Jego mózg umierał z braku tlenu, a kiedy John dotarł w końcu do szpitala, był w stanie śpiączki.

Spotkałam Johna w 1997 roku, kiedy dla „Coventry Evening Telegraph” przeprowadzałam wywiad z jego żoną Jean. W owym

czasie John od siedmiu lat pozostawał w trwałym stanie wegetatywnym, z czego sześć lat spędził w domu, ponieważ żona odmówiła wysłania go do domu opieki, decydując, że sama będzie się nim zajmować.

Byłam niebywale poruszona, obserwując czułość, miłość i całkowite oddanie, z jakim Jean opiekowała się Johnem. A jednak była ona święcie przekonana, że każda kobieta w jej sytuacji postąpiłaby tak samo. Niestety, John nigdy nie wydobrzał i zmarł w 2006 roku, prawie siedemnaście lat po tym, jak zapadł w śpiączkę.

Historia Jean i Johna wywarła na mnie niezatarte wrażenie. Pomysł, żeby spróbować uchwycić szerokie spektrum związanych z nią emocji, chodził mi po głowie, a kiedy wymyśliłam temat mojej czwartej powieści, poczułam, że jestem gotowa się z nim zmierzyć.

Ruszyłam w drugą podróż poświęconą zbieraniu informacji o śpiączce, trwałym stanie wegetatywnym i stanie minimalnej świadomości. Jak na kogoś, kto oblał zajęcia z podstaw biologii, skończyłam z zaskakująco

szeroką wiedzą na temat ludzkiego mózgu!

Następnie moim zadaniem było użycie tych materiałów do zbudowania fabuły i bohaterów powieści. I *wtedy to się stało* jest w całości literacką fikcją. Ale choć pozwoliłam sobie skorzystać odrobinę z licencji poetyckiej, chciałam się upewnić, że to, czego doświadczają bohaterowie, jest jak najbardziej wiarygodne.

To, że Adam wychodzi z tak poważnego urazu mózgu i długiego stanu niereagowania na bodźce, jest niewątpliwie mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Ocenia się, że czterdzieści

procent pacjentów w śpiączce jest błędnie zdiagnozowanych. Nie są w stanie wegetatywnym, ale w stanie minimalnej świadomości. Nie wiadomo, czy pacjenci w stanie minimalnej świadomości przetwarzają emocje, ale bywa, że zdają się reagować, na przykład, kiedy pokazuje im się zdjęcia bliskich osób. Niektórzy pacjenci reagują na głosy swoich bliskich. Jednakże, jeśli chorzy w końcu wyjdą ze śpiączki i mogą znów się porozumiewać, rzadko kiedy pamiętają cokolwiek z okresu, kiedy nie reagowali na bodźce. Mogą mieć wiedzę o czymś, czego nie da się wytłumaczyć, ale niezwykle rzadko, jeśli w ogóle, są to konkretne wspomnienia.

Jeśli spojrzycie na rozdziały opowiedziane po wypadku z punktu widzenia Adama, zobaczycie, że są pozbawione nagłówka „ADAM”, który miały rozdziały przed wypadkiem i po tym, jak mija amnezja pourazowa. W powieści Mel wyraźnie mówi, że wyobrażała sobie, jak Adam by się czuł przez ten czas i co by myślał. Robiła to po to, żeby nadal „żył” w jej głowie. To jeden z przykładów, kiedy skorzystałam z licencji poetyckiej. Wrażenie jest takie, że rozdziały te wyobraziła sobie Mel, ale jeśli czytelnik chciałby wierzyć, że to naprawdę są rozdziały opowiedziane z punktu widzenia Adama, pozostawiam mu taką możliwość.

Jedyne, co nie budzi wątpliwości, to fakt, że urazy mózgu mają druzgoczący wpływ na życie ludzi. W Wielkiej Brytanii każdego roku prawie 12 tysięcy osób doznaje urazu głowy tak poważnego, że pozostają nieprzytomne przez sześć godzin lub dłużej. Po pięciu latach jedynie piętnaście procent z nich wróci do pracy.

Ogromnie pomogły mi również dwie organizacje dobroczynne, które niosą pomoc osobom z urazami mózgu i ich rodzinom. Przekażę im część wpływów z tej książki. Jeśli poruszyły was

doświadczenia Adama i Mel i chcielibyście dokonać wpłaty na rzecz tych fundacji, wiem, że byłyby za nie ogromnie wdzięczne. Z góry dziękuję.

Stowarzyszenie Headway jest organizacją dobroczynną założoną z myślą o pomocy i wsparciu dla osób dotkniętych urazem mózgu.

Infolinia Headway dostarcza informacji, doradza w zakresie źródeł wsparcia, znajduje lokalne usługi rehabilitacyjne i zawsze wysłucha tych, którzy przeżywają problemy. Darmowy numer telefonu to 0800 800 2244, a ich strona internetowa znajduje się pod adresem www.headway.org.uk.

Brain Injury Rehabilitation Trust (BIRT) pomaga pacjentom odzyskać umiejętności utracone w wyniku urazu mózgu - wszystko jedno, czy spowodowanego wypadkiem drogowym, pobiciem, udarem, czy chorobą. Organizacja ta, która jest oddziałem The Disabilities Trust, oferuje szeroki zakres usług, które wychodzą naprzeciw potrzebom osób na różnych etapach rehabilitacji. Na stronie www.brit.co.uk lub pod numerem telefonu 01924 896100 można uzyskać więcej informacji lub przekazać darowiznę.

Pisanie o Adamie i Mel ogromnie mnie poruszyło i wiem, że ich historia pozostanie we mnie na zawsze. Dziękuję, że ją przeczytaliście i mam nadzieję, że również w was pozostanie ich opowieść. Proszę, bądźmy

kontakcie

przez
moją
stronę
internetową
www.linda-green.com lub przez Facebook (Fans of Author Linda Green)
lub Twitter (LindaGreenisms).

1W Polsce działa prężnie fundacja Ewy Błaszczak „Akogo”
www.akogo.pl - która pomaga dzieciom. Jeśli chodzi o dorosłych, na
przykład jedna z inicjatyw fundacji „Światło”
<http://fundacja.swiatlo.org/> jest poświęcona pacjentom w śpiączce:
<http://fundacja.swiatlo.org/index.php?modul=page&id=281> (przyp.
tłum.).

PODZIĘKOWANIA

Najcieplej chciałabym podziękować następującym osobom: mojemu wydawcy Sherise Hobbs, po pierwsze za to, że pozwoliła mi napisać tę powieść, po drugie - że pomogła mi jak najwięcej wydobyć z postaci i wydarzeń; całemu zespołowi Headline za ich ciężką pracę; mojemu agentowi Anthony’emu Goffowi za błyskotliwe rady i nieustające wsparcie, które bardzo doceniam; wszystkim z David Higham Associates; Jean Dennis, której miłość i oddanie mężowi mnie zainspirowały, a także dostarczyły wielu przydatnych informacji; Andrew Jamesowi, konsultantowi z zakresu neuropsychologii i rehabilitacji w Daniel Yorath House w Leeds, za to, że poświęcił mi ogromną ilość swego cennego czasu, rozebrał na części pierwsze wstępny zarys fabuły, a następnie bardzo cierpliwie ze mną współpracował, kiedy budowałam go od nowa w (mam nadzieję!) bardziej wiarygodny sposób; Sandrze Hughes z Daniel Yorath House i Sally Rogers z Brain Injury Rehabilitation Trust; Richardowi Morrisowi z Headway za rady i informacje, jakich mi dostarczył; Luke’owi Griggsowi i wszystkim pozostałym w Headway; Natalie Rodgers z Central Manchester Foundation Trust i konsultantom z Emergency Department szpitala Manchester Royal Infirmary; dok-torowi Adrianowi Owenowi, dawniej z Impaired Consciousness

Study Group w Addenbrooke’s Hospital i jego zespołowi za przełomowe badania, Johnowi Cornwellowi za to, że napisał

o tym tak wspomniały artykuł w „Sunday Times Magazine”; śp.

Jean-Dominique Bauby'emu za inspirujące wspomnienia *Motyl i skafander*, benedyktyńsko podyktowane mruganiem powieką (jeśli ich nie czytaliście, proszę, zróbcie to); Lance'owi Little za świetną stronę (www.linda-green.com); moim przyjaciółom i rodzinie za ich nieustające wsparcie; moim wspaniałym czytelnikom, których pozytywne komentarze pomagają mi przy pisaniu następnej powieści; mojemu cudownemu synkowi Rohanowi, za niektóre z najlepszych kwestii Mayi, za cudowne pomysły dotyczące akcji i za obietnicę, że któregoś dnia przerobi tę książkę na sztukę albo scenariusz (trzymam Cię za słowo!); i, jak zawsze, mojemu mężowi Łanowi za opiekę nad dzieckiem i zajmowanie się domem w dużo większym stopniu, niż przypadало mu w udziale, za słuchanie mojego nieustającego paplania o tej książce, za wiarę w nią i we mnie, i za zrobienie naprawdę ogromnego wieloryba na imprezę Rohana pod hasłem „Szukając Nemo”, podczas gdy ja byłam zajęta pisaniem.

Dziękuję